ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXX.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT II.

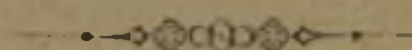
Listopad

WARSZAWA.

1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy **14.**

Druk ukończono d. 9 listopada 1895 r.

NA NOWYCH FALACH...

I.

Na nowych falach płynie twórca młody,
Farb nowych szuka do obrazów sztuki
I źródeł nowych u wyżyn nauki
I żąda nowéj dla siebie swobody.

Nie podpisuje z przeszłością ugody,
Więc dawnych, wielkich bohaterów wnuki
Dziś opuszczają swoich siedzib łuki,
Odartych z barwnéj szaty i urody.

Poezyo wielka! zardzewiała lutnia
Leży pod progiem twéj własnéj świątyni,
Pospólstwo ciebie za oczyma wini,

Bo z twych strun tylko zgrzyt bucha i kłótnia.
Z złamaném skrzydłem upadłaś tak nisko
Twéj dawnéj chwale — na urągowisko!

II.

W żywéj pogoni za grą nowych wrażeń
Schodzi dziś twórca z wierzchołków świetlanych,

Miesza się w tłumy istot wyuzdanych
I skrzętnie kreśli bieg ulicznych zdarzeń —

Lub strzęp rozwija chorobliwych marzeń,
W bagnie skarlałéj myśli wykąpanych
I wybujałą wielkością pijanych,
Szczepiąc w pokoleń krew—jady zarażeń.

Poezyo wielka! dziś doznajesz wzgardy,
Bo im nie umié schlebiać twój wzrok hardy,
Bo na Parnasie mieszkasz—nie jak pirat,

Bo się nie stroisz w ladacznicy szaty,
Ani nie głosisz teatralnych tyrad,
Aby zamienić na bzy — laur bogaty.

III.

Milczysz. Tymczasem z lutni Orfeusza
Dźwięk pragnie dobyć kapłanów gromada,
Bo lud chce pieśni, co do głębi wzrusza,
Bo im inaczéj lud wieńca nie nada.

Lecz ze strun świętych uleciała dusza —
Miasto prostoty wkradła się przesada,
Co myśl, uczucie do kłamstwa przymusza —
Zmarniała dawnych pieśniarzy zasada.

Poezyo wielka! ty jesteś pryzmatem,
W którym duch ludzki łamiąc się swobodnie,
Jak promień świetlny w jeziorze bogatem

Roztacza swoich barw żywych pochodnie
I w prozę życia rozrzuca swe czary,
Bo z lśnień się tęczy stopił w promień—szary.

IV.

Milczysz. Dziś jesteś potępiona przeto —
I lud się śmieje z nieudolnéj pieśni,
Jaką zawodzą poeci rówieśni —
I dziś nie jesteś wśród pracy podnietą.

I dzisiaj jesteś, o wszechwładna, nie tą,
W któréj swą rozpacz człowiek zdrowo prześni

I rozbudzony myśli ucieleśni,
Lecz niemoc dzisiaj jest twoją zaletą.

Poezyo wielka! tyś jest drganiem ducha,
Jak blask i światło jest drganiem eteru —
A kto pochwyci rytm twojego steru,

Kto się w ton ruchu twych atomów wsłucha,
Ten pośród ciszy i pośród zachwytu
Łowi szept — w próżnię płynącego bytu.

Tadeusz Konczyński.



Elementarne przejawy życia

w świetle nowszych badań.

Gdy w matematyce spotykamy się ze złożoném zadaniem pod postacią równania o wielu niewiadomych, rozwiązujemy je w znany sposób, a mianowicie sprowadzamy do równania najprostszego o jednéj niewiadoméj. Mając wartość téj ostatniéj, wstawiamy ją następnie do wszystkich coraz mniéj prostych równań, rozwiązujemy je i wreszcie dochodzimy do ostatniego, najbardziéj złożonego. Zstępujemy więc najprzód do najprostszego, i wznosimy się późniéj coraz wyżéj. Otóż wiadomo dobrze, że taka sama metoda znalazła zastosowanie we wszelkich gałęziach wiedzy ludzkiéj. Wiele zagadnień, uważanych dawniéj za niemożliwe do roztrzygnięcia, zrozumiano i objaśniono dokładnie dzięki jedynie podobnemu postępowaniu. Trudne zagadnienia ogólnéj natury chwilowo pozostawiano na uboczu, pozornie przestawano się niemi zajmować i zstępowano do faktów dla nas możliwie najprostszych, stanowiących, jak przypuszczano, ich podstawę. Wykrycie i zrozumienie tych prostych zjawisk często rzucało tak obfite światło na tamte złożone, że stawano w zdumieniu i podziwie, dlaczego one przedtém wydawały się tak trudne do pojęcia, kiedy w istocie tłómaczą się w sposób łatwy i jasny. Często także wykrycie pewnych elementarnych zjawisk pozwoli objaśnić nietylko fakta bezpośrednio z niemi związane, lecz i takie, które napozór w żadnym do nich nie

pozostawały stosunku i nawet były zaliczane do innéj gałęzi nauk. Wiemy wszak jaki olbrzymi wpływ na cały obszar nauk biologicznych, a nawet i innych, wywarło odkrycie komórki organicznéj, jako elementu, z którego są złożone tkanki i narządy ustrojów żyjących. Dlatego też poszukiwania u źródeł, możliwie u początków, stały się nicią przewodnią, ogólną zasadą we wszystkich badaniach naukowych.

Przejrzyjmy kilka chociażby kart w wielkiéj księdze przyrody, które, jak sądzimy, żywo i dobitnie ilustrują to, co wyżéj powiedzieliśmy. Pewne karty przejrzymy pobieżnie, szczegółowiéj zaś zatrzymamy uwagę czytelnika nad jedną z nich, którą uczeni względnie niedawno zaczęli zapisywać, a która pomimo to ciekawie się już zarysowuje i obiecuje dać niejakie wyjaśnienia w najbardziéj zawiłéj kwestyi, mianowicie dotyczącéj zjawisk życia.

Zajrzawszy tedy do fizyki, widzimy, że tutaj olbrzymią ilość najróżnorodniejszych zjawisk sprowadzono do ruchu. Zjawiska fizyczne mogą być podzielone na dwie wielkie grupy. Jedna obejmuje te, podczas których ciało, poruszając się jako całość, nie ulega przytém żadnéj wewnętrznéj zmianie własności; do drugiéj zaś należą zjawiska, gdzie ciało jako całość pozostaje w spoczynku, lecz ulega zmianie własności widocznéj, albo dającéj się dowieść pośrednio. Często dane zjawisko należy jednocześnie do obudwu grup i dlatego cały obszar zjawisk fizycznych sprowadza się do zmiany położenia lub własności, albo téż do obudwu zmian. Najprostsze są zmiany położenia, gdyż tutaj najrozmaitsze ruchy różnią się jedynie pod względem prędkości oraz kierunku i wielkości zmian, jakim ona może podlegać. Natomiast zmiany własności ciał są nieskończenie liczne i niezmiernie trudno było związać je jedną wspólną nicią. Pomimo to zdołano objaśnić je jedynie na podstawie ruchu, albowiem fizyka nowoczesna sprowadza wszelkie zmiany we własnościach ciał do ruchów cząsteczek, z których składa się materya. Mechaniczna np. teorya ciepła opiéra się na ruchu cząsteczkowym; gdy wykryto, że ruch ten stanowi właśnie to, co nazywamy ciepłem, wtedy zrozumiano jasno całą grupę zawiłych i przedtém dokładnie nieobjaśnianych zjawisk cieplnych. Również i światło sprowadzono do nadzwyczaj szybkiego ruchu drgającego cząsteczek świecącego ciała, który to ruch za pośrednictwem drgań eteru odczuwamy, jako wrażenie świetlne. Teorya ta tłómaczy wszystkie skomplikowane fakta w dziedzinie optyki: cała ich różnorodność zależy od różnorodności drgań, uwarunkowanych budową i chemiczną naturą oddzielnych cząsteczek materyi. Podobne dążenia widzimy i w innych działach fizyki, a wszędzie przewodniczy im myśl jedna i ta sama.

Chemia zajmuje się ruchem pewnego specyalnego rodzaju, zależnym od wzajemnego przyciągania, jakie wskutek swych właściwości wywierają na siebie niepodzielne cząstki materyi, czyli atomy. Dzięki tym ruchom tworzą się związki chemiczne, których powstawanie podlega ściśle określonym prawom. Jedno z nich głosi, że stosunek wagowy łączących się ciał jest stały dla każdego oddzielnego związku. Drugie prawo twierdzi, że gdy ciała tworzą ze sobą więcéj niż jeden związek, wtedy waga ich w następnych związkach jest wielokrotną wagi w związku najprostszym. Jakże jasnemi i prostemi wydają się te prawa wobec teoryi, według któréj atomy posiadają wagę niezmienną, połączenia zaś chemiczne powstają wskutek układania się jednych atomów obok drugich. Stałe stosunki wagowe łączących się ciał przedstawiają jedynie niezmienne stosunki wag tych atomów, które układają się obok siebie. Ponieważ atom jest niepodzielny, przeto do związku może przyłączyć się tylko jeden, dwa, trzy, cztery i t. d. atomy i dlatego waga ciała w następnych związkach jest wielokrotną wagi w pierwszym. Oto najprostsze objaśnienie zasadniczych praw chemicznych, którego znaczenie znakomicie potęguje się przez to, że w obręb faktów powyższych wciąga inne, zupełnie różne od nich, lecz niemniéj ważne.

Obok wspomnianych nauk, możemy postawić fizyologię, która również zajmuje się zjawiskami fizycznemi i chemicznemi, lecz o tyle jedynie, o ile są w związku z życiem istot organizowanych. Badając np. tak złożone zjawiska, jakiemi są procesy nerwowe, fizyologia wykryła ogólne prawa, że proces taki nie ujawnia się nigdy przez stan równowagi, lecz przez nagłe, nader szybko następujące po sobie zmiany w stanie nerwu. Taki proces nerwowy, jak tężec *(tetanus)*, który napozór jest ciągły, w istocie polega na szeregu oddzielnych i bardzo szybkich zmian kolejnych w równowadze. Oddzielnym pulsacyom nerwowym, czyli wyładowaniom energii odpowiadają elementarne czucia, które mogą kombinować się pomiędzy sobą w najrozmaitszy sposób. Otóż właśnie te rozmaite kombinacye elementarnych czuć tłómaczą jakościowe różnice, istniejące pomiędzy wrażeniami zmysłowemi. Podobnie jak w zakresie jednego np. zmysłu wzroku, różne rodzaje barwnych czuć dają się fizyologicznie objaśnić przez różnice w rodzajach ruchu jednych i tych samych cząsteczek mózgowych [1]), tak też można sobie przedstawić, że różnice pomiędzy wrażeniami wzrokowemi, słuchowemi, dotykowemi i t. d., zależą jedynie od jeszcze głębszych różnic pod względem postaci i kierunku ruchów, zacho-

---

1) Höffding, Psychologie.

dzących w ośrodkowych i obwodowych narządach. To jedynie zdoła objaśnić, w jaki sposób wytworzyły się różne zmysły w biegu rozwoju istot organizowanych. Punktem wyjścia był zapewne zmysł dotyku, z którego następnie przez różnicowanie się owych kombinacyi powstały inne zmysły. Widzimy tedy, jakie szerokie widnokręgi otwiéra hypoteza, po raz pierwszy wygłoszona przez Spencera, o powstawaniu naszych oddzielnych wrażeń wskutek kombinowania się prostych uczuć elementarnych.

Wspomnieliśmy wyżéj, że odkrycie komórki, jako elementu ustrojów roślinnych i zwierzęcych wywarło ogromny wpływ na nauki biologiczne. Dalsze jednak badania kazały wnosić, że ona nie stanowi jeszcze ostatniego elementu materyi organizowanéj, czyli protoplazmy; dlatego rozpoczęto poszukiwania w celu wykrycia elementarnych składników téj ostatniéj, to jest tych najmniejszych jéj cząstek, które stanowią żyjącą substancyę. Fizyczne własności protoplazmy zależą od jéj układu molekularnego, chemiczne od natury i układu atomów w molekułach, własności zaś jéj, jako żywéj materyi, zależą prawdopodobnie od jakichś jednostek bardziéj złożonych, wyższych od molekuł. Poznanie ich rzuciłoby zapewne wiele światła na mechanizm życia wogóle, nie dziw tedy, że cel ten tak silnie zajmuje umysły uczonych.

Słynny botanik Naegeli, wygłosił w tym względzie tak zwaną micellarną teoryę, według któréj protoplazma składa się z micelli niedostrzegalnych za pomocą dotychczasowych naszych środków pomocniczych. Micella jest sumą wielkiéj ilości molekuł, to jest cząsteczek fizycznych; natura i układ oddzielnych micelli warunkuje biologiczne własności protoplazmy, układ zaś ten, o którym Naegeli w dziele swém obszernie mówi, może być nieskończenie rozmaity. Na podstawie pewnych zjawisk polaryzacyi światła uczony ten wnioskował nawet o postaci micelli. Hypoteza Naegeli'ego, która w istocie dobrze objaśnia wiele zjawisk biologicznych, znalazła w zasadzie powszechne prawie uznanie, jako streszczająca w sobie myśl o istnieniu ostatecznych, najmniejszych cząstek materyi żyjącéj, analogicznych do molekuł martwéj. Myśl ta, była następnie w różny sposób modyfikowaną. Hertwig, mówiąc w jednéj z dawniejszych prac o tém, że wszystkie liczne właściwości rozwiniętego ustroju, są zawarte jako zawiązki w jego produktach rozrodczych, nadaje tym zawiązkom miano „masy dziedzicznéj", czyli wraz z Naegelim miano idyoplazmy. Idyoplazma jest to więc podścielisko wszystkich cech dziedzicznych. Podobnie jednak, jak rośliny i zwierzęta składają się z milionów komórek, tak znów idyoplazma jest złożoną z nader licznych hypotetycznych czą-

stek, które Hertwig nazywa idyoblastami. Odpowiadają one niejako micellom Naegeli'ego. Zależnie od swéj natury są podkładem różnych właściwości przyszłego ustroju, a przez rozmaite działania i współdziałania wywołują całą różnorodność form i czynności, jaką spostrzegamy.

Takie są niektóre wyniki teoretycznych rozważań. Inni znów badacze próbowali za pomocą doświadczenia znaléźć owe najmniejsze składowe części materyi żyjącéj, jak np. Altmann, który wygłosił swą dość słynną teoryę granularną [1]). Działając na świeże tkanki zwierzęce pewnemi odczynnikami, otrzymał on w protoplazmie i jądrze komórki ziarenka (*granula*) rozmaicie ułożone, które uważa właśnie za owe tak poszukiwane elementy żyjącéj protoplazmy. Ponieważ czynności tych ziarenek mają jakoby warunkować życie komórek, podobnie jak te warunkują życie całego ustroju, przeto otrzymały nazwę bioblastów. Według Altmanna zatém, protoplazma jest kolonią bioblastów rozmaicie ugrupowanych i połączonych przez substancyę obojętną. Jak komórka ustroju wielokomórkowego nie może żyć samodzielnie po za jego obrębem, tak i bioblasty nie mogą żyć po uwolnieniu z komórki, w niéj zaś są obdarzone życiem czynném (*aktives Leben*). Teorya ta, oparta częściowo na faktach rzeczywistych, zwróciła na siebie wielką uwagę, lecz spotkała się z poważną i ostrą krytyką. Jeden z uczonych słusznie twierdzi, że ziarenka owe nie są jedyną stałą zawartością plazmy; znajdujemy w niéj także ziarenka barwnikowe, kropelki tłuszczowe, kryształki i t. p. ciała, będące produktem wydzielenia, albo pokarmem nieprzyswojonym. Czy więc, ziarenka Altmanna, którym on przypisuje czynne życie, podobnie jak komórce, nie należą czasem do téj saméj grupy utworów? Być także może, że są jedynie sztucznemi tworami, powstałemi wskutek działania odczynników chemicznych. Zasługą Altmanna jest, że odkrył metodę uwidoczniania owych ziarenek, przez co uczynił je dostępnemi dla badań, lecz pogląd jego, że te właśnie ziarenka są najmniejszemi elementami materyi organizowanéj, istnienie których zostało przyjęte w zasadzie, znalazł niewielu zwolenników.

Z innych prób doświadczalnych wspomnimy jeszcze o teoryi Bütschli'ego. Badając żyjącą plazmę w komórkach roślinnych i zwierzęcych, uczony ten doszedł do wniosku, że posiada ona budowę pienistą i składa się z dwóch płynnych substancyi. Jedna z nich tworzy układ delikatnych ścianek, ograniczających przestrzenie, które wypełnia substancya druga, płynniejsza. Na udowodnienie tego poglądu

---

1) Die Elementarorganismen und ihre Beziehungen zu den Zellen. 1890.

Bütschli przytacza cały szereg doświadczeń i w istocie obrazy sztucznie przez niego wytworzonéj piany, otrzymane pod mikroskopem, najzupełniéj przypominają obrazy, jakie przedstawia żyjąca protoplazma. U bardzo wielu pierwotniaków i innych zwierząt widać w plazmie komórkowéj dwie substancye: jedna tworzy przegrody, druga wypełnia ograniczone przez nie przestrzenie. Teorya ta, która w saméj rzeczy objaśnia pewne zjawiska, znalazła kilku zagorzałych zwolenników, większość jednak uczonych nie przyjmuje jéj, trudno bowiem przypuścić, ażeby właściwa plazma, w któréj odbywa się tyle złożonych czynności, nie zawierała stałych części. Uczeni ci są raczéj zdania, że teorya Bütschli'ego o tyle tylko może być prawdziwą, że budowę pienistą posiada ta płynna część plazmy, która wypełnia przestrzenie pomiędzy jéj stałemi, organizowanemi częściami. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że właściwém podścieliskiem życiowych czynności protoplazmy, głównemi jéj składnikami są te stałe części [1]).

Poznaliśmy tedy kilka przykładów istniejących w nauce dążeń do objaśnienia elementarnéj budowy komórki. Innych podobnych prób nie przytaczamy dlatego, że celem naszym nie jest skreślenie wyczerpującego obrazu tych dążeń; chcemy jedynie dać pojęcie o kierunku odnośnych poszukiwań w morfologii komórkowéj, który w ostatnich czasach wybitnie się ujawnił. Rezultaty osiągnięte w téj dziedzinie nie są jeszcze zadawalniające, początek jednak zrobiony, postępy zaś w technice badań mikroskopowych słusznie spodziewać się każą, że dalsze kroki na owéj drodze bardziéj zbliżą uczonych do upragnionego celu, to jest do objaśnienia mechanizmu budowy komórki.

Równolegle z tém widzimy usiłowania w celu wykrycia jéj czynności życiowych. Fizyologowie zrozumieli obecnie, że chcąc pojąć zawiłe i liczne objawy życia ustroju wyższego, należy przedewszystkiém badać to życie w jego siedlisku, czyli w komórce, gdzie istnieją już wszystkie jego przejawy, lecz w postaci najprostszéj. Powstała tedy fizyologia komórkowa, do któréj daje się sprowadzić cała ogólna fizyologia, zajmująca się wykryciem mechanizmu zjawisk, wspólnych wszystkim organizmom. W nowéj téj dziedzinie postawiono dopiéro pierwsze kroki. Pomimo to, daje się już naszkicować pewien obraz mechanizmu życia w komórce, oczywiście w zarysach bardzo ogólnych [2]).

Charakterystyką żyjących ustrojów, w przeciwstawieniu do martwych, lub pogrążonych w letargu, jest przemiana materyi w najogól-

---

1) Patrz miesięcznik „Muzeum." Zeszyt 11. Lwów, 1894.

2) Verworn, Allgemeine Physiologie. 1895, str. 464—476.

niejszém znaczeniu, jéj zaś przejawem są czynności życiowe. Z konieczności nasuwa się pytanie, czy oprócz związków wspólnych komórce martwéj i żyjącéj, nie ma w téj ostatniéj jeszcze innych, nierozerwalnie z życiem jéj połączonych, których brakuje martwéj? Otóż chemia fizyologiczna wykryła, że pomiędzy żyjącą a martwą materyą istnieją nader ważne różnice chemiczne, które dowodzą, że żyjąca, umierając, ulega głębokim zmianom chemicznym. Żyjąca np. oddziaływa prawie bez wyjątku alkalicznie, lub obojętnie; po śmierci reakcya jéj w ogóle przechodzi w kwaśną. Pewne ciała białkowate, które w żyjącéj substancyi komórkowéj są rozpuszczone, jak np. myozyna mięśni, krzepną po śmierci i przechodzą w stan stały, czyniący je bardzo niedostępnemi dla dalszych zmian chemicznych. Wiele podobnych faktów dowodzi, że w żyjącéj materyi komórkowéj istnieją pewne ciała, których martwa nie zawiera, są więc właściwe jedynie życiu. Oddziaływanie żyjącéj substancyi na wszystkie prawie związki chemiczne rozpuszczalne w wodzie, w przeciwieństwie do martwéj, zachowującéj się wobec większości ich obojętnie, daléj nieznaczność przyczyn, mogących spowodować śmierć żyjącéj materyi, wskazują, że owe wyróżniające ją związki muszą miéć nader luźną, niestałą budowę. Przemiana materyi jeszcze silniéj zdaje się tego dowodzić. Żyjąca materya komórkowa ustawicznie wydziela i przyjmuje różne substancye, a więc ciągle rozpada się i tworzy na nowo, gdy przeciwnie martwa, trzymana w odpowiednich warunkach, nie okazuje w ciągu bardzo długiego czasu nawet śladu podobnéj czynności. Żyjąca musi się zatém wyróżniać jakiemiś grupami atomowemi, które są bardzo skłonne do przemian chemicznych, wielka zaś ich niestałość wynika jeszcze i z tego, że nieznaczne nawet bodźce zewnętrzne silnie potęgują te przemiany. Wiadomo wszak, jak pobudzająco na przemianę materyi działają pewne podrażnienia. Ponieważ zaś właściwy proces życiowy polega na przemianie materyi, wynika z tego, że i samo życie oparte jest na istnieniu tych niestałych grup atomowych.

Chcąc wiedziéć do jakiego rodzaju związków one najprawdopodobniéj należą, trzeba rozejrzéć się w produktach rozkładu materyi. Pomiędzy niemi znajdują się związki bezazotowe i azotowe, te zaś ostatnie mogą pochodzić tylko z rozkładu ciał białkowatych, lub ich pochodnych, albowiem te jedynie ciała znajdują się w każdéj żyjącéj substancyi. Wogóle wiele faktów dowodzi niewątpliwie, że ciała białkowate stanowią środkowy punkt całego życia organicznego. Ze wszystkich ważniejszych składników komórki, ciała te posiadają najbardziéj skomplikowaną budowę chemiczną, cząsteczki zaś ich zawierają największą ilość różnorodnych atomów. Górującemu znaczeniu ciał

białkowatych w żyjącéj materyi odpowiada także stosunek ich do związków bezazotowych, przedewszystkiém węglowodanów i tłuszczów, o ile bowiem wogóle los ich jest znany, służą one albo do budowy ciał białkowatych, albo téż same od nich pochodzą. Dowodzą tego z jednéj strony dobrze znane syntezy, odbywające się w roślinach, z drugiéj zaś doświadczenia ze zwierzętami, które wykazały, że najważniejsze bezazotowe związki w żyjącéj materyi, węglowodany i tłuszcze mogą także pochodzić z rozkładu ciał białkowatych. Daléj fizyologia wykryła, że zwierzęta mięsożerne karmione wyłącznie pokarmem białkowym, nie tylko stale utrzymują się przy życiu, lecz nawet jak niedawno dowiódł Pflüger, objawiają wielką energię życiową. Fakt ten wymownie dowodzi, że w ogóle związki, zarówno azotowe, jak i bezazotowe, niezbędne do życia komórki, mogą pochodzić z przemiany ciał białkowatych. Z wielkiém tedy prawdopodobieństwém można przyjąć, że owe niestałe związki chemiczne, z których istnieniem tak ściśle złączoną jest przemiana materyi, a więc i życie komórki, należą do grupy białkowatych.

Muszą to jednak być białka, albo ich połączenia odmienne od tych, jakie znajdują się także w martwéj komórce. Takie np. białko, jakie znajduje się w martwém jaju kurzém, lub jako materyał odżywczy w żyjących komórkach jajowych, może być trzymane przez czas bardzo długi bez najmniejszych śladów rozkładu, jeżeli tylko jest strzeżone od wpływu bakteryi. Przeciwnie, pewne ciała białkowate, lub ich połączenia w żyjącéj materyi ustawicznie rozkładają się same przez się nawet w normalnych warunkach, najlżejsze zaś podrażnienie potęguje ten rozkład. Pflüger dawno już zwrócił uwagę na tę nadzwyczaj ważną różnicę pomiędzy białkiem w żyjącéj i martwéj materyi komórkowéj i wprowadził do nauki termin „żyjące białko.” Zasadnicza różnica polega na tém, że w cząsteczce martwego białka atomy znajdują się w stanie równowagi stałéj, kiedy w cząsteczce żyjącego układ ich jest nadzwyczaj niestały. Dla tego chcąc je niejako oddzielić od pozostałych ciał białkowatych i jednocześnie uwydatnić wielkie jego znaczenie w powstawaniu zjawisk życiowych, nadano żyjącemu białku stosowniejszą nazwę b i o g e n u (życiorodny).

Ta dziedzina fizyologii komórkowéj jest jeszcze bardzo ciemna i dziwić się temu nie można, skoro bowiem uczeni nie znają jeszcze dokładnie budowy samych ciał białkowatych, które mogą w każdéj chwili badać chemicznie, to cóż dopiéro mówić o biogenach, których skład jest znany jedynie z ich produktów rozkładu. Z pewnością wiadomo o nich jedynie, że są ogromnie niestałe i przez to podobne do ciał wybuchowych. Pomimo to Pflüger w znakomitéj swéj pracy o fizyolo-

gicznėm spalaniu w żyjących ustrojach stara się, na podstawie pewnych faktów, dać niejakie pojęcie o własnościach tych ciał. Porównał on produkty rozkładu powstałe z normalnego utlenienia się żyjącego białka, jak to ma miejsce przy oddychaniu, z produktami sztucznego utlenienia białka martwego. Bezazotowe produkty rozkładu są w obu wypadkach jednakowe w zasadzie, azotowe zaś tutaj i tam wcale nie są do siebie podobne. A więc pod względem rodników węglowodorowych żyjące białko nie różni się istotnie od martwego, różnica głównie polega na układzie grup azotowych. Badanie azotowych produktów rozkładu żyjącego białka wykazało, że one zawierają rodnik cyan, złożony z węgla i azotu (CN). Zdaje się nie ulegać prawie żadnéj wątpliwości, że w cząsteczce biogenu węgiel i azot tworzą cyan-rodnik, którego brak martwym ciałom białkowatym. Zasadnicza ta różnica w budowie biogenu i martwych białek objaśnia także wielka niestałość jego cząsteczki, albowiem cyan posiada znaczną ilość wewnętrznéj energii a połączenia cyanowe odznaczają się silną dążnością do rozkładu. Wobec tego np. proces oddychania należy pojmować w następujący sposób. Gdy w cząsteczce biogenu dwa atomy tlenu znajdą się w obrębie nader niestałego cyanu, wtedy dzięki żywym drganiom, wykonywanym przez atomy węgla i azotu w tym rodniku, węgiel łączy się z owemi dwoma atomami tlenu i tworzy bardzo stałą cząsteczkę kwasu węglowego. W istocie cyan jest nader łatwo palny i przy spaleniu daje kwas węglowy. Pobieranie tedy tlenu i wydzielanie kwasu węglowego przez żyjącą materyę zależy, jak sądzi Pflüger, od obecności rodnika cyanowego. Tlen, wprowadzony do ustroju przez wdychanie dostaje się między cząsteczki materyi i warunkuje rozkład jéj.

Snując daléj wątek podobnych rozważań, można nawet objaśnić, w jaki sposób w komórce zwierzęcéj powstaje z pokarmu biogen. Pod wpływem istniejącego już w komórce żyjącego białka, martwe ulega takiéj zmianie układu atomowego, że węgiel z azotem łączą się i tworzą cyan, przyczém wydziela się woda. Dzięki międzycząsteczkowemu tlenowi, biogen osiąga najwyższy stopień rozkładalności i najlżejszy bodziec wywołuje połączenie się węgla cyanu z tlenem. Materyał bezazotowych grup, oderwanych podczas tego rozkładu od reszty cząsteczki biogenicznéj, może łatwo odnowić się kosztem węglowodanów i tłuszczów, znajdujących się w żyjącéj substancyi. Gdy wreszcie następuje śmierć téj ostatniéj, wtedy niestałe połączenie cyanowe przechodzi w stalszy związek amoniakalny, azot łączy się z wodorem pochłoniętéj wody i znów otrzymuje się stałe związki martwego białka, jakiém ono jest w pokarmach. Taką jest w skróceniu przypuszczalna droga, na któréj cząsteczka pokarmu białkowego zamienia się w ko-

mórce zwierzęcéj na cząsteczkę biogeniczną. O wiele mniéj jasną jest droga prowadząca od najprostszych związków nieorganicznych, przez syntezę węglowodanów do powstania biogenów w komórce roślinnéj.

Należy zauważyć, że poglądy te w znacznéj części oczekują dopiéro potwierdzenia na drodze doświadczalnéj. Jest w nich jeszcze wiele punktów niejasnych, zagadkowych, które nauka z wielką zapewne trudnością rozwiązać może kiedyś zdoła. Lecz hipoteza o biogenach stanowi pierwszy wytyczny punkt, jakby drogowskaz na drodze do zrozumienia zasadniczych procesów w materyi żyjącéj. Podobnie, mówi, jak inne ciała organiczne, związki te ciągle rozkładają się same przez się i to wywołuje przemianę; bodźce zaś zewnętrzne działają w tym kierunku silnie pobudzająco. W cząsteczce biogenu odbywa się żywy ruch drgający, który powoduje niestałość położenia; pewne atomy dostają się w sferę działania innych, do których mają większe powinowactwo, aniżeli do swych poprzednich sąsiadów i tworzą z niemi bardziéj stałe związki. Jednćm słowem biogeny są podobne do martwych ciał wybuchowych o nader niestałym układzie atomowym, które za lada wstrząśnieniem wybuchają, przyczém atomy ich układają się w trwalsze związki, jak np. w nitroglicerynie, używanéj do dynamitu. W przeciwieństwie jednak do innych ciał wybuchowych, nie cała cząsteczka biogenu ulega zniszczeniu przy rozkładzie; pewne tylko grupy atomowe odrywają się, pozostała zaś reszta znów się odnawia kosztem otoczenia. Ten proces rozkładu i nowotworzenia biogenu w żyjącéj materyi odbywa się podobnie, jak w świecie nieorganicznym. Przy fabrykacyi t. zw. angielskiego kwasu siarczanego, kwas azotny styka się z bezwodnikiem siarkowym, oddaje mu swój tlen i sam przechodzi w kwas azotawy, lecz następnie dzięki dopływowi powietrza znów się utlenia i odnawia na kwas azotny. Cząsteczka jego tak samo ustawicznie i kolejno rozpada się i tworzy na nowo kosztem otoczenia. W żyjącéj komórce proces odbywa się zupełnie analogicznie, tylko w sposób daleko bardziéj zawiły. Wszelkie substancye znajdujące się w niéj obok biogenów, są jedynie ich satelitami i służą albo do ich odnowienia, albo od nich pochodzą.

Biologia ma tedy przed sobą uproszczone zadanie: wykryć dokładnie naturę i własności owych związków, będących właściwém podścieliskiem życia, polegającego na ich ciągłym rozkładzie i nowotworzeniu. Różnorodne i liczne zjawiska biologiczne są jedynie przejawem tak pojętego procesu życiowego. Cała nauka o przemianie materyi, o dwóch jéj różnych fazach, asymilacyi i dezasymilacyi oraz związanych z niemi wzroście i utracie, nabiéra w świetle téj hipotezy ściśléj określoną formę.

Asymilacyę określa się jako własność ciągłego odnawiania się żyjącéj materyi kosztem pochłoniętego pokarmu; dezasymilacya oznacza własność ustawicznego rozkładania się na produkty wydzielnicze. Na podstawie hipotezy o biogenach, asymilacya obejmuje wszystkie procesy, które prowadzą do budowy tych związków, dezasymilacya—ogół zmian od początku rozkładu do ostatecznego utworzenia produktów wydzielniczych. Ta ścisłość określenia jest tutaj konieczna, albowiem wyrazy asymilacya i dezasymilacya były już kilkakrotnie pojmowane w nader rozmaity sposób. Pierwotnie asymilacyę ogólnie pojmowano, jako powstawanie w ustroju żyjącéj substancyi z martwego pokarmu, wkrótce jednak botanicy poczęli wyrazu tego używać w pewném specyalném znaczeniu. Obecnie jeszcze fizyologia roślin często określa ją wyłącznie jako syntezę krochmalu z wody i kwasu węglowego w ciałkach chlorofilowych komórek roślinnych. Stopniowo jednak rozszerzono to zbyt ciasne pojęcie o asymilacyi i podciągnięto pod nie nietylko syntezę tego prostego związku organicznego, lecz także o wiele więcéj złożonych połączeń materyi żyjącéj, przedewszystkiém ciał białkowatych. Następnie Hering znów zacieśnił pojęcie asymilacyi, ściśle odróżniając ją od wzrostu, według niego bowiem pierwsza jest chemiczną, a więc jakościową zmianą istniejących już cząstek i uzupełnieniem ich budowy, wzrost natomiast jest tylko ilościowém ich rozmnażaniem się. W analogiczny sposób odróżnia on dezasymilacyę od zaniku. Dezasymilacya jest to również jakościowa zmiana istniejących cząstek, połączona z oderwaniem się od nich pewnych substancyi, zanik zaś jest tylko ilościowém zmniejszeniem się liczby cząstek. Takie jednak odróżnianie nie wytrzymuje krytyki. Żyjąca materya powstaje jedynie przy współudziale istniejącéj już żyjącéj materyi; pod tym tylko warunkiem tworzy się nowa jéj ilość. Stosuje się to nawet do komórki roślinnéj, w któréj żyjąca substancya tworzy się na wielką skalę z materyi nieorganicznych. Z tego musimy wywnioskować, że podczas wzrostu sama cząsteczka biogenu pochłania z pokarmu elementarne substancye, potrzebne do wytworzenia żyjącéj materyi i wiąże je chemicznie, a więc cząsteczka ta zmienia się wtedy jakościowo. Podobnie i zanik należy pojmować tylko jako rozkład chemiczny, tojest jako jakościową zmianę żyjących cząsteczek. Wprawdzie należy koniecznie odróżniać z jednéj strony częściowe ich odnawianie się od zupełnego tworzenia się na nowo, z drugiéj zaś odrywanie się od nich oddzielnych grup atomowych od zupełnego rozkładu, ale w każdym wypadku są to zmiany chemiczne. Hatschek w swéj pracy o asymilacyi również upatruje we wzroście proces chemiczny, który w zasadzie nie różni się od regeneracyi, czyli odradza-

nia. Sądzi on, że pojedyncza cząsteczka żyjącego białka ustawicznie pochłania w czasie wzrostu elementarne substancye z pokarmu i zamienia się na cząsteczkę polimeryczną, która w danéj chwili rozpada się na pojedyncze cząsteczki; te wiążąc się z kolei z odpowiedniemi atomami i grupami atomowemi, tworzą znów cząsteczkę polimeryczną i t. d. Wobec tego powyższe uogólnienie pojęć o asymilacyi i dezasymilacyi, obejmujące powstawanie nowych i zanik starych cząsteczek, zdaje się być zupełnie uzasadnionêm.

Co do stosunku asymilacyi i dezasymilacyi w żyjącéj substancyi, to Hering sądzi, że dwa te procesy odbywają się jednocześnie we wszystkich najmniejszych jéj cząstkach. I pod tym także względem Hatschek jest innego zdania i zwraca uwagę na trudność zrozumienia, w jaki sposób cząsteczka białka może jednocześnie pobierać i wydalać węgiel. Biorąc pod uwagę jedną tylko cząsteczkę, trudno zaiste uprzytomnić sobie ten proces, albowiem odrywanie się od niéj danych grup atomowych i ich regeneracya wyłączają się w czasie i dokładnie mówiąc, mogą następować, jakkolwiek momentalnie, lecz tylko jedna po drugiéj. Rzecz jednak inna, gdy wyobrazimy sobie jaką większą masę żyjącéj substancyi. W niéj asymilacya i dezasymilacya mogą doskonale odbywać się jednocześnie, tylko że w téj saméj chwili jedne cząsteczki się rozkładają, drugie zaś odtwarzają. Liczebny stosunek asymilacyi (A) do dezasymilacyi (D) w większéj takiéj masie, zawartéj np. w komórce, jest nader zmienny i waha się w szerokich granicach. Stosunek ten w jednostce czasu daje się przedstawić jako ułamek $\frac{A}{D}$. Można go dla krótkości nazwać *biotonus* (napięcie życiowe), nazwa ta bowiem dobrze określa jego zasadniczą rolę w objawach życiowych. Wahania w wartości jego powodują wszelkie zmiany w objawach życiowych każdego ustroju. Lecz stosunek $\frac{A}{D}$ przedstawia życiowe napięcie w formie bardzo ogólnéj. Rzecz oczywista, że asymilacya i dezasymilacya są to zjawiska bardzo skomplikowane, na które składa się wiele oddzielnych, wzajemnie ze sobą powiązanych procesów. Dla tego bardziéj szczegółową formułę napięcia życiowego należy przedstawić pod postacią stosunku $\frac{a + a_1 + a_2 + a_3 + \ldots\ldots}{d + d_1 + d_2 + d_3 + \ldots\ldots}$, gdzie wyrazy $a, a_1, a_2, a_3 \ldots\ldots$ i $d, d_1, d_2, d_3 \ldots\ldots$ wyobrażają częściowe procesy, których rezultatem jest z jednéj strony odtworzenie cząsteczki biogenu, z drugiéj zaś powstanie oddzielnych produktów rozkładu.

Gdy suma wszystkich wyrazów licznika (A) jest równa sumie wyrazów mianownika (D), to jest gdy asymilacya i dezasymilacya

w jednostce czasu są równe, wówczas sosunek $\frac{A}{D} = 1$. Stan taki oznacza równowagę w przemianie materyi, kiedy w jednostce czasu wydziela się tyle substancyi, ile jéj było pochłoniętéj. Jeżeli pojedyncze wyrazy szeregu A wzrastają w tym samym wzajemnym stosunku, w szeregu zaś D pozostają bez zmiany lub maleją, wtedy stosunek $\frac{A}{D} > 1$; taki stan oznacza wzrost, gdy powstaje więcéj żyjącéj substancyi, niż się rozkłada. Przeciwnie gdy wyrazy szeregu D wzrastają proporcyonalnie do siebie, w szeregu zaś A pozostają niezmienne lub maleją, wówczas napięcie życiowe $\frac{A}{D} < 1$. To oznacza stan zaniku, czyli atrofii, który w końcu pociąga za sobą śmierć.

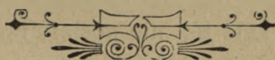
Niekoniecznie jednak wszystkie wyrazy jednego lub drugiego szeregu muszą zmieniać się jednocześnie i wzajemnie proporcyonalnie; mogą one także rosnąć lub maléć niezależnie jedne od drugich. W danym np. ustroju może istniéć równowaga azotowa bez równowagi węglowéj i w takich warunkach nagromadzają się w nim materye zapasowe, które on następnie zużywa. Na zmienności oddzielnych wyrazów obu szeregów polegają również wszelkie objawy podczas rozwoju organizmu. W innych znów wypadkach oba szeregi są w taki sposób zależne od siebie, że każda zmiana w jednym, pociąga za sobą analogiczną zmianę w drugim. W stanie np. równowagi azotowéj powiększeniu lub zmniejszeniu się licznika w stosunku $\frac{A}{D}$ towarzyszy odpowiednie powiększenie lub zmniejszenie się mianownika; wzrost asymilacyi pociąga za sobą wzmożenie dezasymilacyi, lecz współczynnik przemiany materyi $\frac{A}{D}$ jest zawsze $= 1$, pomimo bezwzględnéj zmiany jego czynników. Taki stosunek w pewnych oznaczonych granicach, widzimy w zachowaniu się ustroju względem wprowadzonego doń azotu. Począwszy od pewnéj określonéj ilości białka, która według Voit'a, wynosi dla pracującego mężczyzny około 118 gr., panuje w ustroju stała równowaga azotowa, innemi słowy, im więcéj azotu w białku dostaje się do organizmu, tém więcéj wydziela się go w moczu, a więc dezasymilacya białka rośnie tak samo, jak jego asymilacya.

Asymilacya zatém i dezasymilacya, wzrost i utrata, cała jedném słowem przemiana materyi, charakteryzująca życie, jest objawem działania sił chemicznych. Nie ma specyalnéj siły życiowéj, podobnie jak nie ma specyalnego pierwiastku, właściwego jedynie życiu, albowiem wszystkie pierwiastki chemiczne, z których złożony jest organizm,

znajdujemy także w świecie nieorganicznym. Różnica polega tylko na ich układzie i rodzaju połączenia. W żyjącéj substancyi znajdujemy ciała białkowate, węglowodany i tłuszcze, których nigdy nie napotykamy w świecie nieorganicznym. Najważniejszym zaś jest fakt, że ciała białkowate istnieją we wszystkich bez wyjątku ustrojach; nadzwyczaj złożona cząsteczka takiego ciała stanowi o ich cechach, odróżniających je od tworów świata nieorganicznego.

Na podstawie poglądów Pflügera można nawet wytworzyć sobie pewne przybliżone pojęcie o powstaniu żyjącéj materyi na ziemi. Początki jéj pojawienia sięgają czasu, gdy planeta nasza znajdowała się w stanie rozpalonym; istniejące wówczas cyanowe połączenia stanowiły główny do tego materyał. Połączenia te, obdarzone silną dążnością do rozkładu, wespół z innemi najrozmaitszemi związkami węgla, które również zawdzięczały swe powstanie wysokiéj ówczesnéj temperaturze, musiały wzajemnie działać na siebie chemicznie. Gdy następnie na powierzchni ziemi pojawiła się woda, związki te połączyły się z nią chemicznie, jakotéż z rozpuszczonemi w niéj solami i gazami i powstały żyjące białka, ciała nadzwyczaj niestałe, skłonne do polimeryzacyi i stanowiące główne składniki żyjącéj materyi. Ta pierwotna żyjąca substancya była zapewne bardzo prosta, bez śladu zróżnicowania. Oczywiście, że nie miała ona jeszcze wtedy morfologicznego charakteru komórki, ale przedstawiała grupy cząsteczek białka, odpowiadające niejako micellom Naegeli'ego. Następnie mogła ona była uledz dalszym modyfikacyom. Z chwilą pojawienia się żyjącéj materyi, rozpoczyna się jéj historya rozwoju, od tych najpierwotniejszych zaczątków do najwyższych, najbardziéj skomplikowanych ustrojów — historya, któréj podstawy naukowe zostały stworzone przez Lamarka i Darwina i którą następcy ich, jak Haeckel, Weissmann i wiele innych znakomitych umysłów rozwinęło i uzupełniło do obecnych szerokich granic.

R. Nusbaumowa.



Od Unny po Adryatyk.

(Dokończenie).

IV.

Roczytanie się w poważnych dziełach o Bośni i Hercegowinie traktujących, obznajmienie się ze źródłami odnoszącemi się do obudwu krajów, poddało mi myśl dołączenia do opisu wycieczki kilku wiadomości o tych niezmiernie ciekawych a tak mało znanych u nas stronach. Przedewszystkiém nie od rzeczy będzie dowiedzieć się nieco o powstaniu nazwisk Bośni i Hercegowiny.

Słowo Bosnia albo Bosna, składa się z źródłosłowu *Bos* i końcówki *na*, oznaczającéj rodzaj żeński; Bosna jest więc przymiotnikiem rzeczownikowo użytym. Ponieważ atoli słowo *bos* nie posiada w języku słowiańskim znaczenia, któreby się do wyjaśnienia nazwy użyć dało, więc trzeba go szukać gdzieindziéj. Długi i niezbyt zajmujący łańcuch rozumowań, doprowadza nas do wniosku, że musi to być pierwiastek północno-albański, znaczący naczynie do soli, albo kotlinę solną, wogóle miejsce, gdzie przez parowanie wody sól się osadza. Ponieważ zaś dzisiejsza Bośnia jest krajem w sól bogatym, kiedy Hercegowina i Dalmacya wcale jéj nie posiadają, tak, że sól była przyczyną ustawicznych wojen i napaści, przeto można chociaż z niejakiém zastrzeżeniem przyjąć, że Bosna oznacza po prostu: k r a j s o l i.

Co do etymologii nazwy Hercegowina, to historya poucza, że kraj ten został tak nazwany od Stjepana Vukčića, który w 1448 r. tytuł „hercoga" przyjął.

Z ust ludu można usłyszéć inny wykład etymologii: „Zaledwie Bośnia i Hercegowina zostały przez Turków zdobyte, kiedy żołnierze poczęli zaraz prosić o urlopy; pragnęli dostać się do swych domów, aby zmienić klimat, ponieważ nie mogli przywyknąć do panujących upałów. Wielu z nich, którzy długie lata ojczyzny swéj nie widzieli, otrzymało pozwolenie powrotu. Skoro który z nich do domu swego przyszedł, zaczęli przyjaciele i znajomi zaraz go wypytywać, jak to wygląda w tym kraju giaurów i co to za ludzie są ci giaurowie. Opowiadali oni różne rzeczy, a o Hercegowinie dodawali jeszcze, jakby się między sobą zmówili, że: „*Para jok, herseng czok*", co znaczy: „Pieniędzy tam wprawdzie nie ma, ale za to kamieni bez liku." Doszło to do uszu sułtana w Stambule, zebrał więc swych wszystkich muszirów, valich i wezyrów na poradę, jakie nazwisko dać na złość giaurom krajowi, który go tyle żołnierzy kosztował. Wtedy powstał jakiś stary pasza, który był w Hercegowinie i oświadczył, że według niego możnaby ziemię od wielu kamieni na wzór żołnierzy „*herseng*" nazwać. Sułtan i cały dywan przyklasnęli temu wnioskowi, wskutek czego nazwano kraj „Hersengovina", z czego późniéj powstała dzisiejsza Hercegowina."

Przyroda obudwu krajów istotnie bardzo wiele osobliwych cech posiada i na bliższą uwagę zasługuje. Pozwolę sobie przytoczyć kilka wysoce charakterystycznych przykładów.

Opiszmy naprzód szczegółowiéj tak zwane Popovoplje (Popovopole). Jest to kotlina w południowo-wschodniéj Hercegowinie położona, która mimo swych bagien i peryodycznych zalewów, za najzdrowszą część całego kraju uchodzi, gdyż posiada niemal nadmorski klimat: pyszną, łagodną zimę i umiarkowane, dzięki orzeźwiającym prądom morskim ciepło w lecie. Obok tego jest Popovopole bardzo urodzajne; winnice, oliwki, jabłka, śliwki, figi, czereśnie i t. d., rosną i wydają owoce tak samo, jak nad brzegiem morza; tytoń i różne rodzaje zboża udają się téż doskonale.

Kotlina posiada kształt zgiętego ramienia. Z obu boków obejmują ją wysokie, strome, nagie skały Krasu; jest to najuboższa w lasy część Hercegowiny. U stóp nagich skał rozciąga się przeszło 20 wsi o pięciu tysiącach dusz, z ładnemi domami i osobnym w każdéj prawie kościołem.

Polje posiada 30 klm. długości i $^1/_2$—3 klm. szerokości. Cała ta powierzchnia jest zazwyczaj od jesieni do końca wiosny zalana i wygląda wtedy jak jezioro; głębokość wody wynosi od 15 do 40 m. Zwierciadła wodnego nie przerywa żaden pagórek, żaden las, ani jeden pień drzewa nawet; na jeziorze szaleją nieraz niebezpieczne dla łodzi

burze. Czasowe jezioro odpływa jednakże prawie rok rocznie o właściwéj porze, tak, że kotlina zupełnie wysycha. Całą tę wielką ilość wody pochłaniają znajdujące się w dolnéj części Popovego pola czeluście (*ponovi*), które ją bądź to do morza Adryatyckiego, bądź do bagien Gabelli odprowadzają. W ciągu lata kotlina jest całkowicie wody pozbawiona, bo nawet rzeczka Trebińczyca zupełnie w téj porze roku wysycha.

Mimo, że ten zalew wody z jednéj strony, już to wskutek późnego odpływu na wiosnę, przez co pola na czas uprawione być nie mogą, już też wskutek wczesnego wystąpienia wody w jesieni przed żniwami jeszcze, nieraz wiele sprawia szkody, z drugiéj jednak strony jest on prawdziwém błogosławieństwem, ponieważ osadzający się muł gnojenie ziemi całkiem niepotrzebném czyni; istotnie ludność wcale nawozu nie używa, a jednakże grunt jest bardzo urodzajny.

Pomimo wielkiéj obfitości wody w zimie, posiada Popovopolje tylko jeden gatunek ryb, tak zwaną Gaovice, (*Leucos adspersus Haeckel v. Paraphoxinus Ghetaldii Steind*).

Jest to ryba wielkości sardynki, tłusta i bardzo smaczna. Gaovica nie przypływa z wodą Trebińczycy, lecz przebywa w podziemnych pieczarach Popovego pola, gdzie spędza lato, a w zimie wydobywa się razem z wodą na powierzchnię ziemi. Popovopolje posiada niektóre zabytki archeologiczne, ale te tylko specyalistów obchodzić mogą, więc opis ich byłby zgoła zbyteczny.

Słów parę należy się ciekawéj grocie w Zavala, którą lud nazywa „Vjetrenia"; dlaczego, zobaczymy niżéj.

Hercegowina kryje w swém łonie wiele grot, o których dziwne chodzą wieści, i które z powodu swych osobliwości wielkim cieszą się rozgłosem. Vjetrenica jest wskutek niedostępności mniéj znana, chociaż na szczególną zasługuje uwagę.

Grota znajduje się we wsi Zavala na Popovem polu; wejście do niéj wznosi się 40 m. po nad powierzchnię pola tak, że woda w zimie do niéj wtargnąć nie może. Przy wejściu do groty wieje z wewnątrz zimny wiatr, którego siła od stopnia różnicy temperatury wewnątrz i zewnątrz zależy. Ponieważ w zimie obie temperatury są prawie jednostajne, przeto ów prąd powietrza całkiem ginie, albo nawet odwrotnie z pola do środka groty wpada.

Szczegółowy opis jaskini pomijam, zaznaczę tylko szczegóły ważniejsze. Najwyższą częścią groty jest wejście metr wysokie i szerokie, a cztery metry długie. Wnętrze posiada kształt wydłużony; jest to niejako podziemny korytarz o rozszerzeniach w postaci sal.

W odległości blisko 50 m. od wejścia znajduje się rozszerzenie zwane „Raskrsnica" (skrzyżowanie dróg); tu napotykamy ślady człowieka, jak skorupy naczyń glinianych, ogniska, kości i t. d. Na prawo ciągnie się również 50 m. długie ramię, w którém są „młyńskie kamienie", „bęben" i „młyn." Na piętnaście kroków od Raskrsnicy napotyka się szczelinę skalną, przez którą przedziera się silny prąd powietrza, sprawiając szmer podobny do szmeru wydawanego przez kamienie młyńskie.

Po 30 m. drogi dochodzimy do okrągłego wydrążenia téj wielkości, że dorosły człowiek może w nie wsunąć głowę i ramiona. Niepodobna jednakże wytrzymać tam długo z powodu silnego bębnienia, złożonego z dwustu uderzeń na minutę, o różném natężeniu. Nic tam zresztą ciekawego nie widać, istnieją bowiem jedynie małe otwory, przez które wiatr się przeciska. Czy samo powietrze wywołuje bębnienie, robiące wrażenie zapadania się jaskini, czyli przez poruszanie jakiegoś obcego ciała, tego widziéć nie można.

W końcu dochodzimy do drugiéj szczeliny, wydającéj tony podobne od odgłosów młyna.

Idąc od Raskrsnicy daléj w głąb groty, napotykamy w odległości 100 m. pierwsze jezioro, mniejsze, a w odległości 200 m. drugie, większe blisko 100 m. długie.

Między jedném jeziorem a drugiém, jakotéż daléj znacznie w głębi groty występują liczne utwory wapienne, stalaktyty, stalagmity i t. d., przytém sklepienia, akustycznie zbudowane, zachęcają turystów do śpiewu. W dalszym ciągu nie odnajduje się już nic więcéj osobliwego, albo téż fragmenty do poprzednich podobne.

Ażeby jednéj jeszcze ciekawéj rzeczy nie pominąć, wspomnijmy bodaj pobieżnie o źródle „Bjeljevine." We wsi tego samego nazwiska z otworu w kształcie łuku o cięciwie 2 m. długiéj wytryska źródło, którego woda do strumienia Radoje uchodzi. Właściwością źródła jest dziwny fakt, że nie płynie ustawicznie, ale czasami nawet dziesięć razy w ciągu dnia ustaje i znowu płynąć zaczyna; kiedy niekiedy wysycha zupełnie na przeciąg trzech tygodni, to znowu przez miesiąc płynie bez przerwy. Wystąpienie wody zapowiadają małe zwierzątka— zwykłe cytrynowo-żółte żaby albo jaszczurki, — które z otworu wypełzają i kryją się w pierwszą lepszą rozpadlinę skalną. Piasek wilgotnieje powoli, z otworu pociąga wiatr, następnie muł poczyna się w kółko kręcić, w końcu pokazuje się woda, która nazewnątrz upływa. Woda jest czystości kryształu, lodowo-zimna i wyborna do picia; prąd jest dostatecznie silny, aby młyn w ruch wprawić. Wprzód nim woda zaczyna lub ustaje płynąć, słychać szmer, i nagle, jakby kto wodę

na dwie części rozciął, jedna odpływa do strumienia, druga znika w otworze, a piasek tak wysycha, jakby tam nigdy kropli wody nie było.

Źródło ma sławę własności leczniczych, to też chorzy z dalekich stron przybywają, aby wody się napić, lub téż w niéj wykąpać.

Obok źródła głównego wytryska kilka pomniejszych, te same posiadających własności.

Główne źródło miało się znajdować dawniéj o 4 metry niżéj od dzisiejszego. Lecz gdy Sijerčić Beg wykąpał (mówią) swego parszywego psa, woda przez dwadzieścia lat nie pokazywała się wcale, aż potém wystąpiła znowu, ale już w inném miejscu.

O powstaniu źródła opowiadają mahometanie co następuje: „Pewnego razu przyszedł do doliny Murad-Dedo (święty turecki), a gdy nadeszła pora modlitwy, nigdzie nie mógł znaléźć wody do rytualnego obmycia się potrzebnéj. Wystosował więc prośbę do Boga, podrapał trochę palcami ziemię, poczém woda przy boskiéj pomocy wytrysnęła. Murad obmył się według przepisu, napił i pomodlił, potém poszedł daléj. Kiedy zwrócił się plecami, woda przestała natychmiast płynąć. I dlatego pokazuje się ona jednym, a nie pokazuje drugim."

Jest to jedno z wielu podań, częstokroć bardzo ciekawych, w jakie Bośnia i Hercegowina obfitują.

Weźmy np. podanie o wojewodzie Tomie.

Aczkolwiek historya o wojewodzie Tomie nic nie wié, to jednak żyje on w pamięci ludu, jako bohater narodowy téj miary, co Kulin-Ban albo Marko. Jego województwo miało się znajdować w północno-zachodniéj części Bośni, pomiędzy Sawą i Vrbasem; rezydencyę swoją miał we wsi Tomina, na drodze z Klucza do Starego Majdanu, gdzie do dziś dnia jeszcze znajduje się dobrze zachowana wieża z jego zamku, tak zwana „Tomina Kula" (wieża Tomy).

O tym więc wojewodzie Tomie opowiada lud tak: Kiedy Osmanie więcéj niż połowę półwyspu bałkańskiego zalali, przyszła koléj na nasze Erceg-Bosna (tak lud nazywa w skróceniu Bośnię i Hercegowinę). Sułtan Mahomet II gotował się zagarnąć je siłą. Król Tomaszewicz, widząc osmańską przewagę i wewnętrzną niezgodę swych poddanych, przyrzekł sułtanowi ogromny haracz, byle go zostawił w pokoju. Lecz i to nie odwiodło sułtana od zamiaru przedsięwzięcia wojennéj wyprawy, przeciwnie, tém bardziéj jeszcze nęciło go zdobycie bogatego kraju, z którego tyle otrzymywał dukatów, nadto zaś pragnął utorować sobie drogę przez Bośnię, która paraliżowała mu pochód na błogosławiony, sławny Zachód.

Przedsięwziął więc wyprawę i odniósł zwycięstwo, a to głównie dzięki niesnaskom wewnętrznym, sporom kościelnym i chciwości szlachty. Ponieważ kraj był wówczas na plemiona i województwa podzielony a wojewoda posiadał nieograniczoną władzę, gdy przeto każdy z własną korzyścią ale na szkodę ojczyzny i wspólnego dobra działał, rozstrzelili się, wielu zaś zdradziło na polu bitwy swego pana i wodza. Zamiast żeby wszyscy jednéj będąc myśli wspólnie działali, zdrada i samolubstwo wzięły górę, a król padł ich ofiarą.

Wielu wojewodów utrzymało się w okolicach, do których wojska sułtana nie dotarły; ci zaczęli panować samodzielnie. Zaczepieni przez część sułtańskiego wojska, walczyli z ludem w obronie swego województwa. Inni znowu, wewnątrz kraju znajdujący się, zawarli układ z sułtanem, na mocy którego przeszli na mahometanizm, pod warunkiem, że nadal zatrzymają dziedziczne szlachectwo, władzę i majątek.

Jednym z takich wojewodów był Toma. Opowiadają, że był on wielkim przyjacielem króla, że dzielił z nim dolę i niedolę.

Gdy król upadł a królowa Marya Bośnię opuściła uciekając do Dalmacyi, kiedy widziano, że wszystko stracone i że o przywróceniu królestwa mowy być nie może, szukał Toma schronienia w swém województwie i starał się wytrwać przy pomocy ludu. Przez wiele lat trzymał się bohatersko w swym kraiku.

Przyszło mu to z łatwością, bo rdzeń tureckiego wojska skierował się przeciw Slavonii.

Toma zwrócił na siebie uwagę sułtana swemi bojami, tak, że sułtan postanowił najść go z wielkiém wojskiem i panowania pozbawić.

Wojewoda Toma był pewny, że upadek jego jest już bliski, i zastanawiał się, którego z dwóch sposobów ma się chwycić: czy błagać o litość i przyjąć islam, czy téż do ostatniéj kropli krwi walczyć. Zdecydował się na drugie. Aby jednakże lud podniecić i do walki zachęcić, darował każdemu z poddanych uprawianą przez niego ziemię i oddał na wieczystą własność.

Wielu chrześcian posiada jeszcze dzisiaj w tych okolicach własny grunt nie płacąc nigdy trzeciny, co się w Bośni rzadko napotyka. W dawniejszych czasach było tu wiele wsi, które swą własną ziemię posiadały; ale z upływem lat przywłaszczali ją sobie begowie, a dziś jeszcze umieją starsi ludzie wskazać, kiedy i przez którego bega wieś swéj własności pozbawiona została.

Inni znowu opowiadają, że im to jakiś wezyr Hussein-Beg za pomocą fermanu podarował, gdyż w dzieciństwie mieszkał jako sierota u jakiegoś kneza (wójta) Banjicy, a zostawszy wezyrem, wdzięcznie

tamtejszych włościan wspominał. W każdym razie pierwsza wersya zdaje się być prawdziwsza, bo gdyby wezyr był ziemię darował, byłby to uczynił tylko jednéj wsi, nie zaś całéj okolicy.

Postępek wojewody Tomy wlał w jego poddanych wielką siłę i natchnął do walki; mimo to, nie mógł się oprzéć przemocy sułtana; pewnego dnia uległ bo bohaterskiéj bitwie, został schwytany i do więzienia wrzucony. Zapał do walki podtrzymywała w nim zapewne sama królowa, ponieważ pokładała w nim zaufanie, wzywała go z Dalmacyi do walczenia i wytrwania.

Do walki zachęcały Tomę jeszcze: żona, matka i dwie córki, które będąc damami dworu królowéj, razem z nią uciekły.

Kiedy królowa usłyszała, że ostatnia nadzieja niezależności zgasła, a Toma do więzienia wtrącony został, udała się do swego ojca, Lazara Brankovića, króla serbskiego, na Węgry, lecz w drodze ją pochwycono. Tak więc odłączyła się królowa od matki, żony i córek wojewody Tomy. Wszystkie cztery szukały wtedy schronienia gdziekolwiek na dalmatyńskiéj granicy i czekały zmiany losu, kiedy Toma całe siedm lat w więzieniu spędził.

Córki Tomy, Mara i Andja, sprzykrzyły sobie nareszcie łzy, bez wiedzy matki i babki, przerzuciły sakwy przez plecy, wzięły kije żebracze do ręki — jedna udawała ślepą, druga ją prowadziła i przeszły tak przez granicę. Od wsi do wsi, od dworu do dworu, doszły nareszcie do dzisiejszéj wsi Tominy, do zamku swego ojca, gdzie tenże siedział w więzieniu.

Śpiewywały często pod oknem więzienia i spoglądały na wybladłego więźnia; on zaś patrząc na biedne żebraczki, widział w nich wcielenie całéj ojczyzny, nie przeczuwając, że to są jego własne córki.

Żebraczki, ilekroć tamtędy przechodziły, rzucały nieszczęsnemu więźniowi przez okno kawałek uproszonego chleba. Szukały też sposobności pomówienia z nim; pewnego wieczora uśpiły czujność straży i dały się poznać swemu ojcu. Zostawiły mu dostateczną ilość chleba, jakotéż innych rzeczy i umówiły się w jaki sposób go uwolnią.

Wtém pochwyciła je straż u okna, wtrącono je do więzienia, nie wiedząc kim były. Lecz niedługo pozostały w zamku; wypuszczono je jako ubogie żebraczki. Stosownie do umowy, powróciły do domu do oczekującéj matki i babki. Tym opowiedziały, w jaki sposób i gdzie ojca odnalazły; potém wybrały z pośród zbiegów, którzy z niemi byli, siedmdziesięciu towarzyszy, przebrały się w męskie suknie, uzbroiły się i ruszyły ku Bośni. Znalazłszy się w blizkości Tomy w górach Grmecz, w dzisiejszéj wsi Sanicy, rozbiły obozowisko, rozkazały dla wystawienia swych towarzyszy na próbę, obedrzéć kozła żywcem

ze skóry. Załoga zrobiła, co jéj polecono, a kozioł krzyczał i beczał w niebogłosy.

Wtedy powiedziały do towarzyszy: „W pobliżu nas, jest zamek ojca, jutro w nocy napadniemy nań; ktoby miał tak krzyczéć, jak ten kozioł, gdy Osmanie go pochwycą i torturować będą, niech się trzyma zdaleka od nas; kto zaś chce być bohaterskim, choćby go żywcem ze skóry obdzierano, kto chce bez płaczu i jęku, jak Chrystus, cierpienie znosić, ten niech idzie za nami."

Do rana pozostało tylko siedmiu. Reszta uciekła. Tych siedmiu wyprawiło się jednakże na zamek; obalili straże, uczynili w zamku wyłom, wyprowadzili wojewodę Tomę i uszli szczęśliwie do Dalmacyi, gdzie oczekiwały matka i żona.

Potém prowadził Toma życie hajducze i był aż do śmierci postrachem Krainy; jako hajduk (po turecku—rozbójnik) nosił imię „Toma Harambasza" (po turecku—herszt opryszków), a niektóre pieśni ludowe dziś jeszcze opiewają jego wyprawy i walki."

Święty turecki jest przysłowiową u nas postacią, poznajmy więc grób jednego z takich świętych i dowiedzmy się nieco o jego życiu.

Na prawym brzegu Sanny, dopływu rzeki Unny, widać na wzgórku 20—25 m. wysokim, biały dach drewnianego domku. Jest to grób świętego Ali „*Turbe hazreti Alije.*"

Grób ten odwiedzają mahometanie z poblizkiéj wsi Trnavy. Oni to również odnowili go, gdy pewnego razu stał się pastwą płomieni. Chociaż grobowiec na wysokiém położony wzniesieniu, jednakże znajduje się tam nigdy nie wysychające źródło, uważane za świętość. Pobożni mahometanie udają się tam co piątek na modlitwę.

Kiedy przez dłuższy czas susza panuje, pielgrzymują mahometanie z okolicznych miast i wsi po dwóch do grobu, odprawiają po drodze wielkie, uroczyste modły, prosząc o dészcz. Istotnie na prośby ludu i świętego Alego zsyła Pan Bóg dészcz, zwilżający wyschłe pola.

Mahometanie opowiadają, że Ali w ten sposób został świętym:

Bardzo dawno, kiedy jeszcze święci po ziemi chodzili, kiedy Bóg objawiał się ludziom, gdy lud był pobożny a nie było żadnych łotrów i złoczyńców, gdy jeden drugiego szanował a młodszy słuchał starszego, kiedy nie pytano jaką kto religię wyznaje, ale czy jest człowiekiem i czy dobrze postępuje, gdy każdy żył w pokoju i braterskiéj miłości, przestrzegając uczciwości i cnoty, wonczas żył téż człowiek w okolicy Starego-Majdanu imieniem Huso. Temu Turkowi umarła żona, zostawiając dziecko płci męskiéj; na imię było mu Ali. Ali miał dwanaście lat, kiedy go matka odumarła i do krainy sprawiedliwych się przeniosła.

Ojciec oddał Alego do *mejtefu* (turecka szkoła) dobremu hodży, który uczył go czystości serca i duszy, oraz dobrego prowadzenia się. W oznaczonym czasie obmywał się i modlił; nigdy nie grzeszył i nie robił nic złego, będąc miłym Bogu i ludziom.

Ojciec Alego ożenił się jako wdowiec i wprowadził w swój dom młodą, ładną dziewczynę.

Ali kochał i poważał macochę jakby rodzoną matkę. Ale występna kobieta zakochała się w swym pasierbie i usiłowała jego czyste serce i dobrą duszę do złego nakłonić. Ali jako bogobojny młodzieniec odrzucał wszystkie propozycye, jakie mu macocha czyniła. Kiedy więc nie chciał żyć wedle jéj woli, zaczęła przemyśliwać, jakby go z ojcem poróżnić, życia pozbawić i cześć jego w niwecz obrócić.

W owych czasach przypłacali ludzie cześć i wierność śmiercią. Macocha uczyniła Alemu jeszcze raz propozycyę; lecz gdy tenże mocno się rozgniewał i zagroził, że powié ojcu, czego ona od niego domaga, przeraziła się i pośpieszyła oczernić go przed ojcem. Pewnego dnia powiedziała do męża: „Mężu, na mą cześć i szczęśliwość, twój syn, mój pasierb, nie daje mi pokoju."

Tego właśnie dnia kosił Ali siano na łące w Trnavie. Skoro ojciec usłyszał słowa swéj żony, zapomniał w gniewie i wściekłości o czystém sercu Alego. Pobiegł na łąkę, wyrwał mu kosę z ręki i jedném cięciem zdjął głowę z karku. Sprawiedliwy Ali zaczął biedz bez głowy na górę, i Bóg wié dokądby zabiegł, gdyby go jakaś kobieta nie spostrzegła i nie zawołała: „Widzicie ludzie człowieka bez głowy!" Zaledwo te słowa wymówione zostały, gdy ciało upadło na tém samém miejscu, gdzie późniéj grób wzniesiono. Głowa téż doszła do ciała i połączyła się z niém.

Ojciec Alego zamienił się w jednéj chwili tak jak stał z wyciągniętą ręką i kosą w kamień. Ludzie dowiedzieli się, co zaszło, wzięli skamieniałego ojca i przynieśli ku zmarłemu synowi. Święty ulitował się a potężny Allah powrócił mu życie. Przyszedłszy do domu, zabił wiarołomną żonę. Przez noc świecił trup Alego jak słońce. W tę samą téż noc wytrysło to źródło, które do dziś dnia przy grobie istnieje. Mahometanie widząc potęgę boską i cudotwórczą moc świętego, nazwali zmarłego „świętym Alim", żeby ciału i miejscu, na które upadło, należną cześć okazać, i wystawili grobowiec, przy którym się jeszcze dzisiaj modlą i ofiarne świece zapalają.

V.

Dla porównawczego ludoznawstwa, dla folklorystyki, przedstawiają Bośnia i Hercegowina nieeksploatowaną prawie kopalnię ogromnie ciekawego materyału. Z wielu podań i wierzeń ludowych pozwolę sobie przytoczyć kilka w przeświadczeniu, że zajmą one każdego inteligentnego czytelnika.

O pochodzeniu ludzi i temperamentów.

Wiadomo powszechnie, jaką wartość posiadały kobiéty w Bośni i Hercegowinie, i jakich praw używały. Nie tylko nie są one równe mężczyznom, ale nawet niektórzy nie zaliczają ich do ludzi. Są one tylko pół-ludźmi i na to stworzone, aby mężczyznom jako niewolnice ku ich wygodzie służyły. One to są winne wszystkiemu: dobremu i złemu, szczęściu i nieszczęściu ludzkości; w nich tkwią grzechy świata. Od nich to pochodzi, że ludzie są tak różni i podzieleni na trzy gatunki.

Tak wierzy ogromna część ludu, to téż nie dziw, że wymyślił on w swéj fantazyi, iż ludzie pochodzą: od kobiéty, kotki i suki. Oto podanie: „Jeszcze za czasów proroka Adama, kiedy to prorocy po ziemi chodzili, przyszło kilku swatów prosić o rękę jego jedynéj córki, pięknéj jak malowanie. Przyrzekł im ją natychmiast; ale po tych przyszli drudzy. Ponieważ nie chciał ich odmową zrazić, więc przyrzekł im ją również. Po niejakim czasie przyszli jeszcze inni, którzy téż przychylną otrzymali odpowiedź a wszystkim trzem orszakom swadziebnym wyznaczył ten sam dzień, w którym po dziewczynę przyjść mieli. Kiedy się o tém jego żona dowiedziała, zdziwiła się bardzo, jak on tak postępować i wszystkim trzem obietnicę dawać może, ale w końcu pomyślała sobie: „Pójdzie to jakoś; pierwszy, który przyjdzie, zabierze ją sobie!" On milczał...

Upływał jeden dzień za drugim, aż wreszcie nadszedł czas oznaczony i trzy orszaki weselne zeszły się w domu. Wszystkie zostały dobrze przyjęte i ugoszczone tak, że nawet przenocowały. Kiedy noc zapadła, wstał Adam prorok i ubrał swoją córkę jak umiał najpiękniéj; zaprowadził ją do jednego pokoju i zamknął razem z kotką i suką.

Kiedy nazajutrz z rana goście weselni dom opuścić chcieli, udał się do pokoju a gdy go otworzył, okazało się, że za zrządzeniem boskiem były tam trzy dziewczyny tak do siebie podobne, iż sam ojciec swéj córki rozpoznać nie mógł. Wyprowadził tedy jednę, oddał gościom weselnym. To samo zrobił z drugą i z trzecią... wszystkim

trzem orszakom dał bezpieczny konwój. Odtąd wiele czasu upłynęło, a prorok nie otrzymywał żadnéj o swych córkach wiadomości; dlatego téż postanowił, poodwiedzać je. Kiedy się znacznie od swego domu oddalił, spotkał bawiących się pasterzy owiec. Wypytywał jednego po drugim, do kogo należeli i jak się nazywali, aż wreszcie spytał jednego, jak się jego bratowéj powodzi. Zapytany począł się skarżyć, że wszystko jest u niéj bez zarzutu, tylko jak w gniew wpadnie, chce wszystkim w domu oczy wydrapać. Ha! pomyślał sobie, ta pochodzi od kotki. Zajechał do niéj potém a poszedł daléj. Tak podróżując spotkał znowu innych pasterzy owiec, których się pytał tak samo jak pierwszych. Skoro spytał jednego, jak się jego bratowa miéwa, odpowiedział: „wszystko jest w porządku, tylko jak jéj co w drogę wejdzie, to takiego narobi krzyku w domu, jakby chciała wszystkich połknąć". Pomyślał sobie tedy, że ta od suki pochodzi. I do niéj także zajechał, poczém udał się w dalszą drogę. W ten sposób doszedł znowu do pasterzy owiec, wśród nich zaś znajdowało się ładne czysto ubrane dziecko. Miało ono zawieszoną torebkę a w niéj chleb i różne jadło i uśmiechało się błogo. Adam prorok zapytał pasterzy, czyje ono jest, i jak się powodzi ich bratowéj. Zaczęli ją wtedy wychwalać, że o lepszą trudno, powiedzieli: „śmieje się ciągle i śpiéwa!"

W ten sposób dowiedział się, że to była jego prawdziwa córka, że to wesołe i małe dziecko od kobiéty pochodzi; kiedy już wszystkie trzy odwiedził i potomstwo ich poznał, wzniósł ręce do nieba i zawołał: „Daj Boże, aby te trzy gatunki pozostały na zawsze i według matek swych były rozpoznawane; niech to przetrwa od téj chwili aż do dnia sądu ostatecznego!"

I tak się stało i zostanie aż do sądu ostatecznego, boć przecie widać wśród ludzi, jak jedni wybuchają płomieniem i ogniem, jakby ci oczy chcieli wydrapać. To jest, widzisz, koci gatunek... Inni znowu: paplają bez końca, spiérają się i mało nie pogryzą ze sobą. To jest psi gatunek. Inni wreszcie są spokojni, śmieją się ciągle i są weseli, nikomu nie życzą nic złego. Ci pochodzą od córki proroka — to są prawdziwi ludzie!

Dlaczego ogon u kóz jest zadarty?

Gdy Bóg oznajmił Noemu, że nastąpi potop, i kazał mu wybudować okręt, aby weń zabrał wszystkich zwierząt po parze, patryarcha usłuchał rozkazu boskiego i spełnił to, co mu polecono. Kiedy przyszło do pomieszczenia zwierząt na okręcie, wchodziły wszystkie spokojne i zadowolone, z wyjątkiem obrzydliwéj kozy. W żaden sposób nie chciała wejść de arki, a Noe nie mały miał z nią kłopot. Nareszcie schwycił ją za ogon i wciągnął z trudem do środka. W gniewie wyrzu-

cił z siebie taką klątwę: „Daj Boże, aby u wszystkich zwierząt ogon w dół się zwieszał, a u ciebie by stał do góry; obok tego niech ci w lewéj nodze zawsze dyabeł siedzi!"

I stało się to, co Noe wtedy powiedział, bo do dziś dnia sterczy ogon kozie do góry, jak również ma ona dyabła w nogach, bo włóczy się i kręci tam, gdzie można tylko łatwo kark skręcić.

Pojęcia z zakresu geografii, astrologii i alchemii są takie same jak u innych, na niskim stopniu kultury stojących narodów. Świat posiada kształt wielkiéj czworobocznéj płaszczyzny, wspierającéj się po czterech rogach na krawędziach czterech słupów tak, iż się zdaje, że się natychmiast zawali. Całe szczęście, że to od łaski boskiéj zależy. Płaszczyzna jest równie długa jak szeroka. Słupy są bardzo wysokie i smukłe, uginają się pod ciężarem tak, że ci się zdaje, jakoby każdéj chwili załamać się miały. Zrobione są z doskonale ładnego, białego marmuru i zanurzone w nieskończenie głębokie morze, które się pod całą płaszczyzną znajduje a którego widziéć nie możemy, bo się pod nami znajduje. To jest prawdziwe wielkie morze, gdyż wszystkie inne, które widzimy są małemi morzami.

Bóg wiedział już na początku świata, ile dusz ma się urodzić przez wszystkie wieki, aż do dnia sądu ostatecznego. Każdéj z nich dał gwiazdę, pod którą miała się urodzić. Wielu urodziło się pod szczęśliwą, wielu zaś pod nieszczęśliwą gwiazdą. Jeżeli gwiazda biegnie przez nieboskłon i spadnie, napewno ktoś życie zakończył. Są gwiazdy, których nie widzimy, które coraz to bliżéj ku nam się podsuwają, a ledwie się światu pokazały, już się ktoś urodził. Gwiazda tego, który się urodził, nie stoi spokojnie w miejscu, na którém się pokazała, lecz im się bardziéj człowiek starzeje tém coraz głębiéj opada, a gdy on umrze, gwiazda gaśnie także. Te gwiazdy, które się razem z przyjściem dusz na świat ukażą, spadają z wysokości jak śnieg, a gdy kiedyś zagasną nastanie koniec świata i sąd ostateczny.

Częstokroć słychać w ustach ludu opowiadania dowodzące, że się w dawnych czasach wiele alchemią zajmowano, aby posiąść sztukę zamieniania wszystkich zwyczajnych metali w złoto.

W Hercegowinie opowiadają sobie, że bardzo dawno temu prosił Boga pewien człowiek, aby wszystko, na co spojrzy, zamieniało się w złoto, gdy tego zechce, że Bóg modlitwy jego wysłuchał i od téj pory powstało złoto, którego ludzie zaczęli szukać i zbiérać, aby się zbogacać. Wielu wierzy do dziś dnia, że metale nieszlachetne w złoto zamienić by można, gdyby tylko ktokolwiek umiał odmówić modlitwę, któréj nikt z żyjących nie rozumié. Ale ta modlitwa została zapomniana.

Czém w średnich wiekach był dla alchemików kamień filozoficzny, tém do dziś dnia jest dla ludu złote ziele. Złote ziele trudno znaleść i dla tego téż niewiadomo, jak wygląda. Tyle tylko wiadomo, że wszystko czego dotknie pozłaca, a z czém się zmiesza, w czyste zamienia złoto. To téż dobrze będzie temu na zawsze, kto znajdzie złote ziele! Najprędzej znalazło by się—tak powiadają ludzie — gdyby natrafiła na nie koza lub owca, bo gdyby pasąc się odgryzła i połknęła, zęby jéj pozłociłyby się a mięso nabrało złotożółtéj barwy. Zdarzało się jednak, że i ludzie na złote ziele przypadkiem natrafiali, przy umyślnem szukaniu nie znaleziono go nigdy. Kosił oto raz przed wielu laty pewien mahometanin siano, wtém się kosa jego nagle pozłociła. W téj chwili przypomniał sobie, co to znaczy; lecz nadarmo, złotego ziela nie znalazł! To samo przytrafiło się wielu innym kosiarzom, ale jeszcze żaden złotego ziela nie znalazł i prawdopodobnie nigdy nie znajdzie. Raz tylko, jak powiadają, żył szeik, który zioła znał dobrze. Zebrał on tysiąc jeden różnych kwiatów. Wszystkie te kwiaty rozłożył starannie i wysuszył na słońcu. Po wysuszeniu roztarł on te wszystkie tysiąc jeden kwiatów pomiędzy rękami. Potém wziął kociołek pełny ołowiu i postawił na ogniu. Kiedy się ołów roztopił, wziął szczyptę proszku, posypał na ołów, i w téj chwili buchnął z kociołka płomień. Uczynił to samo raz drugi i trzeci, a kiedy zdjął kociołek z ognia, było co widzieć: czyściuteńkie złoto. Zaniósł je na targ, rozdzielił i sprzedawał ludziom. To jest jedyny człowiek, o ile pamięć sięga, który złote ziele znalazł i różne metale w złoto zamieniał.

Jak powstaje trzęsienie ziemi.

Kiedy Bóg — niechaj będą Wszechmocnemu dzięki—świat ten stworzył, zrobił wszystko z niczego. A kiedy już wszystko tak pięknie ukończył, prosili go święci, aby stworzył zwierzę jak tylko można największe. Bóg—chwała mu na wieki—wypełnił zaraz życzenie swoich świętych i stworzył bardzo wielkiego wołu. Jak wielki musiał być ten wół, okazuje się z tego, że gdy go Bóg swym świętym pokazał, nie mogła go ziemia unieść, taki był ciężki. Ziemia bliska była rozpęknięcia się i kołysała się jak na wodzie. Święci dziwili się bardzo temu, co sprawiedliwy Bóg stworzył. Potém, aby ziemia się nie zapadła, kazał Bóg wołowi, by wszedł pod ziemię i stał zawsze na jednem miejscu nieruchomie. Otóż taki to wielki jest ten wół, a dużo jeść nie może. Skoro tylko jednym włoskiem ruszy, zaraz drży ziemia i powstaje trzęsienie. Gdyby się zaś całkiem poruszył, rozleciałaby się ziemia w kawałki. Przed sądem ostatecznym wyjdzie on znowu na ziemię, a wszyscy wielcy grzesznicy spojrzawszy nań, skamienieją i pomrą. I słusznie, bo doprawdy tak dłużéj żyć nie można!

Jak powstaje ranek.

Rzecz dziwna zaiste! Jedno tak powstaje, drugie znowu inaczéj; wszystko doprawdy, nawet najmniejsza rzecz, jest zrobiona według swego rodzaju i formy. Komuż by nawet we śnie na myśl przyszło jak, czysty cud boski, powstaje ranek! A przecie powstaje w prosty sposób. Nie ma nic łatwiejszego pod słońcem. Ledwie mrugnąłeś okiem, kiedy już widzisz ranek zwolna powstający i różowiejący.

Jedni twierdzą, że słońce wynosi go na najwyższe góry z morza, gdzie całą noc, którą Bóg daje, ze słońcem spędzić musi. Gdyby się to choć raz nie udało, nie byłoby już nigdy ranka na szerokim świecie; oho—wtedy mielibyśmy na wieki głęboką ciemność; noc, nic jak tylko noc i, zmiłuj się Boże, nic więcéj. Tylko odrobina księżyca świeciłaby; a nie wiadomo nawet czy i ten by świecił, i oto byłoby wszystko. Inni mówią znowu inaczéj. Powiadają oni: równo z brzaskiem dnia, kiedy ranek chce się zjawić, gwiazda wieczorna uśmiecha się do jutrzenki i od tego ich uśmiechu staje się ranek coraz widniejszy.

Z tego wynika, że ranek w dwojaki sposób powstaje. Biorąc na ludzki rozum, jest rzeczą prawdopodobniejszą, że się gwiazda do gwiazdy uśmiecha, niż że go słońce z morza podnosi. Jakżeby go z morza podnosiło? Cóżby ono tam w morzu miało do roboty? Jednakże pewnym być nie można, jeżeli właśnie tak powstaje. Sam Bóg to wié, zresztą nikt inny.

Zaraza jest według wiary ludowéj wysoką, chudą kobiétą. Okryta prostemi białemi szatami i luźno sznurem przepasana. Ale nie każda zaraza jest biała; różnią się one pomiędzy sobą barwą zależnie od wyznania. Chrześcijańska jest biała, mahometańska zielona, żydowska żółta a cygańska szara; zresztą bez względu na wyznanie dzierży każda w ręce miotłę, a przed któremi drzwiami zamiecie nią, tam musi ktoś umrzéć. Najchętniéj błąka się o północy, kiedy wiatr lekko pociąga. A gdzie do domu wejdzie i ognisko zmiecie, tam cały dom wymrzéć musi. Bardzo chętnie zaziera przez okna podczas wieczerzy, śmieje się z radości i idzie daléj, ale nie zawsze porywa ofiary tylko wtedy, kiedy jéj Bóg rozkaże.

Z wielu przesądów ludowych przytoczę tylko dwa:

1. Jeżeli kobiéta brzemienna ukradnie cokolwiek można to poznać zaraz na noworodku. Znakiem kradzieży jest znamię. Znamię powstaje wtedy, kiedy się płód jeszcze w łonie matki znajduje a to wskutek tego, że się matka swego ciała po kradzieży dotknęła. W tych miejscach, gdzie się dotknie, powstaje u dziecka znamię. Stąd więc wiadomo, ile razy matka podczas ciąży kradła; jeżeli za każdym razem po kradzieży dotknęła swego ciała.

2. Ponieważ znamie jest przez lud bardzo lubiane, zwłaszcza małe czarne (kiedy znajduje się na prawéj kości jarzmowéj u dziewczyny, bo wtedy nikt nie może być od niéj szczęśliwszy), przeto wiele kobiét kradnie podczas ciąży w sąsiedztwie lub w sklepie. Przedmiotem kradzieży jest cokolwiekbądź małego a czarnego, aby dziecko małego czarnego znamienia dostało, bo wielkie nie jest ładne i szpeci twarz. Najlepsze jest więc ziarko pieprzu, stąd téż bywa najchętniéj kradzione. Po dokonaniu kradzieży dotyka matka swéj prawéj kości jarzmowéj, a dziecko rodzi się z małém, jak pieprz czarném, ładném znamieniem na prawéj kości jarzmowéj.

Z różnych podań spolszczam jedną tłomaczącą, dlaczego podeszwy u człowieka mają wgłębienie.

Dyabli—niechaj będą przeklęci!—ukradli z nieba słońce i zanieśli do morza, aby je tam ukryć. Z wielkiéj radości, że je w moc swoją dostali, urządzili wspaniałą biesiadę. Przed rozejściem zgodzili się na to, aby jednego z pomiędzy siebie postawić przy słońcu na straży. Przez pewien czas nie było wcale na niebie słońca, które ziemi nie oświecało. Bóg wysłał przeto anioła, aby w jakikolwiek sposób słońce uwolnił. Dyabeł, który przy słońcu pozostał, poszedł bawić się nad morze a do pilnowania słońca zostawił srokę. Anioł, wierny sługa boży, usłuchał pana, poszedł do morza, zabrał słońce i poniósł do nieba. Sroka spostrzegłszy to zaczęła skrzeczéć. Wskutek skrzeczenia sroki przybiegł dyabeł, a skoro ujrzał anioła, unoszącego słońce, skrzywił się i zaczął go ścigać. Gdy anioł prawie uszedł już pogoni, dosięgnął go dyabeł, schwycił szponami za nogę i wyrwał z podeszwy kawałek mięsa. Anioł stanąwszy przed Bogiem rzekł: „Panie, masz tu oto słońce, ale cóż ja pocznę, zostawszy kaleką?” Któż atoli byłby litościwy, jeżeli nie Bóg! Spojrzawszy na anioła rzekł: „Uspokój się, nie będziesz kaleką, bo ja wszystkim ludziom dam taką jak twoja podeszwę.” Odtąd otrzymali ludzie z woli boskiéj podeszwę wygiętą zamiast równéj. Sroka zaś została na wieki przeklęta za to, że służyła dyabłu i o przyjściu anioła obwieściła.

Każdy lud wierzy w czasach swego dzieciństwa w to, że przy procesach sądowych Bóg cudami objawi, kto jest winien a kto niewinny. Dlatego téż spotykamy tak zwane sądy boże—nie tylko w średnich wiekach w rasie germańskiéj i romańskiéj, ale nawet i dzisiaj u ludów o niskiéj kulturze.

Najpospolitsze rodzaje sądów bożych, przy pomocy których obwiniony swoją niewinność a powód słuszność swéj skargi udowodnić musiał, były w średnich wiekach: pojedynek, próba ognia, próba wody, próba krwi i próba poświęconego kęsa. Z tych ró-

znych sądów bożych są ludowi Bośnii i Hercegowiny znane następujące i w praktyce stosowane: próba ognia, mianowicie wyciąganie rozpalonéj stali, próba krwi, poświęconego kęsa, mianowicie „zapisu” i próba wody. Obok tych głównych istnieją jeszcze inne pomniejsze formy sądów bożych, które pomijam.

1. *Wyciąganie stali.*

Wyciąganie stali nazywa lud *vagjenje mazije*. Słowo mazija oznacza stal albo pręt stalowy. Według Miklosicza jestto słowo pochodzenia arabskiego i znaczy: galasówka dębowa. Może téż bardzo prawdopodobnie pochodzić od arabskiego słowa, znaczącego „czyste żelazo.” Czy ten sąd boży nie został przyniesiony przez Turków z Arabii, o tém dzisiaj nic powiedzieć się nie da.

Skoro ktoś zostanie o ten lub ów czyn posądzony a w braku świadków sam do czynu przyznać się nie chce, wtedy żądają od niego, aby się oczyścił przez przysięgę, albo jeżeli nie można zaufać jego duszy i jego przysiędze, aby maziję wyciągnął. Tego ostatniego żąda się tylko w ciężkich przypadkach. Skoro dziewczyna obwini jakiego mężczyznę, że powiła mu dziecko, wtedy jéj krewni nie zadawalniają się przysięgą, gdyż przy takiéj sposobności niejeden mógłby popełnić krzywoprzysięstwo, aby się tylko oczyścić, lecz domagają się, aby maziję podniósł albo dziewczynę poślubił.

Podnoszenie mazii odbywa się w taki sposób: Na płaskiém miejscu zewnątrz domu stawia się na ogień kociołek pełen wody aby zawrzała, a równocześnie wrzuca się maziję do żaru, żeby się rozpaliła. Maziję stanowi najczęściéj podkowa końska albo toporek. Podczas ogrzewania wody i mazii, obmywa sobie ten, który maziję ma podnieść, mydłem ręce aż po łokieć. Skoro podkowa albo toporek rozpalą się do białości, wyjmuje się je z ognia i wrzuca do wrzącéj wody w kociołek. Teraz zbliża się oskarżony i mówi do kociołka: „O wodo, bądź spokojna, jak spokojną byłaś przedtém! Zaklinam cię na Boga, który cię stworzył, na niebo i ziemię. Jeśli jestem niewinny, niech mnie Bóg oczyści; jeśli zaś jestem winny, niech się to na mnie objawi! Wstrzymaj się, proszę cię na Boga, na św. Jana i wody Jordanu. Pomóż mi, Wszechmogący!” Po tych słowach wyciąga maziję obnażoną ręką z kociołka. Lud wierzy, że jego ręka, gdy jest niewinny, nie będzie miała żadnych śladów oparzenia; jeżeli sobie jednak oparzy rękę i dostanie ran, wtedy jest winnym. Wówczas żądają od niego, aby się z dziewczyną a względnie z wdową ożenił. Lud kładzie nacisk na mycie rąk mydłem w przekonaniu, że niejeden potrafi się tak umyć, że mu rozpalone żelazo nic nie zrobi.

2. *Próba krwi.*

I. Obwinionego o morderstwo przyprowadzają do trupa ofiary. Tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób w mordzie czynny udział brali, przyprowadza się do trupa i tego za sprawcę uważa, w czyjéj obecności zaczyna płynąć krew z ran, ust i nosa zamordowanego.

II. Krew zamordowanego wywiera na mordercę wpływ przyciągający. Jeżeli morderca kogo zabije, nie może oddalić się od swéj ofiary. Opanowuje go mianowicie taki zawrót i takie omdlenie, że wszelki wysiłek w celu ucieczki jest daremny. Udaje mu się to tylko wtedy, jeżeli jakiś należący do siebie przedmiot, strzelbę, kij albo coś podobnego na umarłego rzuci.

W przyciągającą siłę krwi wierzy lud we wschodniéj Bośni jako téż i w Hercegowinie.

III. Kość ojca wsysa krew dziecka. Po śmierci pewnego króla urodziło mu się dziecko a wątpliwą było rzeczą, czy to było jego prawe dziecko, czy téż nie. Mostarski szeik Jujo (ur. 1061 a umarł 1119 r. hedżry), pytany o zdanie w téj sprawie, poradził przynieść kość z grobu króla, dziecku zrobić na ciele nacięcie i parę kropel krwi na kość ojca wpuścić. Jeżeli kość wessie krew dziecka, to jest ono prawe, w przeciwnym razie—nieprawe. Istotnie w tym wypadku kość ojca wessała krew dziecka, czego inna uczynić nie chciała.

Próba wody niczém się nie różni od takiéjże próby u innych ludów. Rzucanie podejrzanych o czary starych kobiet na wodę i ogłaszanie czarownicą téj, która się na wodzie utrzymuje nie tonąc, stanowi istotę téj formy sądów bożych.

Pojęcia o powstawaniu, naturze i leczeniu chorób są téż niezmiernie zajmujące. Tych czytelników, którzyby nie tylko ostatnią kwestyę ale wszystkie wyżéj poruszone obszerniéj i dokładniéj poznać chcieli, odsyłam do cennego dzieła d-ra Moriza Hoernesa p. t. „Wissenschaftliche Mittheilungen aus Bosnien und der Hercegowina, herausgegeben vom bosnisch-hercegovinischen Landesmuseum in Sarajevo.” Dwa tomy kosztują dwadzieścia florenów austryackich.

VI.

Zwyczaje i obyczaje południowych Słowian wogóle a mieszkańców Bośni i Hercegowiny w szczególe nie są jeszcze dobrze poznane

i zbadane. Przedstawiają atoli wiele stron bliższego godnych poznania. Na zanotowanie zasługuje fakt, że gdy inni południowi Słowianie różnym postronnym, niejednokrotnie potężnym ulegali wpływom, mieszkańcy Bośni i Hercegowiny, téj drugiéj zwłaszcza, dzikością i niedostępnością zajmowanego gruntu bronieni, zachowali zwyczaje i obyczaje w formie najczystszéj i najbardziéj typowéj. Odsyłając tych, którzyby obszerniéj z przedmiotem zapoznać się chcieli do dzieła dr. Kraussa p. t. „Sitte und Brauch der Südslaven”, Wien 1883, przytoczę tu dla pełności obrazu niektóre tylko wybitniejsze i bardziéj charakterystyczne zjawiska. Wielokrotnie opisywane i komentowane było wspólne, komunistyczne pożycie Słowian południowych, które będąc niegdyś prawidłem, do dziś dnia w wielu miejscowościach jeszcze zachowało się jako zabytek dawnych czasów, opartych na innych podstawach ekonomicznych.

U Słoweńców w Styryi, Kraśnie i Karyntyi przeżyła się instytucya wspólnego władania pod wpływem cywilizacyi niemieckiéj jeszcze w zeszłém stuleciu—została tylko pusta forma bez treści: nazwa sama. Wśród Kroatów, Serbów i Bulgarów nie doszło jeszcze wprawdzie do tego, ale nie wiele już brakuje, aby ten sam porządek ekonomiczny zapanował. Przyrodzony komunizm, znajdujący swój wyraz we wspólném pożyciu, podlega coraz bardziéj naciskowi, jaki nowożytne pojęcia na lud wywierają. W jednostce powstaje dążność uzyskania samodzielności, stania się panem siebie samego. W interesie państwa może leżéć przeciwdziałanie temu prądowi, zgnieść go jest atoli rzeczą wprost niemożliwą. Przez rozłam wspólnego posiadania wytwarzają się w niektórych okolicach stosunki nieznośne. Jako pierwszy skutek występuje powszechne zubożenie. Ale ubóstwo i potrzeba są najlepszymi wychowawcami i nauczycielami. Biedny rolnik nie mogący wyżyć ze swéj roli zabiéra się do rzemiosła i handlu. Jego pole widzenia rozszerza się tém bardziéj, im więcéj z obcymi przestaje. Przystosowuje się do nowych stosunków społecznych, nie zrywając zupełnie ze staremi. Na rodzinnym gruncie rozwija się nowa rodzima cywilizacya, która po skończonym procesie przejściowym z większą korzyścią starą zastępuje.

W Dalmacyi, Hercegowinie i Bośni, gdzie nieurodzajna ziemia bardzo starannéj wymaga uprawy, zmusza bieda ludność do trwania przy starych instytucyach.

W najbardziéj nieurodzajnych częściach Czarnogóry i Hercegowiny gospodarstwo indywidualne było i jest okolicznościami uwarunkowane, gdyż duża ilość ludzi przy największéj pilności ze skąpego plonu wyżyć by nie mogła.

Lud nazywa w Hercegowinie wspólne zamieszkanie: *zadrużna kucza* albo *zadrużni su ljudi* (ludzie, którzy się stowarzyszyli); jeżeli zaś wielu członków domostwo zamieszkuje to się mówi: *dobra kucza ili bogata kucza* (dobry albo bogaty dom).

Nie wspólne mieszkanie jednakże jako takie, lecz pokrewieństwo jest podstawą porządku społecznego u Słowian południowych. Wspólność domostwa nie jest niczém inném jak stowarzyszeniem ludzi, połączonych ze sobą związkiem krwi drugiego albo trzeciego stopnia, którzy wspólne budynki gospodarskie zajmują, wspólne posiadają mienie, którzy są między sobą równouprawnieni, lecz w zarządzie wspólnych spraw poddają się dobrowolnie rozkazom jednego przez wszystkich jednomyślnie obranego zarządcy domu.

Zadrugi takie bywają mniéj lub więcéj liczne, ale średnia cyfra waha między 15 a 25 osób.

Członkowie zadrugi bywają zwykle krewnymi drugiego i trzeciego, rzadko tylko czwartego lub nawet piątego stopnia, oczywiście w linii męskiéj. Skoro wskutek podziału nowe domostwa w najbliższém sąsiedztwie starego zostaną założone, otrzymują te nowe osady, chociaż i tak we wsi położone, nazwę *selo*, a mianowicie nazwa ta tworzy się od imienia założyciela. Jestto poprostu nowa ulica osobném mianem oznaczona. Domostwo może powiększyć się również przez przyrost z zewnątrz albo przez to, że się ktoś z dziedziczącą panną ożeni, albo że naczelnik adoptuje kogoś, albo że ktoś obcy wstępuje do związku z pobudek czysto towarzyskich. Przy rozważaniu organizacyi zadrugi nasuwa się samo przez się porównanie pomiędzy głową rzymskiéj rodziny a głową południowo-słowiańskiéj zadrugi. *Pater familias* był u Rzymian wszystkiém, nieograniczonym panem i władcą swéj rodziny i mienia domowego, u Słowian zaś południowych jest naczelnik tylko zarządcą majątku, do którego nie posiada większych praw od któregokolwiek z dorosłych członków zadrugi. Jest on tylko pierwszym wśród wielu równouprawnionych z nim.

Można o tém wnioskować w części już z nazwiska, jakie naczelnik otrzymuje. Nikt nie mianuje go posiadaczem i panem majątku. Miano odznacza go albo jako najstarszego, albo stanowi go bezpośrednio głową domostwa lub jego rządzcą. U Słoweńców nazywał się naczelnik *glavar*, w Slavonii mówi się do dziś dnia *kucze glava* (głowa domu) a w Bulgaryi *glavatar*. Wskutek tego, że bywa to zazwyczaj jeden z najstarszych członków zadrugi, nazywają naczelnika też *stareszina*. Najpospolitszą jest nazwa *domaczin*; słowo to może być zadowalniająco tylko wtedy zrozumiane, jeżeli się je pojmie jako nazwę tego, który się sprawami domowemi zajmuje.

O wyborze *domaczina* przez współtowarzyszów może być mowa tylko w niewłaściwem tego słowa znaczeniu. Autorytet starszych członków nie podtrzymuje wcale wspólności, lecz to ma znaczenie, co mówi najgodniejszy i najrozsądniejszy z nich. Kto się najwięcéj w stowarzyszeniu z biegiem czasu zasłuży i najwięcéj poważania uzyska, tego z łatwością nawet milcząco za *domaczina* uznają. Skoro rządzca domu sześćdziesiąty rok życia skończył, musi sam kierownictwo zdać komu innemu. Zazwyczaj naznacza sam swego następcę; albo najstarszego syna, albo jeżeli ma braci, to młodszego brata. Jeżeli *domaczin* umrze nagle, to pozostali mianują z pomiędzy siebie następcę, po odbyciu wspólnéj narady, tego, kto zyskał ogólne zaufanie.

Domaczin może być pozbawiony swéj godności w następujących przypadkach:

1. Po osiągnięciu 60 roku życia i utraceniu sprężystości; prawie bez wyjątku opuszcza sam starzec swoje stanowisko. Nowy *domaczin* uważa go atoli za doradzcę w trudniejszych sprawach.

2. Skoro swém zachowaniem się publiczném przynosi domowi ujmę, czy to będąc skazanym sądownie wskutek jakiegoś występku, czy téż upijając się częściéj, albo wreszcie trwoniąc w inny sposób wspólne mienie na szkodę współwłaścicieli.

3. Jeżeli okazuje się względem swych towarzyszy srogim i zostaje przez to znienawidzonym.

4. Jeżeli uporczywa choroba ciała lub ducha przeszkadza mu w spełnianiu obowiązków.

Dopóki istnieją w zadrudze mężczyźni, kobiéta naczelnego stanowiska zajmować nie może. *Domaczin* piastuje w grncie rzeczy jedynie godność honorową, która mu obok zaszczytu i poważania ze strony towarzyszy nic nie przynosi. W Bośni istnieje zwyczaj, że najmłodsza kobiéta w domu obmywszy wieczorem *domaczinowi* nogi, całuje go w wielki palec. W jego obecności nie wolno palić, grać, tańczyć, dopóki wyraźnie na to nie pozwoli; on siada pierwszy na sofrę, on zaczyna jeść, on rozdziela najpierw swoim dzieciom, to jego przywiléj; on dzieli chléb na kawałki i posiada swą własną łyżkę, któréj nie wolno przy gotowaniu używać; *domaczin* ubiéra się najstrojniéj, wolno mu każdéj chwili iść do karczmy, byle nie za często. W święta i w dzień imienin podchodzą do niego domowi gęsiego, całują w rękę mówiąc: „Wesołego święta życzymy!" albo „dzień dobry!" W stosunku do współtowarzyszy posiada *domaczin* prawo *stareszinstwa*, t. zn. że w radzie jego zdanie uwzględnia się przedewszystkiém. Pod nieobecność *domaczina* nie może być w sprawach familijnych żadne ważne postanowienie (oprócz wyjątkowych wypadków) uchwalone. On ma prawo dopil·

nowania, żeby wspólne postanowienie zostało wprowadzone w życie, jemu też wolno przypominać każdemu towarzyszowi należące do niego obowiązki. *Stareszina* ma prawo zastępować dom albo zadrugę przed władzą w tych wszystkich sprawach, które się do ogółu towarzyszy odnoszą. Obowiązkiem jego jest doglądanie i zarządzanie wspólnym majątkiem. Jest on zobowiązany być sprawiedliwym względem każdego współtowarzysza i nie wolno mu odgrywać roli rozkazującego naczelnika, lecz winien się uważać tylko za jednego z równouprawnionych, któremu wspólny majątek w zarząd oddano. Przy obradach przysługuje mu tylko jeden głos, do którego przywiązuje się zwykle więcéj wagi. Jest on obowiązany współtowarzyszom proponować: gdzie to lub owo nabyć, co trzeba sprzedać, co kupić, w jaki sposób ma się to załatwić i t. d. Gotówkę stowarzyszonych posiada w swych rękach. Wolno mu robić wydatki tylko na dobro ogółu, z których musi złożyć rachunek. Obowiązkiem jego jest starać się o cześć i poważanie domu, bronić współtowarzyszy przed niesprawiedliwemi napaściami innych, prowadzić ich drogą uczciwości i dzielności w każdym kierunku. Obowiązkiem jego jest troszczyć się tak o pokarm fizyczny jak duchowy, łagodzić spory, między towarzyszami powstałe. Rozmiary pracy nie pozwalają mi nawet pobieżnie opisać praw i obowiązków towarzyszy względem siebie i całéj zadrugi, ruchomego i nieruchomego majątku stowarzyszenia, podziału i formalności, jakie przy tém zachowane być muszą. Zniewolony jestem pominąć to, aby módz jeszcze słów parę powiedziéć o innych zwyczajach i obyczajach zwłaszcza o tych, które w życiu ludzkiém tak ważną odgrywają rolę. Mam tu na myśli miłość i wszystko, co z nią w bliższym lub dalszym pozostaje związku. I tu muszę być atoli bardzo treściwym. O zwyczajach do innych dziedzin życia odnoszących się całkiem wspominać nie będę.

Niewyjście za mąż poczytuje się dziewczynie prawie za zbrodnię. Nietylko, że dosyć sama cierpi, jeszcze położenie jéj pogarszają różni ludzie nielitościwém szyderstwem. Nic też dziwnego, że dziewczyna pragnie się wydać za jakąbądź cenę, nie gardząc nawet wielce rozpowszechnionemi czarami, występującemi pod różnemi postaciami. Podsuwanie ukochanemu pewnych rzeczy do zjedzenia, spotyka się dosyć często; noszenie na dołku podsercowym zdobytego zwitka włosów ma być także skutecznym środkiem. Najbardziéj atoli znany, najbardziéj rozpowszechniony i używany jest czar następujący: dziewczyna wyszukuje na łanie koniczyny mającéj trzy albo siedm czteropłatkowych listków, jeżeli znajdzie siedmiopłatkowy, to on sam zupełnie wystarcza, i kładzie go przed położeniem się spać pod poduszkę. Nie wolno jéj przez cały wieczór z nikim mówić i musi się położyć

twarzą od okna odwróconą. Jeżeli ją już kto kocha, to z pewnością przyśni się jéj, jeżeli zaś nie, to ujrzy go pod postacią sennego widziadła. Pewne czary odbywają się tylko wieczorem w wigilię wtorku, piątku albo niedzieli podczas pełni.

Dziewczyna zanurza w soli pierwszy kawałek chleba przy wieczerzy, wkłada go w usta, zżuwa nieco, wyjmuje prawą ręką, upuszcza na zapaskę — a wszystko to czyni nie spostrzeżona przez innych — i jé spokojnie daléj. Po wieczerzy bierze nóż, łyżkę i widelec, których koniecznie przy jedzeniu użyć musiała, bodaj nadziawszy na widelec kawałek chleba, i zawija wszystko w swój fartuch. Przed położeniem się spać, bierze w rękę lusterko, przegląda się w niém i mówi: „Błyszczące lustro, jak mnie obecnie odbijasz, że się pięknie przejrzéć mogę, tak pokaż mi we śnie przeznaczonego dla mnie mężczyznę!” Potém kładzie również lustro do fartucha, dodaje czółenko tkackie i grzebienie, zawija wszystko starannie i kładzie na poduszkę, na któréj w nocy będzie spoczywać. Potém udaje się przed święty obraz i modli do Boga, jak umié. Znalazłszy się już w łóżku, kładzie pod poduszkę fartuch z zawiniętemi rzeczami, robi trzy razy nad poduszką znak krzyża, odmawia znowu modlitwę, zwykle „Ojcze nasz” i powiada w końcu: „Błagam Cię, o Panie, a Ty rozkaż mężczyźnie, który mnie jest przeznaczony, aby mi się we śnie objawił; jeżeli znajduje się daleko za wodami, oto łódka i wiosło (czółenko tkackie i łyżka); jeżeli znajduje się za lasem, tu ma siekierę (nóż); jeżeli musi przebywać ciernie i skały, oto widły. Niech przychodzi, a znajdzie tu chleb i sól, abyśmy wspólnie spożywali, grzebienie, abyśmy się czesali, lustro, abyśmy się obejrzéć i przed ślubny ołtarz pójść mogli.”

Na uwagę zasługuje zwyczaj bośniacki podczas świąt Bożego Narodzenia. Po obiedzie zbierają dziewczęta ze stołu wszystkie kości i kładą je na progu drzwi. Każda kość dostaje imię pragnącéj wyjść za mąż dziewczyny domowéj, albo téż z téj saméj wsi. Dziewczęta ustępują na bok i obserwują, którą kość najpierw i t. d. pies owczarski pochwyci. W tym samym porządku będą dziewczyny wychodzić za mąż; któréj kość porwie pies na końcu, ta się wyda ostatnia. Zabawa ta odbywa się w tajemnicy przed *domaczinem*, aby się przed nim nie rumienić.

Porywanie dziewic istniało w dawnych czasach u wszystkich ludów indo-europejskiéj rasy. Jest to najstarsza forma zawierania małżeństwa. Wśród Słowian zachował się ten zwyczaj aż do chwili obecnéj tylko u południowych. Jeżeli dziewczyna zostanie wbrew woli porwana, mówi się o niéj, że jest *otkradnota*, *moma kradena* (ukradziona, skradziona dziewczyna), albo *ugrabljena*, *oteta djevojka* (por-

wana dziewczyna). W Bośni zdarza się uprowadzenie wbrew woli dziewczyny bardzo rzadko. Historya zapisała jednakże ciekawe zdarzenie, które warto przytoczyć.

W domu bośniackiego bega żyła młoda dziewczyna trzynasto lub czternastoletnia. O piękności jéj mówiono w całym kraju. Pewien siedmdziesięcioletni beg o białéj, do pasa sięgającéj brodzie, słyszał téż dużo o dziewczynie. Jednéj nocy przyszedł do niéj i wezwał ją, aby zaraz z nim szła, jeżeli chce zostać córką jego syna. Przystała i poszła z nim do domu. Wprowadzono dziewczynę do haremu, gdzie na swego młodego małżonka czekała. Po chwili wszedł stary beg do izby. Podskoczyła i pocałowała go w rękę, w przekonaniu, że jako jéj teść, przyszedł udzielić jéj przestróg i ojcowskich rad. Zapytała go wreszcie, dlaczego jéj narzeczony tak długo nie przychodzi. Wtedy odpowiedział jej starzec ze spokojem, że on to jest jéj oblubieńcem. Dziewczyna porwała się jak szalona, wołając, że poślubiła syna a nie ojca. Krzyk nic jéj atoli nie pomógł; stary odpowiedział jéj flegmatycznie, że i on jest synem, synem swego ojca. Kadi, przed sąd którego sprawę wytoczono, oświadczył, że beg nie dopuścił się względem dziewczyny oszustwa. Tak więc musiała nieszczęśliwa marnować swoje młode lata przy boku przeżytego starca.

Wiek, uprawniający do wyjścia za mąż lub ożenienia się, jest bardzo młody; na ogół biorąc, wychodzą dziewczyny za mąż z ukończonym szesnatym rokiem życia, „kiedy piersi nabrzmiewać zaczynają”, chłopcy zaś, kiedy im się pierwszy puszek pokaże, między 17 a 25 rokiem. Pytano razu pewnego staréj babki: „Jak oceniają same siebie dziewczyny według wieku?” — Od 14 do 16, powiadają: byłabym dobra dla sułtana, od 16 do 18 dla wezyra, od 18 do 20 atoli: niechaj będzie kto chce, byle mężczyzna.”

Jeszcze dobitniéj wyraziła się inna kobieta, kiedy ją zapytano: „W którym roku życia może dziewczyna wyjść za mąż?” „Skoro tylko może sobie sama wyciągnąć cierń z pięty.”

W Bośni, w okolicy Sarajewa, wychodzą dziewczyny za mąż między 14 a 20 rokiem. U mahometan zaręczają ze sobą małe dzieci. Chłopcy żenią się od 20 do 26 roku. Po skończonym 30 roku życia nie zwykli się już żenić. Wdowcy żenią się przy pomyślnie zdarzonéj sposobności.

Kilka słów o konkurach i zaręczynach.

B o ś n i a. Skoro chłopiec poważnie myśli o zaręczynach, pyta poprzednio w nocnéj schadzce wybraną przez siebie dziewczynę, czy chce zostać jego żoną. Jeżeli odpowie mu: „Nie wyjdę za mąż w tym roku”, to odpowiedź ta znaczy dla niego to samo, co: „Za ciebie nie

wyjdę nigdy." Jeżeli jednak odpowie mu przychylnie, wówczas daje jéj prezent zaręczynowy, który często nosi nazwę *prsten* (pierścień), ponieważ dawniéj zazwyczaj wkładano dziewczynie na palec pierścionek, kiedy obecnie ofiarowuje się jéj monetę złotą lub srebrną. Chłopiec otrzymuje nawzajem od dziewczyny chusteczkę albo koszulę, albo coś innego, co własnemi wykonała rękami. Częstokroć przy wymianie zaręczynowych podarunków używa się pośrednictwa osoby trzeciéj.

Ponieważ zdarza się często, że dziewczyna miewa pięciu do dziesięciu konkurentów, pomiędzy którymi wybuchają zacięte walki, przeto rozporządzili bośniaccy biskupi, że nikomu nie wolno udawać się w zaloty bez otrzymania od miejscowego proboszcza pozwolenia na piśmie. Proboszcz jest obowiązany wydać takie pozwolenie bezpłatnie a skoro raz wydał chłopcu takie pozwolenie, to już nie może dać go drugiemu na tę samą dziewczynę. Bez takiego pisma nie powinien *stareszina* puszczać konkurentów nawet przez próg. Następnie musi sama dziewczyna w razie przyjęcia konkurów zwrócić proboszczowi papiér przy zaręczynach, w przeciwnym razie obowiązany jest jego właściciel zwrócić go, aby proboszcz mógł dać innemu, gdy który oń poprosi. Pozwolenia te opiewają mniéj więcéj tak:

„W imię Boga!"

„Niniejszém otrzymuje N., ślubny syn N. i N., z miejscowości N., upoważnienie do przeprowadzenia uczciwego układu z N., córką N. N., z miejscowości N., w celu zawarcia związku małżeńskiego, który powinien być natychmiast zawarty, skoro nie będzie żadnéj po temu przeszkody."

Z tém poświadczeniem w kieszeni udaje się *stareszina* młodego człowieka w drogę razem z pięciu do siedmiu towarzyszami, obładowanymi wielką ilością gotowanego i pieczonego mięsa, ciasta, chleba, wódki i t. d. O zmierzchu zatrzymują się przed domem dziewczyny, a *stareszina* poselstwa woła z pełnych piersi: „*Domaczino!*" Skoro ten się zjawi, ciągnie mówca daléj: „Czy można u ciebie przenocować? Czy goście przychodzą w porę?" *Domaczina:* „Zawsze pożądani, wchodźcie bez ceremonii, mały ogień został na ognisku rozniecony, chleba, soli i wody nie zbraknie, a powinno się coś więcéj jeszcze znaléźć, jeżeli taka wola boska, a jeżeli nie, to znajdziecie tu miłość i dużo dobréj woli, które są doskonałą do wszystkiego przyprawą!"

Swaci wchodzą tedy do domu, pozdrawiają domowników słowami: „Boże pomagaj", zostają przez tychże jak najuprzejmiéj przyjęci i zaproszeni do rozgoszczenia się. Mieszczanie, noszący skórzane pantofle, zostawiają je przed drzwiami pokoju, według bośniackiego zwyczaju, kiedy włościanom, chodzącym w opankach, domowe kobiety

natychmiast opanki zdejmują, nogi myją, a zrzucone ubranie rozwieszają, jeżeli je przypadkiem deszcz zmoczył.

Po małéj chwili odpoczynku daje *stareszina* znak do modlitwy. Modlą się wyraźnie i powoli, jak to jest codziennym w Bośni zwyczajem. Po modlitwie całują młodzi domownicy starszych w rękę, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", na co otrzymują odpowiedź: „Jezus i Marya niech będą przez wieki chwaleni, ty zaś bądź zdrów i dobréj myśli."

Nieco późniéj przychodzą dziewczęta, przynoszą wodę, miednicę i ręcznik i leją mężczyznom wodę na ręce. Po skończoném myciu rąk, wnosi się okrągły, wielki, ale niski stół jadalny (sofrę) do izby, około którego wszyscy dorośli mężczyźni siadają. Kobietom nie wolno według powszechnego południowo-słowiańskiego zwyczaju, ani w tym wypadku, ani w żadnym innym zasiadać razem z mężczyznami do stołu. Potém podnosi się *stareszina* i odmawia głośno podług zwyczaju „Ojcze nasz", „Zdrowaś Marya" i „Chwała niech będzie Panu." Napełnia szklankę wódką i wznosi toast na cześć przybyszów, potém następują liczne odpowiedzi, dopóki wszyscy nie najedzą się i nie napiją do syta. Jeden z domowników intonuje pieśni:

„Kiedy pijemy, chcemy téż śpiewać.
„Radość z Bogiem niech nam w sercach gości!
„O! O! O! imie Jezusa, najświętsze,
„Potém dopiéro Józefa i Maryi! O! O! O!

Przeciągłe Oooo! tworzą oktawę skali głosowéj; dobry śpiewak wytrzymuje pół godziny. Jego tryumf nie daje spokoju któremuś ze swatów, zaczyna więc śpiewać i stara się poprzednika przesadzić. Całe towarzystwo słucha z najwyższą uwagą i nieopisanym zachwytem tego śpiewu o lepszą, nie szczędząc pochwał temu, kto lepiéj rzecz wykona. Skoro drugi z tém Oooo! skończy, zaczyna pierwszy:

„Chwała Bogu i temu dniowi świątecznemu
„Jako téż *domaczinie* naszego domu!
O! O! O! Hu ha!

Po skończonym śpiewie nalewa *domaczin* szklankę wódki, podaje najstarszemu z swatów, lecz ten każe ją postawić przed sobą, poczém zwraca się do śpiewaków: „Dosyć! Przestańcie już!" i mówi do *stareszíny* domu: „Niech będzie Jezus pochwalony!" *Stareszina* odpowiada na to. Swat: „Nie możemy, bracie, twéj miłości ani wypić, ani zjeść. Zaniechajmy więc pustych słów. Wiedz, że jesteśmy podróżnymi, którzy do ciebie zajechali, bo mają wnieść prośbę. Jeżeli chcesz uczynić zadość naszemu życzeniu, będziemy znowu daléj jeść i pić, jeżeli zaś

nie, to powiédz nam po prostu, bez ogródek, abyśmy zawrócili z miejsca i darmo czasu nie tracili!" *Domaczin* prosi, aby mu powiedzieli na czém prośba polega, i przyrzeka im spełnić ją, jeżeli to jest możliwe. Mówca: „Doszła do nas wieść, że masz piękną sokolicę, my zaś posiadamy pięknego sokoła. Przychodzimy jako swaci i prosimy o waszą sokolicę dla naszego sokoła, o waszą N. dla naszego N."

Domaczin udaje, jakoby niczego nie słyszał, zaczyna mówić o tém i o owém i zaprasza swatów do picia wódki; lecz ci trwają w swojéj propozycyi i domagają się przychylnego przyjęcia ich prośby. Po długiéj, nic do rzeczy nie mającéj gadaninie, wpada swat pozornie w gniéw i żąda, aby mu przyprowadzono dziewczynę, nie chce bowiem z nikim innym układać się, tylko z nią, bo od niéj ostateczny wynik sprawy zależy.

Stareszina oburza się i pyta ludzi, czy może są hajdukami albo zbójami, że tak się zachowują. Wtedy wyciąga najstarszy ze swatów z za pasa pismo proboszcza i ładne jabłko, w którém tkwi *viżlin* (moneta wartości 25—30 centów) i kilka gwoździków. Przedmioty te kładzie na stół i mówi, że oni, swaci, są honorowymi ludźmi, i dlatego téż godzi się, aby dziewczynę przyprowadzono, aby ona podarek przyjęła, jeżeli się jéj podoba, albo téż nie, zupełnie podług jéj woli, bez żadnego przymusu.

Wtedy przyprowadzają dziewczynę, któréj nie wolno się było do téj pory gościom pokazać. Bośniackie dziewczyny splatają zwykle włosy w cienkie warkoczyki, po „pięć i dziewięć", jak powiada pieśń ludowa, które zwieszają się na plecy. Domownicy rozplatają więc warkoczyki, a dziewczyna staje przed konkurentem jak górska Wila z rozpuszczonemi włosami. Najstarszy swat przedstawia jéj całą sprawę, potém zabiera głos *domaczin* i przestrzega dziewczynę przed lekkomyślnym krokiem, aby potém nikogo nie przeklinała. „Upadniesz sama, skaleczysz się sama", kończy *stareszina* swoje przestrogi. „Wolno ci przyjąć jabłko; ja ci daję swoje błogosławieństwo. Dziewczyna całuje *stareszinę* w rękę, potém wszystkich po kolei, chwyta szybkim ruchem jabłko i kartkę i w oka mgnieniu znika z izby.

W téj saméj chwili, w któréj dziewczyna jabłko chwyta, strzela jeden ze swatów przez okno, a we wsi mówią sobie ludzie: „Słuchajcie, zaswatano N." Inni swaci też palą ze swych strzelb, a częstokroć robią to samo sąsiedzi dla uczczenia domu. W końcu rozpoczyna się znowu jedzenie, picie i śpiewanie. W późną noc obdarza dziewczyna swatów, a ci żegnają się, zabierając ze stołu podarunek, który dziewczyna zostawiła po schwytaniu jabłka. Przyjęcie gości w domu oblubienicy pomijam, a przystępuję wprost do opisu odnośnych zwyczajów w Hercegowinie.

Swat udaje się przed dom dziewczyny — do wnętrza wejść mu nie wolno— i wywołuje matkę albo ojca, albo jeżeli oboje już nie żyją, jéj opiekunkę; następnie odprowadza swat ojca na miejsce, gdzieby przez nikogo nie podsłuchany mógł mówić i przedstawia mu swoją propozycyę. Nawet gdyby ojciec godził się na nią, nie daje zaraz przyzwolenia, lecz udaje niechętnego i odpowiada: „Idź z Bogiem swoją drogą, skąd przyszedłeś. Nie mogę nic zarzucić ani chłopcu, ani twojéj przyjaźni, za którą ci serdecznie dziękuję, czułbym atoli wyrzuty sumienia, gdybym to niedojrzałe dziecko chciał już za mąż wydać. Jeszcze raz dziękuję za zrobiony mi zaszczyt! Swat: „Proszę was, niech się nikt o mojéj tu bytności nie dowié." Ów zaś odpowiada: „Z moich ust nikt się dowié." Swat: „Ja tu znowu przyjdę." Ojciec surowym tonem: „Po co się trudzić, skoro mam mocne postanowienie obecnie dziewczyny z domu nie wypuszczać."

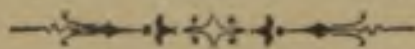
Swat wraca do domu i zdaje sprawę z przyjęcia. Ojciec chłopca pyta: „Czy mogłeś z jego słów wywnioskować, że jednak dziewczynę odda?" Swat: „Przyjęcie było bardzo uprzejme. Mam nadzieję, że mi nie odmówi." Ojciec: „No, to idź jeszcze drugi raz." Tak wymaga obyczaj. Po raz drugi tedy wybiera się swat w drogę, wywołuje ojca dziewczyny przed dom i napiera na niego: „Dajże mi ją, człowieku! Znasz przecie dom, znasz chłopca, dajże mi ją więc!" Ojciec odpowiada wtedy, jeżeli istotnie godzi się na propozycyę, że wprzód musi zwołać radę familijną, i wzywa swata, aby któregoś bliżéj nieoznaczonego dnia znowu przyszedł: „No toć idźże już człowieku z Bogiem, przyjdzie czas, przyjdzie rada. Rzecz nam nie ucieknie, zejdziemy się jeszcze. Lecz na Boga teraz nie mogę ci nic jeszcze pewnego powiedzieć, gdyż nie pytałem się o przyzwolenie ani braci ani krewnych. Potém możesz przyjść znowu, najlepiéj atoli, żebyś nie przychodził wcale, bo ja się boję, czy z tego wszystkiego co będzie." Załatwiwszy sprawę, odchodzi swat i uwiadamia rodziców chłopca, że zdaje mu się, jakoby dziewczyna była już ich; byle im tylko nikt gry nie popsuł. Ojciec: „No to pójdźże znowu i proś o nią." Matka nie szczędzi próśb i darów, aby zachęcić swata do pośpiechu, gdyż jéj wiele na tém zależy, aby co rychléj porządek do domu zawitał.

Tymczasem ojciec dziewczyny zwołuje wszystkich krewnych i podaje do ich wiadomości: „Ten a ten prosi dla tego to a tego chłopca o rękę mojéj córki. Zwołałem was tedy, bracia, znam jego ojca, jego matkę, ale samego chłopca nie znam. Czy ktoś z pośród was zna go może bliżéj?" Ktoś z obecnych odzywa się: „Widziałem go i poznałem. Podoba mi się"; inny dodaje: „Nigdy go wprawdzie nie widziałem, ale skoro wy go znacie, to i ja jestem za nim." Ojciec

dziewczyny: „Rozstrzygnienie sprawy w waszych spoczywa rękach. Myśmy ją spłodzili i wychowali, ale bez waszego przyzwolenia nie możemy o jéj losie stanowić. Jakie jest wasze zdanie? Powiadacie, żeby ją wydać, zgoda; gdyby atoli choć jeden głos powstał przeciw temu, to i ja jestem przeciwny." Wtedy jeden spogląda na drugiego aż wreszcie wszyscy jednogłośnie: „Tak, zgadzamy się!" Ojciec i matka: „No, bracia, biorę was za słowo. Gdyby dziewczynie albo jéj domowi stała się jaka krzywda, ujmiecie się. Chłopiec musi ją jako swą żonę wysoko cenić. Wy atoli weźmiecie jéj stronę, gdyby ją potém mąż prześladował, chociażby trzeba było sprawę przed sąd powołać. Znamy wszyscy dziewczynę, nie ma na niéj żadnéj plamy. Niech należy do chłopca, chociażbyśmy życie za to narazić mieli." Całe „bratstvo" traktuje dziewczynę jak siostrę.

Swat przychodzi po raz trzeci, wywołuje ojca dziewczyny przed dom, który mówi: „Skoro już uparłeś się, człowiecze, to choć do środka." Zaprasza go uprzejmie, przyjmuje jak najgościnniéj, zastawia jadło i napitek i mówi: „Oto masz dziewczynę." Swat pełen radości: „Zatém postanówmy, kiedy ojciec i matka chłopca mają przyjść na zaręczyny." Ojciec dziewczyny oznacza dzień, w którym mogą przyjść rodzice oblubieńca (w tymże dniu zgromadza téż krewnych w swoim domu): „Idź z Bogiem, niech tego a tego dnia przybędą, będę ich oczekiwać", i na znak zakończenia układów, obdarowuje swata jedwabną chusteczką. Swat opuszczając dom strzela ze swéj broni i t. d. Wiele jeszcze musi się odbyć zwyczajem przepisanych ceremonii, zanim nareszcie dojdzie do zaślubin i wesela, które téż odbywa się według pewnéj stale przyjętéj modły, odmiennéj w Bośni i Hercegowinie. Aby zbytnio pracy nie przeciągać i czytelnika nie nużyć, pomijam całą masę tych niezbędnych form i ceremonii, gdyż chodziło mi tylko o danie przykładu, jak mniéj więcéj przedstawiają się ważne momenta życia mieszkańców Bośni i Hercegowiny. Widzimy, że te najważniejsze dla istnienia rodu ludzkiego akta, zajmują mocno całe społeczeństwo, albo téż bliżéj zainteresowaną grupę, która sobie istotnie ważny wpływ na małżeństwo zastrzegła, albo téż przynajmniéj pozornie praw swych pilnuje pod postacią niewinnych konwencyonalnych form, z których prawdziwa treść dawno już uleciała. Ludność Bośni i Hercegowiny od wpływów cywilizacyi odcięta, zakonserwowała swoje pojęcia i wyrosłe na ich tle zwyczaje i obyczaje, które powoli tracą dawny urok i wychodzą z użycia.

Wojciech Szukiewicz.



Funkcye fizyologiczne z punktu socyologicznego.

Najważniejszą funkcyą fizyologiczną jest odżywianie się. Brak dostatecznéj ilości pokarmu sprowadza nędzę, choroby i wreszcie śmierć. Przedewszystkiém padają ofiarą dzieci, które nie mają nagromadzonego w większéj ilości zasobu sił. W czasie oblężenia Paryża w 1870 i 1871 r. śmiertelność dzieci podwoiła się w stosunku do lat poprzednich. Skutkiem niedostatecznego odżywiania, dziecko staje się wątłém, słabowitém, usposobionem do rozmaitych chorób, zdolności jego umysłowe wstrzymują się w swym rozwoju, a w systemie nerwowym zachodzą zakłócenia i degeneracya, co sprzyja rozwojowi popędów występnych. Niejeden późniejszy zbrodniarz nie byłby nim, gdyby w latach dziecinnych był dobrze żywiony. Karząc go w późniejszym czasie, społeczeństwo nie chce pamiętać o tém, że samo jest współwinném, jeżeli dopuszcza istnienie podobnego stanu rzeczy. Złe odżywianie się czyni wydajność mięśni i mózgu mniejszą, a z tego powodu praca fizyczna i umysłowa bywa mniéj produkcyjną. Ludność jest słabsza cieleśnie, ulega łatwo chorobom, karleje wzrostem [1]). Podług spostrzeżeń nagromadzonych przez Karola Robertsa i L. Pagliani, średni wzrost jest większy w klasie zamożnéj, aniżeli w ubogiéj. Również spostrzeżono, że w tych zawodach, które wymagają męczącéj pra-

---

1) Trzeba jednak przytém zaznaczyć, że wzrost bywa trwałą cechą rasową.

cy i są małopłatne, a więc wyczerpują wiele siły i nie dają dostatecznych środków do należytego odżywiania się, wzrost młodych robotników bywa niższy, aniżeli w innych zawodach, korzystniejsze warunki przedstawiających. Są to wszystko powody, dla których dobrze zorganizowane społeczeństwo powinno rozciągnąć swój nadzór nad sprawą odżywiania się i uczynić ją sprawą publiczną [1]).

Wolno mniemać, że dobrze zorganizowane społeczeństwo zapewni każdemu pracującemu dostateczną ilość pożywienia. Fizyologia daje w tym względzie cenne wskazówki. Podług Pawła Berta, przeciętnie człowiek potrzebuje na dobę 15 gramów azotu i 250 gr. węgla. Żywiąc się samym chlebem pszennym, trzeba byłoby go spożyć 1350 gr., przyczem zużywałoby się zbytecznie 400 gr. węgla. Gdyby zaś mięso było wyłącznem pożywieniem, należałoby go zjadać dwa i ćwierć kilogramów, a wtedy spożywanoby 70 gr. azotu więcej nad potrzebę. Mając to na uwadze, Bert powiada, że dla dostatecznego odżywiania się, najstosowniejszem jest połączenie chleba z mięsem w stosunku 800 i 200 gramów. Wogóle, chleb i mięso są najgłówniejszemi artykułami żywności.

Rodzaj pożywienia wpływa na cały ustrój zwierzęcia. Człowiek nie stanowi pod tym względem wyjątku. Układ jego zębowy, zajmujący pośrednie miejsce pomiędzy układem zwierząt mięsożernych i trawożernych, wskazuje że stał się on wszystkożernym. Zapewnił on tem sobie stanowczą przewagę nad wszystkiemi zwierzętami. Wegetaryanie, chcąc ograniczyć człowieka do samej żywności roślinnej, nie działają w jego interesie, ale wskazując korzyści przewagi pokarmów roślinnych, oddają rzeczywiście istotną mu usługę [2]). Roślinna żywność bowiem jest zdrowsza od mięsnej, a że może sama wystarczać, dowodem tego wszystkie trawo- i owocożerne zwierzęta i dobre zdrowie ludności nigdy mięsa niejadającej. Zauważono, że roślinna żywność rozwija łagodniejsze usposobienie, w przeciwieństwie do pożywienia mięsnego. U Hindusów istnieje zakaz zabijania zwierząt, toż charakter ludu odznacza się wielką łagodnością. Praca fizyczna wymaga głównie pokarmów bezazotowych albo małoazotowych, albowiem przy zwiększonej pracy mięśni wydziela się przez płuca więcej dwutlenku

---

[1]) Sprawa odżywiania się ludu wiejskiego jest bardzo ważna. I byłoby nader pożądanem, ażeby przykład profesora N. Cybulskiego („Próba badań nad żywieniem się ludu wiejskiego w Galicyi", Kraków, 1894), znalazł naśladowców i gdzieindziej.

[2]) Zasługuje na szczególną uwagę w tym względzie doktorska rozprawa panny Kingsford (1880 r.), jednej z najgorliwszych apostołek wegetaryanizmu.

węgla i wody. W Szwajcaryi lud wiejski przez doświadczenie wyrobił w sobie to przekonanie, że podczas robót żywić się należy przedewszystkiém mąką i tłuszczami. Pożywienie dzieci nie powinno także obfitować w mięso. Przy odżywianiu ich, potrzebną ilość azotu mogą wybornie uzupełniać: mléko, sér i jaja.

Ważną rolę, zwłaszcza u narodów z wyższą kulturą, odgrywają środki pożywne i zarazem silnie podniecające energię życiową. Takiemi są głównie: herbata, kawa i czekolada. Działanie ich fizyologiczne nie jest jeszcze dokładnie oznaczone. Większość fizyologów mniema, że działanie tych środków w sprawie odżywiania się jest raczéj pośrednie, niż bezpośrednie. Zauważano, że używanie tych napojów zmniejsza potrzebę pokarmu, czyni wytrwalszemi w pracy i podnieca czynność umysłową. Niezawodnie, najważniejszym działającym w nich pierwiastkiém jest alkaloid, znany pod nazwą teiny, kofeiny i teobrominy i wielce podobny ze swego składu i działalności: jest to jedna z najbogatszych w azot zasada roślinna i w stanie czystym działa jak trucizna. Herbata jest bardzo upowszechniona w Chinach, Japonii, Rosyi, Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Anglii. Niemal połowa kawy, przywożonéj do Europy, przypada na Niemcy. Największe spożycie kakao ma miejsce w Hiszpanii, następnie we Francyi. W Ameryce południowéj jest bardzo rozpowszechniony napój mate z *ilex paraguensis*, w Brazylii spożywa się w wielkiéj ilości guarana z *paullinia sorbilis*, w Arabii zużytkowują liście kawy.

Po większéj części człowiek kierował się doświadczeniem, mnożąc zasób artykułów spożywczych. Bardzo wcześnie poznał on pożytek wielu roślin. I tak, najważniejsze rośliny zbożowe są uprawiane od niepamiętnych czasów. Bardzo téż wcześnie zaczęto uprawiać wino. Pewne jednak rośliny, których uprawa odbywa się dzisiaj na wielkie rozmiary, upowszechniły się względnie niedawno. Ziemniaki czyli kartofle przywieziono do Europy w drugiéj połowie XVI stulecia. Ich uprawa napotykała pomiędzy włościanami opór, a w niektórych okolicach doszło nawet do rozlewu krwi. Dopiéro w drugiéj połowie XVIII stul. stała się powszechną uprawa ich w Niemczech i we Francyi. Herbatę zaczęto uprawiać w Japonii około 810 r., a używanie jéj zaczęło się upowszechniać w Europie w XVIII stuleciu. Kawa z Abisynii została przeniesiona do Persyi, a następnie do Arabii. Z początku prześladowano przygotowywany z niéj napój jako przeciwny przepisom Koranu, lecz zanadto w nim znaleziono smaku, ażeby to mogło trwać długo. W 1530 r. już było bardzo upowszechnione w Konstantynopolu używanie kawy, a w 1554 r. założono tam pierwsze kawiarnie. W innych państwach europejskich kawa weszła w użycie w siedmnastém stule-

ciu. W następnym zaś wieku powstały jéj plantacye w Indyach zachodnich, na wyspie Burbon, na Jawie, Gwadelupie, Jamajce i t. d., które dzisiaj przeważnie dostarczają kawy. Pierwsze płody kakao z drzewa theobromu przywieźli do Europy Hiszpanie w 1520 r. W ostatnich czasach zaczęły się upowszechniać: uprawa i spożywanie bananów. Wprawdzie, owoce te nie należą do bardzo pożywnych, ale to wynagradza ogromna ich obfitość. Ta sama przestrzeń gruntu może wydać bananów dziesięć razy więcéj aniżeli kartofli, a 100 razy więcéj niż pszenicy. Afryka ma wszelkie warunki, ażeby zostać śpichrzem ludzkości. Rosną tam obficie w zwrotnikowym pasie, banany i ignamy (*dioscorea*). Rodzaj prosa, sorgho (*holcus spicatus*), którym się żywi trzy czwarte ludności afrykańskiéj, ma na półłokcia długie i do 3-ch funtów ważące kłosy z wonném i smaczném ziarnem. Grochy tameczne, przy małéj uprawie, wydają częste i obfite zbiory. Zwykłém pożywieniem ubogiéj ludności w Gwinei południowéj są smaczne ziarna drzewa palmowego, którego owoce człowiek zaledwie udźwignąć może.

Człowiek pierwotny nie był wybredny co do żywności zwierzęcéj. Zjadał niemal wszystko, co dawało się wyszukać i pojmać. Mamy tego dowód na dzikich plemionach Australii, a nawet Chińczyk nie gardzi tém, co wzbudza obrzydzenie w Europejczyku. Wały ze szczątków kuchennych z czasów przedhistorycznych, tak zwane *kjaekkenmmoeddings*, złożone są przeważnie ze skorup mięczaków. Łowiectwo było głównem zajęciem początkującéj ludzkości. Wały kuchenne w Danii świadczą, że jedném i najwcześniéj obłaskawionych zwierząt był pies, który stał się pomocnikiem człowieka w ściganiu innych zwierząt. Następnie człowiek oswoił i inne pożyteczne zwierzęta i z myśliwego stał się pasterzem. Prowadził je z sobą w nowe zajmowane przez siebie okolice. Wiele ras doskonale aklimatyzowało się, i zapomniano nawet o dalekiém ich pochodzeniu. Gdy się patrzy na naszego koguta, wydaje się on nam tak swojskim, a tymczasem po pierwszy raz przywieziono go do Europy z Indyi w 5-tym czy téż 6-tym wieku przed Chrystusem.

Przed wynalezieniem sposobu rozniecania ognia, człowiek zjadał wszystko w stanie surowym i czasami tylko przypiekał na gorącu słoneczném. Widzimy to jeszcze dzisiaj u dzikich. Pieczenie i gotowanie czyni pokarm zdrowszym, zwłaszcza zwierzęcy, strawniejszym i smaczniejszym. Okoliczność ta jest nader ważna w rozwoju ludzkości. Przeciążone pracą organy trawienia pochłaniały większą część energii życiowéj. W miarę jak trawienie i przyswajanie pokarmu staje się łatwiejsze, coraz znaczniejsza część energii może się przekształcać w pra-

cę mózgową. Brzuch i mózg—jak to zauważono oddawna z doświadczenia codziennego—są w pewném przeciwieństwie do siebie.

Do środków ułatwiających trawienie, zwłaszcza jeżeli w żywności jest przewaga pierwiastków azotowych, należą napoje fermentacyjne, spirytualne. Najwięcéj upowszechnionemi są: wino, piwo i wódka. Umiarkowane ich użycie sprawia przyjemność i jest racyéj pożyteczne, aniżeli szkodliwe, zwłaszcza, że obawa wody surowéj, jako napoju wzrasta, z powodu, że po większéj części za jéj pośrednictwem dostają się pasorzyty i zarazki chorobotwórcze do organizmu ludzkiego. Jeżeli daje się to powiedziéć o winie i piwie z całą stanowczością, to należy zachować większą ostrożność, mówiąc o gorzałce, albowiem nieraz mała jéj nawet ilość sprowadza szkodliwe następstwa. Alkohol etylowy, wstrzymując czynność nerwów naczynio-ruchowych małego obiegu, przyczynia się przez to do przyśpieszenia bicia serca i powiększenia tętna. Podnieca to energię życiową i sprawia przyjemność. Tak działa w małéj ilości alkohol, ale zwiększona jego ilość wywiera już wpływ na mlecz pacierzowy i sprowadza zakłócenia w ruchach mięśniowych, a w dalszém następstwie działa na mózg i pozbawia człowieka należytego ocenienia swych czynności. Aczkolwiek można się upić i piwem i winem, to jednak jest to rzecz trudniejsza, aniżeli upicie się gorzałką. Najstraszniejszém jest pijaństwo alkoholowe. Sprowadza ono chorobliwą dezorganizacyę w ciele pijaków, a ta dezorganizacya, udzielając się dziedzicznie ich potomstwu, przejawia się w niém pod rozmaitemi postaciami chorób nerwowych. Alkoholizm, którego częstém następstwem bywa śmierć [1]), szaleństwo, zbrodnia, który przyczynia się do zwyrodnienia ludności, jest niezaprzeczenie straszną klęską społeczną. Wiąże się to ściśle z kwestyą ubóstwa. Piją wódkę nietylko dla tego, że jest najtańszym podniecającym trunkiem, ale dlatego jeszcze, że przygłusza uczucie głodu, że zaciemniając umysł, sprowadza zobojętnienie na dokuczliwość nędzy. Chcąc skutecznie walczyć przeciwko alkoholizmowi, trzeba przedewszystkiém zwalczyć ubóstwo.

Podobną szkodę, jak alkohol w Europie, wyrządza opium w Chinach. Wreszcie i w zachodniéj Europie wśród zamożnéj i próżniaczéj klasy zaczyna się szerzyć morfinizm, głównie przez zastrzykiwanie morfiny. Są także tacy, co używają dla podniecenia wysilonéj energii kokainy, eteru, arszeniku w małych dozach. Na wschodzie znany jest silnie podniecający haszysz z soku konopi. Do kategoryi działających

---

[1]) Dr. de Marmon podawał około 1872 r., że w Anglii umierało od alkoholu 50,000 ludzi.

na nerwy środków należy także tytóń, upowszechniony w XVII stuleciu w Europie, pomimo oporu duchowieństwa i zakazów rządowych. Działanie jego na organizm w latach dziecinnych jest bardzo szkodliwe, przytępia bowiem zdolności umysłowe; w latach młodych jest także raczéj szkodliwe niż obojętne; dopiéro w dojrzałym wieku pewne znieczulenie nerwów, które sprowadza tytóń, przestaje być szkodliwém, oczywiście, jeżeli używanie go odbywa się w umiarkowany sposób.

Większe jednak szkody od alkoholizmu, morfinizmu i palenia tytóniu, sprowadza zatruwanie żywności przez rozmaite fałszujące ją domieszki chemiczne. Popełnia się w ten sposób skrytobójstwo, którego ofiarą pada przeważnie uboga ludność w wielkich centrach przemysłowych, gdzie ogromny popyt na przedmioty spożywcze przedstawia źródło łatwych i prędkich zarobków. Wprawdzie, we wszystkich niemal państwach cywilizowanych uznano za potrzebne rozciągnąć ścisły nadzór nad sprzedażą żywności, ale pomimo groźby kar, fałszowanie nie ustanie, jak nie ustaje przemytnictwo, chociaż także jest ścigane i karane.

Drugą funkcyą fizyologiczną, która po odżywianiu się największe ma znaczenie w stosunkach życia społecznego, jest czynność płciowa, rozrodcza. Potęga jéj jest tak silna, potrzeba jéj tak gwałtownie się odczuwa w świecie zwierzęcym, że wydaje się, jakoby istniało celowe dążenie do zachowania gatunku. Zwierzęta w epoce parzenia się, nie mogąc zadowolnić popędu płciowego, wściekają się lub dostają konwulsyi. Papugi, kanarki, gile i wiele innych ptaków, obserwowanych przez Buffona, ulegało padaczce, skoro je pozbawiano samiczek.

Popęd płciowy jest osią i bodźcem w rozwoju towarzyskości, altruizmu, inteligencyi. W zabiegach płciowych zradzają się: mowa i uczucia estetyczne. Najszczytniejszy przejaw ludzkości: m i ł o ś ć w najidealniejszéj swéj szacie wykwita z gruntu stosunków płciowych. Eros — jak powiada Plato — jest wielkim mistrzem, który usposabia człowieka, że ten przywiązuje się swém sercem do czegoś, co jest po za obrębem jego istoty. Z nici, które się snują z życia płciowego, powstaje osnowa życia społecznego.

W płciowym stosunku dają się wyróżnić dwie strony: jedna osobistéj, prywatnéj natury, obchodząca głównie te osoby tylko, które łączą się z sobą; druga, mająca interes ogólny, społeczny. Pierwszą stronę przedstawia sam akt łączenia się, drugą jego następstwo: rodzenie dzieci. Jeżeli społeczeństwo ma obowiązek troszczyć się o to, ażeby się nie zachwiała równowaga pomiędzy istniejącym zasobem żywności i postępem zaludnienia, to jednak nie ma prawa wtrącać się despotycznie we wszystkie szczegóły życia codziennego i ograniczać

człowieka w tém, co najczęściéj przechodzi jego siłę woli. Popęd płciowy bywa niekiedy tak gwałtowny, że sprowadza choroby i rozstrój umysłowy. Wiedzą o tém lekarze i nieraz jako środek zaradczy zalecają spółkowanie. Buffon w swojéj „Historyi naturalnéj" przytacza pamiętnik pewnego trzydziestodwuletniego księdza francuskiego, który opisał swoje cierpienia, jakich doświadczał wskutek popędu płciowego. Opowiada, że wszystkie kobiety wydawały się mu w tym czasie jakby otoczone jasnością elektryczną. W tym stanie podnieconym miał przypadek podobny do epilepsyi i dostał obłąkania. Choroba trwala przez sześć miesięcy. „Tymczasem — powiada o sobie — nie czytałem żadnego romansu miłośnego w przeciągu całego mego życia, nie okazałem żadnéj pieszczoty kobiecie, ani téż żadnéj nie pocałowałem." [1]) Wstrzemięźliwość więc płciowa może być zalecana tylko do pewnego stopnia.

Regulowanie wzrostu ludności odbywa się dzisiaj w społeczeństwach przez czynniki niezależne od woli człowieka: przez drożyznę życia, zmniejszoną odporność na choroby i wreszcie powiększoną śmiertelność. Socyologia, wyjaśniając zasadnicze prawa życia społecznego, prowadzi ku temu, ażeby czynność ślepą przyrody zamienić w czynność świadomą, ażeby kosztem pewnych ograniczeń, sprawiających mniejsze cierpienie, zapobiegać wielkim klęskom społecznym. Dla społeczeństwa nie jest pożądaną wielka liczba dzieci, z których połowa umiera przed dojściem do wieku dojrzałego, ale odpowiednia jego zasobom liczba zdrowych, silnych, umysłowo rozwiniętych i po obywatelsku wychowanych ludzi dorosłych.

Płodność nawet—jak to dowiódł Herbert Spencer w swojéj „Biologii" — zmniejsza się z postępem rozwoju ustrojowości. Samica lina składa sto tysięcy jaj, ale one po większéj części giną, albowiem dla swego wylęgnięcia się potrzebują od 22 do 25 stopni temperatury w ciągu pięciu lub sześciu dni następujących z kolei po sobie, co może się wydarzać przez krótki tylko czas w roku. Wogóle, jajorodne kręgowce są płodniejsze od żyworodnych. W rodzaju ludzkim Murzyni wydają liczniejsze potomstwo od Europejczyków. Spostrzegamy nawet u ludów europejskich zmniejszanie się stopniowe liczby rodzących się dzieci. Herbert Spencer mniema, że w związku przyczynowym z tém zmniejszaniem się płodności jest rozwój większy inteligencyi, na wytworzenie któréj spotrzebowuje się coraz większa ilość energii życiowéj. Topinard spostrzega także, że pomiędzy wielką płodnością i wyż-

---

[1]) Str. 32. „Extrait d'un Mémoire adressé à M. de Buffon", par M*** w „Oeuvres complétes de Buffon." T. V.

szością rasową istnieje pewne przeciwieństwo. Darwin wreszcie jest tego zdania, że dobór przyrodniczy może przyczynić się do przekształcenia rasy bardziéj płodnéj w mniéj płodną, ale lepiéj zastosowaną do ciężkich warunków walki o byt.

Spencer zrobił ważne spostrzeżenie w swojéj „Biologii", że obfitość w płodzeniu odbywa się kosztem tworów spłodzonych. I w saméj rzeczy, te rośliny, które wydają wiele nasion, mają je małe, a przeciwnie te, które stosunkowo niewielką ich liczbę wytwarzają, mają je duże, zdrowe i dobrze w pokarm zaopatrzone. W świecie zwierzęcym to samo. Znoszone jaja lub płodzone młode w wielkiéj liczbie, są małe, słabe i w czasie niemowlęctwa źle odżywiane. Rozszerzając to spostrzeżenie do życia rodzinnego ludzi, możemy powiedziéć, że każda rodzina, im mniéj ma dzieci, tém łatwiéj może je wychować, tém większa jest pewność, że będą one zdrowe i starannie kształcone. Gdzie się rodzi wiele dzieci, tam téż jest wielka pomiędzy niemi śmiertelność.

Zmniejszanie się liczebne płodzonych dzieci, łączy się z większą o nie troskliwością matki i ze wzmaganiem się uczucia przywiązania, które kształtuje pierwszą komórkę życia społecznego: r o d z i n ę. U ryb troskliwość o małe jest prawie żadna. U ptaków, u których liczba jaj rzadko dochodzi do 20, staje się już możliwą większa o nie troska, jakoż widzimy, że matka prawie przez trzy tygodnie ogrzewa je własném swém łonem, a gdy wyklują się z nich pisklęta, otacza je czułą opieką. U zwierząt ssących liczba płodzonych dzieci jest mniejsza, i stosunki rodzinne trwają dłużéj. Małpa zwykle rodzi jedno małpiątko, i miłość jéj macierzyńska jest już w wysokim stopniu rozwinięta. Stosunki téż rodzinne u małp są dość długotrwałe i silne. Rodzina staje się u nich całością organiczną, w któréj to, co się stanie z jednym z jéj członków, odczuwa się mocno przez wszystkich. Zauważono także, że w rodzinach ludzkich matka najsilniéj przywiązuje się do pierwszego dziecka, a im więcéj ma dzieci, tém słabszém jest dla nich uczucie, co zresztą jest zupełnie naturalném.

Troska o potomstwo wytwarza węzły rodzinne. Społeczeństwa pszczół, termitów, mrówek, mają charakter zupełnie rodzinny. Mrowisko jest to potężnie scałkowana rodzina. Przedstawia to ważny dowód, że w ewolucyi społecznéj porządek rodzinny, rodowy, był początkowym, pierwszym, i że dopiéro następnie ukazał się porządek polityczny, który stał się podstawą wyższych form ustrojowych.

Potrzeba odżywiania się i rozradzania staje się bodźcem do pewnych ruchów, które wykonywa organizm. Czynność ta, wynikająca z potrzeb organizmu, sama staje się potrzebą. Nazywamy ją p r a c ą,

jeżeli wykonywa się ona systematycznie w pewnym kierunku. Profesor Hartwig z Utrechtu wykazał, że większa część rzemiosł ludzkich wchodzi już w zakres pracy zwierząt, i przemysł ludzki można uważać za ciąg dalszy przemysłu zwierzęcego. Wiemy też, że pewnego rodzaju pasterstwo i rolnictwo istnieją u mrówek. Człowiek nadał pracy wyższe, szlachetniejsze znaczenie i uznał ją za moralny dla każdego obowiązek.

W miarę rozrostu organizmu społecznego, w miarę zwiększania się liczby jego członków, praca specyalizuje się, uniezależnia i przedstawia się jako najważniejsza jego funkcya. Wykonywanie pracy łączy się dla każdego ze świadomością jéj pożytku społecznego, i z tego względu staje się źródłem moralnego zadowolenia.

Należyte uregulowanie pracy jest nader ważném dla społeczeństwa. Powinno ono zespolić w sobie dwa waruuki: jak największą wydajność pracy dla społeczeństwa i najmniejszą jéj uciążliwość dla pracującego. Co do pierwszego warunku, to ekonomia polityczna powiada, że im większy jest podział pracy, im większa jéj specyalizacya, tém produkcyjniejszą jest ona. Tymczasem przeciwnie, im praca jest mniéj rozdzielona, im jest ogólniejsza, im całkowiciéj wprowadza w ruch rozmaite organy naszego ciała, tém jest pożyteczniejsza i przyjemniejsza dla pracującego. Pogodzenie obu tych warunków jest możliwe i nasunęło już Fourier'owi świetny pomysł odpowiedniego zorganizowania pracy pod nazwą przyciągania przemysłowego (*attraction industrielle*).

Virchow nazwał badania antropologiczne rewolucyjnemi, i istotnie dokładne poznanie przyrody i życia człowieka musi wywrzeć stanowczy wpływ na unormowanie warunków, wśród których on istnieje, i przyczynić się do należytego uregulowania stosunków społecznych.

B. L.



Manfred, hr. Henryk i Płoszowski

jako przedstawiciele trzech pokoleń XIX stulecia.

(Ciąg dalszy).

Ugo jest arystokratą myśli; hrabia Henryk — arystokratą uczucia i wyobraźni. Obaj wznoszą się nad otoczenie swoje, ale zimno społeczeństwu od téj wyższości; tylko ujemne ziarna sieją w myśli i czynie... Bo nie mieli téj miłości dla ludzi zwyczajnych, nie-poetów i nie-bohaterów, téj miłości, która każe zbliżyć się do nich i podnieść do siebie, zamiast uciekać od nich i sarkać zdaleka; miłości, która każe odczuwać ból wszystkich cierpiących, płakać łzami wszystkich w niedoli porzuconych, przez którą zapominają się własne, nieraz okropne cierpienia, na myśl o tém, jaką znikającą kroplę stanowią one wśród bezmiaru niedoli świata.

Wszyscy wymienieni tu bohaterowie, zarówno Manfred jak i Henryk, jak i Ugo, przeciwnie do potwornéj wielkości wydymają własne niepowodzenia, niekiedy urojone bóle, z pogardą patrząc na rzeczywiste męki innych, którzy czują może mniéj subtelnie, może mniéj boleją nad rzeczywistym, ile te wyjątkowo wrażliwe natury nad urojonym smutkiem, ale cierpią i boleją jednak...

Zapatrzeni są w siebie i drobna ich istotka rośnie, wydyma się do rozmiarów potężnych, olbrzymich; pochłania ich cały byt, zapełnia całą myśl, zasłania im szeroki świat...

A wielka myśl społeczna kiełkuje tymczasem, rośnie, ale formy znaléźć nie może; bo nie umié jéj stworzyć instynkt tłumu, a geniusze odbiegli od niego, wzbili się w obłoki i zajęci szarpaniem własnych wnętrzności, zapomnieli o nim.

I myśl ta czepia się takich Pankracych, geniuszów zniszczenia...

. . . .

Ubiegł szereg lat, który wiele zmienił. Myśl po bezowocnych próbach wcielenia jéj w czyn, odtrącona i zgnębiona przez pokolenie Henryków, ostatnie, co arystokratyzm zrozumiało jako posłannictwo dziejowe, obniżyła chwilowo polot, przechodząc do demosu. Jak ptak z podciętém skrzydłem upadła z nieba na ziemię i wlecze się po niéj...

I wielkich mężów przestała tworzyć myśl poetów, a wiek „wylęgły w grobach, wzrosły na ruinie" wydaje od czasu do czasu takich „poetów czynu", natury wrażliwe, pragnące „wylatywać nad poziomy..." Ale nie mają dziś one tego promiennego wzroku, którym wieszcz każe „przeszywać ludzkie ogromy"; bo zgasło już wielkie słońce ideałów. Doktrynerzy wygnali je z życia i kazali ukorzyć się przed faktem; a wspomniane natury wrażliwe, „poeci czynu" nie są prawdziwymi poetami życia, nie są geniuszami twórczymi, którzyby potrafili utorować nowe własne drogi. Czémże się staną? Wydadzą Płoszowskich.

Polem właściwém dla eposu i dramatu jest czyn, bez którego nie ma akcyi. Mimo to widzimy niekiedy udatne utwory epiczne lub dramatyczne, których główni bohaterowie cierpią na zupełny brak postanowienia do czynu, na „chorobę woli", jak trafnie określił P. Chmielowski [1]), stan psychiczny Płoszowskiego. Akcya w takim razie przebiega niezależnie od woli bohatera, pociągając go za sobą. Jego czynności podobne są do ruchów automatu, a zadaniem poety staje się odsłonięcie przed czytelnikiem tego wewnętrznego mechanizmu sprężyn, których starcie się powoduje nie ruch, ale bezwładność.

Odwiecznym pierwowzorem podobnéj chwiejności jest Hamlet, typ powszechny co do czasu i przestrzeni. Płoszowski chociaż mimowoli nasuwa z nim porównanie, jest jednak charakterystycznym wytworem końca naszego stulecia i zasadniczo różni się od swego pierwowzoru z początku XVII-go wieku. Hamlet nie jest duchowym ojcem Płoszowskiego, poprzedników tego ostatniego powinniśmy szukać nie wśród oderwanych od biegu czasu typów, lecz w zupełnie określonéj dobie dziejowéj.

---

[1]) „Ateneum" 1890. „Choroba woli."

Pod względem myśli, Płoszowski jest uczniem Uga, tak jak Ugo — uczniem Omegi. Jest on jednym z tego tłumu, któremu rzucał Ugo zmienione na zdawkową monetę, obniżone do jego poziomu doktryny Omegi. Płoszowski jest nawskróś przetrawiony rozkładowym fermentem téj nauki.

Pod względem wyobraźni i wrażliwości, jest tak samo rozpieszczony, jak Manfred lub Henryk, o tyle tylko niżéj stojąc od nich, o ile i w tym kierunku oddziałał nań ferment epikureizmu, zarówno ceniącego wszelkie rozkosze i brak „dogmatu", usuwający skalę wyższości lub niższości.

Ale pod względem uczucia i woli jest Płoszowski dzieckiem swego czasu, wytworem „swego rodzaju" (*sui generis*), nie mającym nic podobnego sobie w postaciach poetycznych minionych okresów. Bo brak woli Płoszowskiego nie da się, jak już wspominałem, zestawić z chwiejnością Hamleta, a wyjaśnienie przyczyn téj „choroby", stanowi istotę zagadnienia psychologicznie-społecznego, na które odpowiedzią, może trochę jednostronną, lecz w każdym razie trafną, jest tytuł powieści: „Bez dogmatu."

U Hamleta przyczyną wahania się nie jest wątpliwość co do wyboru drogi, ale niepewność tego, czy on stoi na téj drodze, o któréj wié, że jest dobrą; Płoszowskiemu przeciwnie brak jakiejkolwiek pobudki, dla którejby miał wybrać raczéj jedną lub drugą; idzie tą, na którą go fala wyrzuci i nie ma żadnego powodu szukać innéj. Jedynemi pobudkami, które nim kierują, są nawyknienia, względy przyzwoitości, chwilowe upodobania, nie wiem co wreszcie, co nawet w jego własnych oczach ma tyleż znaczenia, jak barwa rękawiczek lub kształt krawata.

„Zatraca się we mnie w pewnym stopniu poczucie różnicy między złém i dobrém, pisze Płoszowski po upadku swoim, a co więcéj, różnica ta staje mi się obojętną. Przypuśćmy, że jesteś gorszy, niż byłeś — więc cóż z tego? Dlaczego masz męczyć się z jakichkolwiek powodów?"

Przystępując do szczegółowego rozbioru psychologicznego głównéj postaci z powieści Sienkiewicza, powinniśmy ustrzedz się przedewszystkiém możliwych błędów, wynikających z pamiętnikowéj formy, która, zdaje się, że uwiodła niektórych z krytyków naszych.

Prowadząc opowiadanie w pierwszéj osobie, autor musi zamilczać i kazać domyślać się czytelnikowi o pewnych rysach charakteru swego bohatera, których wypowiedzenie przez niego samego mogłoby nietylko zrobić niemiłe wrażenie, ale wprost przedstawić go w fałszy-

wém świetle; tak np. nie może włożyć mu w usta pochwał dla swoich zalet lub powodzeń, jeśli nie chce go przedstawić zarozumialcem lub fanfaronem.

Powtóre, człowiek piszący o sobie, może się często łudzić co do pobudek lub charakteru swoich uczynków, może uciekać się do sofistycznych usprawiedliwień przed sobą samym i t. d., a intencyą autora może być niekiedy właśnie przedstawienie tych złudzeń lub sofisteryi jako takich.

Powieść w formie pamiętnika wymaga ze strony czytelnika więcéj wyobraźni i głębszéj analizy niż zwyczajne opowiadania; zbliża się ona pod tym względem do dramatu, że w obu brak wskazującego palca autora; co w jedném musi dograć aktor, to w drugiém powinien sobie domówić czytelnik.

Analizując charakter Płoszowskiego, powinniśmy więc ustrzedz się podwójnego błędu: 1) Nie powinniśmy brać za czystą monetę jego złudzeń, urojeń i wybryków lub pięknych słówek, których chociażby w najskrytszych i najszczerszych wynurzeniach nie może się ustrzedz człowiek przyzwyczajony do ciągłego pozowania w życiu, człowiek, którego jedyném polem działalności był salon. 2) Nie należy zapominać, że widzimy jego osobę zawsze tylko przez pryzmat jego własnych zapatrywań, które mogą być w pewnych razach zbyt czarno, w innych zbyt różowo zabarwione; w jakim kierunku i w jakim stopniu potrzebne będą tu sprostowania—wynikać to będzie z całokształtu jego charakterystyki. „Moje myśli są gorsze odemnie", mówi Płoszowski w jedném miejscu.

Przedewszystkiém zaś pamiętać należy, że bohater Sienkiewicza nie jest abstrakcyą, jak doktór Omega lub Ugo; jest on żywym i konkretnym, może nawet zanadto konkretnym człowiekiem, ażeby być skończonym typem poetyckim; że na utworzenie téj postaci złożył się cały szereg warunków, oprócz tego rysu zasadniczego, który określa tytuł powieści. „Jestem istotą złożoną", mówi on sam o sobie.

Charakter typu tego jest taki, że dla najlepszego uwydatnienia jego, dla doprowadzenia wytycznych rysów do możliwego wykończenia wypadało go umieścić w pewnych wyjątkowych warunkach. Autor zrobił z niego zamożnego arystokratę, nie potrzebującego troszczyć się o chléb powszedni, z łatwością zaś mogącego spełniać wszelkie swoje zachcianki, bo w tych warunkach najlepiéj mogła się rozwinąć i okazać owa „choroba woli", która jest wybitną cechą jego charakteru, a którą by niezawodnie osłabiło, jeśli nie uleczyło zupełnie, zdrowe tchnienie pracy, wyrzeczeń i walk życiowych.

Dalej należało zaznaczyć ogólno-ludzki charakter tego typu. Ani Manfred, ani hrabia Henryk nie należą do żadnej narodowości; miejscem pierwszego z tych dramatów są „Alpy"; drugiego — „okopy św. Trójcy." Sienkiewicz nie mógł tak postąpić: forma powieści i wymagania realistyczne dzisiejszéj estetyki nie pozwalały mu zawiesić bohatera swego gdzieś między niebem a ziemią, a niektóre względy — głównie może konieczność zbliżenia go do Anielki, która jest czysto polskim typem niewieścim — kazały autorowi zrobić Płoszowskiego Polakiem. Aby jednak zaznaczyć kosmopolityczny charakter typu swego, a zarazem usunąć z niego możliwie to wszystko, coby nosiło cechy miejscowe, Sienkiewicz osiedla ojca Płoszowskiego we Włoszech i daje Leonowi nawpół obce wychowanie. Spędziwszy połowę życia zagranicą, przerzucany z Rzymu do Paryża i tylko na krótko odwiedzając rodzinny kąt, nie mógł Leon wyrobić sobie tych uczuć względem niego, z których urosły np. dogmaty rzeźbiarza Łukomskiego [1]).

Są to tylko akcesorya niezbędne jak wspomniałem dla doprowadzenia zasadniczych rysów bohatera do największego wykończenia: tak rzeźbiarz pragnący uwydatnić siłę muskularną atlety, nie da mu postawy spokojnéj, lecz przedstawi go wyprężającym wszystkie swe siły. Ale każda z tych okoliczności pozostawia po sobie pewien ślad w charakterze, pewien rys, który w stosunku do typu jest przypadkowym, a dodaje mu życia jako osobnikowi poetyckiemu. Jest tu i rozpieszczenie człowieka, któremu często kadzono dzięki przypadkowemu stanowisku, jakie zajmuje w towarzystwie, jest próżniactwo sybaryty

---

1) P. Wł. Bogusławski w swoim wzorowym rozbiorze „Bez dogmatu" („Gaz. Polska" 1890 r. №№ 262—266), zaprzeczając aby Płoszowski był typem międzynarodowym, opiera sąd swój między innemi dowodami na charakterze jego miłości, tak odmiennéj od miłostek np. opisywanych w powieściach francuskich. Nie należy jednak zapominać, że tę formę przybiera miłość Płoszowskiego dopiéro stopniowo pod wpływem Anielki, która jest prawdziwie polską niewiastą. Pierwsze przystąpienie do niéj Płoszowskiego przeciwnie nosi cechy przyzwyczajeń nabytych na arenie międzynarodowego flirtu: widzimy tu zachwyty wobec „puszku" na policzkach, wyrażenia takie, jak np. „wygląda tak (Anielka), że chciałoby się ją schrustać i t. p., a nawet ubolewanie nad tém, że nie ma balzakowskich latek.

Niezawodnie, że Płoszowski musiał mieć w sobie pewne osobliwości czysto narodowe, pewne cechy przyrodzone, których nie zdołało zatrzéć kosmopolityczne wychowanie. Ale przynajmniéj z przekonań jeśli nie z uczuć można go nazwać człowiekiem bez ojczyzny, również jak i bez dogmatów. Zdaje mi się, że z tém twierdzeniem w zgodzie zostają następujące słowa krytyka: „Płoszowski rozwinął się w atmosferze egzotycznéj duchowo; świat jego, świat idei, pojęć, poglądów, nie naznaczył go charakterystyką odmiennych obyczajów i stosunków." („Gaz. Polska" № 263, str. 1). Sam Płoszowski nazywa siebie „duchowém dzieckiem zagranicy."

duchowego, którego nic nie napędza do pracy; jest zdenerwowanie, wynikające ze zbyt swobodnego użycia rozkoszy, do których przystęp ułatwiało bogactwo, wychowanie i otoczenie i ten sceptycyzm, jaki często spotykamy wśród ludzi zamożnych, którzy uogólniając pośpiesznie ograniczone doświadczenie swoje, wyobrażają sobie, że wszystko potrafią kupić jeśli nie pieniędzmi to łaską swoją [1], jest i trochę arogancyi, i zuchwalstwa pochodzącego z bezkarności; są histeryczne kaprysy i niedorzecznie drażliwa miłość własna, która staje się jednym ze źródeł jego nieszczęścia — i co najdziwniejsza, że okazuje ją wtedy właśnie, kiedy tak upadł moralnie i zawinił względem Anielki przez stosunek swój z Laurą, — jest i nałogowa kokieterya (np. w stosunku do Chwastowskiego), i wygórowana próżność salonowa, objawiająca się w skwapliwém notowaniu wszystkich swoich drobnych tryumfów: czy to idzie o przewagę w pewności nad Laurą, czy o komplement Klary, czy o zwycięstwo dyalektyczne nad Stawowskim lub o skaptowanie młodego Chwastowskiego, a nadewszystko bardzo dużo egoizmu.

Najbardziéj wybitnym rysem umysłu Płoszowskiego jest pesymizm — cecha wspólna z Manfredem i hr. Henrykiem. Ale jakże odmienne tu są źródła i objawy tego usposobienia! Manfredowi wszystkie zabiegi i usiłowania ludzkie wydają się zbyt drobnemi, ażeby warto było dla nich żyć. Jak olbrzym na karłów, spogląda na mrowisko ludzkie, lituje się nad małością jego celów, pragnie dla siebie jakichś olbrzymich, których znaléźć nie może i dlatego czuje w duszy pustkę. Takież nienasycone pragnienia, takaż wygórowana ambicya, wywołuje ów straszny okrzyk z piersi Henryka, kiedy po stoczonéj walce uledz musi przemocy:

— „Człowiekiem być nie warto, aniołem być nie warto; trzeba być Bogiem, albo niczém!"

Tylko że tu nie brak celu, ale niemoc w ich osiąganiu wywołuje ten krzyk bolesny. W każdym razie u obu pesymizm jest owocem ich życiowéj tragedyi. Raz przekonawszy się o marności świata, nie wyciągają już dłoni po jego rozkosz.

Inaczéj u Płoszowskiego; nie sięga on tak wysoko, ani téż pesymizm jego nie płynie z tak głębokich źródeł. Przyczyną jego pesymizmu są pewne poglądy abstrakcyjne, które w gruncie rzeczy tak blisko go nie obchodzą. Dlatego téż usposobienie to ma u niego charakter przeważnie rozumowy, nie uczuciowy. Nie wpływa ono bezpo-

---

[1] Przypomnę np. te słowa: „wypchałem mu (doktorowi) kieszenie tak, że włożył kapelusz dopiero za bramą."

średnio na czyny jego, chociaż stanowi ogólne tło życia, które niemniéj rzuca swoje posępne barwy na wszystko, co się w niém roztacza. To téż bardzo trafnie charakteryzuje go sam Płoszowski, gdy mówi, że nosi swój dramat pod koszulą. Pesymizm tu nie jest wynikiem życia, lecz je poprzedza; nikły „jak dym hawańskich cygar", przesłania on jednak Płoszowskiemu świat, ale nie przeszkadza mu, ażeby natychmiast po pesymistycznéj przegrywce wyciągał rękę po jego przyjemnostki. Jako dekadent współczesny umié on łączyć pesymizm w poglądach ogólnych z epikurejską gonitwą za rozkoszami *in concreto*. Źródłem tego pesymizmu jest niewiara spowodowana przez filozofię, którą wyznaje Płoszowski. Rozpatrzmy ją nieco bliżéj.

Nie wierzy on przedewszystkiém w samą tę filozofię, a więc wogóle w rozum ludzki, w jego zdolność osiągnięcia prawdy, wyrzeka na nią, że zburzyła jego naiwne wierzenia, nie dając mu w zamian nic trwałego i pewnego. W téj filozofii, która na wszystko odpowiada „nie wiem", która „przyznaje, że jéj w dawném ogólném znaczeniu nie ma — i że istnieje tylko jako filozofia poszczególnych gałęzi wiedzy" a biorąc zwłaszcza na uwagę wiek Płoszowskiego — łatwo poznajemy pozytywizm, z silném zresztą sceptyczném zabarwieniem. Ale pozytywizm filozoficzny mówił: „nie powinieneś zajmować się dociekaniami rzeczy nieprzystępnych rozumowi", przyczém domyślnie uzupełniał ten zakaz nakazem: „a siły, którebyś na nie zmarnował, użyj na zagadnienia i potrzeby życiowe." Płoszowski z pierwszego twierdzenia przyjął tylko zaprzeczenie, tylko owo „nie wiem", którém odpowiada pozytywista na zagadnienia niedostępne doświadczeniu. Nie zajmować się temi zagadnieniami nie mógł i to dla dwóch przyczyn: najprzód dlatego, że zajęcie się niemi leży w naturze ludzkiéj; powtóre dlatego, że nie domyślał się tego drugiego nakazu, który dla człowieka zdrowego stanowił logiczną konsekwencyę pierwszego zaprzeczenia, a którego spełnienie przyczyniłoby się przynajmniéj do usunięcia na drugi plan owych nierozwiązalnych zagadnień. Płoszowski skarży się nieraz na pewną „nieudolność życiową", stanowiącą cechę jego charakteru; ta to właściwość, którą w swojém miejscu poddamy bliższemu rozbiorowi, jest główną przyczyną, że życie szerokie nie może porwać go w swój wir i kazać zapomnieć o zagadnieniach teoretycznych wśród walk i trudów czynu. Filozofia ta czyni go więc tylko nieszczęśliwym. „Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszéj dla mnie wagi — a miałaś jéj dość, by podkopać moją ufność w naukę, która mi na nią odpowiadała nietylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki... Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją, jest zwątpienie i krytyka... Wypaliłaś, jak ka-

mieniem piekielnym, we mnie wszystkie te nerwy ducha, któremi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak, że dziś gdybym chciał wierzyć, to nie mam czém..., dziś jestem sceptykiem nawet względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! — i męczę się i szaleję w téj ciemności!..."

Również nie ma Płoszowski wiary w społeczeństwo i jego przyszłość. Ta wyrafinowana cywilizacya, która tak mile oddziaływa na jego nerw estetyczny, sprawia na nim wrażenie sewrskiéj porcelany; czuje on jéj kruchość. „Czy myślisz, mówi do Śniatyńskiego, że ci wytworni dyletanci życiowi nie muszą przegrać w walce o byt z ludźmi, mającymi tęgie nerwy, grube muskuły i grubą skórę." Tak jak i br. Henryk, tém bardziéj, że jest mniéj od niego poetą a więcéj pseudo-estetykiem, kocha Płoszowski ten świat, przeznaczony według jego przekonania na zagładę, jedyny, dla którego „warto żyć." „Oczywiście, że wyroby sewrskie prędzéj czy późniéj się potłuką, a z gliny przyszłość ulepi, co jéj się podoba."

Sam on nie czuje powołania do tego, aby w czémkolwiek przyłożyć się do owego lepienia przyszłości, aby na miejsce „co jéj się podoba" rzucić swoje „chcę!" I tu mu stoi na przeszkodzie owa nieudolność życiowa. „Nie czuje się na siłach być reformatorem nawet samego siebie." Wreszcie co go to może obchodzić? — „W rzeczywistości istnieją tylko indywidua, gatunek zaś jest pojęciem ogólném i w stosunku do jednostki najzupełniejszą nirwaną. Rozumiem miłość do swego syna, wnuka, prawnuka, to jest właśnie do jednostek, przeznaczonych na zagładę, ale patryotyzm swego gatunku może miéć chyba albo bardzo nieszczery, albo bardzo głupi doktryner." Taki szczery wniosek robi Płoszowski z nieszczerych powikłań, któremi oplata swoje autor „Dyalogów filozoficznych" książki, któréj wpływ widocznie odbija się na wielu kartach dziennika naszego bohatera [1]).

---

[1]) Czytamy np. u Renana: „Religia jest dla ludzkości tém, czém instynkt macierzyński dla ptaka — ślepém poświęceniem siebie dla celów nieznanych, wytkniętych przez naturę; rzecz niedorzeczna w sobie, dobra dla celów przyrody, a więc prawdziwa a nadewszystko święta. („Dialogues" str. 32). „Złem jest powstawać przeciwko przyrodzie gdyśmy się przekonali, że nas oszukuje. Tak, zapewne że oszukuje, lecz poddajmy się jéj. Cel jéj jest dobry; chciejmy tego, czego ona chce" (str. 46). Rozumiem, że ktoś daje się złapać w pułapkę jeśli jéj nie widzi. Lecz nie ma istoty tak głupiéj, ażeby dała się namówić do pułapki dla samych pięknych oczu owego niezrozumiałego, a może i nieistniejącego celu nieznanéj nam pani, którą Renan nazywać raczy Przyrodą. To też wysnute przez Płoszowskiego konsekwencye są i logiczne i zupełnie ludzkie. Z równą konsekwencyą zawoła późniéj: „Co mnie obchodzi układ społeczny, który wyciska krew ze mnie?" Ale na to już można mu odpowiedziéć: „Dlaczegożeś nie pomyślał o lepszym układzie, lepszym dla ciebie i dla innych?

Nie jest jednak Płoszowski pozbawiony pewnych sympatyi do kół szerszych: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaléźć łatwiéj.” „...Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę i piękne kobiety.”

Lubi on tę warstwę, z którą czuje się blizkim, z którą wspólnie odbywa „miły spacer” przez życie, jak się wyraża jeden z jego mistrzów w filozofii życiowéj, „prześnić jego sen”, „smakować gorycze i słodycze”, jak mówi drugi [1]).

Ale Płoszowski należy do pokolenia, które niegdyś, w młodzieńczym wieku marzyło o pracy dla ludu i wierzyło w ten lud. Trudno wprawdzie zrozumiéć, gdzie się przejął on temi ideami, bo ani ksiądz Calvi, ani Jezuici w Metz zapewne ich nie wygłaszali. Również nie mógł wyczytać o tém w swoich ulubionych książkach: Renanach, Bourgetach i t. p. Chyba że coś słyszał w czasach koleżeństwa ze Śniatyńskim. Bądź co bądź stracił on i tę wiarę.

Lud, ten „ideał, przed którym nawet bardzo zuchwali sceptycy czapki zdejmują”, nie pociąga go ku sobie. Jest to dla niego „absolutne barbarzyństwo i ciemnota” Owidiuszowa *rudis indigestaque moles*, z któréj przyszłość ulepi co jéj się podoba. Już „na cokóle posągu zaczynają różni psotnicy wypisywać mniéj więcéj cyniczne koncepta... Przyjdzie w końcu jakiś genialny sceptyk, jaki drugi Heine, oplwa i spoliczkuje tego bożka — jak to w swoim czasie uczynił Arystofanes, — ale oplwa go nie w imię żadnych starych ideałów, tylko w imię wolności myśli, w imię wolności wątpienia — i co wówczas nastąpi — nie wiem. Prawdopodobnie na téj ogromnéj pustéj karcie dyabeł będzie pisał sonety” [2]). To téż jego filozofia dziejowa prowadzi do najsmutniejszego z wniosków: „oto dziad mój był szczęśliwszy od mego ojca, mój ojciec odemnie, a mój syn, jeśli go będę miał, będzie wprost litości godną figurą.”

Ta rażąca sprzeczność pomiędzy „wykwitem a może i przekwitem kultury” z jednéj strony, a „ciemnotą i barbarzyństwem” z drugiéj, odsłania mu grozę przyszłości, a przewidywania jéj nie należą do takich, któreby mogły osłabić pesymizm. „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne

---

[1]) Bourget.

[2]) Pisząc te wiersze Płoszowski, może był pod wrażeniem następującego ustępu z Bourget'a: „Nie potrzeba wielkiéj bystrości analizy, ażeby odkryć, że głosowanie powszechne jest najprędzéj nieprzyjazne ludziom wyższym.“ (*Essai de psychologie contemporaine.* T. I, str. 102) lub następujące słowa włożone przez Renana w usta Kalibana: „Wojna książkom! Są to najwięksi wrogowie ludu. Ci, którzy je posiadają, mają władzę nad swoimi bliźnimi.“

mrówczéj pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się jak morze — a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich. My, nie wiedząc o têm, mamy zamiłowania, nerwy i dusze, dobre na święto [1]). Widzi on, że „do tego oderwanego świata należą mniéj lub więcéj wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka.” I oto budzi się w nim „pół jasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całéj kulturze” [2]).

Również niepocieszające, jak filozoficzne i społeczne *credo*, są poglądy Płoszowskiego na rzeczy, dotyczące osobistego życia i szczęścia. Szczęście to jedyna rzecz, po którą Płoszowski gotów w każdéj chwili wyciągnąć rękę, jak dziecko po łakocie; a jednak nie wierzy w nie. „W życiu, powiada on, szukamy instynktownie świątecznych stron, rozkoszy i szczęścia—a nie wierzymy także i w szczęście.”

Dla człowieka, który w sposób tak uroczysty wyparł się „patryotyzmu swego gatunku” t. j. miłości ludzi, nie może być źródłem szczęścia dążenie do jakichś wyższych celów, do ideałów, sięgających po za osobiste uczucia i aspiracye. „Ze wszystkiego, z czego składa się życie, pozostała nam naprawdę tylko kobieta”, mówi Płoszowski o gromadce ludzi, do których należy.

---

[1]) Jakże przypominają te „*Causeries romaines*“—tak nazywa Płoszowski owe pogawędki — „*La tour d'ivoir*“ St. Beuve'a, w któréj się zamyka literatura oderwana od szerokiego życia, oraz odpowiedni ustęp z poematu Lukrecyusza:

Suave mari magno turbantibus aequora ventis
E terra magnum alterius spectare laborem.

[2]) Porównajmy z têm następujący ustęp z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego, pisanego w tym samym prawie czasie co i „Nieboska komedya“ (Rzym, 1834): „Cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem że bliskie są czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą karać stare i same się potępią w obliczu Boga, ale wiem także, że one nic nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Atylli... Dopiéro to czego ani ja, ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje, wzniesie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiéj, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje. Ale wtedy i moje i twoje kości prochem gdzieś będą.“ Ta jednakowość nastroju poety, z którego wypłynęła postać hr. Henryka, a myśli włożonych przez Sienkiewicza w usta swego bohatera — owo poczucie kruchości lub blizkiego upadku cywilizacyi, a niewiara w to, co ją zastąpić może, najlepiéj świadczą na korzyść słuszności zbliżenia i interpretacyi owych dwóch postaci, tak jednak niepodobnych do siebie, jak czasy i pokolenia, które je wydały.

Nie jest to jeszcze tak mało, jak się Płoszowskiemu wydaje. Stosunek do kobiety, forma, w któréj się objawia miłość, jest probierzem a po części i źródłem wysokości ogólnego nastroju ducha danéj epoki lub danéj warstwy społecznéj. Jak z jednéj strony pogląd na miłość i kobietę służy za miarę idealizmu danego społeczeństwa, a położenie jéj za miarę prawdziwéj jego cywilizacyi, tak z drugiéj znowu jedno i drugie wpływa na charakter uczucia, które już przez samą swą uniwersalność, siłę i skłonność naturalną do idealizacyi, służy za szkołę dla innych. „Miłość nie daje rad bohaterowi, powiada Szyller [1]), nie wychodzi z nim w bój, nie pomaga mu w jego czynach; lecz może ona wychować człowieka na bohatera, powołać do wielkich dzieł, dać mu siły do walki za ludzkość, słowem uczynić człowieka tém, czém być powinien.” Ale miłość taka może istniéć tylko tam, gdzie jest cześć dla kobiety.

Inne wszelako są zapatrywania w tym względzie Płoszowskiego. Jego stosunek do kobiet — to przedewszystkiém pogląd „lisa na gołębnik.” Te, wśród których spędził młodość, t. j. panie z arystokratycznego i finansowego świata francuskiego, charakteryzuje następującemi słowy: „Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają też częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycyi obowiązującéj.” Są to pierwowzory typów, które spotykamy w powieści francuskiéj spółczesnéj; okoliczność ta ważna, bo temu otoczeniu, w którém skutkiem warunków wyjątkowych znalazł się Płoszowski, nadaje znaczenie pierwiastka powszechniejszego w wychowaniu moralném naszego inteligentnego pokolenia. Jeśli bowiem Sienkiewicz, któremu szło o spotęgowanie wpływów, zdolnych wytworzyć typ „człowieka bez dogmatu”, uważał za właściwe przeprowadzić bohatera swego przez tę szkołę zepsucia w życiu, to nie ulega wątpliwości, że chociaż w słabszym stopniu, ale w tym samym kierunku oddziaływa czytanie odpowiedniéj literatury powieściowéj, która bądź w oryginale, bądź w lichych przekładach, dostarczanych skwapliwie przez niektóre firmy, stanowi pokarm duchowy pewnych warstw naszego społeczeństwa.

Książka zajmuje ogromne miejsce w naszém wychowaniu nietylko intelektualném, ale i moralném; to co czyta się w wieku, kiedy umysł jest najbardziéj wrażliwy na dobre i złe, nie może pozostać bez wpływu na ideały i przekonania pokolenia, które głównie pod wpływem książek wyrabia swoje. Najgorszą zaś z depravacyi jest ta,

---

[1]) Ueber da Pathetische.

która, rzucając potwarz na kobietę, lub ją demoralizując, zatruwa najobfitsze, najpowszechniejsze źródło lepszych i wyższych uczuć, jakiém jest czysta, pełna czci miłość dla kobiety. Na tle tego uczucia z łatwością rozwinąć się może zarówno inna szersza miłość, jak i cały szereg cnót heroicznych i wzniosłych. Wszystko będzie zależało od poziomu moralnego kobiety i od stopnia szacunku, jakiego używa w daném społeczeństwie. Poniżenie jednego i drugiego, czy to drogą rozszerzania w książkach na wszystkie kobiety spostrzeżeń, zrobionych przez autorów wśród najgorszych z nich, czy to przez rzucenie młodzieńca w koło tych najgorszych, będzie miało za skutek maksymę praktyczną, tak sformułowaną: „w imię czego i dla kogo mam być lepszym od innych?"

W zachowaniu się Płoszowskiego względem kobiet nie ma nic ani etycznéj czci rycerza, ani czystych estetycznych uczuć poety, ale sama tylko pożądliwość pseudoestetyka. „Gdy widzę jakąś kobietę po raz pierwszy, spoglądam na nią, z mocy dawnych przyzwyczajeń, jak na przyszłą możliwą zdobycz, ale są to raczéj odruchy umysłowe"— tak pisze on wtedy, gdy już Anielka o tyle opanowała całą jego istotę że nie może zajmować się innemi; porównywa sam siebie do jubilera wycofanego z interesu: „Ujrzawszy jakiś cenny klejnot, powiadam sobie: warto się o niego postarać, następnie przypominam sobie, żem się już zlikwidował — i idę daléj." Jakiegoż to jednak zepsucia wewnętrznego, jakiego nałogu flirtowego potrzeba, ażeby podobne zapatrywanie jak na zdobycz stało się aż odruchem, ażeby w kobiecie nie przemawiało do niego nic jako do człowieka, tylko jak do mężczyzny! Płoszowski jest tak dalece zepsuty pod tym względem, że przenosi swoje usposobienie na ogół mężczyzn, uważając je za naturalny niemal stan rzeczy: „My mężczyźni, jesteśmy tak przyzwyczajeni do dybania zawsze i wszędzie na kobietę, że do młodéj i przystojnéj żaden z nas nie zbliża się nigdy bez ubocznéj myśli."

Ta zupełna niewiara we wszystko czém może zapełnić życie człowiek o nieco szerszym widnokręgu, o wyższych aspiracyach, wystarcza też zanadto do wytłumaczenia pesymistycznego usposobienia Płoszowskiego. Skarży się on téż nieraz, że „nie ma celu w życiu."

Ale jeśli nic go nie pociąga do czynnego życia, a ma przytém umysł wrażliwy, skłonny do zastanowienia i kontemplacyi, czy nie mogły by mu zapełnić istnienia te dwie dziedziny, w których tyle umysłów wyższych znajduje spokój i ukojenie, a nawet szczęście: sztuka i wiedza?

Płoszowski ma siebie za estetyka, często wspomina o swoich estetycznie wyrobionych nerwach. Sprobujemy więc przedewszystkiém

odpowiedzieć na pytanie jakie miejsce zajmują w życiu jego sztuka i piękno?

Nie ma chyba człowieka, który by był zupełnie niewrażliwy na piękno, jakakolwiek będzie różnica w jego pojmowaniu, i na tém właśnie polega ogólny wszechludzki i cywilizacyjny wpływ sztuki. Nie do wszystkich jednak okazujących w ten lub inny sposób tę wrażliwość z równém prawem stosować możemy nazwę natur estetycznych; wiadomo wszystkim, że melomani często najmniéj rozumieją i odczuwają muzykę; a wśród turystów, którzy robią ogromne wycieczki w celu niby zadość uczynienia potrzebie oglądania piękna w naturze, wielu musi wyczytywać z Bedeckera wskazówki, kierujące ich zachwytami. Wśród masy ludzi, których ogół miesza razem pod wspólną nazwą estetyków, jest bardzo niewiele natur prawdziwie estetycznych, ludzi głębiéj odczuwających piękno jako objaw ideału, jako zmysłową szatę pewnéj szczytności ducha. Tacy to k o c h a j ą piękno; sztuka dla nich stanowi istotną i prawdziwą potrzebę; nie mogą się bez niéj obejść, a chociaż nie są twórcami w jéj zakresie, zasługują jednak na miano natur poetycznych; ich twórczość objawia się w życiu potoczném, niekiedy na polu dziejowém, a w czynach ich przewodnikiem są te ideały, w których szatą jest piękno w sztuce. Ale takie natury wtedy tylko mogą zapełnić całe życie sztuką, gdy są w niéj twórcami lub przynajmniéj pracownikami; gdy służąc jéj z powołania, służą zarazem ludzkości. W przeciwnym wypadku nurzają się tylko chwilowo w stygijskie fale piękna, aby wyszedłszy z nich z nowym hartem, iść w walki i trudy życia, aby wspomnieniem idealnéj dziedziny bronić się od poziomych i degradujących napływów a światłem ich rozjaśniać drogi czynu. Wszelki dyletantyzm nienawistny jest tym ludziom czynnym Większość przeciwnie „lubi" sztukę jak cienką bieliznę lub delikatną potrawę; rozkoszowanie się w niéj jest dla nich rodzajem sybarytyzmu duchowego, rodzajem przysmaku, osładzającego długie godziny nieczynności, którego jednak prowdopodobnie łatwiéj się wyrzekną niż materyalnych wygód życia. Są to „pseudoestetycy", a „imię ich legion" jak mówi Płoszowski—bo i on do tego legionu należy. Sztuka tak pojęta i tak traktowana wywiera skutek wprost przeciwny temu, który stanowi jéj prawdziwe przeznaczenie: nie jak stygijska kąpiel hartująca serca, lecz jako jedna z przypraw do owéj osłabiającéj ducha i ciało uczty epikurejskiéj, w którą usiłują zamienić życie pokolenia schyłkowe [1]).

---

[1]) W tym względzié grzeszy brakiem prawdy poetyckiéj ten wiersz naszéj mistrzyni słowa:

Dla Płoszowskiego dzieło sztuki stoi prawie na równi z sewrskim wyrobem, zdobiącym jego biurko. „Czy odczuwam sztukę? zapytuje siebie,—tak, czy potrzebuję jéj?—także tak! Ale oni (t. j. ojciec Leona i jego nauczyciel, ksiądz Calvi) ją kochali, ja zaś odczuwam ją, jak dyletant, potrzebuję zaś jéj, jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych"... „Nie mógłbym się może obejść bez niéj w życiu—ale całego życia bym jéj nie oddał." Zapewne w tém położeniu, w jakiém się znajduje Płoszowski, wydaje mu się również niemożliwém obejść się w życiu bez cienkiéj bielizny i bez powozu.

Nie trudno się przekonać, że istotnie w zachowaniu się Płoszowskiego wobec sztuki, w jego sądach o niéj pełno jest dyletantyzmu; a nawet nie mamy wystarczających danych, aby sądzić czy w rzeczywistości ojciec jego kochał sztukę tak, jak się zdawało Leonowi. Kapryśne zamiłowanie w starożytnościach, jak wogóle wszelkie bawienie się w zbiory, jest najczęściéj—zwłaszcza w starszym wieku—schronieniem umysłów, chciwych zajęcia, a pozbawionych twórczości lub odpowiedniego wykształcenia do pracy naukowéj oraz energii do życia czynnego; rzadko świadczą one o rzeczywistéj miłości i znajomości przedmiotu. Czytelnik, który, będąc obcym staremu Płoszowskiemu, nie ma powodu idealizować, jak to czyni syn jego, téj manii zbierania, nie podniesie jéj zapewne do godności czynu obywatelskiego. Przykład ojca więc nie mógł prawdopodobnie przyczynić się do rozwinięcia w nim miłości sztuki, ale wysoce wpływał na wyrobienie „smaku" t. j. pewnéj miary estetycznéj, która stosuje się zarówno do życia jak i do dzieł sztuki.

W większym jeszcze stopniu dyletanckiemi są poglądy filozoficzne i naukowe Płoszowskiego. Widzieliśmy już, badając źródła jego pesymizmu, że zapożyczał zdania od popularnych pisarzy, których poglądy na świat stanowią niekrytyczny zlepek krążących opinii, przesądów klasowych, upodobań osobistych, urywków wiedzy, często nie na

---

I wodząc miękką dłonią po etruskiéj wazie,
Uczył się jéj okrągłość zamykać w wyrazie,

bo to co stanowi prawdziwą piękność poezyi — nie retoryczną tylko deklamacyę, któréj zresztą pełno jest w poezyi rzymskiéj jak i w mowach Cycerona — to nie bywa owocem miękkiéj dłoni, ani płynie z wzorów etruskiéj wazy... Sybarytyzm ciała i ducha był zarówno wstrętny wielkim poetom i artystom jak i innym wielkim duchom. Nie miękką musiała być ta dłoń, która wykuła Mojżesza; nie na otomanach wymarzył Cervantes swego Don Quichota; nie lubili się pieścić ani Byron, ani Mickiewicz, a wieluż to poetów i pisarzy poddawało się umyślnie surowéj regule w okresach twórczości.

miejscu zastosowanych, wszystko to przesiąknięte nawskroś duchem dogmatyzmu intelektualistycznego, wikłającego się jednak już w sprzecznościach i dla tego wewnątrz stoczonego nawskroś przez sceptycyzm, przez niewiarę w sam rozum. Czy kształtując swoję filozofią życiową pod wpływem téj literatury, stosując jéj wyniki do swojéj osoby, do swego otoczenia wykazał Leon jakąkolwiek oryginalność, lub przynajmniéj głębsze pojmowanie rzeczy?

„Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociąga mnie tak, jak filozofia. Ale za czasów mego ojca filozofia obejmowała taki sobie ni mniéj ni więcéj zakres, jak wszechświat i wszechbyt, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania." Płoszowski, który „nie ma się za fachowego filozofa, bo z fachu... jest niczém," który zajmował się tylko najnowszym ruchem filozoficznym, t. j. pewnemi książkami popularnemi, nie wié, zdaje się, że zakres filozofii jest ten sam i po dziś dzień, że był takim zawsze; a gdybyśmy polegając na własném świadectwie Leona uwierzyli w syntetyczność jego umysłu, to wiara ta upadła by całkowicie na widok zupełnéj jego niemocy wobec przeciwności, otwierających się przed nim w życiu, jak rozdwojenia drogi przed niezdecydowanym w wyborze wędrowcem. Własnością charakterystyczną umysłu syntetycznego jest łatwość kojarzenia i jednania sprzeczności, przez wznoszenie się na stanowisko wyższe; a więc zdolność dania stanowczych odpowiedzi na dręczące pytania. U Płoszowskiego widzimy przeciwnie daleko posuniętą skłonność i zdolności analityczne, bez najmniejszéj władzy syntetycznéj. Rozkłada on i rozbiéra wszystko, nawet to co nie powinno być i nie może być rozłożoném. „Gdzie inni tylko kochają stawiałem znaki zapytania".

Nie miał więc Płoszowski tych własności umysłu, które robią człowieka filozofem i myślicielem, a jeszcze mniéj sprzyjał temu jego charakter i usposobienie, zbyt mało skłonne do cierpliwéj i drobnéj pracy, która wytwarza zwykłych „uczonych" z ludzi daleko mniejszych zdolności.

Ale te ustawiczne znaki zapytania, mnożące się za każdym jego krokiem na polu życia i myśli, na które umysł jego nie miał siły odpowiedziéć, stanowią źródło wahań i niepewności, przyczynę nieszczęść, zasadniczy symptomat „choroby woli", téj niemocy i nieudolności życiowéj, na którą się często skarży. „Skutek był taki, żem nie wyfilozofował nic, a wyjałowiłem w sobie serce."

Im głębiéj zapuszcza się w tę analizę, tém więcéj staje przed nim znaków zapytania, tém więcéj sprzeczności, z których wyjść nie umié, nasuwa mu życie a czy to będzie przeciwstawność barbarzyństwa

i „kruchéj” cywilizacyi, czy pokolenia chorych pseudoestetyków lub zdrowych rekinów na wzór Chwastowskiego, czy zagadnienie „okrucieństwa dziejów”, czy też rozdwojenie pomiędzy wiedzą a uczuciem. Czasem buntuje się on jak dziecko przeciw swojéj logice, i wykrzykuje: „Na przyszłość obiecuję sobie być zawsze niekonsekwentnym, ilekroć będzie mi z tém lepiéj, dogodniéj, szczęśliwiéj”,—ale nie ma dość siły charakteru, aby być konsekwentnym w téj niekonsekwencyi; lub też z całą naiwnością dogmatyka wiedzy polega na broszurze Bungego „o witalizmie,” która zdaje mu się, jakoby dawała nadzieję naukowego uzasadnienia tego, w coby chciał wierzyć, a nie ma siły wierzyć na przekór wiedzy.

W braku więc zdolności syntetycznéj, czyli w braku twórczości—bo wszelkie pojednanie sprzeczności polega na „stworzeniu” syntezy—tkwi intelektualne źródło niemocy Płoszowskiego. Kto umié tylko stawiać pytania, nie potrafi nic zdziałać. I gdy nareszcie dzięki téj pytaniomanii wytwarza taki sztuczny dylemat: „ożenić się z Anielką—znaczy unieszczęśliwić ją; nieożenić się — również unieszczęśliwić” to zupełnie już słusznie powiada: „Oto koło błędne! tylko ludzie z gatunku Płoszowskich mogą wpaść w podobne” [1]).

Czy jednak tylko ludzie obdarzeni twórczością i zdolnością syntetyczną w stanie są znaleźć w życiu drogi? Iluż jest takich, co nie tylko oryginalnie, ale nawet wcale nie myślą, mimo to w postępowaniu obiérają dobrą lub złą drogę śmiało i bez wahania. Wprawdzie tacy najczęściéj nie analizują wcale. Miałżeby być słusznym często powtarzany przez Płoszowskiego aforyzm: „dziś tylko osły mają wolę”? Odpowiedziéć na to pytanie można będzie dopiéro po całkowitym rozbiorze umysłowości naszego bohatera. Tymczasem postępując daléj w téj analizie postawimy inne pytanie, o ile słuszném jest jego wyobrażenie o wyższości swojéj i na czém ona polega, jeśli istnieje rzeczywiście?

Niejednokrotnie daje do zrozumienia Płoszowski o swoich niezwykłych zdolnościach czy to mówiąc o szkolnych czasach, kiedy „powodzenia egzaminowe kazały zapomniéć o wycieczce do obozu don

---

[1]) Bardzo charakterystycznym przykładem, oświetlającym tę manię stwarzania nieistniejących przeciwności, jest także ustęp poniższy. Była silna burza. „Panie poczęły odmawiać litanię, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ją będę odmawiał razem z niemi, będzie to z mojéj strony hypokryzyą, jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przedewszystkiém strachu kobiet.“

Karlosa, czy o nadziejach jakie w nim pokładali ojciec i nauczyciel jego ks. Calvi. W sposób dość delikatny daje do zrozumienia o tém, że był wysoce ceniony za swoje zdolności w kołach, gdzie się obracał, będąc dorosłym mężczyzną; o nim ludzie tu i owdzie mówią, kręcąc głowami: „Gdyby się tylko do czegoś wziął;” ciotka nazywa go „jenialnym”, Anielka w porywie naiwnego zachwytu, wywołanego jego gawędziarstwem woła: „Dlaczego Leon nie pisze?” a i sam on ma poczucie „że mógłby być czémś nieskończenie większém, niż jest.”

Jeśli usuniemy cały szereg powodów do złudzenia, a w ich liczbie była niezawodnie owa łatwość, z jaką przyznaje się patent na genialność osobom cokolwiek wyróżniającym się w ciasnych, zamkniętych kółkach ludzi bez zajęcia realnego, oceniających ową genialność z wrażeń osobistéj gawędy — bo w niczém innėm ona się nie wykazuje—przyczém sędziami są zwykle ludzie nie mający pojęcia o rzeczywistéj mierze talentu, którego jedynym probierzem jest praca; jeśli daléj zostawimy na uboczu wpływy, o których tak subtelnie rozumuje Ad. Smith, a powodujące, „że łatwiéj przebaczamy wykroczenia książętom, ludziom bogatym i wielkim panom, zasługi zaś ich głośno wychwalamy”,—to jeszcze wobec tylu świadectw nie usuniemy się od obowiązku dokładnego zbadania, czy należał Płoszowski do umysłów wyższych, a odpowiedź na to pytanie będzie już pewnym krokiem w drodze do postawionego: czy rozum i wyższość intelektualna mogą stać się źródłem niemocy woli?

Wyraz „człowiek zdolny”, którym się tak często posługujemy, dzięki któremu tylu osłów robi wielką karyerę, jest jednym z tych pięknych słówek, którym można nadawać tysiączne znaczenia. Słysząc pochwały dla czyichś niezwykłych zdolności bez wskazania ich przejawów, nieraz czułem wielką chęć zapytania: „Cóż za zdolność posiada owe indywidyum? czy dodawania w pamięci milionowych liczb? Napisania pięknéj książki lub poematu czyli prędkiego wzbogacenia się na operacyach giełdowych? Zdolność administrowania wielkim majątkiem, zdolność do kombinacyi politycznych czyli téż do zabawienia towarzystwa i przypodobania się paniom? — Nikt nie zaprzeczy że nie koniecznie wszystkie te rodzaje uzdolnień muszą być połączone w jednym osobniku, oraz, że nie wszystkie cenimy w jednakowym stopniu. Mówiąc więc o czyjéjś zdolności, powinniśmy przedewszystkiém wiedzieć do czego jest zdolność i w czém się objawiła? Płoszowski mówiąc o sobie, ma oczywiście na myśli zalety umysłowe; ale i tak ograniczone pojęcie zostaje jeszcze zbyt szerokiém i nieokreśloném. Za ludz zdolnych w tém znaczeniu uchodzą w towarzystwie najczęściéj ci

którzy łatwo przyswajają sobie cudze zdania, umieją zręcznie popisać się szczupłym zakresem erudycyi, a przedewszystkiém umieją nadać pozór oryginalności cudzym zdaniom, gdzieś w lot pochwyconym. Płoszowski sam przyznaje, że umysł jego posiada „pewną błyskotliwość", daje téż nam próbki popisów cudzym rozumem [1]), a dyalektyczne zwycięstwa, które odnosi nad ludźmi może poważniejszymi i głębszymi (za jakiego przedstawiony jest np. Stawowski), tłumaczą się łatwo nawyknieniem do rozmowy salonowej, w któréj zbyt często interlokutorowie obchodzą się z sobą nawzajem jak lis z chartami, do czego Stawowski mógł nie być wcale przygotowanym [2]). Z tém wszystkiém musimy mu przyznać tę sprężystość umysłową, tę łatwość zoryentowania się w każdém położeniu lub przedmiocie, które nie koniecznie świadczą o głębokim umyśle, ale przynajmniéj są formalnym warunkiem produkcyjnéj pracy intelektualnéj.

Produkcyjność pracy, jak już wspominałem, jest jedynym pewnym probierzem zdolności; Płoszowski téj próby nie wytrzymuje. Nie wyklucza to jednak, że jak sam mówi „dane mu były łuk i strzały," tylko nie dana możność strzelania. Jakie czynniki wogóle złożyły się na tę jego „nieprodukcyjność," na to że został geniuszem bez teki, nad tém bliżéj się zastanowimy za chwilę.

Tymczasem zaznaczymy, że osobliwość ta znowu zbliża Płoszowskiego do Manfreda. Bohater Byrona również mówi o swych wielkich zdolnościach i przyrodzonych darach, zmarnowanych bezowocnie; ale i tu daje się odczuć takaż różnica jak między pesymizmem jest a beznadziejném usposobieniem przedstawiciela schyłkowego pokolenia. Manfred zmarnował swoje zdolności dla tego, że nie znalazł godnego celu dla ich zastosowania, zagłębiał się on „w tajemnicze nauki, badał

---

[1]) Do takich należą np. zapożyczone od Feuilleta *nettete du plumage* lub *improductivité slave* wzięte z ust jakiegoś dyplomaty.

[2]) Epizod, o którym mowa, jest następujący: Stawowski rozwodził się nad położeniem klas wyzyskiwanych; Płoszowski przerywa mu pytaniem: czy przyjmuje teoryą Darwina i wykazuje mu niekonsekwencyę darwinisty broniącego słabych. O ile tu z jednéj strony wtrącenie argumentu o m o t y w a c h pobudzających Stawowskiego do wstawiania się za słabymi i wyzyskiwanymi oraz wykazanie niekonsekwencyi jego w tych motywach („pan ze stanowiska walki o byt powinienbyś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych to tych") jest wybiegiem sofistycznym — odwróceniem dyskusyi od przedmiotu na osobę—bo cóż mogą obchodzić kogo poglądy osobiste Stawowskiego w kwestyi walki o byt i Darwinizmu, skoro tylko miał słuszność w przedmiocie, o którym mówił; o tyleż znów Płoszowski miał by słuszność, gdyby przedmiotem dyskusyi nie było położenie owych klas, ale konsekwencya poglądu na świat Stawowskiego.

przyczyny śmierci w jéj skutkach," spędzał samotne dni i noce w wieży nad staremi księgami lub w pustyni „przysłuchując się śpiewowi jesiennego wiatru i szelestowi opadłych liści; oddychał niedostępném powietrzem górskich szczytów, gdzie ptaki nie śmiały wić gniazd swoich, ani owady wzlatać; śledził w ciągu nocy bieg gwiazd i ruch księżyca, lub przyglądał się oślepiającym błyskawicom..." Samotność była szkołą jego wielkości a księgi dawnych mędrców lub wielka księga przyrody—źródłem jego wiedzy i jego natchnień...

Płoszowski nigdy nie oddalał się z pośród płytkiego trajkotu salonowo-towarzyskiego życia; nie widział innéj przyrody prócz ufryzowanéj i uperfumowanéj miejsc kąpielowych lub ulubionych przez turystów, gdzie każda niebezpieczna skała otoczona jest baryerką a każda nieprzystępna ścieżka ułatwiona wykutemi w niéj schodkami, nie czytał żadnych książek, których data wydania nie była by najświeższa a z tych tylko popularne i „mające rozgłos," t. j. modne, a jeśli poruszał zagadnienia dotyczące początku i końca bytu, to nie z tragicznym uniesieniem badacza, wkładającego cząstkę życia w badane prawdy, ale z nawpół obojętném znudzeniem sybaryty, który przesycony słodkiemi wrażeniami, wonią perfum i lekkiém łechtaniem uczuciowości, rad na chwilę zanurza się dla urozmaicenia życia w cierpkie dziedziny umysłowości, aby pokręciwszy się w nich trochę i rzuciwszy na chybił trafił kilka mniéj lub więcéj szczęśliwych pytań, odwrócić się od niéj, nie doczekawszy się odpowiedzi i wycedzić z ziewnięciem apatyczném: „co to mnie obchodzi?"

Bądź co bądź, i Manfred i Płoszowski nie dokonali żadnych czynów, które by głośno i dla wszystkich jawnie poświadczyły wyższość ich ducha. Widzieliśmy jaką była przyczyna tego u Manfreda: nie mógł on znaleźć celu dość wielkiego dla swoich pragnień; wzbijając się na wyżyny, utracił z oczu mrowisko ludzkie a dla tego przeoczył i wielką ideę dziejową i spadł z tych wyżyn w otchłań beznadziejności.

Inne jest źródło tego uczucia u Płoszowskiego. Oprócz oceny według czynów lub zamiarów, możliwa jest inna, oparta na wartości wewnętrznéj, niezależnéj od zewnętrznych jéj objawień. Poczucie wewnętrzne o swojéj wyższości może posiadać człowiek który wiele zdziałał, może je miéć ten, który czuje się zdolnym do działania i lepszym od innych, chociaż okoliczności nie pozwoliły mu w żadnym czynie objawić swojéj wyższości. Ale w wieku schyłkowym spotykamy się z nową dziwną oceną którą wygłasza np. Bourget w następującym ustępie:

„Jeśli obywatele epoki upadku są niżsi jako twórcy wielkości swego kraju, czy nie posiadają znakomitéj wyższości jako artyści wewnętrzni ducha? Jeśli są mało zdolni do czynności publicznych lub prywatnych, czy nie pochodzi to stąd, że są zanadto zdolni do samotnego myślenia? Jeśli niezdatni na ojców przyszłych pokoleń, czy nie dla tego że obfitość wrażeń delikatnych i wyszukiwanie rzadkich uczuć zrobiły z nich wirtuozów jałowych, lecz wyrafinowanych rozkoszy i cierpienia? Jeśli niezdolni są do poświęceń głębokiéj wiary, czy nie dla tego, że nadto wykształcona inteligencya uwolniła ich od przesądów i że obiegłszy wkoło wszystkie ideje, doszli do téj wyższéj sprawiedliwości, która uprawnia wszystkie doktryny, wykluczając wszelkie fanatyzmy? [1])... Wielkim argumentem przeciwko epokom dekadentyzmu jest ten, że nie mają one jutra i że zawsze zgniata je barbarzyństwo. Lecz nie jest-że to jakby fatalnym udziałem tego, co wyszukane i rzadkie, że nie ma racyi wobec brutalności?"

Znajdujemy tu istotnie całą psychologią i filozofią Płoszowskiego aż do téj myśli włącznie, „że wyroby sewrskie potłuką się wcześniéj czy późniéj." Tak téż nieraz Płoszowski tłumaczy sobie swoją wyższość, gdy np. mówi: „Jestem naturą bardzo złożoną", gdy szuka ludzi „nerwowo wyrobionych" z którymi mu jest dobrze i t. d. Jednak istnieje głęboka różnica pomiędzy Płoszowskim a owym typem zawczasu przesyconego życiem sceptyka, jaki spotykamy w epoce upadku cywilizacyi starożytnéj:

„Oto doszedł do pożądanego spoczynku, do téj błogiéj beznamiętności (*apathia*), stanowiącej cel i nagrodę mądrości. Nic go nie wzrusza, nic nie dziwi, nic nie zasmuca. Lecz krocząc od ostrożności ku nowéj ostrożności, ścieśniał coraz bardziéj koło swoich czynów, a teraz duszą go ciasne skręty jego doktryny. Złudzenie wchodzi do jego duszy, z któréj wygnał namiętność. Jednostajny obraz świata, wobec którego zachowuje się jako widz nieczynny, nuży go i doprowadza do rozpaczy. Wyda on z Lukrecyuszem ów powtarzany okrzyk zniechęcenia: „wiecznie, wiecznie to samo! *Eadem sunt omnia semper*...

---

[1]) Porównajmy to miejsce z pochwałami Płoszowskiego dla Paryża, gdzie „pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju ideje ogólno-ludzkie" „krążą w powietrzu i wsiąkają w głowy ludzkie." Tu „umysł traci jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany..." bo też gdzieindziéj spotyka „głowy nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło coś istniéć poza promieniem ich światła, tak wyłączne i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z nimi był wprost niemożliwy."

Eadem omnia restant!" Z większą jeszcze niecierpliwością oczekując kresu swojéj zbyt spokojnéj nędzy, zawoła z Seneką „Dokąd to trwać będzie?—*Quousque eadem?"* Jedyna przewaga, którą sobie zapewnił jest brak obawy śmierci; bo tak stopniowo skierował ku niéj swoje życie, że bez wstrząśnienia przejdzie z jednéj nicości w drugą." [1])

Płoszowski nie jest wyłącznym „artystą ducha", nie jest tylko kontemplacyjnym leniwcem z odcieniem filisterskim, który z obawy silnych wzruszeń starannie ruguje z duszy swojéj wszelkie namiętności. Jak i całe pokolenie schyłkowców współczesnych łączy on z temperamentem dekadentów rzymskich aspiracye współczesnego mieszczaństwa i zamiast stoickiéj obojętności pierwszych, posiada on epikurejską ruchliwość drugiego, pragnie on wzruszeń, ale nie ma siły ich głębszego odczucia; garnie się do życia i chciał by je w nieśmiertelność przedłużyć, ale nie ma w nie wiary. Jego imię niemoc, zkąd że więc płynie jego poczucie wyższości nawet nad takimi ludźmi pracy jak Śniatyński? Byłożby ono czystem złudzeniem? Nie; wyższość Płoszowskiego istnieje i polega w tém, że chociaż nie jest ani poetą ani filozofem bierze on świat i życie filozoficznie i estetycznie, co mu nie pozwala z jednéj strony zadowolnić się tą drobną, mrówczą pracą, w któréj się grzebią z takiém zamiłowaniem Śniatyńscy, i pomimo całego szacunku dla tych ludzi (ocena z punktu widzenia dobra ogółu) czuć się mimowoli większym od nich [2]), z drugiéj czyni ten marny pod względem charakteru typ, interesującym dla czytelnika, interesującym o tyle, że można go było wydźwignąć na bohatera powieści nie w stylu Zoli...

Jest on niedoszłym poetą, jak Manfred i hr. Henryk, niedoszłym filozofem jak Hamlet. Dla czego niedoszłym? Może nie tyle dla braku przyrodzonego uzdolnienia ile dla braku tego, bez czego żaden talent nie może się rozwinąć—dla braku pracy nad sobą. Płoszowski jest nawskroś dyletantem. Dylentantyzm ten świeci przez wszystkie popsute lub nieściągnięte szwy jego sukienki filozoficznéj, w czém się nie różni zresztą od pokolenia, wśród którego wyrósł; dyletantyzm wygląda z jego sądów o sztuce, w których jednak dodatnio wyróżnia się od swego pokolenia tym wrodzonym i wpojonym przez wychowanie smakiem, co nie pozwala mu iść za modą dziwacznych szkół i doktryn estetycznych.

---

[1]) Constant Martha. *Le Poëme de Lucrèce*, str. 334.

[2]) „Nie po raz pierwszy przychodzi mi zadać sobie pytanie, czy Śniatyński jest głupszy, czy też mądrzejszy ode mnie?"

Gdyby nie ta cecha, gdyby nie ta jego szczerość w filozoficznèm i estetycznèm pojmowaniu życia, nie różnił by się niczèm Płoszowski od przeciętnéj jednostki inteligentnéj, płynącéj za falą, udającéj wiarę tam, gdzie to popłaca, sceptycyzm — gdzie się tèm popisać można, w gruncie zaś obojętnéj na wszystko, w nic nie wierzącéj, do niczego nie dążącéj, zamkniętéj w ciasnèm kole egoizmu osobnikowego lub rodzinnego, nie śmiącéj przekroczyć przepisów ogólnie przyjętych przez obawę opinii, nawet wtedy, gdy osobiste instynkta popychają ku temu, a jednostajność życia urozmaicającéj kuflem piwa lub partyą szachów, rowerem lub gorączką pieniężną.

Przeciwnie, gdyby Płoszowski miał rzeczywisty geniusz, lub gdyby nie zadawalniając się dyletantyzmem (do przezwyciężenia którego przeszkadzał mu brak woli), pracą i wytrwałością był rozwinął te tkwiące gdzieś w głębi jego ducha zawiązki talentu, — nie byłby Płoszowskim. Zostałby Sienkiewiczem lub Feuerbachem, Byronem lub Schopenhauerem [1]). Albo siła twórcza przełamałaby trudności formy i wylała się w potoku poezyi; albo myśl syntetyczna zwyciężyłaby żrącą analizę półwiedzy i stworzyłaby systemat filozoficzny. Nie stać na to Płoszowskiego i rozdwojenie spowodowane sprzecznością pomiędzy naturalnèm poczuciem piękna i pragnieniem harmonii, a owym sklejonym z ochłapów wiedzy poglądem na świat, zwiększa jeszcze niemoc duchową, w któréj i bez tego jest pogrążony.

Wspominaliśmy przed chwilą, że Płoszowski pragnąłby przedłużyć życie po za deską grobową; teraz, kończąc intelektualną charakterystykę jego, w któréj mimowoli zmuszeni byliśmy wtargnąć i w inne zakresy ducha, wypada nam jeszcze bliżéj rozpatrzéć wierzenia a raczéj niewiarę jego na tym punkcie.

„Ludzie połączeni w społeczeństwo, mówi Pytagoras według Jamblicha, mają rozmaite zajęcia. Jednych unosi nieprzezwyciężony pociąg ku przyjemnościom i bogactwu; innych opanowywa ambicya władzy i zaszczytów; lecz najwyższym celem człowieka, któremu oddając się, zasługuje na nazwę filozofa, jest kontemplacya piękności świata." Płoszowski w swoich aspiracyach do filozoficznego pojmowania świata, jest jednocześnie i niższy i wyższy od tego greckiego ideału bezinteresownéj kontemplacyi. Niższy o tyle, że aspiracye te rozbijają się u niego o pierwszą napotkaną przeszkodę; że nietylko życia całego, ale nawet cokolwiek wytrwałéj pracy, która byłaby wy-

---

[1]) Płoszowski wykazuje świadomość tego, mówiąc: „Tacy ludzie jak ja, nie stanowią tylko wtedy minusów, jeśli nie należą do kategoryi geniuszów bez teki, t. j. jeśli są wielkimi uczonymi lub wielkimi artystami."

dźwignęła go z téj toni zwątpień, poświęcić im nie potrafił; niższym wreszcie dlatego, że nigdy nie zapomina o swojém „ja", że to maleńkie „ja" gotów jest wtrącić do najwspanialszych i największych zjawisk przyrody, że nigdy nie jest widzem zupełnie obiektywnym. Wyższym — o tyle, że nie mając dość siły ducha, aby zostać filozofem, nie zadawalnia się rolą nieczynnego dyletanta widza, na wzór tego typu „wyższego człowieka" lub „obywatela upadku", o którym była mowa przed chwilą. Jest wszechstronnym, jest „człowiekiem" a interesa życiowe, chociaż nie mogą wprawić w energiczniejszy ruch popsutych sprężyn jego machiny duchowéj, nie przestają go zajmować i pociągać ku sobie. To téż i w filozofowaniach swoich o rzeczach nadzmysłowych nie jest on czystym teoretykiem, a gdy rozprawia o nich, można doń zastosować i to z większą słusznością parafrazę jego własnych słów, zwróconych w myśli do rzeźbiarza Łukomskiego: Więc taki to z ciebie filozof?

„Bywają epoki, że obojętnieję na podobne pytania, czasem jednak targają mnie one bez miłosierdzia — témbardziéj, że to są rzeczy, które się w sobie zamyka. Byłoby może lepiéj o nich nie myśléć, ale zbyt są na to ważne. Bo ostatecznie człowiek chce wiedziéć, co go oczekuje i jak ma życie urządzić." Tu się właśnie odezwał głos z parafialnéj kruchty: filozof znikł wobec wyrachowanego mieszczucha, który zadaje sobie pytania: czy naprawdę mam się bać piekła? czy opłaci się być cnotliwym w życiu?

Dziwne losy w dziejach ludzkości przechodziło owo straszne, wobec wszystkich pokoleń otworem stojące, jak czarna niezgłębiona jaskinia pytanie — co będzie po śmierci? W starożytności strach śmierci usiłowano zażegnać dowodzeniem, że nic nie będzie; człowieka zaś współczesnego najwięcéj przeraża właśnie obawa owéj nicości.

Lukrecyusz, który wślad idąc za mistrzem swoim Epikurem, za główne zadanie filozofii postawił przezwyciężenie „strachu Acherona, zakłócającego do głębi życie ludzkie" [1]), poświęcił mu całą trzecią księgę poematu swego. I w jakiż sposób spełnia to zadanie?

„Czytałem i odczytywałem trzeci śpiew Lukrecyusza", pisze Fryderyk II-gi w krytycznéj chwili podczas wojny siedmioletniéj, „znalazłem w niéj tylko konieczność złego i bezużyteczność lekarstwa." — Takie wrażenie robi na umysłach współczesnych owa filozofia nicości, nicości, w któréj, jak powiada historyk jego [2]) „rozmiłowany jest Lu-

---

[1]) „Et metus ille foras praeceps Acherontis agendus
Funditus, humanam qui vitam turbat ab imo." De natura rerum III, 39.

[2]) Martha, l. c. str. 170.

krecyusz, tak jak inni mogą kochać nieśmiertelność." I nie sam tylko Lukrecyusz.

„Filozofowie owego czasu wykazują ustawicznie zdziwienie z powodu trudności przekonania ludzi, że śmierć, zupełne zniszczenie, nie jest złem. Zdziwienie to świadczy o oporze jaki spotykali. Pliniusz, którego świadectwo nie jest podejrzane, gdyż sam był epikurejczykiem, mówi o tym oporze w wyrazach pełnych ironii: „nasza śmiertelność chciwa jest wiecznego życia — *avida nunquam desinere mortalitas.*" Jeszcze wyraźniéj zaznacza Seneka uczucia współczesnych: „Boją się zarówno dostać się do piekła, jak nie być nigdzie — *aeque timent ne apud inferos sint, quam ne usquam*" [1]).

Widzimy z tych cytat, że nawet i w owéj typowéj dobie dekadentyzmu nie wszyscy byli jednakowo obojętni na śmierć. Płoszowski, który nie był ani dość epikurejczykiem „aby wobec ślepéj konieczności postąpić jak marynarze zagrożeni burzą, gdy nie widząc możności walki z nią zamykają się w swoim okręcie, pozostawionym jak łupina na igraszkę fal, a oddają się śpiewom i winu, aby uniknąć jeśli nie głębiny, to przynajmniéj jéj strachu" [2]) — bo dusza jego jest zanadto pełna „gotyckich strzelistości"; ani téż nie posiadał rezygnacyi stoików, aby razem z Seneką powiedziéć: „Spełniam więcéj niż akt posłuszeństwa Bogu — zgadzam się na jego rozkazy; jestem mu posłuszny z całego serca nie dlatego tylko, że to jest konieczne" [3]). Płoszowski, powiadam, stał jedną nogą na stanowisku tych zniechęconych dekadentów, zbyt poważnych lub zbyt przesyconych, aby po upadku wolności politycznéj Rzymu cośkolwiek mogło ich przykuwać do życia, drugą na stanowisku dziecka, które w znacznym stopniu znudziły już wprawdzie dotychczasowe zabawki, ale które nie utraciło jeszcze ochoty do zabawy i chciałoby miéć nadzieję lepszą niż dotychczas.

Jest jedna wielka myśl tkwiąca w podstawie idei nieśmiertelności w chrześciańskiém jéj znaczeniu, jedno głębokie i zupełnie uprawnione uczucie, z którego ta idea płynie. Ideą tą — myśl o wynagrodzeniu krzywd tego życia, uczuciem — pragnienie sprawiedliwości. Im boleśniéj odczuwamy cierpienia i krzywdy, które spadły za życia na umierającego, im czelniejszą okazuje się w tém życiu bezkarność wy-

---

[1]) Martha, l. c., str. 125.

[2]) Martha, str. 169.

[3]) Renan, którego poglądy stanowią dziwną mieszaninę stoicyzmu z epikureizmem, jak to przystoi na współczesnego schyłkowca, wkłada te słowa w usta umierającego Prospera, parafrazując je w modlitwę: „Istoto wieczna i dobra, dzięki Ci za istnienie. Współdziałałem we wszystkich twych dziełach, służyłem wszystkim Twym celom. Błogosławię Ci." (*L'Eau de Jouvence*, p. 247).

uzdanéj zbrodni, tém silniéj wierzyć pragniemy i wierzymy szczerze, przynajmniéj w tych chwilach, w inne życie, w którém cierpiący tutaj znajdzie ukojenie, a zuchwały zbrodniarz karę. Uczucie to i wiara z niego płynąca, przybierają szczególną potęgę, gdy tracimy kogoś z blizkich lub gdy myślimy o tych, którzy z naszéj winy cierpieli, a którym nie zdążyliśmy wynagrodzić w życiu tych cierpień. Ale idea nieśmiertelności najmniéj przemawia do Płoszowskiego tą wzniosłą stroną swoją. Nie pojął on jéj, tak jak rozminął się z nią podwójnie jego twórca, gdy w „Pójdźmy za nim" chciał z nieśmiertelności uczynić główną podstawę chrześciaństwa, a ideę tę ściągnął do tego samego poziomu co i bohater z „Bez dogmatu." Temu ostatniemu idzie głównie o to, czy życie d l a n i e g o po za grobem będzie takiém samém świętem, jak tu na ziemi? Podobny do dziecka żałującego, że niema siedmiu świąt w tygodniu, Płoszowski chciałby w przyszłém życiu mieć dalszy ciąg swoich „godzin sali", oczkować z aniołami i kokietować chociażby przed Bogiem. Wszak i na twarzy ojca w chwili konania czytał niezłomne przekonanie, że go t a m nie przyjmą, jak byle kogo!

I Manfred i hr. Henryk zatrzymują się wobec tego wielkiego zagadnienia, ale żaden z nich nie wgląda tak bojaźliwie w nieznaną przyszłość, jak Płoszowski.

„Widzę ją — mówi hr. Henryk, stojąc nad otchłanią, w którą ma się rzucić — całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca — a pośrodku jéj Bóg, jak słońce co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca."

A ostatnie jego słowa są:

„Poezyo, bądź mi przeklęta, jako sam będę na wieki. — Ramiona idźcie i przerzynajcie te wały.

Manfred w monologu przypominającym nieco znakomity Hamletowski: „*To be, or not to be*" wynurza się w ten sposób:

In all the days of past and futur...
How few — how less than few — wherein the soul
Forbears to pant for death, and yet draws back
As from a stream in winter, though the chill
Be but a moments'.

(„Ze wszystkich dni przeszłych i przyszłych, jak mało, jak mniéj niż mało takich, w których dusza może się obronić od tęsknoty za śmiercią, a jednak cofa się przed nią, jak przed potokiem w zimie, chociaż chłód trwałby tylko chwilę"). I on stawia sobie pytanie, co bę-

dzie za grobem? i gotów je postawić chociażby odpowiedzią był sam grób.

Ale gdy zatrzymuje się nad tém, najwięcéj go obchodzi, czém jest jego ukochana Astarte:

> Czém teraz jest? Czy pokutnicą za moje winy,
> Istotą, o któréj myśléć nie śmiem — czy niczém? [1])

A gdy w ostatniéj godzinie żegna się z słońcem, mówi prosto: „*He is gone: I follow.* — Zaszło — idę za niém."

Cały ten maluczki strach śmierci, stanowiący zupełnie nową formacyę w naszéj literaturze pięknéj, a który z takiém mistrzowstwem analizy roztoczył przed nami w szkicu swoim p. Ign. Dąbrowski, skądże płynie, jeśli nie z owego skupienia wszystkiego na własnéj osobie, z tego wydęcia swojego *ja* do potwornéj wielkości, przesłaniającéj świat cały? Zrozumiałym jest naiwny egoizm młodzieńca, który jeszcze prawie nie żył, dla którego wszystko było w przyszłości; jego żal za niespełnionemi nadziejami, ledwie wysnutemi marzeniami, niewykonanymi planami... Ale dla tego sceptyka przeżytego—także „świat zapada się" z nim razem.

Płoszowski bierze nieśmiertelność z najsłabszéj strony; ależ każdy człowiek z sercem mógłby odpowiedziéć na jego utyskiwania:

„I cóż z tego, że m n i e nie będzie? Żyłem! A jeśli mogłem jeszcze zostawić po sobie coś dla ludzkości—to czy warto suszyć sobie głowę o to, co będzie po śmierci? Samolubna i jałowa ciekawość, do niczego nie prowadząca, bo nie od nas zależy cokolwiek w tém zmienić. Czyż uczciwym mam być jedynie po to, by uzyskać nagrodę, tak jak dziecko bywa grzeczne w nadziei łakoci? Wszak w najlepszym razie, — jeśli przyjmę nieśmiertelną osobowość w duchu najbardziéj kojących nadziei — nie będę tém czém jestem: nie będę tak czuł, tak myślał, jak obecnie, inne będą przywiązania, inne cele moje, będę się czuł obcym tym śmiertelnikom, których tu porzucam, którzy mi są drodzy... Wszak i tak będę miał dość powodów, aby wykrzyknąć razem z Achillesem: „wolę być parobkiem na ziemi, niż królem w państwie cieniów"; aby wślad za Pope'm powtórzyć:

> „Nierozsądny człowieku! chcesz w niebie zapłaty
> Podobnéj tym próżnościom, w któreś tu bogaty?
> Dzieckiem, późniéj mężczyzną — jedna jest osoba?
> A czyż to samo cacko dziś ci się podoba?

---

[1]) *What is she now? — a sufferer for my sins —*
A thing I dare not think upon — or nothing.
(Akt II, Sc. 2).

Może jak Indyanin chcesz ożyć po zgonie
Z twym psem, z twoją butelką i przy lubéj żonie?" [1])

— Skarżysz się, że nie masz podstaw, któreby ci wystarczyły w godzinie śmierci? Ale czyż warto tak dbać o tę jedną godzinę? Czy nie lepiéj by pomyśleć o podstawach, któreby starczyły na wszystkie godziny życia, nie na tę jedną tylko? Czy mamy na wzór przesyconych sybarytów dekadentyzmu starożytnego robić z całéj filozofii sztukę eleganckiego umierania? Nie możemy nic poradzić na to, co będzie po śmierci, ale od nas zależy obrać piękną śmierć, śmierć, która zadowolni w nas i artystę i moralistę — a wtedy nie będziemy potrzebowali przygotowywać się do niéj filozofią całego życia.

(d. n.) *W. M. Kozłowski.*

---

[1]) Wiersz o człowieku przekład Ludwika Kamińskiego (Wybór poezyi Popea. Warszawa, 1822.



PO ZDROWIE.

POWIEŚĆ.

Błądząc po krętéj ścieżce doli i niedoli
Widziałem ludzkie nędze i ludzkie uciechy;
Płacz i śmiech, cień i światło i cnoty i grzechy...
I widziałem jak sprawy społecznéj kajdany
Pętają wolę ludzką...

Rodoć.

Był październik, ale w alpejskiéj dolinie, przerzniętéj na dwoje kamienistą Passerą, panowała wiosna. Po ulewnym, nieczęstym w tych stronach deszczu, liście platanów, magnolii i bluszczów, jaśniały zielenią tak świeżą, że pomimo czerwieni i złota, w jakie już poczęły się stroić winnice, przypomniał mi się maj, nasz maj polski i cieszyłem się jak dziecko, że w jednym roku dwie wiosny oglądam.

Dolina, do któréj zaniosły mię bogi łaskawe, znana jest całemu światu, wszyscy jednogłośnie przyznają jéj wielką urodę, ale nikt do niéj chętnie nie zagląda, bowiem jest to siedziba chorych i nieszczęśliwych, a na imię jéj—Meran.

Oglądałem tedy miejscowość wracającą podobno zdrowie suchotnikom, a zagnał mię tu prosty wypadek. Interesa zmusiły mię przejechać się do Paryża, że jednakże nie wiele jeszcze w życiu widziałem, na wiosnę przechodziłem influenzę, po ciężkiej pracy potrzebowałem odpoczynku, a w Meranie bawiły moje dwie nie tylko milutkie, ale

i bardzo ładne znajome, więc spakowawszy manatki, i bez żalu pożegnawszy w październikowych łzach i błocie tonącą Warszawę, wyjechałem wcześniéj i oto wczoraj wieczorem stanąłem w miejscowości sławnéj z pięknego położenia i dobrych winogron.

Wyspawszy się w wygodnym hotelu znakomicie i utopiwszy w tym śnie całe, nieodłączne od długich podróży zmęczenie, od rana wybrałem się na oględziny merańskiéj doliny. Wolnym krokiem człowieka zadowolonego z siebie i swego otoczenia, szedłem szeroką promenadą, wijącą się równolegle do fantastycznych skrętów Passery. A Passera szumiała, stroiła w gipiurę piany olbrzymie, na jéj dnie leżące głazy, przykuwała zachwycone oczy takiego zwykłego jak ja śmiertelnika i pędziła daléj—coraz daléj—w objęcia starszéj siostrzycy Adygi.

Było gorąco, ale ja byłem stałym wielbicielem pięknej natury, pogrążyłem się w kontemplacyi przejrzystego błękitu nieba, wdzięcznych willi spowitych w róże jeszcze kwitnące, ciemnéj zieleni bluszczów przytulonych do skał nagich i, nie czułem zmęczenia.

— Uroki! czary! — powtarzałem w duchu, wchłaniając w siebie całą wesołość i promienność otaczającéj mię natury i dziwiąc się potrochu że zamiast wynędzniałych suchotników, co krok spotykam ludzi, czasami bladych wprawdzie, ale także wesołych, śmiejących się i rozbawionych.

Minąłem mnóstwo willi, promenada skręciła się pod kątem prostym, znów wyprostowana pobiegła w ślady Passery, wreszcie skręciła się raz jeszcze i urwała, u stóp olbrzymiéj pionowéj skały tworząc maleńką płaszczyznę, otoczoną u dołu falami rzeki, u góry żelazną baryerą. Passera, z wysokości kilku łokci, nie z szumem już ale z głuchym łoskotem, wyrywała się z objęć urwistych skał i staczała na dół po omszałych głazach. Grono ciekawych podziwiało jéj biały płaszcz z pian utkany i kolory tęczy drgające w miliardach rozpylonych kropelek wody; ja przystanąłem także i także podziwiałem. Naraz wśród huku rozszalałego miniaturowego wodospadu, usłyszałem własne imię. Nadzwyczajnie zdziwiony, odwróciłem się szybko i niepewnym wzrokiem patrzyłem na mężczyznę, stojącego przedemną i uśmiechającego się wesoło, zapewne z mego zakłopotania.

— Więc stanowczo nie poznajesz mię koleżko? — mówił bardzo starannie ubrany pan, mogący mieć około lat trzydziestu, a mający napewno czarne, prawdziwie polskie wąsy, i wyraziste rysy, rzeczywiście coś jak gdyby przypominające mi.

— At, starość nie radość, — ciągnął daléj właściciel czarnych

wąsów i szykownego garnituru, — musiałem zmienić się porządnie, jeżeli i ty już mnie nie poznajesz.

— Ruszczyc! jak Boga kocham, Ruszczyc! — zawołałem nagle szczerze ucieszony jego widokiem, a więcéj jeszcze zachwycony własnym talentem szybkiego oryentowania się w kłopotliwéj sytuacyi.

— A to niespodzianka! prędzéj śmierci niż ciebie tu!—wołałem daléj, ściskając mu ręce serdecznie.

On się wciąż uśmiechał.

— No widzę, że ci zrobiłem przyjemność, ale przedewszystkiém chodźmy ztąd, bo Passery nie przekrzyczymy, a Niemcom tymczasem, oczy do reszty powyłażą.

Ujął mię za ramię i poszliśmy razem wśród róż i laurów.

— Więc nie spodziewałeś się zastać mię w Meranie, ale i ja ciebie rownież, — mówił przyglądając mi się uważnie, — suchot chyba nie masz.

— A nie mam, — a ty?

— I ja nie.

Roześmieliśmy się obydwaj, a jego śmiech dźwięczny, czysty, przypomniał mi czasy młodości, zachwytów, marzeń i nadziei. Zamyśliłem się.

— Dawno przyjechałeś? — dokąd szedłeś? — począł znów Ruszczyc.

— Przyjechałem wczoraj, a dziś wyszedłem aby patrzéć i zachwycać się.

— No i cóż ładnie tu, co?

— Ślicznie! U nas dészcz, zimno, wiatry zawodzą, tak przynajmniéj było gdym z Warszawy wyjeżdżał, a tu wiosna, raj! Chorym musi być żal przenosić się do lepszego może, ale nie piękniejszego świata.

— Tu przecie nie umiérają znów tak bardzo, jak wam się w kraju zdaje. Prawdopodobnie przypuszczałeś, jak zresztą przypuszcza wielu, że chorzy padają tu na promenadzie jak muchy, i że ich zaraz miotłami zmiatają do rzeki, co? Ale pójdźmy wyżéj, napijemy się kawy w Ortensteinie, a ty będziesz miał sposobność podziwiać Meran z wysokości.

— A gdzież ten Ortenstein?

— Ot tam, ale podnieś głowę.

— Aha, patrz, nie wiedziałem że promenada aż tam się ciągnie. Gdzież mi ona u licha zginęła?

— Nigdzie ci nie zginęła tylko skręciła w górę, a ty tego zauważyć nie mogłeś, bo nie byłbyś sobą, gdybyś się nie zapatrzył na wodospad i Zenoburg, czyli tę oto skałę, najpiękniejszą w Meranie.

Obejrzałem się.

— Ładna jest, to prawda, ale czy najpiękniejsza, powiem dopiéro gdy zobaczę wszystko.

— No to przyglądaj się. Promenada na Ortenstein to prawdziwy pomnik pracy i wytrwałości ludzkiéj. Nie mało trzeba było ponieść trudów i nie mało wyłożyć energii, by w takim szczerym kamieniu, taką szeroką drogę wykuć.

Pięliśmy się w górę. Wśród pełzających potwornych kaktusów i zielonych bukietów dracen i latanii, nie wiedziéć zkąd czerpiących życie, wił się wężykowato, coraz wyżéj i wyżéj, szeroki, żółty pas zwany promenadą. Postępowaliśmy obok siebie wolno i oddychając ciężko, słońce dopiekało jak w lipcu, z pod nóg wymykały nam się szare i zielone jaszczurki i z błyskawiczną szybkością w szczeliny głazów się kryły. Ruszczyc stanął.

— No odpocznij, bo widzę, że maluczko a ducha wyzioniesz. Za pięć minut będziemy na miejscu, a teraz przyjrzyj się urodzie Meranu.

Byłem zgrzany i zasapany, ale wrażliwość na piękno przemogła wszystko. Patrzyłem i czułem w duszy tyle rozkoszy, ile jéj czuć musi smakosz wobec stojących przed nim młodych kurcząt polanych majową śmietaną, literat czytający o swém pierwszém dziele pochlebną krytykę, lub kolejarz wygrywający w totalizatora na biegunie, którego zwycięstwa nikt nie przewidział tylko on jeden i to przypadkiem.

— Wiesz co Ruszczyc, — zawołałem czując, że mię coś rozsadza i że się wygadać muszę, — niech dyabli porwą sztukę wobec takiego oto arcydzieła natury! Gdzież taki Ruisdael lub Van der Meer coby odtworzył choć jedną cząstkę z tych blasków, cieni, powietrza, barw, z tego wszystkiego co ja chciałbym wchłonąć w siebie, w czémbym się nurzał, co bym pożerał całym sobą? Gdzież pendzel, co byłby w stanie oddać tę tęsknicę bez dna i bez brzegu i tę ciszę zasłuchaną w sobie? Nie! nie ma nic nad piękną naturę, nic!

— Nie prawda—przerwał mi Ruszczyc—jest.

— Co! — rzuciłem się zaperzony, — trzeba chyba nie miéć duszy... ale spokój jego podziałał na mnie jak zimny tusz. Ochłonąłem i roześmiałem się z samego siebie.

— No widzisz, zestarzałem się a zapalam się po dawnemu jak student. W życiu nie wiele widziałem, ty przewędrowałeś pół świata i jako wykwalifikowany krytyk masz zasłużone prawo głosu. No, po-

wiédz, co stawiasz dzisiaj ponad piękną naturę? — sztukę czy może piękną kobiétę?...

Ruszczyc stał zwrócony do mnie profilem i patrzył w dal, na ustach pokazał mu się uśmiéch trochę smutny, trochę szyderski i znikł.

— Natura, sztuka, piękna kobiéta — mówił wolno i jakby do siebie,—wszystko to głupstwo wobec rozkoszy, jaką mogą dać uczucia na które zdobywają się niektórzy... ale, może i to głupstwo wobec śmierci, która wszystko zatrze, wygładzi, zapomnieniem nakryje...

Machnął ręką jakby zniechęcony, odwrócił się i począł iść znowu.

— Pójdźmy na kawę.

Podążyłem za nim, milcząc i rozbiérając w myśli rzucone przez niego, urywane wyrazy, a w pięć minut potém siedzieliśmy na werendzie „Caffée Ortenstein,” nad dymiącemi filiżankami kawy. Ruszczyc był jakiś chmurny czy zamyślony i milczał, co u niego było rzeczą niezwykłą, ja zastanawiałem się nad jego nową filozofią i przyglądałem mu się z uwagą.

Lat temu dwadzieścia parę, spotkaliśmy się poraz pierwszy. Studyowałem w Wiedniu prawo i byłem na ostatnim kursie, gdy on się zapisał na pierwszy. W jakich okolicznościach nastąpiło nasze poznanie, nie pamiętam już dziś dokładnie, ale to wiem, że pomimo znacznéj różnicy wieku, usposobień i położenia towarzyskiego, przylgnęliśmy do siebie odrazu. On był bogaty, ja średnio zamożny, on przyzwyczajony do śliskich arystokratycznych posadzek, ja znałem tylko życie koleżeńskie, on był żywy, wesoły, nadzwyczajnie zdolny i inteligentny, ja znów byłem entuzyastą, przepadałem za ładnemi widokami, śpiewem i muzyką, usposobienie miałem powolne, nad nauką musiałem ślęczyć. Co było naszym łącznikiem i spójnią nawet dziś nie umiałbym powiedzieć. Sprzeczaliśmy się zawzięcie, stale różniliśmy się w zdaniach, ale żyć bez siebie nie mogliśmy. On rozumiał sztukę i jéj filozofią, zamiast kursów studyował estetykę i wiecznie włóczył się po galeryach gdzie i ja choć znudzony i nierozumiejący jego zimnych zachwytów nad martwémi płótnami, włóczyłem się także. Byłem niemal profanem w sztuce, ale za to po swojemu kochałem piękny śpiéw i muzykę i mogłem płakać na widok zwyczajnéj chaty rzuconéj nad brzegiem krętego strumienia i oświetlonéj promieniami gasnącego słońca. Wyśmiewałem jego, on wyśmiewał mnie, ale pomimo to, on towarzyszył mi zawsze na wszystkie koncerty i wycieczki w okolice Wiednia, ja towarzyszyłem mu po muzeach.

Przy końcu roku, Ruszczyc przeszedł na drugi kurs, ja nie zdałem dyplomowych egzaminów i musiałem jeszcze jeden rok w Wiedniu odsiedzić. Gdy z tą nowiną przyszedłem do niego, jak waryat rzucił mi się na szyję:

— No widzisz, jeszcze rok będziemy razem! Każde złe ma swoją dobrą stronę!

Każde złe ma swoją dobrą stronę! To zdanie powtarzał zawsze i ono było streszczeniem jego wesołéj filozofii. Jeśli zdarzyło mu się zgubić pieniądze, a przy jego żywości wypadki takie powtarzały się dość często, machał ręką i powtarzał stale:

— Pewno znalazł jaki biedak, który zrobi z nich lepszy użytek odemnie.

Na życie zapatrywał się nie jak na ścieżkę ciernistą, ale jak na równą, wygodną, szeroką drogę po któréj miał przejść śpiewając i śmiejąc się. Uczynny był, wrażliwy, szedł zawsze za pierwszym popędem serca, ale te popędy ograniczały się zazwyczaj do pomocy pieniężnéj. Wyzyskiwano go pod tym względem, a on pomimo to dawał chętnie, w głębsze szczegóły nie wchodząc nigdy. Słabostki nie miał żadnéj, chyba jedną — do starych płócien. Kobiéty robiły na nim tylko przelotne wrażenie, zapominał jeszcze prędzéj niż poznawał. Przepowiadałem mu zawsze, że kiedyś natura zemści się na nim a serce upomni się o swoje prawa z większą siłą niż u innych śmiertelników, ale on się śmiał z tego.

— Co się ma upominać, — mówił, — narzeczoną już mi wybrali, podobno ładnie wyrasta, ożenię się, podam się na posła, jeśli zobaczę że to warto i że będę mógł coś zrobić niezłego, jeśli nie, osiądę na wsi, rozszerzę ciasne wnętrza chat i pojęcia głów chłopskich, urządzę dla własnéj przyjemności galeryą starych obrazów i kilka dorocznych polowań i, jakoś to będzie. Wytrzymam do końca.

Takim był Ruszczyc za czasów studenckich i takim wydawał mi się jeszcze w lat kilka potém, gdy nadsyłał mi listy z Paryża, Londynu, Kairu, Neapolu i różnych innych zakątków świata. W ostatnim liście jaki od niego odebrałem, doniósł mi, że się żeni, poczém zamilkł ale jego nazwisko poczęło się coraz częściéj ukazywać w dziennikach. Nazywano go dobrą głową, liczono na niego wiele, wybrano posłem, a ja czytałem z radością i dziwiłem się jakim sposobem ten człowiek tak przewidział całą swoją przyszłość? W kilka lat potém spotkaliśmy się we Lwowie. Ja wyłysiałem, on spoważniał, zmężniał, ale obadwaj poznaliśmy się odrazu i powitali z radością. Kilka dni zeszło nam na wspomnieniach o dawnych, dobrych czasach, — o teraźniejszości mówiliśmy nie wiele, ja nie miałem bardzo o czém, on wydał mi się jakiś

zniechęcony czy znudzony, a zaczepiony przezemnie, oświadczył krótko, że ma zamiar wycofać się z politycznéj karyery i osiąść na wsi na stałe. O żonie swéj wspominał bez niechęci ale i bez zapału. Na moją prośbę pokazał mi jéj fotografią, a ja długo przyglądałem się prześlicznéj grupie złożonéj z jasnowłoséj kobiéty, dziewczynki przypominającéj pucołowate Rubensowskie aniołki, i chłopca o wyrazistych rysach i poważnych oczach.

— Chłopak do ciebie podobny, tylko oczy jakieś smutne,—odezwałem się. A on spojrzał na obrazek i zawołał z niezwykłém u niego uczuciem w głosie:

— Ten dzieciak to moje wszystko!

I oto dzięki przypadkowi czy téż może wyższéj jakiéj woli, spotkaliśmy się znowu. Przyglądałem mu się z uwagą, ale nie wiele się zmienił. Rysy te same, włosy bujne, tylko na ustach osiadło coś czego dawniéj nie było, niby szyderstwo, niby duma.

— Wiész co,—przerwałem milczenie pierwszy,—ty się chyba nigdy nie zestarzejesz; masz lat, no, ile ty masz lat?

— Kończę czterdzieści.

— No widzisz, wyglądasz na trzydzieści, ja przy tobie jak stary dziad.

— Zato masz dawny zapał; trudno, wszystkiego miéć nie można.

— Tém gorzéj dla mnie, zapał; zachwyty i tym podobne romanse i przytém łysina.

— Wielka rzecz łysina, kiedy cerę masz jak młodzieniec i wyglądasz jak ćwik. Ale powiédz mi, po co ty tu właściwie przyjechałeś, chyba nie na kuracyą?

— Choćbym ci nawet powiedział że tak, nie uwierzyłbyś mi, więc wolę przyznać się z góry, że jestem tylko w przejeździe. Jadę do Paryża, ale chciałem odpocząć parę tygodni i na odpoczynek wybrałem Meran. Są tu moje dwie dobre znajome, które jeszcze dziś muszę odszukać koniecznie. A może ty znasz panią Keszmarowę i pannę Maryę Zawiełłównę?

Skinął głową.

— Znam i to nie od dziś. Byliśmy razem w Aussee, a tu jesteśmy już na stopie starych przyjaciół. Na obczyźnie, ludzie poznają się łatwiéj,—węzły przyjaźni i sympatyi zawiązują się szybko.

— Mój drogi,—zacząłem po chwili—to są córki mego szkolnego kolegi, ta biédna Julka straciła w zeszłym roku męża i rozchorowała się ciężko, powiédz mi szczerze jak ona jest ze zdrowiem? — czy jest nadzieja wyleczenia jéj?

— Ależ naturalnie, w Aussee było z nią różnie, ale tu z każdym dniem wygląda lepiéj, a gdy jeszcze zimę spędzi na Rivierze, jak ma zamiar, wróci do domu zupełnie zdrowa. Możesz mi wierzyć, że jestem poinformowany dobrze, bo dziś widziałem się z doktorem, który ją leczy. Zresztą zobaczysz sam. O dwunastéj zaprowadzę cię do Parvy.

— Cóż to Parva?—zapytałem, odetchnąwszy wolniéj po usłyszanéj dobréj wieści.

— Parva to willa, zresztą dość ładna i wbrew swéj dewizie wcale nie mała. Mieszka w niéj pani Keszmarowa z panną Maryą i córeczką, pani Adela Przygodzka i pan Julian Dolski z siostrą, panną Zofią. Wszyscy poznaliśmy się w Aussee, a tu nie rozszerzamy już kółka naszych znajomości i bawimy się na wspólnych spacerach lub na tarasie Pazry, jak możemy i jak umiemy.

— Więc ja muszę dziś zapoznać się z całém tém towarzystwem? — zauważyłem zgnębionym głosem.

— A musisz, tylko, nie jest to rzecz straszna. Pani Przygodzka jest młodą wdową po adwokacie z Warszawy—może znałeś jéj męża?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, nie przypominam sobie.

— Zatém jest młodą i podobno bardzo ładną, a że ty jesteś wrażliwy na piękno...

Machnąłem ręką.

— Co mi to teraz po tém, choć—lepiéj że ładna, mam wstręt do brzydkich kobiét.

— No widzisz! Prócz tego pani Przygodzka jest serdeczną przyjaciółką twéj pani Keszmarowéj i śmiało można powiedzieć, że tylko troskliwością swoją, wyrwała ją śmierci w Aussee.

Patrzyłem nań zdumiony.

— Wyrwała ją śmierci powiadasz? swoją troskliwością? czyż one znały się dawniéj?

— Nie, nie znały, ale pani Przygodzka bardzo łatwo przywiązuje się do ludzi, a gdy już przywiąże się, jest w stanie zrobić ze siebie wszystko. To jest trochę dziwna kobieta.

Zamyśliłem się.

— Rzeczywiście dziwna. Ty bo się zawsze dosyć znałeś na ludziach—cóż o niéj myślisz?

— Nic nie myślę, ale zato może ty powiész mi coś nowego gdy ją poznasz, tylko... zanadto jesteś wrażliwy na piękno, będziesz stronny.

— Czyż ona taka piękna?

— Nie w moim guście, ale tak mówią.

Zamyśliłem się znowu, próbując przy pomocy fantazyi wyobrazić sobie twarz i całą postać kobiéty tak bardzo pięknéj, a tak umiejącéj się poświęcać dla bliźnich, obcych zupełnie. Wyrwała ją śmierci, Julkę, tę moją złotowłosą, na ręku to maleństwo nosiłem i ona ją uratowała! Uczułem w duszy rozrzewnienie.

— Ona nie musi być dziwną, tylko dobrą, — zadecydowałem głośno.

Ruszczyc skinął głową.

— Bardzo być może, ale teraz słuchaj daléj, bo chcę zapoznać cię z resztą naszego kółka.

— Słucham; mówiłeś coś o Dolskich. Czy oni z Królestwa? — może z Białowoli, z pod Warszawy?

— Tak, z Białowoli, czy znasz ich? — Ruszczyc utkwił we mnie wzrok badawczy.

— Ze słyszenia tylko, Białowola to dom znany, staroświecki, partyarchalny, ale synalek podobno szaławiła nie brzydzi się kartami, winem i innémi przyjemnościami życia, a przytem artysta, muzyk, czy coś podobnego.

— Muzyk i rzeczywiście gra dobrze, choć nie powiem aby lepiéj od siostry. W Parvie odbywają się często prawdziwe koncerty.

Ostatnich słów Ruszczyca, wysłuchałem z zadowoleniem.

— No, to ty miałeś racyą że Parva nie straszna. Marynia Zawiełłówna śpiewa wcale nieźle, ty masz także dobry głos, możecie sobie urządzać artystyczne uczty, do których i ja jako amator-słuchacz, przyłączę się z przyjemnością.

— Dolskiego teraz nie ma — wtrącił Ruszczyc — wyjechał do Medyolanu na parę dni, a siedzi już dwa tygodnie. Siostrę zostawił na opiece pani Przygodzkiéj. Ja przestałam już śpiewać, ale tu zastępuje mnie Martynoff, Rumun. Ma bardzo ładny głos tenorowy, a jeśli lubisz rumuńskie hory, nasłuchasz się ich dowoli.

— Czy to także członek waszego kółka?

— A tak—i także znajomość z Aussee, bardzo przyzwoity człowiek i dobrze wychowany, co u nich rzadko się zdarza. Uczy się teraz po polsku, bo biedaczysko zakochał się w pani Przygodzkiéj.

— Aha, więc i amor jest.

— A jest. Włastowicz, poczciwe litwinisko z Augustowskiego, ostatni już członek naszego grona którego mam ci zaszczyt przedstawić, zakochał się znów w twojéj pani Keszmarowéj, modli się do niéj, ale tylko oczami i wątpię czy kiedykolwiek odważy się przemówić.

Spojrzałem na niego ciekawie.

— I cóż na to Julka?

— Pani Keszmarowa pewno nie domyśla się niczego, ubóstwia swoją Janię i wątpię czy jéj kiedykolwiek da ojczyma.

Wstał, zapłaciliśmy, wśród nizkich ukłonów kelnerów opuściliśmy werendę i poczęliśmy się spuszczać na dół. Wydostawszy się na dolną promenadę, minęliśmy Caffée Gilf i wielki ciężki most murowany, łączący oba brzegi Passery. Ruszczyc rzucał od czasu do czasu po kilka słów objaśniających.

— Oto Passer-Schlösschen — rzekł wskazując mi maleńki pałacyk, zdobny w balkony i lekką kolumnadę i uczepiony u skały jak biały ptak. — Mieszkałem tu, ale okazało się za wysoko i przeniosłem się bliżéj Curhaus'u. To Sandhof, a to Deutscheshaus, pensyonaty zamieszkane przeważnie przez Polaków. To willa Fanny, ślicznie wygląda w tych bluszczach, ale że ich zawiele, więc jest podobno zimna i wilgotna. Cały prawy brzeg Passery, to właściwy Meran, a lewa strona, ot, tam, złączona z prawą kilkoma mostami, to Ober-Maïs, najzdrowotniejsza część miejscowości. Poniżéj, także z lewéj strony rzeki, hen, ku łąkom, ciągnie się Unter-Maïs. Położenie niskie i wilgotne, więc choć i tam są wille bardzo ładne i jest największy ze wszystkich pensyon, Unter-Maïs nie jest poszukiwany przez chorych.

Postępowaliśmy czas jakiś w milczeniu, ale Ruszczyc przerwał je znowu.

— A ot masz Curhaus. Właśnie muzyka przestała grać i goście się rozchodzą. Ten duży dom z przeciwległéj strony rzeki, to Meranerhof, olbrzymi pensyonat, głównie przez Anglików i Amerykanów zamieszkały, o którym ci już wspominałem. Ztąd patrząc, to zwykła kamienica, ale od strony południowéj Meranerhof przedstawia się okazale. Urządzono go z całym możliwym przepychem, a kuracyusze i goście, zamieszkujący amerykański hotel, stworzyli także rodzaj kolonii, tylko na wielką skalę. Mają salę balową, bilardową, fortepianową, czytelnię, — bawią się, tańczą, grają i nawet żenią.

— Suchotnicy? — zdziwiłem się.

— At, tu niewiele prawdziwych i nieuleczalnych suchotników. Czy uważasz że tu wszystkie domy są stawiane frontem do słońca?

— A prawda!

— Od tyłu — objaśniał daléj Ruszczyc — są tylko kuchnie i pokoje dla służby i właścicieli. Doktorzy zalecają pacyentom południowe i południowo-zachodnie pokoje, aby słońca mieli jak najwięcéj, słońce téż jest tu najgłówniejszém i prawie jedynném lekarstwem dla chorych. Pokoi północnych można dostać w Meranie po cenach ba-

jecznie nizkich, bo nikt ich nie chce, ale—jesteśmy u celu. Zatrzymaliśmy się przed niewielką dwupiętrową willą, przedzieloną od promenady ogrodem. Na zieloném tle platanów i magnolii, ściany pałacyku jaśniały białością alabastru, pod pięknie rzeźbionym gzymsem lśniły się złote litery napisu: *Parva sed apta*. Po kamiennych schodach, zeszliśmy do ogrodu, położonego o cały parter niżéj od promenady i zagłębiliśmy się w prawdziwy las palm, tui i laurów.

— Jak tu zacisznie!—zawołałem głośno, gotowy do nowych zachwytów, ale Ruszczyc mi przerwał.

— Czekaj, zobacz wpierw taras, drugiego tak dużego nie ma w całym Meranie.

Minęliśmy kląb dracen i latanii i ujrzeliśmy cały front willi, nadpowietrzne balkony drugiego piętra i taras zajmujący całą długość pierwszego. Z obu stron szerokie stopnie prowadziły zeń aż do ogrodu, po wdzięcznie wygiętéj balustradzie pięły się bluszcze, glicynie i kwitnące jeszcze róże. Zebrane na tarasie towarzystwo, składające się z kilku osób i tyłem do nas zwrócone, rozmawiało i śmiało się wesoło.

— Cudow...

— Pst,—syknął Ruszczyc,—nie trzeba żeby nas zobaczono, chcę zrobić niespodziankę pani Keszmarowéj, chodź!

Cofnęliśmy się szybko, niepostrzeżeni wśród kląbów zieleni, obeszliśmy willę do koła i weszliśmy do obszernego, wyłożonego marmurem przedsionka.

— Brr... jakżeż tu zimno,—odezwałem się.

— Jedyna ale duża wada téj willi, — różnica temperatury w przedsionku i na dworze jest tak znaczna, że bardzo łatwo można się zaziębić,—mówił Ruszczyc idąc po schodach.

— Czekaj,—zatrzymałem go,—do kogóż my właściwie idziemy? Czy taras należy do Keszmarowéj?

— Nie, do Dolskich, pani Keszmarowa zajmuje drugie piętro, ale taras to zborny punkt dla wszystkich. Jeśli nie ma spaceru, cały dzień na nim przesiadujemy.

— Więc gospodynią jest tu panna Dolska?

— Tak,—i pani Przygodzka w czasie nieobecności Dolskiego.

— No to przedstaw mię i wytłomacz...

— Ależ dobrze, dobrze, nie martw się.

Weszliśmy do obszernego pokoju pełnego kwiatów i słońca. W rogu stało śliczne rzeźbione pianino, pod ścianami fantastycznie poustawiane maleńkie kanapki, foteliki i stoliki różnych kształtów, całość robiła wrażenie prywatnego mieszkania, w którém baczną zwra-

cano uwagę nie tylko na wygodę ale i na estetykę. Przez szeroko otwarte drzwi przysłonięte koronkową firanką i ciężką portyerą, dochodził nas gwar bawiącego się towarzystwa.

— Zaczekaj,—rzekł do mnie Ruszczyc szeptem, który mi przypomniał całe jego studenckie amatorstwo do psot i niespodzianek, — stań za portyerą, ja wejdę pierwszy.

Wzruszając ramionami uległem jego życzeniu.

— A, pan Ruszczyc ! pan Ruszczyc! — zabrzmiały kontraltowe i sopranowe głosy,—cóż tak późno, zepsuł nam pan projekty !

Ruszczyc stał we drzwiach z miną skruszonego winowajcy, pochylił głowę i bił się w piersi.

— *Mea culpa* piękne panie, przyznaję się do wielkiéj zbrodni spóźnienia i prócz tego jeszcze do innéj, daleko większéj i daleko okropniejszéj !

— Co takiego, co pan zbroiłeś, chodźźeż pan tu i opowiadaj, — zabrzmiał świeży głos, po którym poznałem Marynię.

— Nie, pani, nie ruszę się z tych drzwi, póki publiczna spowiedź nie zmaże mego ciężkiego grzechu i póki nie otrzymam przebaczenia.

— Ależ dobrze, tylko mówżeż pan wreszcie! — zabrzmiał znów chór głosów *unisono.*

— Wiadomo jest wszem wobec i każdemu zosobna, — zaczął z powagą, swoim śpiewnym głosem Ruszczyc, — że do naszéj, ściśle w sobie zamkniętéj korporacyi ausseeskiéj, nie wolno jest wprowadzać żywiołów obcych i to pod żadnym pozorem. I oto ja, najpoważniejszy wiekiem i urzędem członek szanownego zgromadzenia, ośmieliłem się zdeptać miesiącami uprawnione statuty i przyprowadziłem mego kolegę i przyjaciela, o którego przyjęcie na taras upraszam z pokorą i z całém poczuciem méj winy.

— Ależ wybornie! doskonale! dawaj nam pan swego kolegę!

— Tak, teraz panie mówicie wybornie, doskonale, ale ja wiem, że pani Keszmarowa i panna Marynia nie przebaczą mi nig . . .

— A toż co nowego, — przerwała mu oburzona Marynia, — od kiedyż to przekonałeś się pan o naszéj niegościnności?

— Ha! zobaczymy. Chodźno tu Antek.

— Oj, Ruszczyc, Ruszczyc, — mówiłem zgnębionym głosem, ukazując się wreszcie na tarasie i pochylając głowę w ukłonie, - co ty ze mną wyrabiasz!

— Pan Antoni! — przerwały mi równocześnie dwa radosne głosy i naraz moje wielkie adwokackie łapy, zostały pochwycone przez dwie pary delikatnych rączek.

Jalka i Marynia Zawiełłówny stały przedemną, uśmiéchnięte, wzruszone, ze łzami w jasnych oczach.

— Ot, co to jest obczyzna! — i starego przyjaciela zaraz się serdeczniéj wita, — zacząłem wesoło, siłą woli hamując wzruszenie, także mnie ogarniające.

Julka chciała coś mówić, ale głos jéj się łamał, usta drżały.

— Droga, złota pani Julio, jakżeż można, niechno się pani uspokoi. — Chciałem ją poprowadzić do krzesła, ale moja lewa noga została naraz uwięziona.

— Jania! a ten mały bąk czego znów chce odemnie?

Maleństwo obejmowało rączynami moją nogę i z odrzuconą w tył główką szepleniło:

— Jania tyz!

Pochwyciłem je i uniosłem w górę, a to trzepotało się jak biały motyl i śmiało radośnie, powtarzając:

— Jania tyz!

— Patrzcie! — Alboż ty mnie znasz urwisie jeden?

— Jania zna! Jania jedziala wisienty!

— Aha, wisienty, jak to pamięta taki mały bobak! — Ale poczekaj robaku, pan musi być grzeczny, pan musi się przywitać.

Postawiłem dziecko na ziemi i zwróciłem się do towarzystwa ugrupowanego wkoło naszéj czwórki i wzruszonego niemniéj od nas.

— Państwo darują, że tak — nieznany, pozwoliłem sobie...

Ale całą kwiecistą, z góry ułożoną przemowę zepsuł mi Ruszczyc:

— Mój przyjaciel i kolega adwokat R. — rzekł, wskazując na mnie ręką. — Ot masz, jesteś już znany i do klubu przyjęty, nieprawdaż panno Zofio?

— Najzupełniéj, — uśmiechnęła się szczupła, średniego wzrostu panienka, podając mi serdecznie prawie przezroczystą rączkę.

— Radość Julki i Maryni podzielamy wszyscy, choć pana nie znamy, — dodała wysoka brunetka.

Mężczyźni zbliżyli się także.

— Jestem Włastowicz, — rzekł blondyn.

— Martynoff, — dodał brunet.

Uścisnęliśmy się za ręce, ceremonia odbyła się nader szczęśliwie, odetchnąłem. W pół godziny byłem jak u siebie. Między panią Julią i Marynią, z Janią na kolanach, było mi tak jakoś dobrze, jak gdybym wszystkie, zgromadzone tu z różnych stron kraju osoby, znał nie od dziś, ale od wielu lat. Z początku rozmowa była ogólną i toczyła się swobodnie i wesoło, ale powoli towarzystwo podzieliło się na luźne grupy. Odpowiadając na tysiące pytań zadawanych mi przez Marynię

i Janię, przyglądałem się ciekawie to pani Przygodzkiéj, to pannie Dolskiéj. Przygodzka była stanowczo ładna, a jeśli Ruszczyc nie poznał się na niéj, nie miał gustu, — myślałem w duchu, patrząc na jéj długie, spuszczone rzęsy i słodki uśmiech na ustach. Od Ruszczyca wiedziałem już o nieszczęściu Martynoff'a, ale gdybym nawet nie wiedział, domyśliłbym się sam po płomiennym wzroku, jakim ogarniał panią mecenasową. Ona wyglądała, jak gdyby nie wiedziała o wrażeniu wywieraném na niego, siedziała spokojna, uśmiechnięta i wesoło poprawiała błędy, jakie popełniał co chwila, mówiąc po polsku.

— Pani Przygodzka ma dziwnie sympatyczną twarz, — rzekłem do milczącéj i zamyślonéj Keszmarowéj.

— Adelka? o, tak! bardzo sympatyczna. Znamy się zaledwie kilka miesięcy, a kochamy ją wszyscy. Ona ma jakiś dziwy dar zjednywania sobie ludzi i wzbudzania w nich zaufania.

Julka kiwnęła główką i uśmiechnęła się do Przygodzkiéj, patrzącéj w téj chwili na nas.

— Obmawiam cię Adelko, — rzekła, — ale pan Antoni nie daje.

— Nie wierzę. — Przygodzka roześmiała się wesoło.

— Czy temu, — wtrąciłem, — że ja nie pozwalam obmawiać pani?

— O, nie! nie wierzę w złośliwość Julki.

— To bardzo źle, takie jasnowłose kobietki umieją być złośliwe, choć na to nie wyglądają, — mówiłem, patrząc na Adelę z prawdziwą przyjemnością.

A ona uśmiechnęła się łagodnie i rzuciwszy mi:

— Trudno, nie wierzę i nie uwierzę nigdy! — odwróciła się do siedzących obok niéj Włastowicza i Martynoff'a.

— Czy wiesz pan, — mówiła daléj Julka, — że gdy zachorowałam w Aussee i było ze mną źle, ona przesiedziała przy mnie trzy dni i trzy noce nie kładąc się wcale? A czémże ja dla niéj jestem z przelotną znajomością. Śmiało powiedzieć mogę, że na moje szczęście czy nieszczęście jéj zawdzięczam życie.

— Jak pani możesz mówić o jakiémś tam nieszczęściu wobec tego oto ślicznego maleństwa, — odezwałem się gładząc płową główkę Jani.

Spojrzała na dziecko, ale w tém spojrzeniu było tyle smutku, że serce mi się ścisnęło.

— Julciu, — odezwała się poważnie Marynia, — doktór zabronił ci myśléć o rzeczach niewesołych. Powinnaś nie żyć, lecz wegetować, jak roślina i nie myśléć nic, wcale.

— Albo to można sobie nakazać? Ja i tak dziwię się nieraz sama sobie, że śmieję się razem z wami.

— Bo to lekarstwo dla ciebie, takie samo jak stare wino i górskie powietrze, a ty musisz być zdrowa, dla nas i dla Jani.

Dziecko słuchało z tak szeroko otwartemi oczętami, jakby rozumiało o co rzecz idzie. Przy ostatnich słowach Maryni zsunęło mi się z kolan i przytuliło do matki, a ona porwała je w ramiona, przycisnęła do serca i załzawioną twarz ukryła w jasnych włosach małéj.

— Otóż tak, — odezwałem się z zadowoleniem, — warto żyć, gdy się ma żyć dla kogo, a pani na to nie możesz się skarżyć—masz Janię, rodziców, pannę Marynię, no i mnie starego, wiernego przyjaciela.

Uśmiechnęła się przez łzy i uścisnęła mi rękę gorąco.

— Jak się panu podoba Zosia Dolska?—zaczęła nagle Marynia, pragnąc widocznie zwrócić rozmowę na inny, weselszy temat.

— Panna Dolska?

Spojrzałem w stronę, gdzie w biegunowym fotelu, wpół leżąc, kołysała się panienka szczupła i przezroczysto-biała. Nad jéj głową chwiały się szerokie liście lataciji — promień słońca przedarł się przez nie, ozłocił ciemne włosy i padł żółtą plamą na splecione z sobą, wątłe paluszki. Obok siedział Ruszczyc, opowiadał coś z niezwykłą u niego powagą i lekko dotykając poręczy krzesła, wprowadzał je w jednostajny, wolny ruch.

— Wydaje mi się bardzo chora, — rzekłem, ze współczuciem patrząc na bladą twarzyczkę i podkrążone oczy, dziwnie wielkie i poważne, — czy ona cierpi na płuca?

— Tak, ale głównie na nerwy. Ja ją bardzo lubię, bo ona jest zabawna z tą swoją powagą. Jak zacznie czasami malować świat na czarno i ona się popłacze i ja się popłaczę, a potém śmiejemy się z tego obie.

— A mnie się zdaje, — wtrąciła Julka, — że ona ma teraz trochę równiejsze usposobienie, nie tak często płacze bez powodu i nie miéwa już dawnych napadów szalonéj wesołości. Ta jéj wesołość zawsze mię przerażała, bo po niéj następowała zwykle tém czarniejsza melancholia.

Marynia spojrzała na chorą uważnie.

— Tak, teraz jest zdrowsza, ale dzisiaj bardzo mizernie wygląda. Nie miała listu od tego szkaradnego chłopaka, swego braciszka i podobno nie spała całą noc. Nie wiem właściwie za co ona go tak kocha?

Julka patrzyła w stronę latanii zamyślona.

— Za co? prawdopodobnie za to, że jest jéj bratem, zresztą oni wszyscy kochają się bardzo. Czytałam raz list jéj matki, i pomyślałam

wtedy, że gdyby to biedactwo nie przyszło do zdrowia, byłby to dla nich cios okropny.

— Nowy sąsiad pań! — zawołał nagle Włastowicz, patrząc w ogród.

Marynia i pani Adela podniosły się i podeszły ku niemu, Jania zsunęła się z kolan matki i pobiegła także.

— O, jaki blady! — zauważyła półgłosem Marynia, a Adela dodała ze smutkiem w głosie:

— Biedaczysko! w wózku jedzie.

— Od kilku dni, — objaśniła mię Julka, — mamy na parterze sąsiada. Podobno Polak, ale nie wiemy jak się nazywa, bo służąca tak przekręciła nazwisko, że trudno się domyśléć czegośkolwiek. Miałyśmy się wystarać o ostatnią kurlistę, ale jakoś skończyło się na zamiarach.

— Czy tutaj każdy nowy Polak budzi takie silne zainteresowanie? — zapytałem.

— A naturalnie, czasem może być znajomy... proszę, pomóż pan Jani.

Jania próbowała rozsunąć gałęzie róż i wcisnąć główkę pod balustradę, ale nie udawało jéj się.

— Jania tyz! Jania nie widzi, — wołała ciągnąc Marynię za suknię. Ale nikt na nią nie zwracał uwagi.

Podszedłem, wziąłem dziecko za rękę i postawiłem na balustradzie. Zwirem wysypaną uliczką, wzdłuż tarasu, szedł siwy posłaniec i zwolna popychał wózek pąsowym aksamitem wybity. Chory, w wózku siedzący, oparł jasną głowę o aksamitną poręcz, ręce złożył na okrywającym go pledzie i patrzył przed siebie spokojnie, nieświadomy obudzonego zajęcia.

— Ten, to już chyba naprawdę chory, — wątpię czy nawet pani Adela pomogłaby mu cokolwiek, — szepnął Włastowicz.

Nagle Jania nachyliła się, obiema rączkami zerwała różę i nim zdążyłem przeszkodzić, rzuciła ją na zbliżających się. Róża zakreśliła łuk i ku ogólnemu przerażeniu upadła wprost na piersi nieznajomego.

Zbudzony z zamyślenia młody człowiek drgnął, ale ujrzawszy niewinną przyczynę swego przestrachu, uśmiechnął się, podniósł głowę i zdjął z głowy kapelusz. Panie cofnęły się zmieszane, ale Jania poczęła klaskać rączkami i słać mu od ustek pozdrowienia.

— Przepraszam pana za małego roztrzepańca, — odezwałem się do chorego po polsku.

— Nie ma za co. Taki pocisk i to z rączek polskiego dziecka,

może być tylko miłą niespodzianką na obczyźnie. Dia, maleńka! — zwrócił się do Jani ze smutnym uśmiechem na bladych ustach.

Wózek potoczył się daléj, Jania wyrwała mi się z rąk i pobiegła do matki, ale ja stałem wciąż, ręką pocierałem czoło i usiłowałem zebrać rozpierzchłe wspomnienia.

— Tak, znam go, znam go napewno, ale skąd, kiedy, jak? I głos mi znany, głos może jeszcze więcéj jak twarz...

Patrzyłem za nieznajomym, a on obejrzał się także i wzajemnie zamieniliśmy badawcze spojrzenia. Ktoby to mógł być?

Odwróciłem się. Na tarasie był gwar, wszyscy mówili razem, jedni opowiadali, drudzy zadawali pytania. Julka z powagą strofowała swoje maleństwo, ale przerwała jéj panna Dolska.

— Dajcież pokój dziecku, — mówiła wyciągając ręce, — pójdź tu Janiu, do cioci, dobrześ zrobiła i ciocia cię za to pocałuje.

— Moja Zochno, trzebaż ją przecie nauczyć, bo gotowa narazić nas kiedy na nieprzyjemność.

Ale Jania siedziała już na kolanach Zosi.

— Nie narazi, nie. Jania dlatego to zrobiła, że ten pan chory i Polak, prawda Janiu? — Zosia pieściła dziecko, ale mała zarzuciła jéj rączki na szyję i rozpłakała się. — Otóż macie, biedactwo płacze najniepotrzebniéj w świecie. Nie płakuchnać maleńka, nie; mamusia nie gniewa się i wszyscy Janię kochają. O, patrz, jakie pan Ruszczyc ma duże wąsy, widzisz? rusza niemi jak chrabąszcz.

Zosia odjęła rączki dziecka od zapłakanych oczu, dziewczynka spojrzała przez łzy, a Ruszczyc nachylił się, nasrożył minę mającą wyobrażać chrabąszcza i poruszył wąsami. Mała roześmiała się.

— Jeszcze laz! jeszcze laz! — prosiła, usiłując wąsy te pochwycić.

— O! nie można! — odsunęła ją Zosia, — chrabąszcz gryzie.

— Nie glyzie, nie, — śmiała się już na dobre dziewczynka, zapominając o całém swém chwilowém nieszczęściu, choć łzy nie zdążyły jeszcze obeschnąć na jasnych rzęsach.

— Wszyscy ją psują, a Zosia najwięcéj, — zadecydowała Julka, udając niezadowolenie, a z wdzięcznością patrząc na Ruszczyca i Zosię.

A ja wciąż szperałem we własnych wspomnieniach i wciąż powtarzałem w duchu: a jednak ja go znam i to znam napewno!

— No i cóż! na dziś nie zrobimy już chyba żadnego projektu, — odezwała się pani Adela, stając na środku tarasu.

Ruszczyc spojrzał na zegarek.

— Trzecia godzina, więc chyba za późno na projekty. Ten obiad o czwartéj psuje nam cały dzień.

— Chorym nie psuje, — odpowiedziała młoda kobieta, — o wpół do piątéj słońce chowa się za górę i do domu trzeba uciekać. No, ja idę na pocztę i do czytelni, może komu co przynieść?

— Pójdę z tobą! — zerwała się Marynia.

Adela zacisnęła zlekka różowe usta, ale w tejże chwili uśmiechnęła się i skinęła głową przyzwalająco.

— Pozwolicie, pani, iść mnie z sobą, — odezwał się nieśmiało Martynoff, patrząc na nią prawie pokornie.

Adela wzruszyła nieznacznie ramionami, ale skinęła głową przyzwalająco.

— Jeśli to panu zrobi przyjemność.

— Idźcież sobie, a ja tymczasem prześpię się, bo mnie coś głowa boli — odezwała się Julka wstając.

Włastowicz począł się żegnać.

— A co zrobimy z wieczorem? — zapytał stając przed Zosią.

— Przyjdźcie panowie do nas, jeżeli macie ochotę.

— A zagra nam pani?

— O, nie wiem, takie mam dziś ciężkie ręce... — spojrzała na swe bezsilnie splecione palce i westchnęła.

Taras się opróżnił, Adela spojrzała na Ruszczyca.

— A pan, panie Ruszczyc, czy pan zostajesz z Zosią?

Patrzyła na niego z ironicznym uśmiechem, dziwnie wyglądającym na ustach, do których słodycz jak gdyby przyrosła. Ruszczyc wstał.

— Jeżeli panna Zofia życzy sobie zostać samą...

A Zosia oblała się rumieńcem i zaczęła z widoczną przykrością:

— Ja nie wiem... mnie jest wszystko jedno... panowie także pewno pójdziecie na obiad...

Patrzyłem na tę co najmniéj dziwną scenę, ale jasna głowa nieznajomego rysowała mi się przed oczami tak uparcie i tak silnie poruszała jakieś bardzo dawne wspomnienia, że nie byłem w stanie zastanowić się nad zachowaniem się Adeli. Drgnąłem, gdy Ruszczyc stanął przede mną i rzekł:

— Idziemy.

* * *

Była ósma, gdy uporawszy się wreszcie z interesami, polegającemi na zjedzeniu obiadu i mojém przeniesieniu się z hotelu do willi Helwecyi, w któréj mieszkał Ruszczyc, stanęliśmy znowu przed willą

Parvą. Wieczór był cichy i ciepły, księżyc zdążył już ubiedz kawał drogi, na ciemnym szafirze gwiazdy mrugały zawzięcie, milczenie, kołyszące do snu Meran, mącił tylko jednostajny szum rzeki.

Na tarasie zastaliśmy całe towarzystwo w ruchu nadzwyczajnym. Było ciepło, więc panie chcąc nam zrobić niespodziankę, kazały wnieść stół ogrodowy i pod gwiaździstém sklepieniem, przy blasku lampy zawieszonéj nad światem ręką Bożą, przyrządziły wieczorną herbatę na tarasie. W przygotowaniach brali udział wszyscy zebrani. Włastowicz układał owoce, Martynoff ciasta, Zosia i Marynia wędliny i zimne zakąski, pani Julia smarowała masłem miniaturowych rozmiarów bułki, pani Adela w wielkim szafirowym fartuchu uwijała się przy samowarze, który kipiał i szumiał wesoło i dziwnie jakoś wyglądał na tém tle nieswojskiém.

Gdy ukazaliśmy się na tarasie, powitała nas burza wymówek i wyrzutów, panie śmiały się i groziły nam paluszkami, Adela wyglądała prześlicznie.

— Piękny z pana przyjaciel!—wołała do mnie Marynia,—zbuntowałeś nam pana Ruszczyca i tyle!

— Ja zbuntowałem?

— A tak, pan, dawniéj pan Ruszczyc nigdy się nie spaźniał.

— Bardzoście panowie dobrze zrobili, bo w nas tu orzą, — skarżył się zgnębionym głosem Litwin, — pracujemy jak woły w jarzmie i za to nie usłyszymy nawet dobrego słowa.

— Rzeczywiście!—rzuciła Marynia odwiązując białą serwetę, — gdyby pan Ruszczyc był, tobyśmy miały z niego pomoc, ale z panów..

Wzruszyła ramionami i wzgardliwie wydęła usta.

— Ot, masz pan kobiety! — jęczał w dalszym ciągu Litwin, — człowiek się napracował, a kobieca wdzięczność powędrowała do nieba i drabinę z sobą zabrała. Drugi raz nie złapią nas panie, oho, co nie, to nie! nie prawdaż panie Martynoff?

Martynoff zgodził się na wszystko, ale prawdopodobnie nie wiedział o co idzie, gdyż w tejże chwili odbierał filiżankę herbaty z białych rączek pani Adeli i jak w objawienie patrzył w jéj oczy, pociemniałe teraz i rzeczywiście bardzo piękne.

Ruszczyc rozmawiał z Zosią, która stała przed nim z rękami schowanemi poza siebie.

— Czy i pani gniewa się na nas? — pytał.

— Nie, a ja czegóżbym się gniewać miała? ręki nie podałam, bo gospodarując pobrudziłam się.

— Nie wierzę, nie dlatego.

Zosia spoważniała i popatrzyła na niego wzrokiem tak przezroczystym, jak woda.

— Ależ seryo, jak Julka kocham, ja zawsze mówię prawdę.

— Więc wierzę, — a czy pisał pan Julian?

— Pisał, pisał! — szaławiła jest i kwita! — zadecydowała Marynia.

— Śliczny wyrok! — śmiał się Włastowicz, — gdyby pan Julian słyszał, byłby kontent.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Oj prawda! dużo dba o to! — modli się tam do swego Palmy młodszego i do Wenecyanek, objada makaronem i ani myśli o powrocie.

— Jakto? czyżby był w Wenecyi? — zapytał Ruszczyc ze zdziwieniem.

— A jakże! — poleciał za jakąś śpiewaczką, która występowała w la Scala, a teraz śpiewa w la Fenice. Na pociechę pisze, że dzień i noc myśli o nas, bo włoskie niebo przypomina mu w dzień, moje oczy, a w nocy, oczy Adelki.

Zosia parsknęła śmiechem, odrzuciła serwetę, którą starannie wycierała sobie paluszki i dłonią zamknęła usta oburzonéj przyjaciółki.

— Daj mu pokój, cóż on winien, że jest taki, a nie inny? — w chwili gdy siedział nad listem, ręczę ci, że tęsknił do nas i wierzył święcie we wszystko co pisał.

Ale Marynia nie dała się przekonać.

— At, szkaradnego masz brata, — wołała odsuwając jéj rękę, — ty się martwisz, nie sypiasz, jeśli którego dnia nie masz listu, a on lata po operach i omdléwa z zachwytu, gdy byle Włoszka zaśpiewa mu: *Non conosci il bel suol*...

— Panowie i panie, herbata gotowa! Pan Julian jest moim faworytem, napadać na niego nie pozwalam, zatém dajcie mu pokój i zasiądźcie do stołu.

Adela zdjęła fartuch i wdzięcznym ruchem ręki, zaprosiła nas do zaimprowizowanéj wieczerzy.

Zrobiło się gwarno, siadano gdzie kto chciał i gdzie kto mógł, żartowano, śmiano się, a samowar wtórował jednostajnym szumem.

W życiu każdego człowieka zdarzają się chwile, których najdrobniejsze i najsubtelniejsze szczegóły, tak się wrażają w pamięć, że potém już ich nic zatrzéć nie zdoła. Od owéj wesołéj herbaty na tarasie, upłynęło lat kilka, a ja dziś jeszcze mam przed oczami cichą noc, niebo bez chmurki, drzewa skamieniałe wśród idealnego spokoju

krzewy przypruszone srebrem księżyca i ten biały taras i owe młode, piękne i szczęśliwe twarze. Jak dziś, widzę wesołą twarzyczkę Maryni, przekomarzającego się z nią, poczciwego, kaszlącego Litwina, Adelę z twarzą madonny i czarnemi włosami cyganki, poważne oczy Zosi i czysty profil Ruszczyca. Adela była dziś wesoła, rozbawiona i wyglądała obok jasnowłosej Julki, jak kwiat lotosu obok skromnego modraku. Miała u stanika białą różę, a takąż samą wpiął w klapę surduta Martynoff, zapatrzony i prawie nieprzytomny.

— Czemu pan nie jész? — zwróciła się do niego swobodna i jakby nieświadoma wywieranego przez siebie uroku, — o! co za wspaniałe grono! — czy można położyć panu na talerzyk?

Martynoff drgnął.

— Co tylko pani rozkaże, — odpowiedział po francusku.

— Adelciu! — zaśmiała się Marynia, — podaj panu Rumunowi puhar cykuty, a ręczę, że wypije duszkiem.

— Wypiję, — odparł z przekonaniem Martynoff, — pani Adela wié o tém.

— O, co to, to nieprawda, — skądżeżbym wiedziała?

Odwróciła głowę zmieszana i podała ciastka Włastowiczowi, a przy stole zapanowało chwilowe milczenie.

— Gdzie jest Jania? — zwrócił się do Julki Ruszczyc, pragnąc widocznie przerwać niemiłą ciszę.

— Śpi, Zosia ją uśpiła, bo my nie mogłyśmy dać sobie z nią rady, tak się nam dziś rozgrymasiła. Proponuję Zosi, by przyjęła u mnie obowiązek niani, inaczéj zminie się ze swém powołaniem.

— Pani droga, — Włastowicz wzruszył ramionami — nie zminie się, nie, — wyjdzie za mąż i będzie niańczyła własne aniołki, które...

— Porozpuszcza jak cygańskie bicze! — wpadła mu w słowo Marynia.

Litwin pokiwał głową.

— Właśnie, właśnie, — z ust mi pani wyjęłaś, co mię dziwi nadzwyczajnie, albowiem do téj pory zawsze różniliśmy się w zdaniach. Zatém, panna Zosia porozpuszcza swoje aniołki, co zaś do panny Maryni, to wiem tylko, że męża weźmie w karby okrutne — biedny, nieszczęśliwy człowiek...

— Pańskie współczucie marnuje się najniepotrzebniéj w świecie, — odrzuciła Marynia, — nie mam zamiaru unieszczęśliwiać nikogo.

— Wiem, wiem, — słyszałem to już bardzo wiele razy, tylko, że ja jestem z natury niedowiarek i...

— Oo! naturalnie, alboż można wierzyć w to, co mówi kobieta? Wy wszyscy tak twierdzicie, a zastanawiającém jest to tylko, że każdy

z panów stworzenia, z wyżyn spoglądający na ogół kobiet, dla jednéj zawsze robi wyjątek, w tę wierzy święcie i ta prowadzi go na pasku, gdzie chce i jak chce.

— A panie to niby inaczéj, — każda, ledwie wdzieje cokolwiek dłuższą sukienkę, już stawia ołtarz i przemyśliwa, kogoby téż na nim postawić.

— Nie prawda, nie! — wołała zaperzona Marynia, a Zosia dodała żartobliwie:

— No, my przecież pod każdym względem jesteśmy niższe od królów świata, ale pomimo to, na poparcie obustronnych twierdzeń możeby tak uciec się do przykładów?...

— Bójcież się panie Boga, tylko bez przykładów!

Włastowicz poruszył się na krześle niespokojnie i spojrzał lękliwie w stronę Julki, spokojnie obierającéj tyrolskie jabłko. Marynia parsknęła śmiechem.

— A naturalnie! teraz, gdy metoda doświadczalna rządzi światem uczonych, wszystko powinno być oparte na żywych przykładach,— doskonale! — jest nas tu cztery, panów trzech, nie, także czterech, ale mniejsza z tém, nawet to rzeczy nie zmieni...

— Oj, panno Maryniu! — pogroziłem jéj palcem, — nie żartować, bo jak przyjdzie kréska na Matyska...

— Jak wrócą wędrowcy z Medyolanu i Wenecyi... — dorzucił Włastowicz półgłosem.

Maryni zaiskrzyły się oczy.

— Bardzo się pan mylisz, nie umieszczam kapitałów mego serca na takiéj artystycznéj hypotece!

— No, tak, -- hypoteki artystów i poetów nie bywają dość pewne, ma pani racyę, ale, dziękujemy za objaśnienie, że kapitały już są nagromadzone i że się szuka lokacyi.

Julka i Zosia roześmiały się, a Marynia zerwała z krzesła, ale z wielkiego oburzenia słowa wymówić nie mogła.

— Każdy Litwin jest uparty, wiadomo, nigdy i nikt go jeszcze nie przekonał! — wybuchnęła wreszcie siadając i bokiem odwracając się do Włastowicza.

— No, to pani i na siebie wyrok podpisałaś.

— Ja jestem Żmudzinka, z Litwinami nie mam nic wspólnego!

Pani Adela wstała, przeszła na drugą stronę tarasu, oparła się o balustradę i patrzyła w ogród, -- Martynoff jak zahypnotyzowany poszedł za nią. Po ostatnich słowach Maryni, ożywiona rozmowa raptem się urwała i co zdarza się często nawet w bardzo licznych towarzystwach, zaległo milczenie tak zupełne, że usłyszałem jak z wiel-

kiego platanu oderwał się zeschły liść i z ledwie dosłyszalnym szmerem trącając o gałązki, spadł na murawę, cichy, jak westchnienie.

Zosia podniosła się i zniknęła za portyerą, a po chwili, przez drzwi otwarte spłynęła na nas nieporównana harmonia *Quasi una Fantazyi* Beethovena. Po pierwszém uderzeniu poznałem artystkę, umiejącą przemawiać do tłumów nie szaloną biegłością palców, ale duszą wkładaną we własną grę. Czar księżycowéj nocy podnosił wrażenie ową grą wywołane, harmonia tonów zlewała się z harmonią zasłuchanéj w ciszę natury, a tony rosły, potężniały, brzmiały całą siłą uczucia i znów słabły i cichły, przechodząc w ledwie dosłyszalne szmery. Nikt nie poruszył się, każdy pozostał pod wrażeniem, każdy wstrzymywał prawie oddech, by czaru nie rozwiać, a mnie się zdało, że gwiazdy są dziś jakieś inne, jakby ździwione, że księżyc się zasłuchał i nieruchomy, stanął w połowie drogi, że cały świat przemienił się w pieśń, a w téj pieśni moje własne *ja* rozpłynęło się i zanikło. *Adagio* skonało w ostatniém westchnieniu, rozwiały się lekkie, prawie figlarne tony *alegretta*, w powietrzu jak burza zadrgały pierwsze pasaże wspaniałego *presta*. Fortepian skarżył się, jęczał, łkał i znów szalał jak człowiek miotany rozpaczą lub wielką namiętnością. Straciłem zupełnie świadomość miejsca i czasu, a choć ostatni akord przebrzmiał oddawna, ja słuchałem jeszcze...

Na taras znowu spłynęła cisza... i znowu powietrze zadrgało pieśnią, pieśnią Chopina, piękniejszą nad wszystkie fantazye świata. O dziwy! toż to fujarka, nasza, rodzima! toż to krakowiak! Pod lasem łąki, zielone, wilgotne, bezbrzeżne — opary się podnoszą i płyną niby senne duchy — niebo ciemnicje, gwiazdy na wyścigi otwierają oczy złociste, księżyc wszedł i patrzy. Zdala majaczy szereg chat, a w każdéj płonie czerwone światełko — psy poszczekują ode wsi — na łąkach rżą konie spętane — na wielkiéj, szaréj kopce siedzi chłopię-artysta i z prostéj, na jarmarku kupionéj fujarki takie cudne wydobywa tony, że kto je raz usłyszy, a zrozumié, nie zapomni nigdy.

Słyszał je i zrozumiał Chopin, Zosia może także słyszała, może tylko pojęła Cbopina? Ukryłem twarz w dłoniach, a fujarka grała raz głośniéj, raz ciszéj, a nuta krakowiaka po rosie i na oparach, wywołanych czarodziejskiemi palcami artystki, spływała mi aż gdzieś na samo dno serca, a gdy urwała się i zbudziła mię z marzeń, sprawdziłem ze wstydem, że po mojéj twarzy płynęły łzy.

Opodal siedział Ruszczyc bardzo blady, Julka i Marynia oplotły się ramionami i przytulone do siebie patrzyły w gwiazdy, Włastowicz ukrył twarz w dłoniach, pod latanią, w cieniu, pani Adela opanowana

takiém samém pewno jak ja wrażeniem, zapomniała o świecie i nie wyrwała ręki, którą Martynoff do ust przyciskał.

— Piękno prawdziwe po wiek wieków rządzić będzie duszami! — pomyślałem zrywając się i biegnąc do saloniku.

Zosia siedziała z rękami opuszczonemi na kolana, była zarumieniona, oczy jéj błyszczały. Ukląkłem, porwałem jéj rączki, całowałem je, chciałem dziękować, ale widocznie mówiłem same głupstwa, bo dziewczyna poczęła się uśmiechać i kiwać główką.

— Proszę, przynieś mi pan wody, zmęczyłam się bardzo — rzekła wreszcie odbierając mi rączki i chowając za siebie.

— Czy pani słabo? — usłyszałem za sobą niespokojny głos Ruszczyca.

— Nie, i owszem, jest mi zupełnie dobrze, tylko zmęczyłam się i napiłabym się wody.

Ruszczyc wybiegł na taras, a ona podniosła się, chciała iść, ale nagle zbladła, zachwiała się i gdybym jéj nie był pochwycił, byłaby upadła na ziemię. W tejże chwili wbiegł Ruszczyc ze szklanką, z któréj rozlewał wodę na talerzyk i na posadzkę, za nim szła pani Adela. Zrobiło się małe zamieszanie, odebrano mi Zosię, posadzono ją na kanapce, salonik napełnił się w mgnieniu oka.

— Proszę przynieś mi pan z sypialnego pokoju wodę kolońską, flaszeczkę stojącą przy łóżku Zosi i szklankę!

Ruszczyc wybiegł, pani Adela klękła obok pobladłej dziewczyny, całowała jéj przezroczyste ręce i rozcierała je delikatnie.

— Oj ty dzieciaku! — mówiła — czemuś ty grała dzisiaj, czemu?

Koło serca zrobiło mi się dziwnie miękko. Zosia starała się uśmiechać, ale nie udawało jéj się.

— Widzisz, Adelciu, — mówiła, z wysiłkiem łzy hamując — ja nigdy nie będę zdrowa — nawet grać już nie mogę.

Julka i Marynia miały oczy pełne łez, a ja, w obawie, że także ryknę jak baba, wybiegłem na taras. Otoczyła mię noc, odetchnąłem pełną piersią, a po chwili zacząłem sobie prawić morały.

— Waryat jesteś panie mecenasie! waryat, idyota i kretyn! Przyjechały sobie cztery młode kobiety, wynajęły ładną willę, jedna zagrała, potém zrobiło jéj się słabo, a ty węszysz zaraz jakąś tragedyę, śmierć, pogrzeb i masz ochotę odegrać rolę wynajętéj płaczki. Tak, to prawda, ale swoim porządkiem gdyby ten wątły dzieciak był mojém dzieckiem, a ja jego matką, nie, ojcem, — nie oddałbym go śmierci, nie! wziąłbym się z nią za bary . . .

We drzwiach stanęła Zosia. Jak miną wysadzony rzuciłem się do niéj.

— Czy już pani lepiéj?

— O, tak, — ja mam zabawną naturę, choruję, płaczę, znów się śmieję i tak w kółko. — Jestem nieznośna.

Przysunąłem jéj krzesło.

— Może pani usiądzie na tarasie?

— Dziękuję, umyślnie przyszłam tu, bo tam duszno. Chciałam odetchnąć świeżém powietrzem, zostać trochę sama i Adelcia mi pozwoliła.

— To ja teraz odejdę...

— O nie, proszę, zostań pan ze mną. Czasami nie mogę znieść, gdy od razu dużo osób do mnie mówi, ale z panem będzie mi bardzo przyjemnie. Pan Ruszczyc tak pana lubi...

— Czy to jest dla mnie czémś w rodzaju listu polecającego do pani? — zapytałem z uśmiechem.

Skinęła główką.

— Tak, wszyscy, których on lubi, muszą być warci, aby ich także lubić, pan to chyba wiesz lepiéj odemnie, bo znasz dawniéj pana Ruszczyca.

Umilkła, ja się zamyśliłem, a w saloniku Litwin przekomarzał się z Marynią.

— Nie powié mi pani? — no, to nie, ja i tak się dowiem.

— A to jakim sposobem?

— Takim, że miłość i kaszel nigdy się nie ukryją.

— Ale kiedy ja panu mówię, że się w nikim nie kocham.

— Nie kocha się pani, to się pani będzie kochała; — już ja się tego doczekam i zrobię zyg-zyg-marcheweczka.

— Marynia chce gwałtem przekonać pana Włastowicza, że za mąż nie wyjdzie — odezwała się Zosia.

— A pani także myśli, że wyjdzie?

— Ja nie wiem, bardzo być może. Ona teraz wierzy święcie, że nie, ale wszystkie moje koleżanki wierzyły tak samo i wszystkie wyszły, prócz mnie.

— I pani wyjdzie.

Potrząsnęła główką.

— Chyba nie, nigdy nie przychodzi mi do tego ochota i zdaje mi się, że całe życie już, będę kochała tylko muzykę.

— I więcéj nikogo?

Zawahała się.

— Tak jak muzykę, nikogo. Jak gram, dzieje się ze mną coś niezwykłego, zapominam o całym świecie, w duszy mam i rozkosz i ból równocześnie, jakieś dziwne uczucie poprostu rozsadza mi piersi.

Jeżeli tego wszystkiego nie mogę wygrać z siebie, jestem nieszczęśliwa i płaczę, ale czasami mogę i wtedy czuję wyraźnie, że nad wszystko kocham mój fortepian.

Umilkła i oddychała szybko.

— Pani jesteś artystką z Bożéj łaski, — odezwałem się patrząc na nią z zajęciem, — w grę wkładasz duszę i dlatego umiész przemawiać do innych dusz.

Uśmiechnęła się z goryczą.

— Artystka! i co mi z tego? i co z tego światu? Nie, ja jestem przedewszystkiém egoistką, ja nawet nie umiem grać przy ludziach tak, jak się grać powinno i zdaje mi się, że dopiéro wtedy oddałabym w tonach wszystko co mam w duszy, gdybym się znalazła sama jedna i ujrzała wkoło tylko wielki — pusty świat.

Oparła głowę o poręcz krzesła i patrząc w niebo, mówiła jakby do własnych myśli:

— Ja jestem inna niż wszyscy i pewno dlatego mi smutno. Każdy kogoś kocha, ma jakiś cel, dla kogoś żyje, do czegóś dąży, cierpi, poświęca się. Mnie tak pusto czasami, że zazdroszczę ludziom cierpienia. Rodzice mię psuli, świat mię psuł i życie także — nie nauczyłam się kochać nikogo i niczego. Żyję tylko dla siebie, dla saméj przyjemności życia, a tę moją namiętność do muzyki, tę rozkosz, na którą nie zapracowałam i nie zasłużyłam niczém, wyrzucam sobie jak grzéch. Chciałabym kochać ludzi, bardzo, nad wszystko i nie umiem— chciałabym być użyteczną a nie wiem jak.

— Nie widziałaś pani nędzy i cierpienia,—odezwałem się poważnie, — znasz je tylko z teoryi, jesteś młoda i dlatego zdaje ci się, że nie umiész kochać ludzi i nie wiész jak być użyteczną.

Zwróciła się do mnie szybko.

— I pan Ruszczyc tak mówi! Podobno trzeba nietylko widziéć cierpienie, ale i samemu cierpiéć — inaczéj nie jest się człowiekiem. Ludzie, ktorzy wiele w życiu przeszli i wiele walczyli, mają być lepsi od ludzi szczęśliwych i bogatych, a ja, jeśli zawsze będę chodziła tylko po różach, jeśli nie będę nawet potrzebowała zadawać sobie trudu, by te róże zrywać, bo inni mi ich narwą, zawsze pozostanę bezużyteczném zerem.

Mimowoli uśmiechnąłem się.

— Jakto? Ruszczyc to pani mówił?

— Tak, to jest nie, pan Ruszczyc mówił trochę inaczéj, mówił, że ja jestem jeszcze dziecko, ale że na ziemi każdy musi poznać dwie strony życia i że ja je poznam także, a wtedy będę umiała i kochać i poświęcać się. Ból oczyszcza, cierpienie uszlachetnia człowieka

i dlatego chciałabym ich doznać — muzyka byłaby mi wtedy ukojeniem.

Umilkła, ja dumałem nad słowami młodéj dziewczyny, a w saloniku tymczasem zrobił się jakiś ruch niezwykły. Włastowicz szybko przebiegł taras, wpadł do ogrodu i zniknął w cieniach.

We drzwiach ukazał się Ruszczyc. Zosia się zerwała.

— Co się stało?

— Nic, niech pani będzie spokojna.

Zbliżył się do niéj szybko, ujął za ręce i poprowadził z powrotem do krzesła. Usiadła posłuszna jego woli, trwożnie patrzyła mu w oczy, a on mówił daléj:

— Widzę, że pani mnie się boisz, ale to nic, taki strach nie przyprawi cię o chorobę, a tymczasem na dole, nowy sąsiad pań, dowiedziawszy się, że tu jest taka niegrzeczna zdenerwowana pacyentka, powiedział, tak jak Jania: „ja tyz” i, także się rozchorował. Naturalnie nic wielkiego, zemdlał prawdopodobnie i zaraz przyjdzie do siebie, pani Adela poszła do niego, pan Włastowicz pobiegł po doktora, a my tymczasem poczekamy sobie cichutko i niedługo dowiemy się, że już wszystko w porządku — prawda?

Mówił spokojnie, prawie żartobliwie, ale w jego oczach skierowanych na Zosię widniał niepokój.

— Czy tylko pan mówisz prawdę, może on bardzo chory? — może jabym pomogła co Adelci?

— Nic pani nie pomożesz, bo pani Adela nie chce pomocy i nawet pani Keszmarowéj nie pozwoliła iść z sobą. Poczekajmy jeszcze trochę, a niedługo dowiemy się wszystkiego.

Podniosłem się i niepostrzeżenie wsunąłem do saloniku. Pod oknem stały Marynia z Julką, obok nich Martynoff. Na mój widok urwali rozmowę, a kobiety zapytały przyciszonym głosem:

— Cóż Zosia?

— Nic, wszystko dobrze, ale co się tutaj stało?

— Nic pan nie wiesz? — okropność! wpadła służąca z wiadomością, że ten pan na dole umarł!

Młode kobiety trzymały się za ręce i drżały jak w febrze, a ja doznałem wrażenia, że po plecach przeszło mi krocie mrówek.

— Jakto! umarł faktycznie?

— Czy faktycznie, nie wiemy, ale chyba nie, bo w takim razie Adelcia nie bawiłaby tak długo.

Drzwi się otworzyły, weszła służąca. Chory żył i pani Adela prosiła na dół Keszmarową; — Julka wybiegła, my odetchnęliśmy.

— No, chwała Bogu! — zawołała Marynia — nie musi być nic bardzo złego, kiedy Adelcia zawołała do pomocy Julkę. Strach, żeby on tak umarł tutaj!

Wstrzęsła się i pobladła.

— Czy pani boisz się umarłych? — zapytał z uśmiechem Martynoff.

— Nie, ale zawsze nie bardzo to przyjemnie wiedzieć, że na dole trup. Podziwiam Adelcię, że poszła sama.

— A czemuż nie towarzyszył jéj żaden z panów? — zapytałem zdziwiony.

Marynia zmrużyła oczy filuternie:

— O! Adelcia w swoich wierzytelnościach wdzięczności, nie znosi spółki i nie przyjmuje nigdy ani pomocnic ani pomocników.

— Czy Zosia nic nie wié?

— I owszem, wié, ale tylko, że chory, — odparłem. — Ruszczyc powiedział jéj to w taki sposób, że się niebardzo przeraziła.

— Oho! pan Ruszczyc to Metternich! chodźmy do nich!

Ale oni właśnie ukazali się we drzwiach, Ruszczyc za plecami Zosi dawał nam porozumiewawcze znaki.

— Lepiéj, lepiéj! — Marynia objęła przyjaciółkę i pociągnęła ją na kanapkę. — Wiesz? Julcia téż tam poszła.

Usiedliśmy wszyscy i milcząc czekaliśmy na świeże wiadomości. W jasnym saloniku było mi jakoś mroczno i chłodno. Czyżby naprawdę anioł śmierci zajrzał do cichéj i tak niedawno jeszcze wesołéj willi? Co chwila spoglądałem na zegarek, ale minuty upływały dziwnie leniwie. Pięć—dziesięć—kwadrans—pół godziny. Przed oczami majaczyła mi znowu twarz nieznajomego, ale na korytarzu dały się słyszéć lekkie kroki. Weszła Julka, a my zerwaliśmy się wszyscy.

— I cóż! i cóż! — posypały się pytania.

— Nic wielkiego, zwykłe zemdlenie. Teraz jest już zupełnie dobrze, leży na szeslongu i spokojnie rozmawia z Adelką. A to biedactwo?

Julka przyciągnęła do siebie Zosię i pocałowała ją serdecznie.

— O! ja jestem zdrowa zupełnie.

Zosia starała się uśmiechnąć, a ten uśmiech rozjaśnił i twarz Ruszczyca, wpatrzonego w nią z niepokojem. Wszedł Włastowicz.

— A doktór? — zapytała Julka.

— Doktór już jest na dole u pacyenta, ale pacyent podobno zdrów...

— No, tak dalece nie, lepiéj jest.

— Chwała Bogu! myślę, że teraz pożegnamy panie, bo panna Zofia wygląda jak mara, panna Marynia pobladła i wszystkim paniom należy się wypoczynek.

Poczęliśmy się żegnać i wyszliśmy razem. Włastowicz i Martynoff uścisnąwszy nam ręce serdecznie, udali się na lewo, my zwróciliśmy się w stronę Curhausu. Milczeliśmy obydwaj. Ruszczyc szedł wolno, zapatrzony w ciemniejące przed nami szczyty Alp i nie zdawał się mieć ochoty do rozmowy, ja dumałem nad całym tym dniem, dziwnie w wrażenia obfitym. Urok pięknéj natury, spotkanie z Ruszczycem, niespodziewane poznanie tylu naraz osób, wczoraj jeszcze obcych mi zupełnie, a dziś jakby już bardzo blizkich, Jania ze swoją różą, muzyka, wrażenie wywołane zasłabnięciem Zosi i nieznajomego, wszystko to mieszało się z sobą, plątało i budziło mnóstwo sprzecznych uczuć. Mimowoli dotknąłem ręką własnéj twarzy, jak gdybym pragnął upewnić się, że nie śnię i że naprawdę wracam z Parvy, gdzie pozostali — Julka i Marynia, nieznajomy, pani Przygodzka i Zosia. Zosia! jak ona gra, jak gra! Ciekawy jestem czy zawsze tak, czy tylko dziś wyjątkowo, pod wrażeniem pięknéj nocy, lub może innego uczucia? A może ja byłem w wyjątkowém usposobieniu? może w jasny dzień, w inném otoczeniu, ta muzyka nie byłaby mi przemówiła do duszy tak silnie! Skąd w takiéj młodéj dziewczynie taka pełnia uczuć? jakim ona sposobem pojęła i zrozumiała wielkich mistrzów harmonii? jak taki dzieciak wychowany przez szum lasów i szerokie przestrzenie, nieznający życia, ani jego cierpień i rozkoszy, mógł oddać tyle namiętności? Zadziwiające.

— Co takiego? — zapytał Ruszczyc.

Doznałem wstrząśnienia, jak gdyby mi kto nad samém uchem palnął z rewolweru. Ruszczyc roześmiał się.

— Patrz, nie wiedziałem, że umiész myśléć głośno.

— Ale bo widzisz, jestem jakiś rozstrojony — jak ona gra!

— A! panna Zofia — o, gra — na żywych strunach.

— Gdzie ona się uczyła?

— W domu,—najpierw od nauczycielki, a potém od brata, który jest artystą patentowanym, skończył konserwatoryum w Lipsku i dwa lata siedział u Leszetyckiego w Wiedniu, ale według mnie gra gorzéj od niéj, a przynajmniéj inaczéj.

Stanęliśmy,—u nóg leżał nam Unter-Maïs, przez mgły do snu utulony, daléj, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się łąki, podobne do olbrzymiego jeziora. Na ciemném niebie ukazał się jasny punkt, zakreślił długą, białą smugę i zgasł.

— Meteor! — szepnąłem.

Ruszczyc drgnął.

— Panna Zofia utrzymuje, że co się myśli w takiéj chwili, to się sprawdzi, ot przesąd! — a jednak... chciałbym być teraz przesądnym.

* * *

Nazajutrz, pomimo niespokojnie przespanéj nocy i snów dziwacznych, zbudziłem się dość rano, wypoczęty i rzeźki. Przez spuszczone rolety nie mogłem sprawdzić stanu pogody, ale gorący pół-cień zalewający pokój, pozwalał się domyślać, że Meran kąpał się w słońcu. To mi dodało humoru. Z pewném zadowoleniem zacząłem rozmyślać nad dniem wczorajszym — i stawiać horoskopy co do dni następnych, a zwłaszcza dzisiejszego, jako że był najbliższy. Prawdopodobnie pójdziemy do Parvy, bo Ruszczyc wspominał zdaje się, że codzień tam chodzą. Ot! zeszli się ludziska z krańców świata, zbliżyli, przeżyją razem kilka chwil przyjemnych i znów rozjadą się, pójdą każdy swoją drogą, zapomną. Ta myśl sprawiła mi pewnego rodzaju przykrość. Dopiéro jeden dzień przeżyłem na zimowych leżach, a już poczęło mię ogarniać rozleniwienie. Mimowoli poddawałem się urokowi tego życia z góry przeznaczonego na odpoczynek, oderwanego od trosk i kłopotów, nieopatrznego, — życia, którego jedynym celem — miłe zabicie czasu i, żal mi się zrobiło, że jednakże musi przyjść chwila, w któréj trzeba będzie wrócić pod mgliste niebo, do jarzma i ludzi — obojętnych, goniących za groszem, pchających ciężką taczkę życia, wielkich i maluczkich, depczących i deptanych.

Wszedł służący, a widząc że nie śpię, z powagą ambasadora postawił mi *ultimatum:*

— Kawa, czekolada, albo herbata.

Gdy po głębokim namyśle, zdecydowałem się na pierwsze, wyszedł, a w kwadrans miałem już przy łóżku stolik, a na nim kawę, dwie bułki warszawskiéj miary, kwadratową tafelkę masła i świeżą „kurlistę.” Poleciłem jeszcze podnieść rolety i otworzyć okna, a gdy po przez firanki dzikiego wina wpadły całe snopy blasków, znowu na sercu zrobiło mi się raźniéj, wobec wesołych, jasnych plam na posadzce i meblach, nieprzyjemne myśli ustąpiły miejsca weselszym. Przejrzałem spis gości, ale że był wczorajszy, nie znalazłem nikogo znajomego. Parterowy sąsiad mieszkanek Parvy nie figurował na liście, moje za to nazwisko zostało wydrukowane bez błędu, wyglądało jakoś lepiéj, a przynajmniéj inaczéj niż inne i widokiem swoim zrobiło mi przyjemność.

— Dlaczego ludzie zawsze widzą się chętnie na drukowanym papierze? — myślałem, zabierając się do kawy, ale rozwiązywanie tego

niealgebraicznego problematu, przerwał mi Ruszczyc. Był ubrany jak do wyjścia i mój wygodny sposób spożywania śniadania, zdziwił go bardzo.

— Bój się Boga! dziesiąta godzina, czas cudowny, myślałem, że pójdziesz ze mną do wodospadu, a ty leżysz!

— Przedewszystkiém, nie ma jeszcze dziesiątéj, następnie, w tak błogosławionym kraju jak Meran, nie ma klientów, którzyby z łóżka ściągali, więc pocóż rano wstawać, po trzecie zaś, nie tęgo spałem.

— To tak, jak ja, ale że jestem wieśniak, wstałem o zwykłéj porze, załatwiłem korespondencyę i przejrzałem już dzienniki.

Ruszczyc położył kapelusz, usiadł i zapalił papierosa.

— Phi! — odezwałem się tak pełen podziwu, jak gdybym nigdy w życiu nie pisywał listów i nie czytywał warszawskich Kuryerów, — toś ty pracowity człowiek jak na kuracyusza, ja, dopóki tu będę, solennie przysiągłem sobie nic nie robić.

— Masz racyę, po toś przyjechał. Ja jestem jakiś zdenerwowany, sypiać nie mogę, na miejscu usiedziéć nie mogę i z konieczności muszę sobie wymyślać zajęcie.

Popatrzyłem na niego uważnie.

— Po co ty tu właściwie siedzisz?

Odwrócił głowę i spojrzał w okno.

— Albo ja wiem? przyjechałem nie wiedziéć po co, siedzę nie wiedziéć po co i w dodatku nie wiem kiedy wyjadę.

— Ot, zwykły wpływ życia próżniaczego, — zauważyłem filozoficznie, — gdy raz zdecydujesz się na wyjazd, otrząśniesz się z apatyi... Słuchaj, czy my pójdziemy dziś do tych pań?

— A naturalnie; ja nawet chciałem iść trochę wcześniéj, bo co prawda niespokojny jestem co tam słychać. Pani Przygodzka umié sobie radzić w każdym wypadku, ale zawsze jakoś wypada dowiedziéć się, — same kobiety, ten Dolski nie wraca... ale wstawajże, bo cię zostawię i pójdę sam!

— Co! już do Parvy? — zawołałem, zrywając się przerażony.

— No, nie, ale trzeba się przecież przejść, zjeść drugie śniadanie, — szkoda czasu i słońca na siedzenie w pokoju.

Począłem się ubierać; — Ruszczyc chodził niecierpliwie wzdłuż i wszerz pokoju, chwilami zatrzymywał się przy oknie, patrzył w ogród i milczał.

— Wiész co, — zacząłem czyszcząc zawzięcie paznogcie, — myślałem właśnie przed chwilą, że takie życie, jak wy tu pędzicie, to rzeczywiście okrutne próżniactwo, ale téż i prawdziwy odpoczynek.

Człowiek mimowoli odrywa się myślą od wszystkiego, co pozostawił za sobą i żyje tylko chwilą obecną.

— Tyle też dobrego, ile się jest w stanie zapomnieć o tém, co się pozostawiło za sobą, — mruknął Ruszczyc, nie odwracając się od okna.

Spojrzałem na niego trochę zdziwiony, ale zobaczywszy tylko plecy, powróciłem do poprzedniéj manipulacyi z palcami, on zaś mówił daléj, więcéj do siebie niż do mnie:

— Człowiek zapomina o wszystkiém — zdaje mu się, że przedtém nie żył wcale — chwila obecna, poza nią, nic. Wié co będzie robił za godzinę i to niezupełnie dokładnie, a męczyłoby go, gdyby był zmuszony myśléć co będzie robił jutro. Żyje jak roślina, wygrzéwa się na słońcu, nie żąda nic, niczego nie pragnie, chyba tylko tego, by tak jak jest, pozostało długo, jak najdłużéj — choćby zawsze.

Umilkł i po chwili mówił znowu, a głos miał jakiś senny, jakby znużony.

— Ani woli, ani energii, — jest się jak ten liść oderwany od drzewa i rzucony na fale rzeki. Woda unosi go gdzieś w dal niepewną, nieznaną mu, ale też i obojętną... Powinienem myśléć, zastanawiać się, wyrwać się stąd, a nie mogę, bo sił nie mam...

Ostatnie słowa domówił prawie szeptem. Zbliżyłem się i ująłem go za ramię.

— Ruszczyc, tyś chyba chory? Co tobie się stało? Ja cię takim nie znałem, nie widziałem nigdy. Jesteś jakiś inny, jakby nie ten sam człowiek!

— Inny, powiadasz? ano, może i inny, czy ja wiem? Może mię jeszcze zamkną na starość w Kulparkowie!

Nie śmiałem mu zadawać pytań, wiedząc, że ich nie lubi, i że jeśli ma mówić, mówi sam. Gdy umilkł, umilkłem także i ubierałem się śpiesznie.

— No, może wyjdziemy już, jestem gotów, — rzekłem, znów budząc go z zamyślenia.

A on spojrzał na mnie nieprzytomnie, jak człowiek ze snu wyrwany.

— Aa — jesteś, to dobrze, chodźmy.

Pogoda była wspaniała, na promenadzie rojno i gwarno, przed Curhauzem grała muzyka. Kuracyusze zaopatrzeni w torebki z winogronami, spacerowali lub siedzieli na ławeczkach, śmieli się i rozma-

wiali, jedli winogrona i zapamiętale wypluwali łupinki. Cała promenada była w tém miejscu usiana jakby listeczkami, czarnemi i zielonemi. Zauważyłem, że się za nami oglądano, ale nie mogłem dociec, co nam tę popularność zjednywa, moje zawiesiste wąsy, czy téż charakterystyczna głowa Ruszczyca.

— Gdzież pójdziemy? — zapytałem.

Spojrzał na zegarek.

— Na wodospad zapóźno, bo już wpół do jedenastéj, więc jeśli chcesz, możemy przejść się trochę koło Curhauzu i posłuchać muzyki, a potém pójdziemy na pocztę, do czytelni i na śniadanie. Prawdopodobnie spotkamy tu gdzie Włastowicza i Martynoff'a.

— Czy panie z Parvy nigdy nie przychodzą na muzykę? — zapytałem.

— Prawie nigdy, zanadto im się przyglądają, a one co prawda są wszystkie cztery bardzo młode. Przytém pani Keszmarowa utrzymuje, że to publiczne jedzenie winogron, działa na nią jak emetyk.

Zrównał się z nami jakiś mężczyzna wysoki, szczupły, z siwemi bakenbardami, a mijając nas, podał Ruszczycowi rękę i zamienił z nim kilka wyrazów po francusku.

— Więc ty tu masz jeszcze znajomych po za stowarzyszeniem z Parvy, — zdziwiłem się, gdy siwy pan oddalił się dostatecznie.

— At, tego nigdy nie brak, trzebaby się chyba schować do antypodów. To był hrabia K.

— Minister?

— Tak, poznałem się z nim jeszcze w Egipcie, ale wtedy nie był ministrem.

Umilkł, bo zbliżył się teraz do nas młody człowiek, tęgi, wysoki, z twarzą szeroką i pozbawioną zarostu. Obok niego postępowały dwie damy, przystojne bardzo i bardzo elegancko ubrane. Mijając nas, obrzuciły Ruszczyca spojrzeniem, a towarzysz ich zdjął pośpiesznie kapelusz i uśmiechnął się, co szerokiéj jego twarzy i okrągłym oczom, nadało wyraz zupełnéj bezmyślności.

Ruszczyc dotknął się kapelusza, ale spóźnił się ze zdjęciem.

— A to kto? — zapytałem.

— Kiep! — mruknął podbijając laską kamyk i strącając go do rzeki.

Parsknąłem śmiechem.

— Krótko ale treściwie! — Komentarze zdają się zbyteczne, tylko, że prócz przydomku nadanego przez ciebie *ad hoc*, ten pan posiada prawdopodobnie i nazwisko?

— A posiada, ku chwale wszystkich Jałbrzykiewiczów.

— Aa! Jałbrzykiewicz! — to bardzo zamożna rodzina w Lubelskiém i na Żmudzi.

— Ta sama i dostatecznie zamożna, by taki dureń mógł siać złoto i tarzać się w błocie.

— A też damy?

— Jedna praczka z Wiednia, druga coś w tym rodzaju, jedném słowem zupełnie dobrana i nigdy nierozstająca się trójka.

— To fenomenalne! i te panie w zgodzie?

— W jak najlepszéj.

— Zatém i tu można się przypatrzyć ładnym rzeczom?

— Oo, można, można, tylko szkoda że bardzo często Polakom przypadają w udziale główne role.

Koło kwiaciarni zwróciliśmy się na lewo i weszliśmy w ulicę. Ta część Meranu to najzwyklejsze w świecie miasto; — bruk, asfalty, dorożki, sklepy, przekupnie i kupujący. Zabawiliśmy krótką chwilę na poczcie, poczém weszliśmy w wązką i stromo pod górę idącą uliczkę i wydostaliśmy się na niewielki rynek. Ruszczyc stanął.

— Przyjrzyj-no się téj ulicy, na lewo z rynku,—rzekł wskazując mi dwa szeregi ponurych i wysokich domów rozdzielonych bardzo wąską przestrzenią. Ulica była dość długa, ale prawie zupełnie ciemna. Po obu jéj stronach, nad chodnikami, wznosiło się ciężkie sklepienie, rodzaj korytarza, czy téż galeryi otwartéj od strony ulicy i wspartéj na grubych, murowanych słupach. Pod galeryą ciągnął się szereg sklepów, roiła się publiczność nic nie podobna do publiczności z promenady, na ulicy ruch był prawie żaden.

— O, niewesoła dzielnica, zauważyłem rozglądając się ciekawie.

— To pewno że niewesoła, ale inaczéj ludzie nie wytrzymaliby gdy przyjdą upały. Tu jest zawsze chłodno, a nawet zimno, powietrze ohydne i dla tego nigdy nie spotkasz w téj części miasta kuracyuszów, choć to jest właśnie główny punkt handlowy. Ten sposób budowania jest czysto włoski, a tu nazywa się „Lauben.”

Załatwiliśmy nasze interesy szybko. Ja nakupiłem w cukierni marcepanowych wisien, truskawek i malin dla Jani, Ruszczyc zabrał jakąś książkę z czytelni i znów zwróciliśmy się w stromą uliczkę. Na rogu promenady, Ruszczyc wstąpił jeszcze do kwiaciarni i wybrał sam kilka prześlicznych żółtych róż.

— Dla kogóż to? — zapytałem.

— Dla panien.

— A to czekaj, Maryni muszę przecież ja zanieść różę.

Wybrałem kilka i kazałem związać.

— Nie zabierzemy ich teraz,—zadecydował Ruszczyc, — niechaj leżą w wodzie. Gdy zjemy śniadanie, wrócimy i zabierzemy świeże. W pół godziny potém, obładowani ja cukierkami i kwiatami, on książką i także kwiatami, dążyliśmy przez ożywioną Habsburger-Strasse. Ruszczyc chciał mi pokazać cywilizowaną część miasta, ale ja go posądzałem że może nie chciał pokazywać się na promenadzie z kwiatami. Spojrzałem na własne ręce, potém na jego i mimowoli uśmiechnąłem się.

— Wyobraź sobie że wyglądamy jak gdybyśmy szli w konkury. W naszym wieku, a zwłaszcza w moim, to trochę zabawne.

Towarzysz mój zmarszczył się.

— W naszym wieku,—rzekł sucho,—można bezkarnie ofiarowywać kwiaty takim dzieciakom jak panna Zawiełłówna i panna Dolska, — przytém ja jestem żonaty, ciebie upoważnia stare kawalerstwo.

— Zatém jesteśmy w porządku,—rzuciłem wesoło, wchodząc do ciemnego przedsionka Parvy.

W saloniku nie zastaliśmy nikogo, ale z tarasu dobiegły nas głosy ożywionéj rozmowy.

— Nie wytłumaczysz mi tego! — mówiła pani Przygodzka, — to nie uczciwie.

— A mnie się zdaje, że ty bierzesz te rzeczy ze strony nazbyt poważnéj, — zabrzmiał głos Keszmarowéj. — On musi być bardzo dobry człowiek, a ona, choć rzeczywiście jest zajmująca i powiem nawet nieco oryginalna, ależ to jeszcze dzieciak! zupełny dzieciak! — pomyśl co za różnica wieku!

— Kogo to panie tak obrabiacie? — zawołałem wesoło ukazując się na tarasie.

— A, ślicznie! — ochłonęła pierwsza pani Adela, — podsłuchiwałeś nas pan — bardzo ładnie! Za karę nie powinnyśmy panu udzielić nowiny, z jaką tu na niego czekamy... czy i pan Ruszczyc jest?

— Jestem łaskawa pani i cieszę się, że na tarasie wesoło, bo widocznie wszystko w porządku. Czy panna Zofia zdrowa? Pani Adela nieznacznie spojrzała na Julkę.

— Zosia? o, spójrz pan!

Z ogródka doleciał wesoły śmiech, a między klombami błysnęło coś białego. Na ławeczce pod wysmukłą draceną, siedziała Marynia z listem w ręku, po chwili ukazała się Zosia, zarumieniona i zdyszana. Za nią jak biała kula toczyła się Jania, szeroko rozpostarła rączki i wołała:

— Mam ciocię! mam!

Na twarzy Ruszczyca odbiło się zadowolenie.

— A pacyent? — zapytał.

— Pacyent téż zdrów, o ile on może być zdrowym. A wiész pan, — zwróciła się pani Adela do mnie,—kto jest mój pacyent?

Patrzyłem na nią pytająco.

— Mój pacyent zna pana doskonale i nazywa się Leon Krzycki.

Zerwałem się z krzesła.

— Niepodobna... Leon! co on tu robi? a ja się tyle wczoraj namęczyłem myślą, zkąd ja go znam!.. ale zaraz... pójdę do niego.

— O! co to, to nie — zatrzymała mię pani Adela.—On teraz śpi, a dla niego sen to zdrowie—nie spał w nocy.

— No to dobrze, pójdę późniéj — jaka pani dobra! Mój Boże! ów Leonek — czy on opowiadał pani co o sobie i o naszéj znajomości? — czy on chory na płuca?

— Zaraz, zaraz, opowiem wszystko co wiem, tylko niech pan przestanie latać po tarasie, usiądzie i słucha spokojnie.

— Już siedzę, ale jego matka? co się dzieje z matką?

— Ależ pan niecierpliwy! jakżeż ja mogę odpowiadać na pytania kiedy mię pan wcale nie słuchasz, a przytém nie wiem wiele. Pan Krzycki poznał pana wczoraj na tarasie, ale nie był zupełnie pewny i o istotnéj obecności swego dawnego protektora w Meranie, dowiedział się dopiéro dzisiaj odemnie. Ucieszył się tak nadzwyczajnie, że aż zlękłam się, czy mu to nie zaszkodzi. Po wczorajszém zemdleniu jest osłabiony, nie powinien dużo mówić, ale nie byłam w stanie go powstrzymać. Zarzucał mię pytaniami i opowiadał sam, bez końca i ciągle o panu.

Podniosła się i wyciągnęła do mnie rękę.

— To tak miło usłyszéć, że są dobrzy ludzie na świecie.

Zaczerwieniłem się jak podlotek.

— Panie łaskawe, ten chłopak musiał coś nakłamać! na Boga i honor mój przysięgam, że nie zrobiłem dla niego nic, czego nie zrobiłby każdy przeciętny człowiek.

— Daj pokój, — przerwał mi Ruszczyc—byłeś zawsze porządny *homo*, to wiadomo.

Spojrzałem na niego niechętnie i ciekawy dalszych szczegółów zwróciłem się do pani Adeli.

— Czy Leon opowiadał pani co się z nimi działo od czasu jak wyjechałem z Lublina?

— Bardzo niewiele. Obawia się czy pan nie masz do niego żalu, ale gdy przenieśli się do Warszawy, był podobno tak zapracowany, że na nic nie miał czasu.

— Wierz mu pani! biéda musiała być a oni ją skrywali jak skąpiec złoto. Zawsze jednacy! ta przeklęta duma jego matki chleba im nie dała, to pewne!

— Nie wiem, tego mi nie mówił. Pan Leon skończył trzy lata temu uniwersytet, doktoryzował się i mieszka razem z matką w Warszawie. Na wiosnę zachorował na zapalenie płuc, źle się wyleczył i wysłano go tutaj.

— Po pacyentach pewno latał jeśli ich miał, albo po lekcyach jeśli ich nie miał, zaziębił się bez ciepłego ubrania, nie dojadł, nie dospał...

Zerwałem się i znowu zacząłem chodzić po tarasie, Keszmarowa i pani Przygodzka ścigały mię niespokojnym wzrokiem.

— Więc oni nie są zamożni? — zatrzymał mię Ruszczyc, stając i zagradzając mi drogę.

— Zamożni! Ależ ten chłopak przeszedł prawie o własnych siłach szkoły i uniwersytet i jeszcze utrzymywał matkę — bo co ona tam mogła zarobić swoim haftem! Jak oni się oboje kochali! — i on miałby teraz umrzéć, teraz gdy przeszedł najcięższe, gdy mógłby być chlubą kraju?.. taki zdolny chłopak—ależ to naprawdę byłoby bardzo smutne!

Usiadłem i pochłonięty przez wspomnienia mówiłem:

— Tak to już dawno temu, że lat nie jestem w stanie obliczyć, ale przypuszczam, że od chwili gdy poraz pierwszy zobaczyłem matkę Leona, musiało ich upłynąć ze szesnaście albo i więcéj.

Miałem wtedy kancelaryę w Lublinie i porządkowałem właśnie papiéry po ś. p. adwokacie N., gdy we drzwiach mego gabinetu stanęła wysoka, szczupła blondynka, lat może trzydziestu—może czterdziestu. Miała twarz młodą, lecz wiek, a może cierpienie, wyrzeźbiło jéj koło ust sieć drobnych zmarszczek i pochyliło ramiona. Obok niéj stał dziesięcioletni chłopczyk, jak ona jasnowłosy i skromnie, prawie ubogo ubrany.

Kolega mój, ś. p. adwokat N., zapisał cały, dość znaczny majątek, na stypendya gimnazyalne i uniwersyteckie, a że bliżsi i dalsi jego sukcesorzy, nie byli z tego zadowoleni i robili co mogli by testament

obalić, że od rana do nocy, umęczali mię swemi wizytami, przeto w pierwszéj chwili, posądziłem moich gości, iż przyszli w tymże samym interesie. Ale omyliłem się.

Pani Krzycka była wdową po urzędniku sądowym, miała po mężu dwa tysiące rubli całego majątku, utrzymywała się z haftu, a że chciała syna oddać do szkół, nie mając środków po temu, przyszła zasięgnąć informacyi co do zapisów stypendyalnych.

Zajęła mię wtedy ta kobiéta nieśmiała, przygnębiona, zapracowana, a jednak w swém ubóstwie dumna jak cezar i ten dzieciak zapewniający mię ze łzami, że będzie się uczył pilnie i że musi zostać doktorem, aby mamusia nie szyła w nocy. Ułatwiłem im otrzymanie stypendyum i umieszczenie chłopaka w pierwszéj klasie miejscowego gimnazyum, a potém dość często odwiedzałem skromne mieszkanko ubogiéj wdowy i jéj syna. Coś, z czego sam nie umiałem sobie zdać sprawy, ciągnęło mię do nich. Te dwie kochające się istoty, oddane tylko sobie i pracy, w dwóch szczupłych, ale tchnących czystością pokoikach, stworzyły sobie swój własny, maleńki światek i zdawały się nie tęsknić do innego. Ile razy wychodziłem od nich, czułem wyraźnie żem lepszy, spokojniejszy i więcéj zadowolony z życia. Żadna namiętność, żadna złość ludzka nie miała do nich przystępu; miłość matki dla syna i miłość syna dla matki, to były jedyne uczucia, przenikające atmosferę cichego przybytku pracy. Szczęśliwi! — myślałem zawsze, ile razy patrzyłem na Leona zatopionego w książkach, lub na spokojną twarz Krzyckiéj, pochyloną nad tamborkiem, — szczęśliwi i któż wié czy nie szczęśliwsi od wielu potentatów świata!

Ale i dla nich nadeszła chwiła smutku. Krzycka zachorowała, a gdy Leon wpadł do mnie z tą wieścią, był blady jak papiér, na razie nie był w stanie mówić, wreszcie wybuchnął płaczem. Zerwałem się na prawdę przestraszony, począłem pytać, a chłopak na próżno płacz powstrzymując, wyjąkał wreszcie:

— Mama leży w gorączce... pan był dla nas tak dobry... to mię ośmieliło...

Zrozumiałem. Matka leżała chora, trzynastoletni syn nie mógł jéj ratować, bo był bez grosza. Powtórzyłem mu mój domysł i długi czas potém nie mogłem zapomnieć wyrazu oczu tego dziecka i rumieńców upokorzenia, które ogniem zalały mu twarzyczkę, gdy zawołał ze złożonemi rękami:

— Panie! ja oddam, przysięgam że oddam! Teraz przejdę do czwartéj klasy, zacznę dawać korepetycye i oddam... tylko niech mama nie dowié się o tém nigdy.

Takim był Leon Krzycki jako dziecko, ale na jakiego człowieka wyrósł potém, nie wiem. Gdy wskutek różnych okoliczności, zwinąłem kancelaryą w Lublinie i przeniosłem się do Warszawy, pozostawiłem go w szóstéj klasie. — Wiedziałem, że miał zamiar wstąpić do uniwersytetu warszawskiego, że oboje z matką mieli się przenieść do stolicy, przyrzekli mi, że zgłoszą się do mnie, ale upłynęło lat cztery, pięć, wreszcie dziesięć — nie pokazali się. Przed oczami, długi czas jeszcze stawał mi piętnastoletni chłopak, taki, jakiego pozostawiłem w Lublinie, z lwią czupryną dumnie odrzuconą i z odwagą w jasnych oczach i łagodna twarz jego matki, ale to wspomnienie bladło, szarzało i wreszcie wśród zajęć i pracy rozwiało się w mgle zapomnienia,

Umilkłem. Julka miała oczy pełne łez, pani Adela utkwiła wzrok w ziemię i wydawała się zaprzątniętą jakąś upartą myślą, Ruszczyc kręcił niecierpliwie wąsa i wreszcie wstając, pierwszy przerwał milczenie.

— Musiał wyrosnąć na dzielnego człowieka — zauważył—i byłaby szkoda, gdyby się miał zmarnować.

Pani Adela zerwała się.

— Czemu ma się zmarnować? — zawołała z niezwykłym u niéj błyskiem w zamglonych oczach.—Doktór mówił mi wczoraj, że on może żyć, że on jest głównie wycieńczony, że jeśli zimę spędzi na południu i będzie się dobrze odżywiał, wróci do kraju zupełnie zdrów. A więc dobrze! ja go biorę pod moją opiekę i zobaczycie czy go nie wyleczę, zobaczycie!

— Tak, to możebne — szepnął Ruszczyc — ale jeżeli on nie ma dostatecznych funduszów?.. Żeby tak można dopomódz mu bez jego wiedzy?..

Pani Adela się zamyśliła.

— Ja myślę, że możnaby... wezmę go w moje ręce, nie dam mu się mieszać do niczego, pod pozorem że mu jest potrzebny spokój bezwzględny, sama będę rozporządzała jego wydatkami i podawała mu rachunki... ja myślę, że możnaby.

— Tak? więc mogę udać się z tém do pani? — Ruszczyc wyjął trzy stuflorenowe papiérki i z pewném zakłopotaniem podał je Adeli.— Gdy wyjdą—mówił, nie patrząc na mnie—dowiem się o tém, prawda?

— Naturalnie, tylko... czy to nie zawiele? Wino, koniaki, to wszystko co mogę dostarczać w taki sposób, by chory nie domyślił się ich prawdziwéj ceny, ale poza tém... sama nie wiem...

— Nie ma obawy, nie zawiele. Wina muszą być stare, koniaki dobre, a to kosztuje w Meranie bardzo drogo. Już pani da sobie z tém

radę, a ja będę zadowolony, że przecie choć na coś się przydałem. To będzie dla mnie pamiątka z Meranu.

Urwał i począł w zamyśleniu przechadzać się po tarasie. Nam było jakoś nieswojo, — pani Adela, niepewna, patrzyła na otrzymany dar i nie wiedziała teraz, co z nim zrobić, ja myślałem, że Leon i Krzycka nie byliby mi wdzięczni, gdyby kiedykolwiek, dowiedzieć się o nim mieli. Kłopotliwe milczenie przerwała Julka.

— Na litość Boską, cóż państwo macie takie kwaśne miny? — przecie ludzie od tego są ludźmi, by sobie dopomagali wzajemnie. Pan Krzycki nie dowié się o tém nigdy, to już rzecz Adelki, a że ona to potrafi, ja ręczę.

— Ale naturalnie — ocknęła się z zamyślenia pani Adela — będę myła butelki i wmówię w niego, że pije krajowe wino po sześćdziesiąt krajcarów.

Przechyliła główkę i spojrzała mi w oczy z uśmiechem.

— Tak, zabiéram piéniądze pana Ruszczyca bez najmniejszego skrupułu, a pan mecenas wybaczy mi ten grzech, gdy ujrzy swego Leonka zdrowym, prawda? — Wyciągnęła do mnie rękę, a ja pochwyciłem ją i uścisnąłem gorąco.

— Ma pani racyę, jego zdrowie przedewszystkiém. Czy pójdziemy teraz do niego?

Spojrzała na zegarek.

— Za pół godziny będę mu dawała lekarstwo, — pójdziemy wtedy razem i obudzimy go.

— Dziękuję pani! — chodź Ruszczyc do panien.

Zabraliśmy kwiaty i poczęliśmy schodzić z tarasu. Na dole towarzysz mój zatrzymał mię.

— Mój drogi, postąpiłem niedelikatnie, wszedłem w twoje prawa, ale ty wiész, że ja zawsze w takich razach jestem niezręczny.

Wyciągnął do mnie rękę, a gdy mu podałem swoją, uścisnął ją silnie. — Mylisz się—uspokoiłem go—nie mam do ciebie żadnego żalu, bo to byłoby śmieszne; tylko na razie było mi przykro, że taki oto chłopak musi przyjmować jałmużnę. Ale trudno! przy naszym społecznym ustroju nie może być inaczéj, zawsze jedni będą dawali, drudzy brali, oby tylko coraz mniéj było biorących, a coraz więcéj dających tak chętnie jak ty. Pani Adela jest dzielna kobiéta, a ja teraz jestem wdzięczny i jéj i tobie.

Ruszczyc się rozpogodził.

— Dziękuje ci.

— Cóż to panowie macie dzisiaj takie poważne miny? — wołała zdaleka Marynia, przechylając ku nam jasną głowę.

— Radzimy co zrobić z różami, które piękne panie ofiarowały nam po drodze — tłumaczył się Ruszczyc.

— O, zaraz! — panie téż takie skore w ofiarowywaniu kwiatów!

— Marynia wyciągnęła rękę — dla nas, prawda? bardzo się to panom chwali, nawiasem mówiąc.

Róże zmieniły właścicieli, Ruszczyca przeszły na własność Zosi, moje do rączek Maryni.

— Pan Ruszczyc nas psuje,—odezwała się Zosia.

— O! nie pogniewam się, jeżeli pan mecenas zechce także psuć nas, w tenże sam sposób,—śmiała się Marynia.

— Jania tyz.

Biała kula złożona z kaszmiru, koronek i płowéj główki, ciągnęła mię obu rączkami za połę surduta.

— Dla Jani nic.

— A to?

Różowy paluszek wyciągnął się w kierunku białego pakieciku związanego złotym sznureczkiem.

— To pieprz i tabaka.

Na twarzyczce rozlało się strapienie, różowy paluszek powędrował do skrzywionéj buzi.

— Bzidki pan.

Pogładziłem ją po główce.

— No masz, masz bobaku.

A bobak pochwycił dar i nie spojrzawszy nawet na mnie, potoczył się daléj, siadł na murawie i ze skupieniem począł odwiązywać sznureczek.

— No i cóż tu u pań słychać nowego i dobrego, — zacząłem siadając między pannami.

— Bardzo wiele dobrego, — zawołała Marynia,—pacyent Adelci zdrów, naopowiadał jéj mnóstwo rzeczy o panu...

— O tém już wiémy—przerwałem jéj; — jeżeli panie nie powiécie nam nic więcéj, to smutne.

— I owszem, powiemy, choć to pierwsze było więcéj zajmujące; ale jeżeli pan nie chcesz... Marynia zajrzała mi w oczy—wszyscy już wiemy, jaki pan umiész być dobry i za karę kochamy cię jeszcze więcéj.

Roześmiałem się.

— Ot, musztarda po obiedzie! zawcześnie się urodziłem i zestarzałem, inaczéj przytrzymałbym panią za słowo, ku najzupełniejszemu tryumfowi pana Włastowicza.

— Miały panie listy?—pytał tymczasem Ruszczyc Zosi.

— Miałyśmy i ja i Marynia. Nasi kochani zdrowi, mówią że nie tęsknią i że nie chcą nas widzieć aż na wiosnę, jakby się zmówili, tylko—ja wiem, że oni tęsknią, przynajmniéj moi, i... takbym już chciała do nich wrócić.

Ruszczyc spochmurniał, Marynia poruszyła się niecierpliwie.

— Dajże pokój! nie wrócisz aż razem z nami i aż będziesz zdrowa. Co ja bym tu bez ciebie robiła, pomyśl! Zato późniéj pojadę z tobą aż do Białowoli i będę siedziała póty, póki mię nie wypędzisz. — Objęła ją za szyję i pocałowała w usta, — cóż? zgadzasz się?

Zosia kiwnęła główką.

— Potém oboje z Julkiem odwieziemy cię do Zawiełłowa...

— No widzisz! zobaczysz naszą kochaną Żmudź.

Ruszczyc nie odzywał się, patrzył na panny, ale to spojrzenie było jakieś dziwne. Wiało z niego smutkiem.

— Czy pan Julian także pisał? — zaczął, jak gdyby chcąc zwrócić myśli dziewcząt w inną stronę.

Marynia się zerwała.

— A jakże! kapitalny list! — gdzież ja go podziałam?

— Maryniu, dajżeż pokój!

— O, nie, przeczytam, moja najdroższa! kapitalny list, prawdziwy groch z kapustą!

Wyjęła z koperty ćwiartkę szarego papiéru, zapisanego charakterem śmiałym i zamaszystym i czytała:

— „Zosiu moja! jestem lampart, i nicwartus i przyznaję się do tego z góry tylko dla tego, że chcę wyręczyć pannę Maryę, która prawdopodobnie zmęczyła się już powtarzając to, co najmniéj dwa razy dziennie, jak paciérz. Poczciwa panna Marya! to tak z zazdrości!

— „A powiédz jéj, że jest czego. Wenecya to kosztowny relikwiarz i choćby się w niéj było sto razy, zawsze będzie robiła to samo wrażenie. Pół dnia siedzę w pałacu Dożów, drugie pół dnia włóczę się po kościołach, wieczorem ginę—rozpływam się w „la Fenice”. Jak ona śpiéwa! mówię ci, tylko klękać! Czemu was tu nie ma? Pani Adela wyglądałaby na tle Marka i Piazzetty jak księżna Rahoga, panna Marya w czarnéj gondoli, w czarnych koronkach na złocistych włosach, jak Blanca Foscariniego... tylko aby nie powtórz jéj tego, bo w tak młodym wieku mogłaby się rozwinąć zarozumiałość. Wczoraj byłem na Lido i widziałem, *primo*: konia ciągnącego tramway który mi przypomniał, że oprócz dawnych pamiątek staréj Wenecyi, istnieje jeszcze postęp i cywilizacya, *secundo*: morze. Otóż morze było rozgniewane i tak wspaniałe, że gdybym był miał nad brzegiem fortepian, a nie miał obok siebie dwóch chudych niemek, równocześnie z każdym

większym bałwanem jęczących drewnianym dyskantem: *Herr Je!* — byłbym prawdopodobnie zaimprowizował coś piramidalnie wielkiego. Ot, dla jak błahych przyczyn ludzkość zostaje nieraz pozbawiana arcydzieł! Ciekawy jestem, czy też jeździcie konno beze mnie? Ten koń na Lido przypomniał mi Schlucht i tak mi rozełzawił serce, że gdybym był miał z sobą kuferek, byłbym prawdopodobnie już się zjawił w Meranie. Moja ty najmilsza siostrzyczko, co dzień robię sobie wyrzuty, że zostawiłem cię samą, ale na myśl o archanielskiém sercu pani Adeli, uspokajam się jak po wzięciu bromu i zasypiam jak kamień. Wrócę niedługo. Królowa Adryatyku robi na mnie wrażenie staréj, gotyckiéj katedry... co prawda niemki na Lido też robiły wrażenie gotyków, ale to inny rodzaj... otóż patrzę, podziwiam, a mieszkać tu nie chciałbym. Chodzę jak lunatyk, zdaje mi się że się przeniosłem w czasy Dandolów i Cornarich i w ciągłém jestem oczekiwaniu, że po olbrzymich wschodach Palazzo Ducale, zejdzie do mnie dumny Marino Falieri, lub nieszczęśliwy Carmaquola. Jeszcze parę dni, a dostanę czarnéj melancholii, albo napiszę marsza żałobnego. Aha! byłbym zapomniał! Poznałem przy *table d'Hote* u Bauera, szwagra pani Adeli, pana Ignacego Przygodzkiego. Bardzo miły człowiek, wybieramy się dziś razem do pałacu Foscarich, gdzie mam mu służyć za cycerona. Jeszcze raz usłyszę Minion i wracam. *Julek.*

Marynia czytała z powagą kaznodziei. Gdy skończyła spojrzała na nas z tryumfem.

— No i cóż! nie miałam że racyi? — prawdziwe *tutti frutti*, a w rezultacie o powrocie nic.

— Przecież pisze, wtrącił Ruszczyc, — że wróci po przedstawieniu Minion; co zaś do *tutti frutti*, to wyobraź pani sobie, że ja lubię tego rodzaju listy. Są przynajmniéj wierne jak źwierciadło, co w głowie, to i pod piórem.

— To samo mówiłam — szepnęła Zosia — a przytém ten list był tylko dla mnie pisany, nie powinnam była pokazywać go nikomu. Julek gniewałby się, gdyby wiedział...

Marynia poczęła ją przepraszać.

— Przecież chyba wiesz, że ja tylko żartuję, a że wolałabym aby prędzéj wrócił, to tylko przez wzgląd na ciebie no, i na nasze konne wycieczki, o których teraz i marzyć nie można.

— Nie wierzcie państwo nic! żmudzinki nigdy prawdy nie mówią. Włastowicz stał przed nami, kłaniał się słomianym kapeluszem i uśmiechał do Maryni.

— Jesteśmy wszyscy — mówił, — i jeżeli panie tylko rozkażą, zaraz dziś możemy dosiąść wierzchowców i pocwałować choćby na sam

szczyt Kuchelberga. Ciekaw jestem dla czego nieobecność pana Juliana ma nam przeszkadzać w uprawianiu wszelakiego rodzaju sportów!

— O! pan Włastowicz w usposobieniu zaczepno-odporném — zauważyła Zosia.

— A ja na przekór nie będę się dziś z panem kłóciła — dodała Marynia.

Litwin pokiwał głową.

— To źle, stan jakiś anormalny; ale to pewno dla tego, że pogoda dziś taka cudowna, ale to taka cudowna! że gdybym był poetą, napisałbym sonet; gdybym był cyklistą, puściłbym się w podróż naokoło świata; gdybym był w niebie, prosiłbym świętego Piotra, by choć na chwilę otworzył furtę niebieską i puścił mię do Meranu...

— A ponieważ pan jesteś tylko sobą — dygnęła przed nim Marynia, — usłyszymy prawdopodobnie propozycyę spaceru na Winkelweg.

Włastowicz się skłonił.

— Zgadła pani.

— Zatém zabierajmy się; ale, co się stało z panem Martynoff'em?

— Zatrzymał się na tarasie przy pani Przygodzkiéj, albowiem jak panie wiecie: serce nie sługa...

Panny pobiegły śmiejąc się, — Włastowicz westchnął ciężko i usiadł.

— Czy to westchnienie poszło na rachunek biednego Rumuna? — zapytał Ruszczyc, patrząc na niego z uśmiechem.

— At! Rumuna czy nie Rumuna, wszystko jedno. Biéda jest na świecie i tyle, cieszyć się nie ma z czego.

— Co wam będzie, rzucił Ruszczyc, — oświadczycie się i albo zostaniecie przyjęci, albo dostaniecie kosza, zwykła rzecz.

— Tak, łatwo się to mówi, ciężéj znieść gdy ostatnie wypadnie.

Litwin westchnął i zamyślił się głęboko, ja przyglądałem mu się z zajęciem, a on po chwili mówił daléj.

— Gdy miłość dobrze zaboli, tylko śmierć uleczy, ale taki Martynoff zapalił się odrazu jak zapałka, teraz waryuje, szaleje, ot — słomiany ogień, może i prędko zgaśnie.

— Czasem nim zgaśnie wpierw strawi niejedno i zostawi popiół — zauważył Ruszczyc.

— Bywa i tak, bywa.

— Ale cóż pani Przygodzka na to? — zapytałem ciekawie.

— Pani Przygodzka? albo ja wiem, — niby mówi, że za mąż ni-

gdy nie wyjdzie, ale jak czasami spojrzy temi swemi słodkiemi oczami, człowiek mimowoli nie wierzy.

Litwin znów westchnął ciężko.

— Gdybyż tak można pani Keszmarowéj nie wierzyć! — lecz ta znów nic nie mówi, niczego się nie zarzeka, a pomimo to, choćbyś człowieku sto lat żył, nie ośmielisz się powiedziéć jéj tego, co się mówi innym. Jak Boga kocham, ta kobiéta to jak obraz Ostrobramski, można tylko patrzéć i modlić się, więcéj nic!

Wstał i począł chodzić szerokiemi krokami, a Ruszczyc patrzył za nim z uśmiechem na poły litosnym, na poły smutnym.

— Kobiéta to jednak stworzenie dziwne i trudne do poznania,— począł w zamyśleniu, — pani Przygodzka naprzykład. Żaden mężczyzna i mało kobiet zdobędzie się na to, na co ona zdobywa się z taką łatwością, jak gdyby specyalnie poto żyła na świecie. Inne stroją się w suknie paryskie i kwiaty, ona w słodycz, w zapomnienie o sobie, w poświęcenie... dziwna ona jest jednak...

— W czém dziwna! przerwałem mu oburzony — ma serce, cała jest sercem i to jest dziwne? Czyż świat będzie teraz patrzył na cnoty i przymioty jak na dziwolągi?

Ruszczyc machnął ręką.

— At, frazesy! Kobiéta wyższa i z sercem nie mogłaby patrzéć bez przykrości na takiego Martynoff'a. Może być, że on się ani powiesi ani utopi i że, jak powiada pan Włastowicz, taki ogień prędko zgaśnie; ale teraz, ten człowiek cierpi na prawdę, jest nieszczęśliwy, zmizerniał i co prawda żal mi go.

— A cóż temu winna pani Adela? Wątpię, aby przyczyniła się do tego, chyba bezwiednie: kokieterya i ona to dwa przeciwległe bieguny.

— Zapewne, zwykła zalotność nie nadawałaby się do jéj powierzchowności, tylko — można kokietować właśnie brakiem kokieteryi. Trudno przypuścić, aby ona nie widziała co się dzieje z Martynoff'em. Kobieta zwykła bawi się takiemi rzeczami, ale pani Przygodzka, okazująca więcéj serca od zwykłych śmiertelników, nie powinna była do tego dopuścić, nie! Od takich ludzi, mimowoli wymaga się więcéj i dlatego to, ja mówię, że ona jest dziwna.

— Może i racya — począł namyślając się Włastowicz, — tylko, jeżeli ona go kocha!... Człowiek przystojny, obyty, zdaje się zamożny, no, prawdę mówiąc, niewiadomo kto on właściwie. U wód ludziska spotykają się z krańców świata i tyle wiedzą o sobie, ile nawzajem jedno drugiemu z twarzy wyczyta; ależ przecie nie tak znów trudno uparłszy się, zasięgnąć potrzebnych wiadomości.

Ruszczyc wstał.

— Taak — bardzo to pięknie, tylko pani Adela mówi dość wyraźnie, że za mąż nie wyjdzie...

— No to nie wyjdzie, — przerwałem mu niecierpliwie. — Cóż to, czy to jéj nie wolno się bawić, czy nie wolno jéj miéć słabostki, bez któréj ostatecznie prawie że nie znajdziesz ładnéj kobiety? Każda lubi hołdy, a uczymy jéj tego my, mężczyźni.

— Zapewne — z tego punktu zapatrując się na rzeczy, masz słuszność zupełną, tylko ja, pomimo to, pozostaję przy swojém — pani Adela jest dla mnie zagadką; — zbytku serca i braku serca nie jestem w stanie pogodzić.

Umilkł, bo na schodach ukazały się panie już w kapeluszach, rękawiczkach i z narzutkami na rękach. Pani Adela zostawała widocznie w domu, bo szła ostatnia, z gołą głową, obok niéj postępował Martynoff, jakiś markotny. Spojrzałem na nich uważnie. On jéj coś tłomaczył, czy może o coś prosił, ona słuchała ze zwykłym swym uśmiechem i wyglądała ładnie z gładko zaczesanemi, falistemi włosami, z ruchami trochę jakby leniwemi, w czarnéj sukni, skromnéj, ale wspaniale uwydatniającéj kibić prawdziwéj Dyany.

— Niech dyabli porwą Ruszczyca, razem z jego filozofią i znajością kobiet, — pomyślałem w duchu — kobiéta jak cukierek i osioł jestem ostatni, jeśli nie dobra jak anioł.

— Pan zostajesz, prawda? — zwróciła się do mnie. — Właśnie idę budzić pana Leona i będzie mi bardzo przyjemnie jeśli pójdziemy razem.

* * *

Z zimnego przedsionka Parvy, weszliśmy w obszerny korytarz, a minąwszy drzwi kilkoro, zatrzymaliśmy się przed ostatniemi. Pani Adela weszła pierwsza, ja za nią, trochę niespokojny czy wzruszony. Leon był ubrany, leżał na szeslongu przykryty ciepłym pledem i spał tak cicho i spokojnie, jak dziecko. Teraz dziwiłem się sam, jak mogłem go nie poznać. Taż sama przecie jasna i niesforna czupryna, to samo gładkie, nizko zarośnięte czoło i delikatnie wykrojone usta Krzyckiéj. Miękki wąs i zarost wokoło brody nie wiele go zmieniły. Staliśmy z Adelą obok siebie i z jednakiém prawdopodobnie uczuciem patrzyliśmy na tę spokojną, jasną głowę, na którą czyhała śmierć. Wstrząsłem się, ona spojrzała na mnie ze współczuciem, poczém podeszła do śpiącego i delikatnie położyła dłoń na jego splecionych rękach. Otworzył oczy, chwilę patrzył na nią zdziwiony, a potém uśmiechnął się.

— Przyprowadziłam kogoś, kogo bardzo pragnąłeś pan zobaczyć, ale wpierw weźmiemy lekarstwo.

Usunęła się, spojrzenie Leona padło na mnie. Patrzyliśmy na siebie chwilę, poczém równocześnie wyciągnęliśmy dłonie i uścisnęliśmy się milcząc. Pani Adela tymczasem gospodarowała jak u siebie. Dała choremu lekarstwo, kazała mi szeslong przysunąć do okna, otworzyła je, poczém przyniosła stolik, nakryła go serwetą i wyszła.

Leon wodził za nią wzrokiem, a gdy zniknęła w korytarzu spojrzał na mnie.

— Zdaje mi się od wczoraj, że umarłem i że legenda o niebie i aniołach stróżach, stała się rzeczywistością.

— Nietylko, że nie umarłeś, ale podobno nie masz jeszcze po temu żadnych kwalifikacyi, — odezwałem się patrząc mu w oczy z przekonaniem.

Posmutniał.

— Któż to może wiedziéć? choroby płucne to jeszcze zagadka dla lekarzy, niczego nie można przewidziéć.

— At, pleciesz, — będziesz zdrów! — Meran podobno cudów dokazuje, a ty masz szczęście, boś się dostał w dobre ręce.

Uśmiechnął się smutnie.

— Tak, to prawda. Chciałbym koniecznie napisać do mamy. Ona tam zamiéra, myśląc o mojéj samotności, a wiadomość o panu i o pani Przygodzkiéj, przywróci jéj spokój.

Umilkł, bo weszła pani Adela; za nią służący niósł dymiący béfsztyk. Leon probował się podnieść, ale siły go zawiodły, musiałem mu pomódz.

— Cóż, masz pan ochotę na ten wspaniały béfsztyk? — uśmiechnął się do niego anioł-stróż, stawiając na stoliku butelkę wina i kieliszek.

— Ze wstydem dla mojéj interesującéj choroby, muszę przyznać, że jestem głodny.

Słowa chorego rozjaśniły zadowoleniem piękną twarz pani Adeli.

— Większéj przyjemności nie mogłeś mi pan zrobić, proszę jeść i chwalić.

Usiadła naprzeciw niego, nalała wina w kieliszek i mówiła daléj ze swym zwykłym słodkim wyrazem na ustach:

— Musisz pan jeść mnóstwo i to od rana do nocy, inaczéj zrzeknę się opieki.

— W takim razie gotów jestem nawet chorować z przejedzenia, — rzucił Leon wesoło.

— Właśnie, tego nam potrzeba. Przejadaj się pan i przepijaj, śpij cały dzień, jeśli będziesz miał ochotę, nic nie rób, nic nie myśl, a na wyleczenie ja, choć nie doktór, mogę panu dać piśmienną gwarancyę.

Chory jadł z apetytem, a gdy befsztyk znikł z talerza, pani Adela podała mu wino.

— W nagrodę, że pacyent był grzeczny, pozostawię teraz panów samych, byście się mogli nagadać do woli, a potém, jeżeli obiad pójdzie nam równie dobrze, zasadzę Zosię do fortepianu i znowu usłyszysz pan Krakowiaki Chopina, tylko — zastrzegam się przed nowemi zemdleniami.

Spojrzałem na nią żdziwiony, a ona domyśliwszy się przyczyny żdziwienia, dodała:

— Pan Leon otworzył sobie wczoraj okno, żeby choć zdala posłuchać dźwięku polskiéj mowy, a gdy Zosia zagrała Krakowiaki, uznał za stosowne zemdléć, czém narobił wczoraj tyle strachu w całéj Parvie.

Leon się zarumienił.

— Wogóle nie jestem wrażliwy na muzykę, a nawet nie znam się na niéj, ale wczoraj byłem zdenerwowany, nie wiem, samotnością — chorobą, czy tęsknotą do kraju i muzyka panny... panny...

— Dolskiéj, — podpowiedziała Adela.

— Otóż panna Dolska jest chyba artystką, bo wczoraj pierwszy raz przekonałem się, iż muzyka może dać tyle rozkoszy, że aż ta rozkosz przemienia się w ból. Nie umiem określić, co mi się stało, przy tych krakowiakach tak zatęskniłem do kraju, że gdybym był nie stracił przytomności, kto wié czy nie byłbym się spakował zaraz wczoraj i nie wrócił do matki.

Pani Adela kiwała głową.

— Byłbyś się pan ładnie urządził, matka byłaby wdzięczna i panu i Zosi, nie ma co! No, do zobaczenia! teraz nie będziesz pan ani tęsknił, ani denerwował się samotnością, bo my na to nie pozwolimy. Proszę sprawować się dobrze, a gdyby rozmowa męczyła, dać prawo głosu panu mecenasowi, a samemu słuchać.

Odstawiła stolik, odsunęła firankę, by słońce mogło bez przeszkody zalewać szeslong i cały pokój chorego, poczém podała nam rękę i wyszła cicha i słodka. Patrzyliśmy na siebie milcząc chwilę, wreszcie Leon szepnął półgłosem:

— Myślałem, że na ziemi jest tylko jeden anioł — moja matka, tymczasem...

— Tymczasem, — przerwałem mu, — nie powinieneś się dziwić niczemu i nie wzruszać się. Jesteś na obczyźnie, sam jeden, chory, nic dziwnego, że doznajesz serca od rodaków. Źle byłoby gdyby nasze kobiety, nawet na to zdobyć się nie umiały.

Poprawiłem mu poduszkę i pomogłem usiąść wygodniéj. Słońce hojnemi snopami rzucało nań ciepło i światło, a on zdawał się niém rozkoszować, uśmiechał się i z zadowoleniem wpatrywał w nieskażony lazur nieba. Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem obok.

— Mój drogi chłopcze, —zacząłem łagodnie— nie myślę ci robić wymówek i denerwować cię, to babska rzecz, ale jeżeli było wam w Warszawie ciężko, jeżeli to cię przyprawiło o chorobę, przyznasz chyba, że oboje z matką nie mieliście racyi tak zupełnie o mnie zapomnieć, i że ja mogę miéć o to do was trochę żalu.

Leon nie oderwał oczu od błękitów, ale ujął moją rękę i uścisnął ją silnie.

— Wiem, że pan masz słuszność i że my jesteśmy dziwni ludzie, ale natury swojéj nikt zmienić nie może. Pan byłeś dla nas zanadto dobry, byśmy tę dobroć mieli wyzyskiwać, a przytém, — nam było ciężko tylko z samego początku i teraz w czasie mojéj choroby — zresztą, matka moja nie zaznała nędzy.

— Być może, że nie zaznała, ale ty straciłeś zdrowie.

Potrząsnął głową.

— Przerachowałem się. Zdawało mi się, że mam siły niespożyte i że ich zapas jest niewyczerpany — ale gorączka wiedzy zjada tak samo, jak każda inna. Nie myśl pan, że mię zniszczyła praca zarobkowa, o nie! Ja pokochałem naukę i mój zawód, a pokochałem z taką namiętnością, że poza niemi świat dla mnie nie istniał, oddałem im wszystkie siły i wszystkie myśli, pracowałem jak maniak i to mię zgubiło. Gdy przyszło zapalenie płuc, wyszedłem z niego zwycięzko, ale byłem właśnie na drodze do wielkich odkryć, zdawało mi się, że nie mam prawa odpoczywać, nie mam prawa pozbawiać ludzkości dobrodziejstw, które miały na nią spłynąć z mojéj wiedzy i pracy. Powróciłem za prędko do przerwanych badań i nadużywałem sił póty, póki nie zemściły się na mnie i nie opuściły mię zupełnie. Co za ironia! Marzyłem, że cały świat uwolnię od gruźlicy, a straszna choroba zagroziła mnie właśnie, mnie który chciałem ją zniszczyć, zdeptać, usunąć z szeregu cierpień gniotących ludzkość.

Patrzyłem na niego zdziwiony i mimowoli dotknąłem jego ręki, jak gdyby chcąc sprawdzić czy mówi przytomnie, czy téż pod wpływem gorączki. Rękę miał chłodną, ale oczy błyszczące.

— Co ty mówisz chłopcze? Tyś marzył o znalezieniu środka na suchoty, innego niż słońce i powietrze i wrodzona odporność człowieka?

— Tak, a pan myślisz, że mam gorączkę? — nie, ja mówię przytomnie. Gorączka przyjdzie późniéj, około trzeciéj lub czwartéj, a nauka idzie wciąż naprzód. Opanuje nietylko gruźlicę, ale i cholerę, błonicę, raka, malaryę, tyfus i wszystkie choroby zakaźne—wszystkie! Marzyłem, że będę jednym z tych, którzy popchną naukę naprzód i, kto wie? może byłbym ją popchnął. Medycyna, ręka w rękę z chirurgią i chemią dokażą cudów i to niedługo. Odkrycia będą szły za odkryciami, świat otworzy oczy żdziwione i ujrzy się uwolnionym od cierpień, dziesiątkujących go teraz — tylko... ja pewno już tego oglądać nie będę.

Oderwał oczy od błękitów nieba i utkwił je w szarą ziemię ogrodowych ścieżyn. Z pobladłéj twarzy powiał smutek i zniechęcenie.

— Ziemia wszystko pochłonie, ale czy pochłonie i moją myśl? Co stanie się z tym ogniem, który ja czuję w sobie? co stanie się z energią, z jaką chciałem wydzićrać wiedzy jéj tajemnice? w co obróci się zapał, z jakim wskazywałem moim młodym kolegom nowe drogi i nowe strony świętego zawodu lekarza? Nauka mówi—proch—tylko proch! — a jednak, człowiek stojący nad grobem, nie może w to uwierzyć. Ciało zniknie i powstanie z niego nowe życie i to jest nieśmiertelność materyi—ale myśl? czyżby myśl była zniszczalna? czyżby pod tym względem była niższą od materyi? Ja tyle chciałem wypowiedzićć światu, tyle miałem do wypowiedzenia i —nie zdążyłem. Myśl zniknie bezpowrotnie i nic uchwyci jéj już nikt i nigdy, bo nie została wcielona w papiér. Czy to nie śmieszne? Papiér, sfabrykowany ze szmat zbieranych przez gałganiarki — to nieśmiertelność myśli. Duch jednych, tylko za jego pomocą staje się własnością innych duchów i pcha świat naprzód. Kto w ten sposób nie zdąży skrystalizować swéj myśli — skazany jest na nieśmiertelność materyi. Choćby był cały miłością i geniuszem, choćby czuł w sobie siły, zdolne zbawić ludzkość, gdy umrze — nie pozostanie po nim nic!

Umilkł i po chwili szepnął:

— Smutne!

Patrzyłem na niego poważnie.

— Myślę, że tego problematu nie rozwiązał jeszcze nikt i nikt nigdy nie rozwiąże,—ty zaś nie powinieneś sobie pozwalać na podobne myśli. Nad grobem jeszcze nie stoisz, a siła woli znaczy wiele, bardzo wiele. Powiédz sobie, że żyć musisz, że musisz być zdrowym, że chcesz tego, a w połowie będziesz uzdrowionym. Gdy byłeś dzieckiem umia-

łeś chcióć i umiałeś dotrzymywać tego, co sobie przyrzekłeś, — czyżbyś teraz był słabszym duchowo od dziecka?

Chory westchnął.

— Tak. — Jestem tak słaby, że poprostu nie poznaję siebie, a osłabłem nietyle fizycznie, ile duchowo. Dotąd, nigdy nie zajmowałem się abstrakcyami—nie zastanawiałem się ani nad zagadką wszechbytu, ani nad celowością natury. Ja miałem przed sobą cel wytknięty — mój własny — a tak wielki i piękny, że zapatrzony weń, jak lunatyk szedłem wciąż naprzód i naprzód, na nic innego czasu nie miałem, aż oto potknąłem się i upadłem. Teraz bawię się w filozofię i nie mogę opędzić się myślom, po co żyłem? na co żyłem? jeśli nie dokończywszy zadania, mam umrzéć i pozostawić po sobie wielkie nic? Jak Hamlet swoje „być lub nie być”, ja powtarzam co chwila — mam ducha nieśmiertelnego i nie mam go — a to nie mam jest straszne. Wszystko się we mnie burzy i wszystko buntuje. Mam ochotę wtedy walczyć z kimś czy z czémś i temu komuś czy czemuś, nieznanemu i nieodgadnionemu, rzucić przekleństwo. Ha! jeśli umiéram dla tego, że tak chciał przypadek, jeśli bezcelowa natura, jeśli bezmyślna materya jest wszystkiém — owo wszystko jest podłością i nędzą!

Zarzucił ramiona nad głową i gorejące oczy utkwił w niebo. Ja patrzyłem na niego niespokojnie — bezradnie i nie wiedziałem w jaki sposób zmienić kierunek tych biednych myśli, uparcie obracających się wokoło jednego punktu.

Do drzwi ktoś zapukał. Odetchnąłem i zerwałem się ucieszony, wołając:

— Herein.

Wszedł człowiek niemłody, wysoki, szczupły, z jasno-blond brodą i takiemiż włosami silnie przerzedzonemi nad czołem. Nie znałem go, ale Leon wyciągnął rękę przyjaźnie, poczém przedstawił nas sobie:

— Herr doktor Fell.

— Podałem mu krzesło, a on przysunął je do szeslonga Leona, usiadł i chwilę patrzył na chorego badawczo.

— Przepraszam, że niewzywany przyszedłem -- zaczął wreszcie głosem trochę stłumionym — pragnąłem poznać bliżéj i pana i pańską chorobę. U kogo leczysz się pan w Meranie?

— U nikogo. Potrzebuję tylko odpoczynku, powietrza i dobrego odżywiania. Cała moja choroba, to przepracowanie. Ja sam jestem lekarzem.

Doktór skinął głową.

— Wiem o tém. Wczoraj zawezwano mię do pana, a że ja lubię wiedzieć kogo leczę, dziś rano przerzuciłem wszystkie kurlisty, odszu-

kałem pańskie nazwisko, a odszukawszy, przyszedłem niewezwany. Pan jesteś asystentem doktora Barskiego z Warszawy i autorem rozprawy, o wpływie ostrych gorączek na przewlekłą gruźlicę — czy tak?

Leon patrzył na niego bardzo zdziwiony.

— Tak, skąd pan wiesz o tém?

Doktór się uśmiechnął.

— Ja także zajmuję się trochę bakteryologią. Szczycę się przyjaźnią doktora Klebsa, znam Kocha osobiście i poznałem w tym roku w Berlinie waszego doktora Barskiego. Mówią o nim, że to zdolna głowa. Rozmawialiśmy z sobą wiele i on wspominał mi kilka razy o panu. Mam pod tym względem dobrą pamięć, czytałem pańskie prace, wyżéj wspomnianą i drugą o zarazku błonicy, które zostały przetłómaczone na niemiecki i, nazwisko pańskie zapamiętałem. Pan jesteś młody człowiek, ale stary doktór, a ja muszę cię wyleczyć, bo takiego człowieka i doktora byłaby szkoda.

Leon popatrzył mu w oczy badawczo.

— Czy pan przypuszczasz, że ja mogę się wyleczyć?

— Naturalnie, że przypuszczam. Jesteś pan dobrze zbudowany, przed zapaleniem płuc musiałeś być zdrów zupełnie, po zapaleniu nie zostało śladów. Długi wypoczynek, powietrze i silne odżywianie, powinny pana wyleczyć z anemii i braku sił. W każdym razie gorączka nie jest dobrym objawem i dlatego, choćby rezultaty kuracyi były jaknajświetniejsze i bardzo szybkie, co jest możebne, nie powinieneś pan wracać przed wiosną do kraju. Kto raz miał zapalenie płuc, ten nie może być nigdy zanadto ostrożnym, z tém się nie żartuje.

— Tak mi powiedziano i w Warszawie — wtrącił Leon.

— Otóż to. Jak wysoką miewasz pan gorączkę?

— Miewałem trzydzieści ośm i dwie. W Meranie obniżyła się już do trzydziestu siedmiu i ośm dziesiętnych.

— To bardzo dobry znak. Przedewszystkiém należy nam zgubić gorączkę, która, nie wiem doprawdy skąd się u pana bierze, — z osłabieniem i apatyą, jakie nastąpią późniéj, damy sobie radę łatwo. Czy pan pozwolisz żebym cię dzisiaj zbadał dokładniéj?

Leon skinął głową, ja nieznacznie wysunąłem się z pokoju i począłem chodzić po ogrodzie. Słowa doktora były uspakajające, ale podejrzywałem ich szczerość, a rozpacz i zniechęcenie Leona, odcisnęły n a m n i e ślad, jeszcze niestarty nadzieją o lepszéj przyszłości. Jak on, począłem przypuszczać możliwość śmierci i jak on czułem w duszy bunt, przeciwko tak niesprawiedliwym i tak bezmyślnym wyrokom losu.

Na tarasie ukazała się pani Adela, a zobaczywszy mię zeszła.

— Cóż to, zostawiłeś pan pana Leona samego?

— Przyszedł doktór, więc nie chciałem im przeszkadzać.

Popatrzyłem na nią.

— Pani przypuszczasz, że on się wyleczy — prawda?

Zamyśliła się.

— Ja się na tém nie znam, ale przecież zdarzają się wypadki uzdrowień, nawet wśród rzeczywistych suchotników. Julcia miała kawerny w płucach i żyje, a nawet może być zupełnie zdrowa. Mówią, że można żyć z jedném płucem, że można chorobę ograniczyć, że dzieją się cuda — ja wierzę w cuda, więc jakżeż miałabym nie wierzyć w uzdrowienie pana Leona?

Pochwyciłem jéj rękę i uścisnąłem.

— Jakżeż ja pani dziękuję za te słowa! Jestem cały wzburzony, a pani obecność uspokaja mię i dodaje odwagi. On powinien żyć, on jest potrzebny nietylko matce, tacy ludzie nie powinni umierać tak młodo!

— Masz pan racyę — rzekła. — Musimy dołożyć wszelkich sił i musimy go uratować. Ja mam szczęśliwą rękę, doglądanie chorych to moja jedyna namiętność, a pacyenci zostający pod moją opieką, bardzo rzadko umierają.

Uczułem się spokojniejszym. Jeżeli ona ma szczęśliwą rękę, może i Leonowi szczęście przyniesie? Ze zwątpienia, jednym skokiem znalazłem się na samym szczycie nadziei. Ależ naturalnie! Dla czego miałby umrzéć? Przeszedł zapalenie płuc, dla czegóż nie miałby wyjść z teraźniejszéj choroby, która jest tylko osłabieniem i zmęczeniem wywołanem nadmiarem pracy? Tak! będzie zdrów a późniéj ja w tém, by mógł pracować spokojnie i by nie nadwyrężał sił troską i walką o byt.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli i do pani Adeli.

— Jeszcze raz dziękuję pani. Zwątpienie Leona rozstroiło mnie ale teraz widzę że przez niego mówiło chorobliwe zdenerwowanie, a ja wpadłem w zwątpienie najzupełniéj zbytecznie. Trzeba go rozrywać i nie pozwalać mu na smutne myśli—prawda?

— Naturalnie—widzę że z pana już się także robi doktór i to dobry. Chęć do życia i wiara we własne siły dużo znaczy we wszystkich chorobach, a jeżeli panu Leonowi tego właśnie brakuje, trzeba rzeczywiście rozrywać go i ożywiać. My to potrafimy, niech pan będzie spokojny.

Zbliżyliśmy się pod okno Leona. Rozmowa w pokoju ucichła, doktór widocznie już wyszedł. Pani Adela oparła się o wystający gzyms.

— Czy już po konsultacyi?—odezwała się zaglądając do pokoju.

— Już.

— No i jakaż gorączka?

— Trzydzieści siedm i sześć.

— To chwała Bogu. A cóż pan będziesz brał, chinę czy antipyrynę?

— Chinę.

— To może dać panu teraz?

— Już brałem, dziękuję pani—drugi proszek wezmę wieczorem.

— A tamto lekarstwo?

— Tamto już niepotrzebne.

— Tém lepiéj, nie wierzę w lekarstwa.

— Czy tylko w lekarstwa czy i w doktorów?

Po twarzy pani Adeli przesunęła się różowa chmurka.

— O, w doktorów! doktór i apteka to nierozłączna para—zresztą jak w których, panu pewno bym wierzyła.

— Życzę pani byś nie potrzebowała nigdy, żadnego.

— A ja właśnie chciałabym zachorować i chciałabym wiedzieć co się wtedy czuje. Nigdy nie chorowałam nawet na ból głowy, a specyalnie bólu głowy wcale sobie nie mogę wyobrazić.

Młoda kobiéta roześmiała się wesoło, a Leon poszedł za jéj przykładem.

— Zatém nie ma dla mnie żadnéj nadziei, bym kiedykolwiek miał z pani pacyentkę—zauważył.

Stałem w oknie obok pani Adeli i z przyjemnością przysłuchiwałem się wesołéj rozmowie, obserwując przytém ożywioną teraz twarz Leona. Naraz, dwie małe rączki przysłoniły mi oczy. Drgnąłem, ale pochwyciłem je natychmiast i przytrzymałem. Marynia była uwięziona, a Ruszczyc i Zosia śmieli się z jéj kłopotu.

— Proszę mię puścić—prosiła dziewczyna — już nigdy nie przestraszę pana, nigdy!

Odwróciłem się ale psotnych dłoni z rąk nie puściłem.

— A jakaż gwarancya, że pani słowa dotrzymasz?

— Jaka gwarancya? — przechyliła główkę i zajrzała mi w oczy filuternie—jak pana kocham.

— A, to co innego.

Puściłem jéj ręce, a ona wsunęła jasną głowę w okno i poczęła się uśmiechać do Leona.

— Ja jestem Marynia Zawiełłówna, faworytka pana Antoniego, zatém powinniśmy się znać koniecznie—nie prawdaż?

Leon podniósł się z wysiłkiem, zbliżył do okna i podał rękę dziewczynie. Zosia przysunęła się także.

— A oto, odezwałem się — panna Zofia Dolska, sprawczyni twego wczorajszego zemdlenia.

W szarych oczach Zosi, odbiło się coś nakształt przestrachu. Cofnęła się i spojrzała na mnie zdziwiona, a Leon przyglądał się jéj z zajęciem.

— Nie przestraszaj pan Zosi — wtrąciła pani Adela z wyraźném niezadowoleniem—pan Leon był już widocznie usposobiony do zemdlenia. Dla chorego samotność jest zabójczą, dźwięk polskiéj mowy i Zosi krakowiaki mogły wpłynąć na jego zemdlenie tylko pośrednio.

— Blada twarzyczka Zosi rozjaśniła się.

— Więc to muzyka moja nie ja, — odezwała się, wyciągając do niego rękę—jeżeli pan nie lubisz nie będę grywała.

— I owszem lubię i gdyby pani była łaskawa zagrać jeszcze kiedy, byłbym bardzo wdzięczny.

— Ależ i owszem, ile razy pan zechcesz, proszę tylko przysłać służącego. Ja mogę grywać po całych dniach i nic mię to nie kosztuje. A co pan lubisz najwięcéj?

Dziewczyna wspięła się na palce i oparta o gzéms patrzyła na niego ze współczuciem w wielkich oczach—Leon był zakłopotany.

— Co lubię? — powtórzył — ja nie wiem, nie znam się; dopiéro wczoraj dowiedziałem się, że muzyka może tak bardzo przemówić do duszy... niech pani gra to, co sama lubi najwięcéj.

Skinęła głową.

— Dobrze, po paru dniach i pan już zrobisz wybór — będziesz pytał: co to pani grała wtedy a wtedy i poprosisz o powtórzenie. Zobaczysz pan. A może panu czytywać czasami, naturalnie coś lekkiego, wesołego?

Leon chciał odpowiedziéć ale pani Adela mu przerwała.

— O, przepraszam mego szanownego pacyenta, to za wiele na dziś. Ani tak długo stać, ani tak dużo mówić nie wolno, bo gorączka się zwiększy. Okno téż trzeba zamknąć, bo słońce się już chowa.
Panny podały ręce Leonowi i cofnęły się szybko—Marynia wzruszając ramionami i robiąc grymas poza plecami pani Adeli, która przymknęła okno i razem ze mną udała się do pokoju chorego. Siedział na szeslongu, trochę zmęczony, ale na twarzy miał ożywienie.

— Jaka panna Zawiełłówna jest ładna i wesoła! odezwał się, zobaczywszy nas wchodzących.

Pani Adela przysunęła stolik do szeslonga i wyszła rzuciwszy mu ode drzwi.

Tylko nie zakochaj się pan przed straceniem gorączki, bo utrudnisz nam kuracyą.

Ale Leon roześmiał się swobodnie.

— Byłoby to dla mnie coś zupełnie nowego.

— A Zosia? jakżeż ci się podobała pana Dolska? — zapytałem zadowolony że jego myśli przybrały teraz inny kierunek.

— Panna Zofia?—zamyślił się.—Czy ładna nie zdążyłem zauważyć, ale ona ma dziwne oczy i takie które już gdzieś widziałem. Nie wygląda na artystkę, taka wątła, szczupła, zdaje się że ją wiatr porwie i uniesie—czy chora?

— Chore biedactwo i na płuca i na nerwy podobno. Zato Keszmarowa, wiesz — siostra Maryni, ta, która tu była u ciebie wczoraj...

— I dziś była — wtrącił Leon.

— Była? no widzisz! poczciwe kobiecisko! Otóż ona miała podobno dziury w płucach i teraz jest zdrowa.

Leon poruszył się żywo.

— Zkąd pan wiesz? kto ją leczył? Teorya mówi nam o takich wypadkach, sekcye pośmiertne nie raz wykazują zwapniałe ogniska gruźlicze, ale ja prawdę powiedziawszy, zapatrywałem się dotąd na tę kwestyę, trochę pesymistycznie. Kto ją leczył?

— W Aussee nie wiem, tu doktór Hausman.

— Szkoda że nie doktór Fell, mógłby mnie objaśnić. — Machnął ręką.—Hausman to sława, ale stara. Wszystkie te sławy zbledną, gdy zabłysną nowe—młode słońca — lekarze chemicy! Mówił mi doktór Fell że Koch i Klebs pracują nad gruźlicą, że Koch zrobił jakieś wielkie odkrycie, że niedługo dowiemy się o cudach. Ja nawet nie wiem o niczem, nic teraz nie czytuję—może moje prace przydałyby im się na co, ale cóż? nie zdążyłem.

Spojrzałem na niego niespokojnie.

— Jeszcze zdążysz. Na wiosnę wrócisz do kraju zdrów i znowu się zabierzesz do roboty, tylko teraz o tém nie myśl. Lepiéj opowiédz mi, jak dawałeś sobie radę przez czas uniwersyteckich studyów i jakie masz projekty na przyszłość.

Oparł się o poduszki i smutny wzrok utkwił w sufit.

— Tak, pan masz prawo pytać mnie o to, tylko życie moje to nie epopeja. Skreślę je w kilku słowach. Do trzeciego kursu uczyłem się sam i uczyłem drugich. Nie było nam ciężko, ale czas miałem zajęty od rana do nocy. Pan to rozumiész i wybaczysz, że nie zgłosiłem się do ciebie. Nie miałem czasu nawet odetchnąć, rzeczywiście nie miałem! A potém jeden z moich kolegów poznał doktora Barskiego.

Ten dzielny człowiek nie lekceważył studentów i umiał z nimi mówić, a my obydwaj tak zapaliliśmy się do bakteryologii — dla nas zupełnie nowéj nauki, jak gdyby w naszych głowach wzniecono pożar. Poza wykładami, przesiadywaliśmy nad mikroskopem i retortami, wspólnemi siłami urządziliśmy sobie laboratoryum własne, a gdy nie stało dnia, pracowaliśmy w nocy. Wtedy czułem się nieszczęśliwym. Gorączka wiedzy trawiła, a tu trzeba było walczyć o byt. Rzuciłem lekcye, i zacząłem streszczać dzieła z obcych języków i pisywać własne artykuły do różnych dzienników. Ciążyło mi to na sumieniu, bo nie były wiele warte, ale przynajmniéj dawały łatwy zarobek. Gdy skończyłem kursa, postanowiłem się doktoryzować i broniłem rozprawy o któréj doktór Fell wspominał. Znaleziono w niéj trochę nowych spostrzeżeń, bo studyowałem wtedy po szpitalach specyalnie gruźlicę. Zostałem asystentem doktora Barskiego — w dzielnicy w któréj mieszkaliśmy z matką wyrobiłem sobie praktykę, ubogą wprawdzie, ale dającą przynajmniéj tyle, ile mi było potrzeba — i byłem zupełnie zadowolony z siebie i z losu. Choroba wywróciła cały ten gmach, a ja właśnie pracowałem nad zarazkami róży i gruźlicy i zdawało mi się że jestem na drodze do wielkich odkryć...

Umilk, bardzo wzruszony a ja położyłem dłoń na jego ręku i zacząłem łagodnie.

— Jeszcze wszystko będzie dobrze Leonie — zobaczysz, nic nie ma straconego, tylko zdrowia, jak najwięcéj zdrowia. Teraz myśl głównie o tém.

— A jak umrę? Jestem strasznie zmęczony, a moja gorączka to licha wróżba — nie mogę tego przed samym sobą owijać w bawełnę. Wziąłem matce ostatni grosz, a dotąd nic jéj jeszcze nie dałem. Namiętność do nauki zabiła we mnie wszystkie uczucia, opanowała całą duszę. Czuję że jeśli wrócę zdrów, zamiast starać się o spokojny byt dla téj mojéj świętéj, znowu zatonę w książkach i w preparatach a jeśli umrę... pozostawię ją samą, spracowaną — na bruku...

Zakrył twarz chudemi rękami i ujrzałem jak po przezroczystych palcach potoczyły się dwie, grube łzy. Zerwałem się.

— Daj pokój Leonie, nie drażnij siebie i mnie! Słuchaj, będę z tobą mówił jak z mężczyzną. Jeśli umrzesz, twoja matka nie zostanie sama, stanę się dla niéj bratem. Nie mam na świecie nikogo, więc nie ja jéj, tylko ona mnie zrobi łaskę. O tém już nie myśl. Jeśli wyzdrowiejesz, wiedza i praca da ci chléb. Takie zdolności jak twoje, nie marnują się nawet w takiém biedném społeczeństwie, jak nasze. Zkąd u ciebie taka niewiara? wstydź się! To choroba mówi przez two-

je usta, masz lat dwadzieścia parę i nie wolno ci jeszcze wątpić, ani w siebie ani w ludzi.

Wyciągnął do mnie ręce i próbował się uśmiechnąć.

— Tak, masz pan racyę—szepnął—nie mam prawa wątpić, jeśli na świecie są tacy ludzie jak pan.

Odetchnąłem, gdy drzwi się otworzyły i weszła pani Adela. Popatrzyła na nas badawczo i pogroziła mi palcem.

— Oj panie mecenasie, mam wielką ochotę zabronić ci przesiadywać u pana Leona, wygląda mi na zdenerwowanego i pewno nie będzie chciał jeść obiadu.

Ale Leon rozjaśnił się na jéj widok i zawołał prawie wesoło.

— Otóż właśnie że będę jadł, choćbym się nawet miał przymuszać i będę zdrów, bo chcę, a chcieć to módz!

Exterus.



Z Dziedziny Skarbowości.

Dr. Stanisław Głąbiński. Wykład nauki skarbowéj. Lwów. 1894.

Nauka skarbowości, z pomiędzy nauk państwowych, zwróciła na siebie w czasach ostatnich największą uwagę. Na to wyszczególnienie nauki skarbowéj wpłynęły okoliczności praktyczne, jakiemi są: co rok wzrastające wydatki państw na siłę zbrojną i na opłacenie odsetków od długów i na ich amortyzacyą. Pokój zbrojny, jaki zapanował w Europie od czasu wojny 1870 r., wywołał potrzebę ciągłego zwiększania uzbrojeń i podwyższenia siły bojowéj państw, tak że budżety ledwie mogą podołać wzrastającym wydatkom. Zadaniem jest zatem mężów stanu, finansistów i uczonych, pracujących nad skarbowością, wynaleźć nam źródła dochodu państwa, któreby nie naruszały zasobów i nie uszczuplały zanadto dochodów płacącéj podatki ludności. Do tego przyłącza się potrzeba zapobieżenia chronicznym deficytom i znalezienia sposobów korzystania z kredytu publicznego, przy najmniejszém zwiększeniu wydatków budżetowych. Nauka skarbowości ściśle jest związana z praktyką życia rodzinnego i musi uwzględnić potrzeby chwili bieżącéj. Rozprawy parlamentarne nad nowemi podatkami i nowemi pożyczkami państwowemi są zwykle przedmiotem obszernych sprawozdań w prasie dziennikarskiéj i w czasopismach i wpływają także na prace teoretyczne ekonomistów i finansistów, Tém się tłómaczy, że za

ostatnie 30 lat pojawiło się dużo pierwszorzędnych prac na polu nauki skarbowéj, tak iż Wilhelm Roscher, wydając w r. 1886 tom czwarty swych zasad gospodarstwa narodowego, zawierający zasady skarbowości, uprzedza w przedmowie, że nie myśli współzawodniczyć ze sławnemi dziełami wydanemi przez L. Steina, Ad. Wagnera i Pawła Leroy-Beaulieu.

Daleko szczęśliwszym w literaturze polskiéj w dziedzinie skarbowości był p. St. Głąbiński, ponieważ miał jako współzawodników, prace już dawno wydane Feliksa Słomińskiego (O istotnych zasadach nauki skarbowéj. Kraków, 1818 r.), Fryderyka hr. Sarbka (Rys ogólny nauki finansów. Warszawa, 1824) i Leona Bilińskiego (System nauki skarbowéj. Lwów, 1876), które to dzieła mają tylko znaczenie historyczne i nie mogą rościć pretensyi do przedstawiania obecnego stanu nauki.

Wyżéj wymienione przez Roschera trzy dzieła klasyczne, pomimo swego piérwszorzędnego znaczenia, różnią się bardzo pomiędzy sobą pod względem kierunku i zapatrywania na bieżące kwestye podatkowe i wogóle finansowe. Najdawniejszém z tych trzech dzieł jest L. Steina, wydane w 1860 r., które doczekało się 5-go wydania za życia autora (Dr. Lorenz von Stein. „Lehrbuch der Finanzwissenschaft”. 5-e Auf. Leipzig 1885—86).

Stein znany jest jako najbardziéj wyczerpujący badacz socyalizmu francuskiego w pracy z r. 1841, i w ostatniém wydaniu swego podręcznika finansowego przestrzega przed zbyt daleko posuniętemi względami dla polityki socyalnéj w prawodawstwie finansowém.

Ponieważ podstawą opodatkowania jest dochód narodowy, przeto podług Steina, opodatkowanie powinno zatrzymać się tam, gdzie dochód zaczyna się zmniejszać, traci możność tworzenia nowych kapitałów. Żadne opodatkowanie, nawet dla celów socyalnych, nie powinno przekraczać granicy, po za którą ustaje możność gromadzenia nowych kapitałów, czy to drogą bezpośredniego opodatkowania, czy drogą uwolnienia klas nieposiadających od obowiązku płacenia podatków. Prawodawstwo podatkowe w państwach konstytucyjnych zależy od prostéj większości głosów w parlamentach. Wskutek coraz szerszego zastosowania głosowania powszechnego, otrzymanie większości parlamentarnéj przez klasy nieposiadające jest tylko kwestyą niedalekiéj przyszłości. Skoro tylko klasy nieposiadające będą rozporządzały większością głosów w parlamentach, ustanawiane natenczas podatki będą nie podług ich stosunku do siły wytwarzającéj kapitał w narodzie, ale podług życzeń ludności nie posiadającéj

Socyalizm państwowy, podług Steina, nie jest rzeczą niedorzeczną w ogólności, jeno tylko o tyle, o ile traci miarę względem tego co jest sprawiedliwe. Zadaniem jest przeto nauki skarbowéj wykazać potrzebę zachowania miary w opodatkowaniu, wobec pierwiastków dążących stale do przekroczenia téj granicy.

Wielką było zasługą Steina, że pchnął naukę skarbową na nowe tory i zastąpił w wykładach uniwersyteckich wielkie dzieło bardzo zasłużonego na polu naukowém Rau'a, które cieszyło się znaczeniem piérwszorzędném i powagą zbyt długo, skoro pozostawało w tyle po za szybkim w czasach ostatnich rozwojem nauki.

Stein piérwszy wydzielił z pośród innych podatków p o d a t k i od o b i e g u, zcharakteryzował s t e m p e l jako jedynie formę poboru opłat skarbowych i podatków i odgraniczył je od podatków, bezpośrednich i pośrednich. Również teorya kredytu publicznego zawdzięcza dużo Steinowi.

Antagonistą Steina na polu naukowém jest Adolf Wagner, który rozpoczął od przygotowania nowéj edycyi wielkiego podręcznika Rau'a, a skończył na opracowaniu dzieła zupełnie samodzielnego, które, pomimo kilkakrotnego wydania tomów pojedyńczych, nie zostało jeszcze dotąd ukończone (Adolf Wagner, Finanzwissenschaft. T. I. Wyd. 3-e, 1883. T. II. Wyd. 2-e, 1890. T. III, 1889). Mianowicie bardzo ważnym jest tom drugi (2-e wydanie) obejmujący „Zasady ogólne opodatkowania.” Wagner przyznał się jawnie, że jest zwolennikiem socyalizmu państwowego, którego wielkim protektorem był swojego czasu ks. Bismarck, tak że nawet podejrzéwano żelaznego kanclerza, iż czerpał swe poglądy u Wagnera. Zapatrywania swoje na politykę socyalną skreślił Wagner w osobnym artykule, umieszczonym w Braun'a *Archiv für soziale Gesetzgebung und Statistik.* 1891, I Heft. Zgadza się on zupełnie na krytykę istniejącego systemu gospodarstwa narodowego, wypowiedzianą przez socyalizm naukowy, różni się tylko z nim pod względem oznaczenia przyczyn obecnego położenia. Nie podziela optymizmu, wierzącego w możność zmian radykalnych w naturze umysłowéj człowieka i nie wierzy w możność radykalnego polepszenia téj natury. Podług niego, gospodarstwa prywatne stanowią przeważną część gospodarstwa narodowego i nie dadzą się zastąpić w najbliższéj przyszłości przez gospodarstwa zbiorowe. Te ostatnie mogą być tylko uzupełnieniem gospodarstw prywatnych. Przyczyną stron ujemnych położenia socyalnego i ekonomicznego, jest sama natura człowieka i dlatego nieuzasadnioną byłaby nadzieja, że można przy pomocy zmiany stosunków własności i pracy dojść do ideału, o jakim marzą socyaliści.

Przyznaje jednak Wagner, że już obecnie dokonywa się w pewnych granicach przejście od organizacyi prywatno-ekonomicznéj, do organizacyi ekonomiczno-zbiorowéj, od własności prywatnéj do własności zbiorowéj ziemi i kapitału, od przedsiębiorsw i zakładów prywatnych do publicznych, a zatém od indywidualizmu do socyalizmu.

Polityka socyalna, przez rozszerzenie posiadania publicznego ziemi i kapitału i przez ich monopolizowanie, będzie coraz bardziéj ograniczała pole działalości gospodarstwa prywatnego. To wkraczanie na pole własności prywatnéj ma na celu podniesienie jéj użyteczności dla ogółu i zapobieżeniu temu, żeby własność prywatna nie stała się bożyszczem dla samolubstwa, narzędziem wyzyskiwania, do którego doprowadził swobodny rozwój obiegu dóbr. Żaden zwolennik socyalizmu państwowego nie nabierze przekonania, że drogą polityki socyalnéj rozwiąże kwestyę socyalną, wiedząc jak niedostatecznym materyałem jest sam człowiek. Wagner nie odrzuca możności polepszenia stosunków socyalnych i ekonomicznych i wierzy w możność udoskonalenia strony obyczajowéj człowieka; ale przyjmuje tylko rozwój stopniowy w granicach bardzo szczupłych i niedających się najprzód oznaczyć. Celem idealnym, do którego wszyscy zmierzamy, jest udoskonalenie natury człowieka. Możność tego udoskonalenia uczony niemiecki nie uważa za utopią, ale nie wierzy w zupełną zmianę i udoskonalenie zdolności fizycznych i umysłowych człowieka, albo całéj przyrody zewnętrznéj. Nie możemy bowiem w granicach rozwoju historycznego ludzkości brać w rachunek geologicznych okresów czasu lub okresów rozwoju podług teoryi Darwina. Jesteśmy jeszcze bardzo daleko od tego, żeby przynajmniéj uczeni finansiści i ekonomiści uznali konieczność polityki socyalnéj, nie mówiąc o opinii publicznéj, będącéj pod wpływem prasy dziennikarskiéj. Ta ostatnia, podług zdania Lassalle'a, w kwestyach socyalnych znajduje się zwykle na zacofaném stanowisku zapatrywania, należącém zupełnie do przeszłości i to tém więcéj, im bardziéj uważa się za postępową. Ztąd téż daleką jest ona od zrozumienia i podtrzymywania polityki finansowéj i podatkowéj, wymaganéj przez rozwój obecny uspołecznienia.

Za odpowiednią politykę socyalną uważa Wagner taką politykę państwa, która drogą prawodawczą i administracyjną stara się usuwać strony ujemne procesu podziału dóbr. Pole działalności téj polityki jest dwojakie Najprzód należy zwrócić uwagę na strony ujemne, które się wytworzyły bez winy skarbowości, wskutek jedynie procesu podziału dóbr, w położeniu ekonomiczném całych warstw ludności lub osób pojedyńczych; następnie należy uwględnić

strony ujemne w wyżéj oznaczoném położeniu ludności, będące następstwem rozporządzeń skarbowych, szczególniéj odnoszących się do opodatkowania.

Celem polityki w piérwszym wypadku jest poprawienie obecnego położenia ekonomicznego klas i osób pojedyńczych, za pomocą rozporządzeń finansowych; w drugim wypadku poprzestaje polityka socyalna na usunięciu spowodowanych przez rozporządzenia finansowe stron ujemnych w tém położeniu, a to przez wydanie uzupełniających przepisów finansowych.

Do czasów ostatnich, przy reformach podatkowych i finansowych brano na uwagę tylko względy drugiego gatunku, jak np. przy ostatniéj pruskiéj reformie podatków bezpośrednich. Reformy, które z punktu widzenia socyalno-politycznego dążą do ulepszenia istniejącego opodatkowania, znajdują się zaledwie w piérwszym okresie rozwoju. Cechą drugiego okresu będzie sprostowanie stosunków dochodowych i podziału mienia ekonomicznego, przy pomocy rozporządzeń i prawideł finansowych i podatkowych.

Do piérwszych kroków polityki socyalno-politycznéj, zmierzającéj do poprawienia dotychczasowego podziału dóbr, zaliczyć należy upaństwowienie dróg żelaznych, a na polu opodatkowania stopę podatkową progresyjną (stopniowo zwiększającą się), będącą właściwie tylko rozwinięciem degresyi podatkowéj (stopniowego zmniejszania stopy dla mniejszych dochodów).

Strony ujemne procesu podziału dóbr, których zwalczenie ma być zadaniem polityki socyalnéj, dotyczą stosunków własności i posiadania indywidualnego i klasowego. Są one następstwem organizacyi indywidualnéj gospodarstwa narodowego i posiadania środków materyalnych produkcyi, t. j. ziemi i kapitału. Są one także następstwem wolnego współzawodnictwa ekonomicznego, swobodnego obiegu dóbr i regulowania, za pomocą umów prywatnych, stosunku pomiędzy pracującymi członkami gospodarstwa narodowego. Jako rezultaty wadliwego podziału dóbr występują antagonizmy różnego rodzaju. Takiemi są antagonizmy pomiędzy posiadającymi ziemię i kapitały a nieposiadającymi ich; pomiędzy posiadaniem wielkiém i małém; pomiędzy dochodem z posiadania (rentą, odsetkiem, zyskiem z przedsiębiorstwa) a dochodem z pracy; pomiędzy dochodem otrzymanym bez pracy lub z małą pracą a dochodem otrzymanym z pracy uciążliwéj i niedostatecznie wynagradzanéj; pomiędzy zyskiem otrzymanym ze spekulacyi lub z konjunktur a dochodem z pracy; pomiędzy przedsiębiorstwami wielkiemi a małemi i t. p.

Polityka socyalna dąży do poprawienia położenia istniejącego gospodarstwa narodowego, opartego na własności prywatnéj i na umowach prywatnych. Już dawno spostrzegać się dają piérwsze próby takiéj polityki socyalnéj. Tak np. każdy podatek na biédnych jest sprostowaniem sosyalno-politycznêm podziału dochodu narodowego. Podobną stronę socyalno-polityczną posiadają cła opiekuńcze, szczególniéj rolnicze. Podobne tendencye miały dawniéj urządzenia cechowe. Pewną reakcyą przeciwko systemowi swobodnego współzawodnictwa widzimy na polu kwestyi robotniczéj. Ale szczególnie na polu skarbowości i opodatkowania znajdujemy ślady względów socyalno-politycznych. Ze stanowiska tych względów rozbiéra Wagner zasady r e f o r m p o d a t k o w y c h i przedstawia potrzebę reformy podatku dochodowego osobistego. Pomimo wyższości teoretycznéj tego podatku, znajduje w nim jednak wiele stron ujemnych.

Uznaje za przesadzone wiele zarzutów, stawianych p o d a t k o m p o ś r e d n i m, przez zwolenników zasady wolności handlu, przez partyę postępową w polityce i przez socyalistów. Trudny i skomplikowany proces p r z e r z u c e n i a p o d a t k ó w mianowicie na cenę towarów, uważany bywa często za bardzo prosty i jednostronnie tłómaczony.

Ze swojego stanowiska naukowego nie wyprowadza Wagner wniosku o konieczności zniesienia podatków spożywczych najcięższych i najgorszych, od produktów niezbędnych do życia, następnie nie wymaga zniesienia mniéj uciążliwych podatków od produktów użycia ogólnego i nawet nie żąda zniesienia ceł zbożowych, ponieważ nie zna innych podatków, przedstawiających mniéj stron ujemnych a mogących pokryć niedobór, który powstałby koniecznie, w razie zniesienia wyżéj wspomnionych podatków i ceł. Podług niego zatem, poprzestać trzeba na systemie podatkowym, w którym ujemne strony podatków pośrednich są zrównoważone przez inne podatki, mianowicie przez podatki bezpośrednie, szczególnie przez podatek dochodowy osobisty.

Zupełnie odmiennego kierunku, niż dwaj wymienieni uczeni, jest uczony francuski ekonomista Paul Leroy-Beaulieu. Jego zasady skarbowości doczekały się 5-go wydania (*Traité de la sciennce des finances. 5 Ed.*, 1891/2). Reprezentuje ten pisarz szkołę k l a s y c z n ą i l i b e r a l n ą we Francyi, która zasadniczo jest przeciwną wszelkiemu mieszaniu się państwa w stosunki ekonomiczne ludności i przeciwną podatkowi dochodowemu, naruszającemu jakoby zasadę wolności osobistéj, i zasadę nietykalności własności prywatnéj. Po-

mimo zaprowadzenia podatku dochodowego najprzód w W. Brytanii, następnie w Prusach, Saksonii i in. państwach i projektu z 1892 r. takiegoż podatku w Austryi, republikańska i napół socyalistyczna Francya nie może się pogodzić z myślą zaprowadzenia u siebie podatku dochodowego osobistego.

L.-Beaulieu jest przeciwnikiem wszelkiego socyalizmu państwowego. Utrzymuje on, że podatki bezpośrednie mogą być narzędziem szykan, wymierzanych przeciwko osobom nie posiadającym względów u zarządów miejscowych i mogą stać się narzędziem prześladowania osób bogatych i zamożnych przez klasy nieposiadające. Rozkład podatku od ruchomości (*impôt mobilier*), zależnego po części od zamożności płatnika, służy często we Francyi za narzędzie wpływu wyborczego. Mniema on, że niedokładném jest twierdzenie, jakoby przy obecnym systemie podatkowym we Francyi człowiek pracujący był silniéj obciążany podatkami niż człowiek majętny. Dla przekonania o mylności tego twierdzenia, wylicza autor szczegółowo podatki, opłacane przez rodzinę robotnika, złożoną z trzech osób. Rodzina taka płaci państwu, departamentowi lub miastu Paryżowi podatków, wynoszących 10,80% od samego dochodu. Następnie oblicza podatki płacone przez osobę, posiadającą 80,000 franków dochodu, z których połowa jest rentą z dóbr nieruchomych, druga pochodzi z rent, otrzymanych od papiérów publicznych i od wartości ruchomych. Taka osoba płaci państwu, departamentowi lub Paryżowi 17% rocznego dochodu. Osoba posiadająca 80,000 fr. dochodu i mieszkająca w Paryżu, przy zwykłych stosunkach, płaci od 13 do 17% od swego dochodu, wedle tego, czy część tego dochodu pochodzi z ziemi i nieruchomości, lub téż cały dochód pochodzi z wartości ruchomych i z papiérów publicznych. Ciężar podatkowy we Francyi jest bardzo wielki i skarb zabiéra siódmą lub ósmą część dochodu ogólnego w kraju. Prócz tego 700 milionów frank. opłaty stemplowéj i od registracyi obarczają przeważnie klasy zamożne ludności.

Daléj zwraca autor uwagę na to, że we Francyi od 1877 r., zarówno parlament jak i rząd, departamenta i miasta, dopuszczają się skandalicznego trwonienia finansów i zasobów kraju. Przyczyną tego trwonienia są dwie namiętności: namiętność wielkich robót publicznych i namiętność uzbrojeń wojennych, doprowadzonych do granic ostatecznych. Wydatki na wojsko i opłata długów wynoszą $^3/_4$ albo nawet $^4/_5$ części całego dochodu budżetowego większéj części państw europejskich. Społeczeństwo demokratyczne francuskie prawem głosowania powszechnego posiada ustrój parlamentarny

dążący bardziéj ku powiększeniu, niż ku zmniejszeniu podatków publicznych. Należy potępić teoryę, żądającą od państwa opieki nad całą oszędnością narodu i wymagającą, żeby państwo kierowało jéj użyciem i gwarantowało jéj istnienie i odsetki. We Francyi brakuje powszechnie względności dla płacących podatki. Dowodem powyższego ma być odkładanie konwersyi renty 5%, pomimo przykładów takich konwersyi w Anglii, Ameryce i innych państwach.

Przechodząc do pracy p. Głąbińskiego możemy zaznaczyć, że go krępował zamiar dania słuchaczom uniwersyteckim podręcznika praktycznego. Poprzestał zatém na treściwém przedstawieniu ogólnych zasad teoretycznych a uwzględnił specyalne prawodawstwo skarbowe austryackie.

Na piérwszych 125 stronicach znajdujemy przedstawione zasady wstępne z uwzględnieniem obszerniejszém historyi urządzeń skarbowych i literatury skarbowéj. Pomimo że na str. 69 utrzymuje autor, iż nauka skarbowości jest nauką nową, niewykończoną, nie ma więc jeszcze „historyi", daje jednakże tę historyą i nawet na str. 113 mamy rozdział zatytułowany: „Historya nauki skarbowéj w XIX wieku.

Z literatury naukowéj uwzględnił autor bardzo troskliwie dawniejszych pisarzy polskich, jak np. Ostroroga, Zaborowskiego, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Staszica (Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego). Również znajdujemy wymienionych pisarzy nowszych: St. Tarnowskiego (Pisarze polityczni XVI wieku), Ks. L. (Trzy rozdziały z historyi skarbowości w Polsce 1507—1532. Kraków, 1868), Ad. Pawińskiego (Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego. Warsz. 1881), T. Korzona (Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta 1764—1794. T. III. Kraków, 1884). Tom trzeci ostatniego dzieła cały jest poświęcony skarbowości. Z dat tam umieszczonych może nasz autor trochę za mało skorzystał. Na str. 124 wymienia wszystkich, którzy mniéj lub więcéj pisali w kwestyach finansowych w czasach ostatnich, nawet wymienia b. ministra Dunajewskiego, który prócz małéj i nieukończonéj rozprawki o kredycie, żadnéj pracy naukowéj nie drukował.

W téj piérwszéj części historycznéj dzieła, znajdujemy niektóre niedokładności. Tak np. na str. 34 mówi autor, że panowie feudalni obowiązani byli do opłat nadzwyczajnych dla swego suzerena, najpowszechniéj w trzech wypadkach: „gdy pan pasowanym był na rycerza, gdy wydawał za mąż córkę i gdy szedł do ziemi świętéj". Powyższe wyliczenie nie jest dokładne, ponieważ trzy wypadki, w których lennicy obowiązani do zasiłków nadzwyczajnych na ko-

rzyść suzerena, były następujące: kiedy suzeren pasował syna na rycerza, kiedy wydawał za mąż córkę i kiedy należało go wykupić z niewoli wojennéj. (A. Wagnera *Finanzwissenschaft*. T. III, str. 61). Daléj na str. 48 wymienia autor jako króla angielskiego Grzegorza III-go powinno być Jerzy III-ci.

Autor zdaje się walczyć na str. 15 przeciwko zasadzie, że gospodarstwo skarbowe różni się od gospodarstwa prywatnego tém, iż w niém panuje zasada stosowania dochodów do wydatków, kiedy w gospodarstwie prywatném panuje zasada przeciwna. Tymczasem na str. 64 przytacza jako zasadę skarbową: zasadę stosowania przychodów do potrzeb skarbowych. Co téż powtarza na str. 301.

P. Głąbiński występuje (str. 66) przeciw Wagnerowi i utrzymuje, że nauka skarbowa nie może doradzać wyrównania dochodów i majątku za pomocą opodatkowania. Autor walczy za uszanowaniem wolności osobistéj i własności prywatnéj (str. 62) i oświadcza że jest zwolennikiem szkoły klasycznéj i liberalnéj w ekonomice. Mówiąc na str. 71 o sejmikach uwzględnił autor pracę Pawińskiego (Rządy sejmikowe...), w któréj skarbowości poświęcono cały rozdział (str. 120—258).

Od str. 126 rozpoczyna autor rzecz o potrzebach skarbowych t. j o wydatkach państwa, przy czém uwzględnia także i wydatki samorządu (str. 135). Wolelibyśmy żeby autor całą skarbowość ciał autonomicznych (gmin, powiatów, krajów) wydzielił do rozdziału osobnego, jak to ma miejsce w wielkim podręczniku Schönberga *Handbuch der Politischen Oekonomie. III Band. Finanzwissenschaft und Verwaltungslehre. 3-e Auf.*, 1891), w 3-im tomie, w którym znajduje się bardzo cenna praca v. Reitzenstein'a: *Das Kommunale Finanzwesen* str. 627—788. Nie opuściłby autor w takim razie zarządu skarbowego Krakowa i Lwowa, mówiąc o wydatkach skarbowych Galicyi (str. 175).

Wydatki państwowe dzieli (str. 153) na wydatki na gospodarstwo skarbowe, czyli koszta skarbowe, wydatki na długi skarbowe i nakoniec na wydatki na zadania publiczne. Ostatnie wydatki na zadania publiczne dzieli daléj autor na cztéry poddziały: A) wydatki na reprezentacyą i na naczelne organa, B) wydatki na obronę kraju, C) wydatki na sądownictwo i więzienia i nakoniec D) wydatki na administracyę wewnętrzną. Wolelibyśmy w miejsce tego podziału pozostać przy podziale przyjętym przez Steina w jego nauce zarządu, gdzie obok władz centralnych, reprezentujących jedność pań-

stwa jest pięć gałęzi zarządu: zarząd spraw zagranicznych, zarząd spraw wojskowych, zarząd sprawiedliwości, zarząd skarbowy i zarząd wewnętrzny i podług tych działów zarządu dzieli Stein wydatki państwa. Skarb bowiem publiczny powinien dostarczać środków dla urzeczywistnienia wszystkich zadań państwa przez jego zarząd (administracyą).

Podług p. Głąbińskiego (str. 176) przychody skarbowe Galicyi wynoszą w okrągłej kwocie 110 milionów złr., wydatki skarbowe przeszło 100 mil. Na tę sumę składa się budżet państwowy w kwocie koło 86 mil. przychodów i 76 mil. wydatków surowych. Wydatki skarbowe samorządu wynoszą w Galicyi koło 24 mil., w tém wydatków funduszu krajowego i propinacyjnego 14 mil. złr. Powiaty galicyjskie mają do 2 mil. wydatków. Brakuje zatém danych odnoszących się do finansów Krakowa i Lwowa i wogóle do miast galicyjskich.

Dział II-gi obejmujący przychody skarbowe rozpoczyna się na str. 178. Dochody skarbowe dzieli autor na przychody zarobkowe (my byśmy nazwali przychodami z dóbr i przedsiębiorst skarbowych) i przychody administracyjne, któremi są opłaty za usługi zakładów i organów publicznych, dalej przychody z praw i przywilejów skarbowych, nakoniec podatki.

Podług naszego rozumienia dział przychodów z praw i przywilejów skarbowych jest zupełnie zbyteczny. To co autor do tych przywilejów skarbowych zalicza, należy albo do przedsiębiorstw prywatnych państwa, albo do opłat skarbowych. Tak na str. 256 wylicza autor jako należące do przychodów z przywilejów skarbowych i loteryę: z której dochód może być zaliczony do dochodu z podatków; dalej zysk z mennicy, który podług samego autora należy do opłat skarbowych. Trzecią kategoryą stanowi udział państwa w zyskach z pewnych przedsiębiorstw prywatnych; ta część dochodu skarbu należy właściwie do dochodów z podatków albo z przedsiębiorstw państwa. Pozostaje tylko kategorya czwarta: prawo dziedziczenia państwa i samorządu po osobach fizycznych i prawnych, którą trudno zaliczyć do przyjętych trzech źródeł dochodu państwowego. Ale z tego źródła bardzo mało otrzymuje skarb i nie warto tworzyć dla niego osobnéj kategoryi.

Traktując o dobrach ziemskich skarbowych wychwala autor (str. 190) dzierżawy wieczyste, jako formę najdogodniejszą dla skarbu. Na ten sąd nie możemy przystać, ponieważ dochód z dzierżaw wieczystych jest zwykle mały a skarb nie ma prawa odpowiednio podwyższać płaconych czynszów, które są albo stałe raz

na zawsze oznaczone, albo mogą być podwyższone tylko w pewnych okresach i tylko w pewnych granicach. Ale pod względem socyalnym mają dzierżawy wieczyste znaczenie, ponieważ ułatwiają wytworzenie lub rozszerzenie małéj własności ziemskiéj, zabezpieczając ją od zbytniego odłużenia i wywłaszczenia, nie dopuszczają téż zbytniego rozdrobnienia ziemi. Takie dzierżawy nie mogą być dzielone pomiędzy spadkobiercami i nie mogą podlegać wywłaszczeniu wskutek długów lichwiarskich. Dochód zaś finansowy dla skarbu jest zwykle mały, co spowodowało wydawanie praw o skupie dzierżaw wieczystych. Stworzenie albo przynajmniéj wzmocnienie liczebne małéj własności ziemskiéj włościańskiéj i zabezpieczenie jéj od wyzysku lichwiarzy wiejskich jest głównem zadaniem dzierżaw wieczystych, w najnowszéj formie d ó b r r e n t o w y c h.

Mówiąc o zakładach kredytowych nazywa autor f u n d u s z m e t a l i c z n y b a n k ó w „zapasem fundacyi kruszcowéj” (str. 227). Nie sądzimy żeby ta nowa nazwa była lepsza od dawniéj używanéj. Również nie bylibyśmy za przemianowaniem banków emisyjnych na b a n k i b i l e t o w e, i pieniędzy papierowych na b a n k n o t y. Tak samo nie trafia do naszego przekonania „w a l u t a p r z y m u s o w a b a n k n o t ó w” zamiast kursu przymusowego pieniędzy papiérowych

Nie możemy się zgodzić na zaliczenie k a s o s z c z ę d n o ś c i do źródeł dochodu państwa (str. 230). Celem ich jest popiéranie i krzewienie ducha oszczędności w narodzie, ale bynajmniéj nie mają być źródłem dochodu państwa albo nawet gmin pojedyńczych. Sumy zebrane przez kasy oszczędności są zwykle wielkim ciężarem dla skarbu, który zmuszony jest je oprocentowywać, niezależnie od położenia rynku piéniężnego i potrzeb skarbu. Jesteśmy również przeciwni zaliczeniu do źródeł dochodu skarbu banków ziemiańskich, ubezpieczeń od ognia, na życie, od gradu, powodzi i t. p. (str. 232 i n.).

R o z d z i a ł II-gi o p r z y c h o d a c h a d m i n i s t r a c y j n y c h rozpoczyna się od o p ł a t s k a r b o w y c h (str. 238). Opłatami skarbowemi nazywa p. Głąbiński daniny pieniężne, pobiérane od „osób interesowanych za czynności urzędowe i usługi ściśle publicznych organów i zakładów państwa lub samorządu”.

My byśmy to określenie trochę zmienili i powiedzieli: opłatami skarbowemi nazywają się wynagrodzenia specyalne za usługi wyświadczone osobom prywatnym lub zbiorowym przez instytucye publiczne państwa, gminy lub samorządu, albo są zwrotem kosztów spowodowanych przy spełnianiu czynności, dokonywanych w inte-

resie publicznym. Władza państwowa ustanawia jednostronnie sposób uiszczania i wysokość opłaty.

Na str. 246 podaje autor podział opłat skarbowych, na 1) opłaty za używanie zakładów publicznych i opłaty za usługi organów publicznych, 2) opłaty sądowe i administracyjne i 3) opłaty rządowe i samorządu.

Powyższy podział nie jest ściśle naukowy, ponieważ nie rozróżnia oddzielnych rodzajów opłat, ale wszystkie opłaty dzieli podług trzech punktów widzenia. Do kategoryi piérwszéj zalicza autor mennicę, pomimo że ją następnie spotykamy pomiędzy przywilejami skarbowemi (str. 261 zyski skarbowe z mennicy). Daleko odpowiedniejszym wydaje się nam podział opłat skarbowych podany przez Wagnera. Dzieli on je wszystkie najprzód na dwie grupy: do piérwszéj należą opłaty skarbowe zarządu ogólnego i zarządu sprawiedliwości, do drugiéj opłaty skarbowe zarządu kultury i zarządu ekonomicznego. Do opłat skarbowych zarządu ogólnego należą: 1) opłaty spowodowane udziałem administracy w interesach osób pojedyńczych, przez użycie stempla lub spłaty go zastępującéj, przy podaniach, protokułach i t. p. 2) opłaty odnoszące się do okoliczności życia indywidualnego osób prywatnych, jakiemi są akta stanu cywilnego, papiéry legitymacyjne (paszporty, książeczki służbowe i t. p.), 3) opłaty przy sprawdzaniu i zaświadczaniu przez urzędy publiczne, 4) opłaty przy udzielaniu szczególnych praw i przywilejów, 5) opłaty od udzielonych tytułów, rang, orderów, szlachectwa i t. p., 6) opłaty od umieszczania i karmienia więźniów.

Opłaty skarbowe zarządu sprawiedliwości są pięciu rodzajów: 1) opłaty przy postępowaniu cywilném, 2) postępowania karnego, 3) postępowania niespornego i 4) kary pieniężne. Niektórzy autorowie poprzestają na tych wyżéj wymienionych kategoryach opłat skarbowych, jak to ma miejsce np. w wielkim podręczniku Schönberga. Wagner przyjmuje jeszcze drugi dział opłat skarbowych. Do niego należą najprzód opłaty zarządu kultury, pobierane przy zarządzie zdrowia publicznego, przy opiece nad biédnemi, przy ubezpieczeniu robotników, przy oświeceniu publiczném (opłaty szkolne, egzaminacyjne i t. p.). Daléj idą opłaty zarządu ekonomicznego, spowodowane zarządem mennicznym, bankami i biletami bankowemi, ubezpieczeniami, drogami publicznemi, urządzeniami dla handlu, dla targów i jarmarków, lokalnemi środkami przewozowemi (tramwajami, omnibusami), nakoniec opłaty pocztowe, telegraficzne i telefoniczne. Należą jeszcze do opłat

zarządu ekonomicznego: opłaty od sprawdzania miar i wag, od ostemplowania wyrobów złotych i srebrnych, od sprawdzania dobroci produktów, od rewizyi aptek, kotłów parowych, od nadzoru nad kopalniami i lasami i t. p.

Pod względem finansowym najważniejszemi są: system monetarny, drogi publiczne, poczty, telegrafy i telefony.

W rozdziale o prawie skarbowém o opłatach (str. 250) trzyma się autor ściśle patentu z 9 lutego 1850 r., który zalicza do opłat skarbowych podatek majątkowy i od obrotu np. podatek spadkowy. Rozdział 3 (str. 255) poświęcony jest Przywilejom skarbowym, przeciwko wyróżnieniu których protestowaliśmy już wyżéj. Było by to wskrzeszeniem dawnych regaliów t. j. praw wyłącznych z tytułu władzy zwierzchniczéj, które bardzo łatwo mogą być zaliczone albo do przedsiębiorstw prywatnych państwa albo do opłat skarbowych, jak to wykazał już J. R. Oczapowski (Kilka słów o znaczeniu regaliów dla umiejętności skarbowéj. Czasopismo pośw. prawu i umieję̨t. polit. Krak. 1864. Zesz. VII, str. 387 i n.). Sam autor przyznaje (str. 261), że państwo ponosić musi koszta wybijania monet obiegowych i handlowych na własny rachunek, a zapewnić sobie może zwrot kosztów za pomocą opłaty menniczéj tylko przy wybijaniu monet na rachunek osób interesowanych.

Naukę o podatkach rozpoczyna p. Głąbiński na str 267. Jego teoryi podatkowéj możemy zrobić kilka zarzutów. Tak np. mówi autor (str. 272), że w zasadzie jest każdy podatek osobistym, albowiem osoby jako podmioty praw majątkowych, mogą być do płacenia podatków powołane. Tymczasem na str. 332 dzieli autor podatki na osobiste i rzeczowe. Daléj rozdział o przerzuceniu podatków (str. 274) nie jest wyczerpującym. Nauka o przerzuceniu podatków jest podług Wagnera bardzo trudną i nie zupełnie jeszcze wyświetloną, mianowicie kwestye o ile cła opiekuńcze wchodowe mogą być przerzucone na cenę artykułów przywiezionych, szczególniéj na cenę zboża. Ks. Bismarck utrzymywał w swoim czasie, że cła od zboża, wprowadzonego do Niemiec, zapłaci zagranica. Tymczasem jego przewidywania nie sprawdziły się i cła obciążyły w jednym wypadku producentów zagranicznych, w drugim spożywców miejscowych, albo nakoniec w innych wypadkach, wzięli na siebie ciężar celny fabrykanci i kupcy, którzy dla nie stracenia rynku zbytu, woleli postradać część zwykłych zysków przedsiębierczych lub handlowych.

Znaną jest nauka Steina o produkcyjności podatków podług której przedsiębiorca stara się wyprodukować wysokość podatków, uważając je jako koszta produkcyi, i zwala ciężar podatkowy, albo na spożywcę ostatniego, albo umarza go zupełnie, rozkładając zaznaczony podatek na większą liczbę produktów lub zmniejszając koszta produkcyi. P. Głąbiński niedokładnie podał nazwę francuską przerzucenia podatków jest to: *Incidence de l'impôt (Nouveau diction. d'Econ. polit.* T. II, 1892, str. 49 i n.).

Podług naszego mniemania, autor nie dosyć jasno rozróżnił podatki bezpośrednie od pośrednich (str. 299). Daleko ściśléj przedstawił Wagner dwojaki sposób tego rozróżnienia. Podług niego i podług piérwszego sposobu odróżniania, nazywamy podatkiem bezpośrednim taki podatek, który płaci osoba, mająca być nim bezpośrednio obciążoną. Płacący podatek jest zarazem osobą, którą podatek ma dosięgnąć. Jeżeli, podług zamiaru władzy finansowéj, osoba płacąca podatek nie ma go sama ponosić, ale otrzymać zwróconym przez osobę, mającą być nim obciążoną i płaci podatek drogą awansu, taki podatek nazywa się pośrednim. Podług drugiego sposobu rozróżnienia, podatkami bezpośredniemi nazywamy takie, które bywają naprzód obliczone podług faktów i cech stałych, jakim jest szczególniéj kataster dotyczący osoby, jéj stanu zarobkowego, jéj mienia, dochodu i t. p. Podatki zaś pośrednie są rozpisywane i opłacane podług okoliczności przypadkowych, będących następstwem pewnych wypadków, okoliczności, czynności i t. p., są zatém obliczone i płacone na podstawie pewnych taryf. W praktyce przeważa drugi sposób rozróżnienia podatków bezpośrednich od pośrednich i dlatego zaliczają do podatków pośrednich nietylko cła i podatki spożywcze, ale także podatki od obiegu, podatek skarbowy, od przyrostu majątkowego drogą darowizny i wygranych. Podług piérwszego sposobu rozróżnienia, niektóre z powyżéj wymienionych podatków powinny być zaliczone do bezpośrednich, jak np. podatek spadkowy i nie można wszystkich podatków spożywczych uważać za pośrednie, ponieważ niektóre z nich płaci bezpośrednio sam spożywca, nie zaś kupiec drogą awansu.

Zasady opodatkowania przedstawia autor na str. 300 i dzieli je na zasady polityki skarbowéj, zasady ekonomiczno-społeczne, zasady etyczno-prawne i zasady techniczne. Do zasad polityki skarbowéj zależy podług niego, żeby podatki były wystarczające i ruchome, t. j. elastyczne, stosownie do potrzeb skarbowych. Do zasad etyczno-prawnych zaliczono: żeby podatki były powszechne i sprawiedliwe. My byśmy tę

grupę ostatnią nazwali zasadami sprawiedliwości przejawiającemi się w powszechności i równomierności nakładanych podatków, ponieważ zasada powszechności zależy od sposobu pojmowania sprawiedliwości w opodatkowaniu.

Na str. 314 znajduje się rozdział zatytułowany: „Minimum egzystencyi“, my byśmy to nazwali minimum środków utrzymania, co daleko jest zrozumialsze. Autor jest zwolennikiem progresyi podatkowéj (319), chociaż nie podziela zapatrywań Wagnera i jego rozróżnienia opodatkowania finansowego i socyalnego. Podług Wagnera opodatkowanie finansowe jest rezultatem indywidualizmu ekonomicznego, niedozwalającym państwu mieszania się do istniejącego podziału dóbr i dochodów, będących następstwem nieograniczonego spółzawodnictwa na polu ekonomiczném. To opodatkowanie przeciwne jest wkraczaniu zapomocą podatków do podziału indywidualnego dochodów, przeciwne jest stopie progresyjnéj podatków, podatkom majątkowym, spadkowemu i wyższemu opodatkowaniu dochodu stałego z mienia ekonomicznego (fundowanégo) niż dochodu z pracy. Opodatkowanie socyalne nie obawia się być przyczyną zmian w podziale inydywidualnym dochodów i mienia. Chociaż dotychczasowy system podatkowy państw istniejących oparty jest przeważnie na zasadach opodatkowania finansowego, jednak widoczne są już wyjątki od ścisłego trzymania się tych zasad. Do tych wyjątków należy skala degresyjna podatków dochodowych, podatki od przyrostu majątkowego drogą loteryi, gry i podatek spadkowy.

Zasady techniczne opodatkowania streścił już Ad. Smith w swych czterech zasadach. Takiemi zasadami technicznemi są obecnie 1) dokładne oznaczenie wysokości podatku, 2) rozkład jego najdogodniejszy i 3) dążenie do możliwego zmniejszenia kosztów poboru podatków.

P. Głąbiński dzieli podatki na osobiste i rzeczowe (str. 332) pomimo że utrzymywał wyżéj, że właściwie wszystkie podatki są osobiste i odnoszą się do osoby podatnika. Do podatków osobistych zalicza podatki ściśle osobiste (pogłówne, podatek osobisty klasowy, podatek wojskowy), dochodowe i majątkowe; do podatków zaś rzeczowych — najpiérw wszelkie podatki szacunkowe i katastralne, daléj podatki od obiegu, konsumcyjne i cła. Na taki podział podatków nie możemy się zgodzić. Wolelibyśmy podział przyjęty przez Wagnera na trzy grupy: podatki od wytwarzania, podatki od posiadania i podatki od spożycia lub użycia dóbr. Podział

ten przyjął Gustaw Cohn (*System der Finanzwissenschaft.* Stuttgard, 1889, str. 447).

Zmieniając trochę i rozszerzając piérwszą grupę podatków od wytwarzania na trzy oddziały: podatek od działalności zawodowéj, podatek od obiegu i potrzecie podatek od przyrostu majątkowego, otrzymamy szemat następujący:

A. Podatki od wytwarzania dóbr.

I. Podatek od działalności zawodowéj.

a) Podatki podmiotowe osobiste.

1) Pogłówne, podatki od rodziny, od ogniska, od dymu i t. p..

2) Podatek dochodowy ogólny, od całego dochodu podatnika.

3) Podatek dochodowy podług pojedyńczych gałęzi dochodu.

b) Podatki przedmiotowe rzeczowe, realne od źródeł dochodu.

1) Podatek gruntowy i leśny;

2) Podatek od domów i zabudowań;

3) Podatek przemysłowy i górniczy;

4) Podatek od renty kapitałowéj;

5) Podatek od zarobków i pensyi.

II. Podatki od obiegu.

Podatek od pojedyńczych interesów kredytowych, podatek od obrotów handlowych, podatek giełdowy i podatek od zmian własności.

III. Podatki od przyrostu majątkowego.

Podatek od konjunktur, podatek od wygranych w grze, podatek spadkowy.

B. Podatki majątkowe od posiadania.

I. Podatek od mienia ekonomicznego;

II. Podatek częściowy od posiadania;

III. Podatek od dóbr używalnych t. zw. podatek bezpośredni od użytku.

C. Podatki spożywcze.

(cła i in. podatki).

Niedokładności podziału przyjętego przez autora okazują się w następstwie. Tak np. mówi autor (str. 350) o podatkach dochodowych niezupełnych i zalicza do nich podatek dochodowy od płacy i podatek dochodowy od renty z kapitałów

pieniężnych. Piérwszemu przyznaje autor, że ma przedewszystkiém charakter podatku rzeczowego od intrat (str. 351) i na str. 353 powiada, że drugi podatek od renty przedstawia się przeważnie jako podatek rzeczowy od kapitału i intrat. Dlatego téż oba rodzaje podatków pojawiają się następnie pomiędzy podatkami rzeczowemi

Podatki majątkowe są podług autora (str. 355) z natury swéj podatkami osobistemi, chociaż zdawałoby się nam, że one mianowicie powinny być uważane za podatki rzeczowe. Autor przyznaje (str. 362), że w ogólności w praktyce skarbowéj mają podatki od spadków cechę podatków rzeczowych.

Podatki rzeczowe dzieli p. Głąbiński na cztery główne rodzaje: 1) katastralne, zwane także szacunkowemi, lub podatkami od intrat; 2) od obrotu czyli obiegu, nałożone na odpłatny przelew kapitałów, praw i towarów; 3) Konsumcyjne czyli spożywcze. Nakoniec 4) cła.

Mówiąc o podatkach od intrat (str. 367) zalicza autor do rozmaitych rodzajów kapitałów: grunta, domy, kopalnie, rzemiosła i t. p. W dawniejszéj literaturze ekonomicznéj zaliczał Hermann grunta do kapitałów, za jego przykładem poszedł Stein. Ale obecnie zaliczanie ziemi do kapitałów nie ma już zwolenników pomiędzy ekonomistami. Zresztą autor na téj saméj stronicy uznaje za czynniki produkcyi: przyrodę, kapitały i siły osobiste, nie podobna zatém sił przyrodzonych, zawartych w ziemi zaliczać do kapitałów. Ostatnie są produktami pracy ludzkiéj, wytwarzanemi przy pomocy sił przyrodzonych. Są zatém takiemi kapitałami budowle, melioracye rolne i inne rzeczy nieodłącznie połączone z ziemią i wytwarzane pracą ludzką.

Do podatków zarobkowych jako rzeczowych zalicza p. Głąbiński podatki od płacy i podatki od renty, które poprzednio zaliczał do podatków dochodowych niezupełnych (str. 395).

Przytaczając obowiązujący w Austryi podatek zarobkowy z r. 1812 i dochodowy z r. 1849, podaje także autor projekt reformy podatku zarobkowego i dochodowego, wniesiony przez rząd w r. 1892. Projekt ten proponuje cztery podatki samoistne: ogólny podatek zarobkowy, podatek zarobkowy od przedsiębiorstw obowiązanych do publicznego zdawania rachunków, podatek od płacy i podatek od renty.

Podatki od obiegu (*Verkehrsteuern*), które Stein wyróżnił od opłat skarbowych i które miały pierwiastkowo u niego stanowić dział szczególny podatków, zalicza p. Głąbiński do podatków rzeczowych. Są one podług niego „podatkami, nałożonemi na od-

płatny obrót rzeczy i praw, ruchomych i nieruchomych" (str. 403). Autor podatki do obiegu ze stanowiska teoretycznego uznaje za nieracyonalne i nieuzasadnione, albowiem nie uwzględniają możności płacenia ze strony podatników, ani zasad etyczno-prawnych w opodatkowaniu (str. 405). Do podatków od obiegu zalicza on: podatki od obiegu nieruchomości i t. zw. ekwiwalent, podatki od dzierżawy i najmu nieruchomości, podatki od obrotu ruchomości i podatek giełdowy.

Przechodząc do podatków konsumcyjnych (str. 412) nie zgadza się p. Głąbiński na ich nazwę jako podatków spożywczych, ponieważ nie obejmują ani kapitałów użytkowych, ani usług. Ale my za przykładem Wagnera i innych zaliczamy podatki od kapitałów użytkowych do podatków od posiadania, t. j. do podatków bezpośrednich od zbytku, a podatki od usług do podatku od zarobków i pensyi. Również wyłącza autor z podatków konsumcyjnych cła, chociaż na str. 475 powiada, że cła skarbowe mają przedewszystkiém cechę podatków konsumcyjnych, albowiem są nałożone na przedmioty konsumcyi osobistéj, dowożone do kraju.

Mówiąc o poszczególnych podatkach zbytkowych (str. 497), wspomina autor projekt Bilińskiego utworzenia systemu podatków zbytkowych, podzielonego na cztery grupy, mianowicie na podatki zbytkowe, wybierane u konsumentów i u producentów, daléj takież podatki majątkowe i od przyrostu majątkowego.

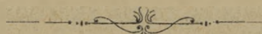
Mówiąc o pojęciu i historyi budżetu, wymaga p. Głąbiński żeby także wartość użytkowa własnych kapitałów użytkowych państwa, np. budynków poblicznych, koszar, mieszkań dla urzędników i t. p. była uwidoczniona w budżecie wydatków i przychodów skarbowych (str. 491). Nam się powyższe wymaganie wydaje za daleko idącém, obarczałoby tylko liczbami dowolnemi pozycye dochodu i wydatków i byłoby niepotrzebném utrudnieniem dla zarządu, ponieważ bardzo trudno oznaczyć wartość dzierżawną np. koszar dla wojska lub całych gmachów, przeznaczonych na pomieszczenie władz państwowych i na mieszkanie dla urzędników.

W ostatniéj Części IV-éj mamy teoryę długów skarbowych.

Nakoniec musimy zwrócić uwagę na wielką liczbę nowych terminów naukowych, wziętych prawdopodobnie z praktyki finansowéj w Galicyi, dla których jednak posiadamy w Królestwie termina już utarte w dawniejszym zarządzie skarbowym.

Witold Załęski.

Z BELETRYSTYKI ZACHODU.



(Nowelle i powieści angielskie: ostatnie utwory pp. Wells'a, F. Harris'a, pani Humphry Ward, p. Du Maurier i Grant Allen'a).

Nietylko w dziedzinie politycznéj i społecznéj obstaje Anglia przy utrzymaniu swych tradycyonalnych, wiekami uświęconych instytucyi. Spostrzedz można ten sam zmysł zachowawczy i w literaturze. Najlepszym tego przykładem jest powieść o trzech tomowych rozmiarach. Zdawała się także być instytucyą. Od czasu do czasu zaledwie, nowatorowie poważyli się pisać je krótsze: nie przypadały do smaku jednak ani wydawcom, ani publiczności czytającéj i powracano do zwykłéj modły. Trzy tomy in 8-vo były niezbędne dla ożenienia Roberta z Arabellą! Gdy autorowi nie stało osnowy dla zapełnienia ram tak szerokich, starał się albo opowiadać jednocześnie dwie, trzy intrygi luźnemi tylko powiązane ogniwami, albo téż przeładowywał je epizodami dodatkowemi, nie stojącemi w żadnym związku z naczelnym. Powieść angielska przeciętna — wyłączyć z niéj trzeba, jak się samo przez się rozumié, utwory mistrzów, którzy z każdéj formy zwycięską wychodzą ręką — była wskutek tych sztucznych, obowiązkowych rozmiarów źle zbudowana, ciężka, niestrawna. Brakowało jéj zazwyczaj téj przejrzystości, tego logicznego wątku, który stanowi krasę i powab powieści francuskich, skąd ināąd nieraz nietylko podrzędnych, ale nawet ujemnych. Ów brak ześrodkowania światła na główne postaci i wypadki, owa nużąca rozwlekłość stały się chronicznemi w powieściopisarstwie angielskiém.

Ratunek leżał widocznie w przyjęciu formy jednotomowéj powieści; wystarcza ona w innych piśmiennictwach dla przeprowadzenia etycznego zadania w powieściowéj alegoryi, dlaczegoż niemiałaby wystarczać i tutaj? Kto się nie umié ograniczać, nie umié pisać — powiedział poetycki prawodawca i aksyomat taki w zapomnienie iść nie powinien. Powieściopisarze angielscy nie zaprzeczali jego prawdzie, ale zasłaniali się praktyczną koniecznością: swą zależnością od wydawców. Ci nabywali jedynie rękopisy nadające się do trzechtomowego wydania. Gdy to było trudne, drukowali wielkiemi czcionkami, dawali szerokie białe marginesy i książka wyglądała pokaźnie, ale nie było w niéj nieraz materyału na jeden tom nawet. Sprzedaż po wysokiéj cenie tego pierwszego wydania pozwalała następnie puszczać w świat inne, jednotomowe i tańsze.

Ale piśmiennictwo nie mogło stale cierpiéć na wadliwe urządzenie handlu księgarskiego. Materyalne interesa, pokrzywdzone, sprowadziły reformę. Wydawcy spostrzegli, że owe kosztowne, trzechtomowe edycye, przestały znajdować szerokie koło kupujących i czekano na następne tańsze. Nawet wielkie czytelnie, jak Mudie, Smith i t. p., które zamawiają zwykle u wydawców po kilkaset a czasem nawet po kilka tysięcy egzemplarzy powieści słynnych autorów, zaczęły okazywać wstręt do kupowania edycyi, które straciły u publiczności swój powab dawniejszy. Jednocześnie powieściopisarze coraz energiczniéj zakładali protesty przeciwko rutynie, która ich skazuje na pracę zmudną, niewdzięczną a materyalnie opłakaną. Owe pierwsze trzechtomowe edycye, są zazwyczaj bardzo źle płatne. Jeżeli, wstrzymana wysokością kosztu, publiczność książki nie kupi, to nie przyjdzie nigdy do owych następnych edycyi, na których dopiéro autorowie zyski ciągnąć mają. Przyszło w ostatnich kilku latach do żywych utarczek pomiędzy Towarzystwem autorów, na którego czele stoi niezmordowany Sir Walter Besant a wydawcami: prano brudną bieliznę *coram populo*, a gdy w świetle téj polemiki pokazało się, że autorowie o wielkiém urobioném stanowisku zarabiają wprawdzie ogromne sumy, ale masa pisarzy jest ofiarą organizacyi handlu księgarskiego, stało się widoczném, że przełom dokonany został.

I dokonany został zupełnie. Pojawiło się kilka jednotomówek, które od razu znalazły szerokie powodzenie. Trzech pierwszorzędnych wydawców, widząc z któréj strony wiatr wieje, pośpieszyło rozpocząć serye krótkich noweli. Mamy *The Novel Series*, p. Smith, Elde & Co, *The Pioneer Series*, p. Heinemana, *The Pseudonym Library* i kilka innych. Można powiedziéć, że krótka powieść, nowela, owa forma, w któréj nie mówiąc już o klasycznéj literaturze, pisali swe arcydzieła

Edgar Poë, Merimée, Maupassant i tylu innych, wywalczyła sobie prawo bytu w Anglii. Chwilowo jest nawet reakcya i słychać skargi powieściopisarza — *risum teneatis amici!* — który ubolewa, że mu jego zwykły wydawca nie chce drukować powieści trzechtomowéj. Ale jak łatwo przewidziéć, po niejakim czasie wszystko do normalnego ułoży się stanu: autorowie, stosownie do wymagań swego przedmiotu pisać będą powieści krótkie lub długie, a wydawcy nie na rozciągłość ale wewnętrzną wartość zwracać będą uwagę. Do szeregu zdobytych swobód będzie mógł w przyszłości świat angielski dodać jeszcze jedną: swobodę twórczości literackiéj. Wśród społeczeństwa, gdzie istnieje tak nieposkromiony pociąg do pisania, a co gorzéj, do drukowania swych improwizowanych utworów, przywiléj ten posiada znaczenie dla wielkiéj liczby osobników.

W zwykłém naszém sprawozdaniu o beletrystycznym ruchu angielskim, wypada nam ze względu na przemagające prądy, dać pierwszeństwo tym razem noweli nad powieścią. Z mnóstwa tych, co się posypały w ostatnich czasach, zatrzymamy się nad kilku, które z tych lub owych względów stanęły na pierwszym planie.

Powieścią, która jest w ręku całego czytającego świata i która zawładnęła imaginacyą do najwyższego stopnia, jest utwór czysto fantastyczny, przypominający raczéj Edgara Poë albo Nathaniela Hawthorne, aniżeli Jana Pawła lub Hoffmana. Są tacy, co z jéj okazyi wymieniają nowelę Bulvera, *The Coming Race*. Jest jednak niezaprzeczenie oryginalniejszą od téj ostatniéj, choć pod wielu względami pokrewna duchem, a przedewszystkiém dlatego, że onegdajszy pisarz, tak samo jak dzisiejszy, zajmuje się światem dalekiéj, bardzo dalekiéj przyszłości. Autorem jéj jest p. Henryk Jerzy Wells, a tytułem *The Time-Machine: an Invention.* Wszystko jest niezwykłém w téj noweli, zacząwszy od jéj autora. Jest on z zawodu uczonym filologiem, znanym z wybornego tłómaczenia „Republiki" Platona, oraz ze studyów nad literaturą łacińską. Widoczna, że obcowanie z geniuszami starożytnego świata nie zawsze mrozi wyobraźnię, nie zawsze nakłada na nią wędzidła. Po raz pierwszy próbując sił swych w sferze fikcyi, p. Wells wykazał samorodność talentu, któréj przyklaskuje cały świat angielski.

Nie najmniejszą oryginalnością téj powieści jest to, iż jéj bohaterowie są bezimienni. Czytelnicy zrozumieją natychmiast, że interes opowiadania nic na téj abstrakcyjności nie traci. Autor wprowadza nas do domu człowieka, którego znać będziemy pod nazwą Podróżnika w Czasie: i nazwa ta wystarcza. Rozmawiając z gronem zbierających się u niego co tydzień gości, opowiada im o wynalazku, jaki

uczynił i o machinie, jaką buduje: jest to machina czasu. Za punkt wyjścia posłużyła mu uwaga, że wszystkie ciała w przestrzeni nie posiadają tylko trzech znanych wymiarów: długości, szerokości i głębokości, ale że posiadają jeszcze wymiar czwarty. Tym czwartym ma być trwałość, czyli innemi słowy — czas. Jak są sposoby zmierzenia trzech wymiarów, tak samo powinien być materyalny sposób mierzenia czasu, t. j. przenoszenia się dowolnego w przeszłość, w dawno minione wieki, albo w daleką przyszłość. Podróżować w czasie, tak samo jak podróżujemy w przestrzeni, oto zagadnienie, nad rozwiązaniem którego ów empiryk pracował, a pracował skutecznie. Uwiadamia swych przyjaciół, że buduje i wykończa machinę, na któréj sam uda się w podróż po czasie, a na dowód, że wynalazek jego nie jest złudą, ani żartem, przynosi im ze swéj pracowni mały model machiny, zrobiony ze stali, niklu, słoniowéj kości i jakiejś przejrzystéj substancyi. Model ten za poruszeniem sprężyny puszcza się w bieg jak błyskawica, i znika z oczów zdumionego grona świadków, którzy jednak przypuszczają, że była to po prostu sztuczka kuglarska i nawet widok wielkiéj machiny-dźwigni, na któréj wynalazca sam ma puścić się w podróż po czasie, nie jest w stanie ich przekonać.

Gdy następnego tygodnia znowu pod gościnnym dachem wynalazcy najdują się przyjaciele, nie zastają gospodarza. Zasiadają mimo tego do stołu, zostawiając dlań wolne miejsce. Biesiada ma się ku końcowi, gdy się on zjawia zakurzony, zmęczony, w podartém ubraniu, niby wędrowiec z za światów. Gdy się oczyścił, przebrał i pokrzepił jadłem i winem, opowiada przyjaciołom przygody swojéj podróży po czasie. To opowiadanie stanowi całą treść noweli p. Wells'a, a wyżéj streszczone rozdziały były tylko prologiem do owéj fantazyi.

Podróżnik po czasie wsiadł tedy w swéj pracowni na machinę-dźwignię i popędził w przyszłość. Ruchem o niepojętéj szybkości mknął nie w przestrzeń ale w czas. Fizycznie organizm jego cierpiał na tym szalonym pędzie, a umysł jego był oszołomiony, jakby pijany. Gdy wycieńczony zatrzymał nakoniec swą machinę, ujrzał na rodzaju podometru, obliczającego czas przebieżony, iż znajduje się w roku 82,701 ery naszéj. Oto świat, którego wygląd i formy przez swe oddalenie od naszego, muszą nas przygotować do zmian radykalnych i gotować nam niespodzianki! I istotnie nie szczędzi nam ich podróżnik w czasie.

Gdy fantastyczny pisarz kreśli nam obraz świata, nic z obecnym nie mającego wspólnego, nie ma potrzeby krępować się żadnemi względami prawdopodobieństwa i oświetla te punkta, które z tych lub owych powodów na szczególniejsze w jego oczach zasługują uwzglę-

dnienie. Ale pomimo swéj swobody koncepcyi, trudno mu zazwyczaj oderwać się od okoliczności i warunków, w których nasza współczesna ludzkość żyje i obraca się. I tak, lord Bulver w wyżéj wzmiankowanéj fantazyi *The Coming Race* nie przedstawił nam świata całkiem odmiennego od naszego, pomimo skrzydeł, które sobie ludzie owego pokolenia przypasują, ażeby się przenosić z miejsca na miejsce, tak, jak my wsiadamy do dorożki. W ostatnich czasach, p. Bellamy w słynnym swym obrazie socyalistycznym *Looking Backward*, o którym tu pisać mieliśmy sposobność [1]), po to tylko przeniósł się w przyszłość, aby udowodnić, że ludzkość ukształtowana podług socyalistycznéj modły, urzeczywistni ideał sprawiedliwości i kosztować będzie nieznanego dzisiaj dobrobytu. W jednym i drugim razie nie mogli się wymienieni autorowie oswobodzić w zupełności od swego własnego środowiska i nawet w fantazyi zostali jego niewolnikami. Niezaprzeczoną wyższość pod tym względem ma nad obudwoma p. Wells. Zatrzymawszy się na epoce oddalonéj od naszéj o ośmdziesiąt tysięcy lat, przygotował nas już niejako do widowiska niemającego żadnéj łączności z naszym bytem. Pomimo téj swobody, nie należy sądzić, żeby autorowi wystarczało pleść smalone duby. Bynajmniéj. Pokazując nam świat taki, jaki ma być wówczas, daje do zrozumienia, że cywilizacya nasza, rozwijając się logicznie na przeważających dzisiaj pierwiastkach, doprowadzić musi do wytworzenia onych potworów, z któremi się tam spotykamy. Nie zatrzyma to wprawdzie toku dziejowego, z którym idziemy na oślep, ale nie zaszkodzi wiedzieć, jakie wyniki ze współczesnych gotują się przesłanek.

Miejsce, w którém machinę swą zatrzymał, przypominało krajobraz okolic Londynu skąd wyruszył. Ale nie było w nim śladu, ani prywatnéj własności ani oddzielnych domostw. Kraj wydał się podróżnikowi jednym pięknym parkiem, trochę zdziczałym; gdzie niegdzie wznosiły się wspaniałe wielkie gmachy o rozległych salach, ale pałace te i sale nosiły także na sobie ślady opuszczenia i zaniedbania. Lecz co było dziwniejszém, to ludzie, których tam spotykał. Byli oni wzrostu małego i delikatnych kształtów, o pięknych, ale zniewieściałych twarzach. Istotnie nie wyglądali jak nasi dorośli ludzie, ale jak dzieci. Odziani w barwiste togi, szczebiotali jak ptaszki, śpiewali, bawili się, zrywali kwiaty, żywili się owocami. Były to powabne, ale bezmyślne, wszelkiéj poważniejszéj myśli pozbawione istoty. Nie pracowali i nigdzie nie było śladu najmniejszego wysiłku. Ta rasa, zaludniająca świat ówczesny—Eloi—oddawała się tylko sztuce i miłost-

---

[1]) Patrz „Ateneum“ za Listopad 1890 r.

kom. Gdy wędrowiec oswoił się z ich widokiem i wśród nich przebywać zaczął, wydało mu się, iż ma przed sobą zwyrodniałą ludzkość, ludzkość dogorywającego świata. Zrozumiał, jak się to zwyrodnienie rasy uskuteczniło w szeregu nieskończonych pokoleń. Skoro życie materyalne stawało się coraz łatwiejsze, coraz wygodniejsze, ludzie nie byli w potrzebie robienia wysiłków, naprężania swych sił. Podbito naturę, ale stracono energię i bodziec do czynu. Wszystkie instynkty, wszystkie namiętności osłabły stopniowo i wyziębły. Życie rodzinne, opierające się na karności i na poświęceniu, straciło racyę bytu; życie społeczne ustało także a skarłowaciałe plemię pędziło byt, wszelkich zasad i wszelkiéj etyki pozbawione.

Ale wędrowiec odkrywa niebawem obok tego świergocącego, błyszczącego świata starych dzieci, ślady innego plemienia. Są to podziemne Molochy. Zepchnięte, nie wiedzieć jakiemi środkami i przez jakie przyczyny do środka ziemi, stracili oni fizycznie wygląd człowieczy. Nie oglądając nigdy słońca, są biali, o krwi zimnéj, ohydni, potworni. Gdy po awanturach, których tu opisywać nie ma potrzeby, podróżnik nasz spuszcza się do ich czeluści, widzi Molochów pracujących mozolnie i uciążliwie. Oni to przygotowują dla Eloów potrzeby życiowe. Ale jednocześnie są ich wrogami. Pod osłoną nocy, któréj się małe Eloowe plemię obawia, Molochy wydostają się na powierzchnię ziemi, uprowadzają z sobą do swych podziemi jako brańców te bezbronne istoty i karmią się ich krwią i ciałem. Starcie się Molochów z Eloami, opisane jest przez autora z prawdziwym talentem pisarskim i jest w stanie wywołać grozę i przerażenie. Nie można jednak filozofii tego pomysłu zrozumiéć. Nic, żaden symptom w życiu i ustroju współczesnym nie wprowadza nas na przypuszczenie, ażeby jedna część ludzkości opanowała drugą do takiego stopnia, iżby dla siebie zachowała estetyzm i erotyzm a ich skazała na pracę bez końca i niewolnictwo piekielne. Przeciwnie, nie możemy nie dostrzedz, że się różnice społeczne zacierają, warstwy jedne zbliżają do drugich, że coraz mniéj jest niewolnictwa i zależności. P. Wells nie jest socyalistą widocznie, ani nawet socyologiem. Rozpamiętywał widocznie więcéj republikę Platona aniżeli świat jaki się ukształtował u wstępu do XX stulecia naszéj ery. Nie można mu pomysłu jego, jako takiego, wyrzucać, bo ma doń wszelkie prawo indywidualne, ale nie wywołuje w nas tego samego interesu co typ Eloów: pierwszy był wynikiem znanych nam przesłanek, drugi jest mniéj lub więcéj szczęśliwą igraszką wyobraźni.

Autor daje zresztą i w dalszym ciągu swego opowiadania dowody, że posiada ją w wysokim stopniu, Jego bohater, po stwierdzeniu

że w łonie dogorywającego świata toczy się bój pomiędzy zwyrodniałą ludzkością a potworami strąconymi z wysokości człowieczéj i że ci ostatni są potężniejszymi, że oni zwyciężą ostatecznie, dosiada znowu swéj machiny i puszcza się daléj w lot błyskawiczny przez miliony wieków. Dostrzega ziemię ostygłą i wymarzłą, widzi blednące słońce, ciemność i tajemnicze mgły zalegające świat, czuje dotknięcie ohydnych straszydeł pełzających wśród tego odmętu, jest, jedném słowém, świadkiem ostatnich chwil przedzgonnych wszechświata zapadającego w nicość. Obraz ten, naszkicowany w zarysach, jest artystycznie wykonany, wywiera na czytelniku silne wrażenie.

Jak czytelnik odgadnie z łatwością, podróżnik po czasie, opowiedziawszy swe przygody przyjaciołom, którzy wierzyć mu zupełnie nie mogą, chociaż przyrzeka iż na nową wycieczkę się nie puści, ulega pokusie, znika powtórnie, ale nie powraca już, mniéj szczęśliwy albo po prostu dla tego, że autorowi opowiadanie swoje zakończyć wypadało. Nie ma powodu ani przywiązywać wyjątkowego znaczenia do tego utworu ani poddawać go krytyce jak dzieła poważniejszego. Jest niezaprzeczoną jego zaletą, że przez swą oryginalność i nadzwyczajność wyszedł po za ramy, w których się nowela obracać zwykła. Niecodzienna to zaleta, a czytelnicy spragnieni czegoś radykalnie nowego, wynagrodzili p. Wellsa sukcesem, jakiego oddawna żaden inny utwór tego rodzaju nie posiadał.

Nie można wyobrazić sobie większego przeciwieństwa, jak to które istnieje pomiędzy dopiéro scharakteryzowaną nowelą a temi które wyszły z pod pióra p. Franka Harris. Jeżeli tamta zerwała ogniwa łączące nas z dziedziną rzeczywistego bytu i na skrzydłach fantazyi uniosła nas, het, gdzieś po za granice świadomości, to te, przeciwnie, nie tylko chodzą trzeźwym krokiem po ziemi, ale zapisały się, bez najmniejszego wahania, pod sztandar realizmu empirycznego. Każda sfera twórczości piśmienniczéj, a więc i dzieła tego nastroju, daje możność autorom do stworzenia arcydzieł. Jeżeli są one rzadkie, to pochodzić to musi nie z winy materyału twórczego ale ze sposobu, w jaki obrabiają go ci i owi. P. Frank Harris należy do szczęśliwych, do wybranych. Od razu, pierwszym zamachem, stworzył dzieło o trwałéj wartości, jeden z tych utworów, które pisarzowi raz na zawsze zabezpieczają miejsce w pośród koryfeuszów literatury.

Nic niespodziańszego jak ten debiut w noweli. P. Frank Harris, nie ma jeszcze lat 40, i po awanturniczéj karyerze, rozpocząwszy życie jako marynarz, jako poszukiwacz złota w kopalniach amerykańskich, zajrzał do świata literackiego trafem, przypadkiem. Ale będąc jedną z tych wyjątkowych natur, obdarzonych inicyatywą i energią w wyso-

kim stopniu, przynosił z sobą pewność że mu się i tam powiedzie, jak mu się powodziło gdzieindziéj. Prawie całkiem nieznany, objął wydawnictwo jednego z najpierwszych, najważniejszych miesięcznych przeglądów londyńskich: *Fortnightly Review*. Zazwyczaj wydawcy nie pisują sami w swych miesięcznikach, ograniczając się na ich kierownictwie. On jednak odstąpił od tradycyi, naprzód otwierając łamy *Fortnightly Review* dla opinii różnorodnych i żądał od swych współpracowników jednéj tylko rzeczy — talentu, a następnie pisząc w nim sam, a w dodatku pisząc nowele! Wywołało to rodzaj zgorszenia w kołach literackich, a było ono tém widoczniejsze, że nikt nie mógł nie uznać w nim potężnego talentu. Zawodowi powieściopisarze, którzy nieraz pragną wmówić w publiczność, iż ich powołanie wymaga nie tylko wykształcenia technicznego ale i pewnego rodzaju namaszczenia, zatrwożyli się na widok tego nowego przybysza, który, igrając sobie z trudnościami, stworzył utwory niepoślednie, i odrazu ich w kąt zapędził.

Przed kilku miesiącami, opuszczając swój miesięcznik i przenosząc wydawniczą działalność do tygodnika *Saturday Review*, w którego strupieszały organizm tchnął natychmiast nowego ducha, p. Frank Harris zebrał w jeden tom kilka nowel poprzednio ogłoszonych pod tytułem „Elder Conklin i inne powiastki.” Jeżeli szerokie warstwy publiczności nie dały téj książce dotąd tego rozgłosu, jaki się dostał w udziale wielu miernotom, to nie ma ani jednéj powagi krytycznéj, ani jednego wyrafinowanego znawcy, któryby bez najmniejszego zastrzeżenia nie powiedział, że nowele Franka Harrisa są najznakomitszym utworem, jaki beletrystyka angielska w ciągu ostatnich lat wydała.

Nie ma przesady w téj ocenie. Autor należy do szkoły, któréj mistrzem był Prosper Merimée, autor „Colomby”, „Damy pikowéj” i tylu innych w twardym marmurze wyciosanych arcydzieł, do szkoły, któréj we Francyi Guy de Maupassant był ostatnim, pierwszorzędnego talentu przedstawicielem. Bez litości i bez illuzyi umieli oni świdrować w głębi serc ludzkich, wiedzieli co w nich odkryją i odkrywszy, bez żadnych osłonek wystawili na widok publiczny. Niektórzy na takie analityczne studya oburzają się a sala dyssekcyjna wstręt w nich budzi. Nie możemy im tego niesmaku do wiwisekcyi wyrzucać, ale nie możemy z drugiéj strony użyteczności téj ostatniéj zaprzeczać. Skoro operacya jest potrzebna, idzie o znalezienie operatora coby miał rękę lekką i umiał władać skalpelem. Takie zalety miał bez żadnego wątpienia Merimée: jego suchość i cynizm były zaprawne ironią i humorem. Maupassant był wprawdzie nieraz niepotrzebnie szorstki i nie-

ubłagany, ale są między jego nowelami także delikatne, misternie wyżłobione dyamenty, przetopiony złoty kruszec w ogniu serdecznym i w łzie wzruszenia obmyty. Ci co pamiętają to drobne arcydzieło jego *La Perle*, że już o innych lepiéj znanych nie wspomnim, zechcą przyznać, że nie ma w tém, co mówimy, nadmiaru pochwały.

Angielscy pisarze nie mają zazwyczaj dość artystycznego smaku ażeby po takiéj stroméj chciało się im iść scieżynie: wolą ubite gościńce. Zdawało się przed paru laty, że młody, wysoką spostrzegawczą zdolnością obdarzony pisarz, p. Rudyard Kipling, stanie się twórcą noweli w tym właśnie rodzaju. Jego lekkie studya o angielskiém towarzystwie w Indyach zaprawne były prawdziwą oryginalnością. Ale niebawem się pokazało, przy pośpiesznéj produkcyi, że nie mógł jeszcze, albo że nie miał dotąd czasu, skrystalizować w swym umyśle niezbędnych dla głębszego pisarza czynników, i wszedł już obecnie, jeżeli się nie mylimy, do tego szarego mnóstwa co podług niezapomnianego słowa Goethe'go, mówią jak echa ale nie jak samodzielne głosy. Było miejsce wakujące dla realistycznego nowelisty i zajął je p. Frank Harris.

Nie rości on sobie najmniejszéj.pretensyi do posiadania kamienia filozoficznego, nie wzniósł się na żadne wyżyny ogólnie ludzkiéj syntezy. Poprostu zdarzyło mu się, w ciągu kilkoletniéj włóczęgi po Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj zetknąć się z ludźmi rozmaitego kalibru, z typami odrębnemi i rysuje te postaci z werwą i zacięciem. Nie sądzi, nie wydaje wyroków, nie przeciwstawia jednych drugim, a nawet jeżeli to robi, to z taką delikatnością, iż sztuka jest trudna do namacania. Żywość kolorytu, dosadność linii zasadniczych taką wyrazistością przedstawione postaci zaprawia, że raz na zawsze w pamięci naszéj pozostają. Nawet ta okoliczność, iż się ograniczył do Yankeesów, przyczyniła się do jego sukcesu: są oni dla angielskiego społeczeństwa cudzoziemcami, o obyczajach, instytucyach i toku myśli odmiennych od tutejszych a mimo tego mają blizkie i ścisłe rasowe pokrewieństwo. Te szkice z życia amerykańskiego łączą w sobie żywioł egzotyczny, zaciekawiający, z krajowym, poufałym. Na takim gruncie stający pisarz, jędrny, bystry, zwięzły, gardzący konwencyonalizmem, mistrz języka i stylu, musiał i osnową swych noweli i ich formą bez najmniejszéj trudności zawładnąć umysłem czytelników.

Nie ma pośród tych kilku nowel ani jednéj zwykłéj, pospolitéj. Jeżeli jednak szczególniéj wyróżnić wypada jaką, to wybór wahać się będzie pomiędzy pierwszą, *Elder Conklin*, dającą tytuł całemu zbiorowi a inną noszącą tytuł *A modern Idyll.* Nic oryginalniejszego jak typ owego Conklina, fermera na zrębie indyjskich preryów i jego cór-

ki, pięknéj Loo. Conklin ciężko pracujący, oszukujący, gdy ma do tego sposobność, a przytém głęboko religijny. Ta jego religijność, jego rozmowy z Bogiem, którego prosi o przebaczenie za popełnione grzechy, jego uwielbienie nieograniczone dla córki robią zeń postać istotnie oryginalną. A Loo, która się kocha w nauczycielu szkolnym i wzbudza przez tę miłość w swéj prozaicznéj naturze instynkta wyższe, dążenia do sztuki, a nie mogąc podbić serca co ją sądzi, oddaje się człowiekowi co jéj poziome pragnienia i próżność zaspokoić obiecuje—jest przedziwném studyum charakteru kobiecego. Jak przez kryształową szybę patrzymy na walkę dobrych i złych pierwiastków, co się w jéj sercu stacza i podziwiamy siłę autora, że się sam jéj czarowi oprzéć umiał.

A w drugiéj powieści „Nowoczesnéj Idylli", hipokryzya religijna pastora Baptystów, *Rev.* Letgood, jest oddana z wypukłością tém doskonalszą, że humor i ironia trzymane są na wodzy. Ten wymowny pastor otrzymuje wezwanie do objęcia posady w Chicago z pensyą o 6,000 dolarów większą od téj, którą pobiera w Kansas. Ale tam kocha się w młodéj pani Hooper, która jest żoną dziekana jego sekty. W jego piersi rozgrywa się dramat wewnętrzny: czy poświęci swój dochód i swą sławę, czy poświęci swą miłość? Nie karykatura to żadna, i nie żaden ohydny faryzeusz ten pożądliwy pastor, ale istota żyjąca z krwi i ciała i na prawdę kocha i na prawdę wierzy, modli się i błaga łaski. Cały cynizm autora, o którym mówiliśmy wyżéj, pokazuje się w sposobie, jakim ten gordyjski węzeł rozwiązany przezeń został. Dziekan, żeby zatrzymać dla swéj sekty wymownego kaznodzieję, przekonywa starszych, żeby mu ofiarowali tę samą sumę, jaką miał otrzymać w Chicago. Pastor Letgood wysławiany jest za swe poświęcenie, które powiększyło jego dochód i pozyskało mu piękną kochankę z żony dziekana.

Jest jeszcze inna powiastka w tym zbiorze, któréj zbyć milczeniem nie podobna. *Gulmore the Boss* jest znakomitym obrazem walki wyborczéj w zachodnich Stanach. Dwie centralne figury, na których interes się skupia: idealistyczny profesor uniwersytetu i cyniczny wszelkich skrupułów pozbawiony, Gulmore, polityk z zawodu, są narysowane silnie i wyraziście. Rozdrażniona miłość albo miłość własna córki Gulmora daje mu możność pokonania rywala i złamania jego zawodu. Ale nie sam wątek powieściowy, lecz sposób w jaki p. Frank Harris w kilku rysach umié całą duchową naturę swych bohaterów pochwycić na uczynku i wyświecić, zasługuje na bezwarunkową pochwałę. Napróżno szukamy w pośród znanych nam osobistości we współczesnéj literaturze europejskiéj nowelisty tego, co on, duchowego nastroju.

Jeżeli pole powieściowe uprawiać zechce, nie można wątpić, że potrafi stworzyć dzieła pierwszorzędne...

Przy ruchu, jaki się wszczął ku pisaniu noweli, nie można się dziwić, że wzięli w nim udział i powieściopisarze już wyrobionego stanowiska. Nie jednemu zdawać się mogło, że skoro potrafił pisać trzytomowe obrazy społeczne, o wiele łatwiéj przyjdzie mu kreślić drobne szkice. Pokazało się jednak raz jeszcze, że powieść a nowela to dwa odrębne gatunki twórczości i że nie da się do nich zastosować francuska maksyma: *qui peut le plus, peut le moins*. Rozwlekli romansopisarze angielscy znajdują istotną trudność w skupieniu swéj twórczości a przywykli do wielostronnego, powolnego przedstawiania charakterów i typów nie umieją wybrać rysów niewielu ale wystarczających. Możnaby wymienić cały szereg znakomitości literackich, które, probując sił swoich na tém polu, zawiodły oczekiwania swych zwolenników. Jeden tylko wyjątek dotąd zacytować można. Mamy tu na myśli nowele pani Humphry Ward: *the Story of Bessie Cosrrell*. Czytelnicy znają choćby z naszych studyów [1]) dawniejsze dzieła téj autorki, która o całe niebo przewyższa swe siostry w powieściopisarstwie. Zgóry nie można było się spodziewać, ażeby właśnie jéj talent do noweli się nadawał. Lubowała się w szerokich filozoficznych, religijnych i socyalnych tezach, a dramatyczne wypadki, fabuła powieściowa wydawały się jéj drugorzędnym czynnikiem. Ostatni większy jéj utwór „Marcella", pokazał już jednak większeześrodkowanie akcyi. Obecnie ogłoszona Historya Bessie Costrell jest olbrzymim skokiem naprzód ku artystycznéj doskonałości. Jeżeli treścią swą i nastrojem melodramatycznym poniekąd zdziwiła zwykłych czytelników, to odkryła w jéj talencie nowe strony i utwierdziła krytykę w przekonaniu, że jest to umysł równie szlachetny jak szeroki. Subtelność analizy psychicznéj, w któréj sobie podoba, nie ostudził w niéj nigdy owego żywego humanitaryzmu, owego odczuwania ludzkich mąk i boleści. To ciepło serdeczne, które z każdego jéj utworu wionie, odróżnia ją pochlebnie od owych realistów, dla których człowiek jest postawioną pod mikroskopijne badanie próbką i niczém więcéj. Dla tego też, krótszy czy dłuższy, każdy jéj obraz czy obrazek społecznego bytu, wywoływać musi żywy interes i roznieca się około niego ognisko sympatyi.

Nowela obecna jest treściwie opowiedzianą tragedyą z życia wieśniaczego. Jak samo się przez się rozumie, porównanie się nasuwa natychmiast z dwoma arcydziełami George Eliota, z Adamem

---

[1]) Patrz „Ateneum" za kwiecień 1892 oraz za luty 1895.

Bede i Silas Marner'em. Ale jeżeli tło jest takie samo, to sposób, w jaki traktowały je wczorajsza a dzisiejsza autorka, jest całkiem odmienny. Studyum psychologiczne, które u George Eliota zeszło do największéj głębokości, jeżeli nie osłabia interesu, to go przenosi do sfery abstrakcyjnéj. U pani Humphry Ward mamy prosty dramat w pięciu scenach, obejmujących pięciomiesięczny okres czasu życia jéj wiejskiéj bohaterki. Elzusia jest drugą żoną ogrodnika wiejskiego, ponurego mistyka, głowy sekty religijnéj, który kocha w gruncie serca swą młodą żonę i jest z niéj dumny, ale przez swój melancholiczny nastrój ducha odstrasza ją od siebie i kopie pomiędzy nią a sobą głęboką próżnię. Elzusia ma wuja, Johna, starego wyrobnika, prostaka, który w ciągu długiego a pracowitego życia uciułał sobie skarb w srebrze i złocie wynoszący kilkadziesiąt funtów, z którym nigdy się nie rozstaje. Zmuszony czasowo opuścić wioskę gdzie zamieszkuje, powierza skarb Elzusi a raczéj jéj mężowi, do domu którego został on potajemnie przeniesiony. Taki jest prolog powieści. Po upływie kilku miesięcy znajdujemy Elzusię w pełnym rozgwarze namiętności. Gdyby to jeszcze była namiętność obalająca jak uragan wszystkie zapory, można by jéj występek wytłumaczyć. Ale dokonała go, dobrała się do skarbony Johna, i traci jego grosiwo bez żadnego innego powodu jak utrzymanie swéj popularności i zadowolenie swéj kokieteryi. Była pieknością miejscową ogólnie wysławianą i zawróciło jéj to głowę. Kiedy mąż oddaje się mistycznym rozmyślaniom, ona, w szynku, częstuje gachów trunkami. Właśnie ten brak wszelkiego potężnego motywu do popełnienia występku a tylko drobne okoliczności codzienne, doprowadzające ją do coraz głębszego moralnego upadku, stanowią dodatnią stronę tego utworu i jego niezaprzeczoną oryginalność w pomyśle i kompozycyi. Próżność, ambicya, chęć utrzymania około siebie roju wielbicieli, bez pamięci o następstwach jakie ten efemeryczny tryumf za sobą pociągnie, oddane są z siłą i precyzyą: czynią postać Elzusi nie apryorycznym typem ale istotą z krwi i ciała, tętniącą życiową prawdą.

W dalszym rozwoju akcyi widzimy jak się podejrzenia co do jéj postępków rodzą i wzmagają, jak katastrofa wybucha. Syn męża Elzusi z pierwszego małżeństwa, nicpoń, dobiéra się także do skarbony Johna i walka, jaka między nim a Elzusią zaszła, jest sceną wysoce dramatyczną. Powrót zrabowanego, odkrycie łupiestwa, prośba Elzusi do męża, ażeby stanął w jéj obronie, jéj list i t. d., potęgują interes i opisane są z takim patosem, że ci działacze na skromnéj, ciasnéj scenie przybiérają istotnie rozmiary tragiczne. Trzeba przyznać, że rzadko

w ramach drobnéj opowieści tak szeroki duch się miota. Krążyły wieści, zrodzone wśród pochlebnego szmeru, co ją powitał, że nowela ta przerobiona na dramat, pokaże się na deskach sceny. Nie chce się nam im wierzyć, bo niewątpliwie artystyczne wrażenie sprawione przez obecną formę zniknęłoby w téj nowéj. Tylko przez ścisłą analizę charakteru bohaterki można jéj wykolejenie śledzić krok w krok i jéj upadek sobie wytłumaczyć. Dla akcyi dramatycznéj nie byłoby na scenie wystarczającéj osnowy. Przerabianie romansów na dramaty, tak częste w ostatnich czasach, świadczy nie tylko że twórczość pisarzy się wyjaławia i że wyzyskują jeden i ten sam pomysł we wszelkich możliwych formach — co za ich genialnością bynajmniéj nie przemawia—ale że zacierają się w ich umysłach owe dydaktyczne zasady, co różnice pomiędzy rozmaitemi działami twórczości zakréśliły. Zacierając te graniczne szlaki, mniemają, że są nowatorami. Upadek wartości ich utworów świadczy jednak, że bezkarnie takiéj rzeczy się nie popełnia. Pani Humphry Ward w każdym razie nie potrzebuje swych dawniejszych utworów przeżuwać. Obecny świadczy wymownie, że stać ją na nowe.

Obszernie rozwiedliśmy się nad kilku nowelami dla tego, że stanowią nowe poniekąd zjawisko literackie i nie staje nam miejsca dla równie obszernego uwzględnienia powieści o swoich tradycyonalnych rozmiarach i formie. Odłożyć możemy systematyczny ich przegląd do innéj pory. Obecnie wystarczy pomówić o dwóch, które jeżeli nie bezwzględną wartością, to przynajmniéj rozgłosem, jakiego używały, narzuciły się w Anglii całéj czytającéj publiczności.

Pierwsza z nich jest *Trilby* przez p. Jerzego Du Maurier. Autor nie jest pisarzem z powołania, ale rysownikiem. Jego karykatury do humorystycznego tygodnika *Punch'a*, ilustracye do satyrycznych dzieł Thackeray'a i hogartowskie obrazy śmieszności i zdrożności obyczajów współczesnych, zrobiły imię i ołówek jego do wysokiego stopnia popularnemi oddawna. Ale publiczność nie zdawała się pojmować, iż ten ilustrator jest jednocześnie przenikliwym obserwatorem i pisarzem pełnym oryginalności i werwy. Gdy przed kilku laty napisał powieść *Peter Ibbeston*, wywołała ona zdziwienie. Było w niéj wiele oryginalności, i mimo niepociągającego przedmiotu, pomimo lekceważenia systematycznéj budowy powieści, stało się widoczném, że jéj autor, satyryczny obserwator i artysta, w całém słowa tego znaczeniu, posiada wszystkie warunki do naczelnego stanowiska pomiędzy romansopisarzami, gdy mu do tego przyjdzie ochota. Bezprzykładne powodzenie, jakie znalazła w Ameryce i w Anglii jego powieść *Trilby*, zachęci go

prawdopodobnie do zawodowego uprawiania niwy, którą dotychczas tylko doraźnie nawiédza.

Trilby, chociaż nosi datę dzisiejszą, należy do rodzaju powieści, których moda zdawała się już przebrzmiałą raz na zawsze. Jest to powieść awantur i wypadków, gardząca prawdopodobieństwem, chociaż pełna drobnych szczegółów z życia codziennego wyrwanych, jest to powieść o romansowym nastroju. Wzruszają na nią z politowaniem głową realiści, ale szeroka publiczność, która powieści czyta dla rozrywki, dla przyjemności a nie dla spełniania przykrego obowiązku, ani téż dla żadnéj misyi reformatorskiéj, rzuciła się do niéj z zapałem. Jeżeli to nie była, jak chcieli ci i owi, protestacya urzędowa przeciwko realizmowi, to było w każdym razie świadectwo, że jest miejsce wśród produkcyi literackiéj i na owe archaiczne formy, które przypominają raczéj Dumasa starszego albo George Sand, aniżeli Jerzego Moore'a, albo jego kolegów z krańcowo-naturalistycznego obozu.

Nie będziemy wchodzić w szczegóły téj powieści, chociaż w szczegółach właśnie leży wielka część jéj powabu. Dość będzie rzec, że autor opowiada przygody, których doznała Trilby, prosta modelka, w pracowni trzech malarzy angielskich, studyujących w Paryżu. Ta poczciwa w gruncie dziewczyna, nieposiadająca wyższéj moralności niż inne stworzenia świata, do którego należy, otoczoną została przez autora takim czarem świeżości i uroku, że się w niéj kocha każdy czytelnik, tak jak się w niéj kochają, każdy po swojemu, trzéj artyści, bohaterowie powieści. Obok niéj, postawił autor demoniczną figurę wielkiego muzyka, Svengali'ego, polskiego żyda z pochodzenia. Łamie on życie pięknéj Trilby, aby wlać w nią sztucznie ducha muzyki. Pozbawiona od natury daru śpiewu, zostaje jako jego żona, gwiazdą na horyzoncie artystycznym, pierwszą śpiewaczką europejską, ale czyni to w rodzaju snu, pod wpływem hypnotycznego poddawania. Autor na takiém fantastyczném tle nakreślił mnóstwo scen przedziwnych, naprzemian pełnych humoru, albo drgających wewnętrzném wzruszeniem, przedstawił postaci oryginalne a sympatyczne. Nie zadaje sobie czytelnik trudu wytykania nieprawdopodobieństw akcyi, aby sobie nie psuć przyjemności, jaką mu ta baśń niezawodnie sprawia. Jest tyle prostoty i naturalności w sposobie pisania p. Du Maurier, taka świeżość obrazów i taka obfitość wybryków dobrego humoru na każdym kroku, tyle jest uczciwości w traktowaniu nawet najdwuznaczniejszych sytuacyi, iż powieść ta wzięła szturmem całą czytającą publiczność.

Inny jest nastrój owéj drugiéj, która jednocześnie stanęła na pierwszym planie. Mamy tu na myśli powieść p. Grant Allen'a: *The*

Woman who did. Należy ona do tego długiego szeregu utworów, w których postawili angielscy romansopisarze a szczególniéj romansopisarki przed trybunałem opinii równouprawnienie kobiety, równouprawnienie nie jurydyczne, nie społeczne, nie zawodowe, boć tego im nikt już dzisiaj nie odmawia, ale równouprawnienie płciowe, fizyologiczne. P. Grant Allen stanął odważnie w obronie pokrzywdzonego jego zdaniem stanowiska kobiety. Puścił swój utwór w świat wśród niezwykłéj reklamy. On, pisarz wyrobionéj reputacyi, który i w sferze popularyzacyi naukowéj i w sferze beletrystycznéj, długoletnią pracą zdobył sobie niezależną pozycyę, oznajmił w przedmowie do téj powieści, iż dotąd, jak robotnik, pracował na obstalunek i pisał wbrew swoim przekonaniom, i że dopiéro teraz, po raz pierwszy, istotnym swoim opiniom otwiera szluzy. Nie dziwota tedy, że publiczność zaciekawiona została, jakie to są owe zasady, które poczytny i popularny pisarz w głębi duszy tak starannie długo ukrywać musiał.

Jakie są one? Sprowadzają się do téj tezy, iż małżeństwo jest instytucyą skazaną na potępienie. Kobiéta, dopóki ono istniéć będzie, pozostanie tylko samicą rodzącą dzieci, bez istotnéj niezależności ani odpowiedzialności za swoje czyny. Herminia Barton, bohaterka powieści, jest kobietą, która spełniła czyn: dobrowolnie wyswobodziła się z więzów małżeństwa. Obdarzona wszystkiemi warunkami, aby zająć w towarzystwie legalne miejsce, znajduje ona młodzieńca szlachetnego, któremu oddaje swe serce, a gdy on chce ją uczynić swą żoną, Herminia opiera się jego naleganiom, i woli stać się jego kochanką. Wolne stadło, nie skrępowane ani przysięgą, ani umową, rozwiązywalne gdy miłość w sercu kochanków ostygnie: oto ideał Herminii, oto ideał społeczny autora. Nie potrzebujemy się z nim spierać; koncepcye filozoficzne używają swobody. Mając do czynienia z utworem fikcyi, trzeba się jedynie zapytać, do jakich wniosków prowadzi autora takie założenie.

Są one dość niespodziewane. Autor, jako umysł jasny, mógł zdać sobie sprawę, że takie swobodne stadło, rzucone wśród świata o innéj modle i innych etycznych pojęciach, skazuje się dobrowolnie na cierpienia i męki. Nie oszczędził ich téż Herminii. Jéj towarzysz umiera po kilko-miesięcznem pożyciu. Jeszcze na łożu śmierci ponawia życzenie uprawnienia ich związku i zapewnienia dziecięciu co się ma narodzić legalnego stanowiska. Orędowniczka renowacyi społecznéj obstaje przy swych ideach, i osamotniona, pozbawiona środków utrzymania, odepchnięta przez rodzinę i świat, do którego należała, wśród cierpień i upokorzeń wychowuje swą córkę. W niéj, w owym wypłodzie swobodnéj miłości, upatruje ona istotę wyższą, czystszą

i oczekuje spadkobierczyni swojéj misyi. Dzieje się przeciwnie. Dolores jest dziewczyną oschłą, pospolitą, o naturze prozaicznéj i egoistycznéj. Nie ma pomiędzy matką a córką żadnego duchowego węzła. Gdy dorasta i gdy jéj zamęzciu staje na przeszkodzie jéj położenie dziecka naturalnego, zwraca się z wyrzutami do matki, żąda wyjaśnienia przeszłości, a gdy ta z dumą opowiada jéj historyę swojego życia i swéj martyrologii, obrzuca ją obelgą, przeklina i odwraca się od niéj ze wstrętem. Herminia, straciwszy jedyny cel, do którego dążyła, odbiera sobie życie.

Taki jest przebieg powieści, o któréj od sześciu miesięcy co najmniéj Anglia rozprawiać nie przestaje, która wywołała odpowiedzi, polemiki i utwory protestujące przeciwko jéj przewodniéj myśli. Nie można autora oskarżać o zaślepienie, bo ukarał swą bohaterkę surowiéj, aniżeliby to najsurowszy moralista mógł uczynić: własne dziecko odwraca się od niéj ze zgrozą. Trudno zdać sobie sprawę z prawdziwego zamiaru, jaki mu przewodniczył. Jasném jest, że pomiędzy społeczeństwem opartém na monogamii i własności indywidualnéj, a têm, które proponuje: wolne stadła i komunizm, starcia będą nieuniknione, a jednostki, które pod sztandar nowych idei się zapisują, muszą być zmiażdżone. Ale p. Grant Allen tak głęboko wierzy, że jedynie na téj drodze społeczność odrodzoną być może, i tak nietajoną sympatyą otacza swą bohaterkę, że zdaje się wskazywać konieczność takich poświęceń, takich prób. *Per aspera ad astra.* Nakazuje wychylić do dna piołunową czarę całym pokoleniom, bo w ten tylko sposób zaprowadzą następne do ziemi obiecanéj. Nie zdaje się, aby powieść ta do téj ciężkiéj pielgrzymki zachęcić miała. Jedynym niezaprzeczonym jéj rezultatem jest wywołanie gorszącego skandalu.

N. T.



GMINA SAMORZĄDNA.

Piotr Górski. „Samorząd Gminy“ Tom I, Kraków, 1894 str. 371.

Chromający tu i owdzie parlamentaryzm, niewątpliwe jego braki, które zastanawiać się każą nad potrzebą sanacyi ustroju reprezentacyjnego, wszystko to prowadzi do wniosku, że dzisiejszy parlamentaryzm wymaga chyba kardynalnych przeobrażeń. Niewątpliwie, wiele okoliczności składa się na tego rodzaju sąd; lecz zapewne nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, że może dlatego głównie parlamentaryzm obecny nie odpowiada wymaganiom społecznym, iż sam on niejako zawieszony w powietrzu, nie oparty na niższych jednostkach samorządnych, dość silnych by za punkt oparcia służyły, staje się czémś od społeczeństwa, od wyborców różném. U góry samorząd w postaci parlamentu, w przeważnej części państwo nie wspiera sie na samorządzie, u dołu, któryby społeczeństwo do pracy organicznej zaprawił. To też teorya dzisiejsza, a poczęści i praktyka, zaczynają problemat ten wyświetlać; nauka wskazuje potrzebę rozszerzenia najważniejszéj jednostki samorządnej—gminy, nawołuje do nadania jéj jak największéj autonomii, do jéj wzmocnienia i uczynienia z niéj jednéj z opok, na któréjby się państwo nowoczesne oprzéć zdołało.

I w naszéj literaturze specyalnéj odzywają się głosy w téj dziedzinie. Pomimo roli, jaka gminę w niedalekiéj może przyszłości czeka, i my również zabiéramy się do badania samorządu gminnego.

Autor książki, którą mamy przed sobą, jak sam zapowiada, przy jéj opracowaniu kierował się właśnie tak ogólnemi, jak i szczególnemi pobudkami. Piérwsze — to zadania, które gminę czekają, drugie—to od tylu lat głoszona reforma gminy w Galicyi.

P. Górski obecnie ogłosił tom 1-szy swojéj monografii, a na treść tegoż składają się obok obrazu gminy w dawnéj Polsce, przegląd ważniejszych systemów gminnych w Europie a nadto rozbiór prawa gminnego w Austryi. W tomie drugim ma być przedstawiona organizacya funkcyi gminy, tak jak się ona w rzeczywistości przedstawia.

Potrzebę skreślenia rysu historycznego gminy w Polsce, pan Górski uzasadnia tém, „że gmina nasza (a mówi tu o gminie galicyjskiej) nie poczyna się ani w roku 1848 ani w 1866, lecz miała swą wiekową przeszłość” (str. VIII).

We wstępie historycznym załatwia się naprzód p. Górski krótko z pojęciami ogólnemi o gminie, a wypowiedziawszy zdanie, że w ustroju gminnym władza opiéra się do pewnego stopnia na kontrakcie prawnym, przechodzi do ocenienia doniosłości samego ustroju. Tu autor nazywa ten ostatni probierzem cywilizacyi, warunkiem „rozwoju sił indywidualnych społeczeństwa i postępu w wielkim procesie dziejowym, przez który wszystkie państwa i narody przechodzą.” A dalej, według p. G., „choćby w danéм państwie, u góry jego ustroju były wielkie wolności, jeśli mieszkańcy są odsunięci zupełnie od rozpatrywania i urządzania własnych najbliższych potrzeb w ramach lokalnego związku, cecha ogółu mieszkańców wypadnie jak dla małoletnich, niedorosłych do publicznego życia i cywilizacyi” (str. 5).

Całe to rozumowanie na temat doniosłości samorządu gminnego wypowiedziane, nie zupełnie się zgadza z rzeczywistością. Nie wszystkie państwa cywilizowane wyrobiły u siebie samorząd gminny; nie wszystkie uznały potrzebę wyzucia się z pewnych atrybucyi na korzyść gmin, a jednak nie można im odmówić stanowiska państw cywilizowanych? Żeby nie szukać daleko, pozwolimy sobie powołać Francyą, która, jak to autor sam przytacza, a o czém przekonamy się niżej, bardzo powoli postępuje w kierunku rozwoju gminy.

Dotąd prawie panuje tam administracya centralistyczna; dotąd prawie, gminy bardzo niewielką grają tam rolę. A jednak, chyba Francyi nikt z grona państw cywilizowanych nie wykreśli. Nie uczynią tego nawet ci rozmaici sprawodawcy dzienników, co w dzi-

siejszém życiu parlamentarném Francyi widzą jeno zgniliznę i ostateczny upadek...

Co prawda, nie dziwimy się tak daleko idącym wywodom naszego autora. Ilekroć bowiem, w ostatnich czaszach wypadło nam zabrać się do odczytywania jakiéj bądź monografii z dziedziny społecznéj, zawsze spotykaliśmy się z faktem, że piszący przypisuje obranéj przez siebie kwestyi niepospolitą, nadzwyczajną doniosłość; w niéj upatruje probierz do mierzenia granic szczęśliwości ludzkiéj. I autor takiego, zrozumiałego zresztą, przejęcia się przedmiotem uniknąć nie zdołał, spawiedliwość każe jednak, nadmienić, że p. Górski zaraz na str. 7 odstępuje nieco od wyłuszczonego wyżéj założenia. Twierdzi bowiem, że samorząd, lokalny nie jest jedynym tylko warunkiem kultury ludów, składają się tu inne jeszcze czynniki, lecz zawsze cywilizacya zaszczepiona na gruncie samorządu gminnego najtrwalsze wydaje owoce.

Nieruchome olbrzymy azyatyckie, powiada, stoją bezwładnie, bez życia, dla tego, że tchnienia samorządu na wewnątrz nie mają. Wśród drobnych rybackich osad na północy, wyższy jest stopień cywilizacyi, niż w krajach podzwrotnikowych, gdzie ludność nie zna nawet pierwiastków ustroju gminnego.

Autor poetycznie nawet kréśli te swoje przykłady, stara się obrazowo myśli swe wyłożyć i uzasadnić. Lecz co prawda, pozwolilibyśmy sobie zapytać, jaki cel mają te określenia ogólne w sposób tak stanowczy wypowiedziane? Autor miał na celu wyłożyć samorząd gminny, jak go praktyka prawodawcza wytworzyła. Po co w obec tego było sięgać do pojęć apryorystycznych, zdań, które na razie nie mogły być należycie poparte? Piękne i plastycznie zestawione olbrzymy azyatyckie z drobnemi stosunkowo państwami europejskiemi. A jednak, to porównanie nie zupełnie z rzeczywistością liczyć się umiało.

Wszak i olbrzymy azyatyckie ruszać się poczęły. Wszak Japonia zadziwiające przedstawia zjawisko nadzwyczajnego postępu, a rospoczęła ona pracę nie od podstaw, nie od gminy, lecz od ogłoszenia konstytucyi z systemem reprezentacyjnym.

Przykład ten okazuje, jak zawodzą łatwo ogólne aksyomata, przybrane nawet w tak piękne szaty zewnętrzne.

Przechodząc do właściwego skreślenia dziejów prawa gminnego w dawnéj Polsce, autor się zastrzega, że nie miał zamiaru przedstawić rozwoju urządzeń osad miejskich i wiejskich u nas, że zresztą, w obec nie zgromadzonych dotąd wszystkich materyałów, nie czas jeszcze pisać taką historyę. Pomimo to p. Górski kréśli krótki szkic

urządzeń gminnych w dawnéj Polsce głównie dlatego, że przyczniły się one do ukształtowania obecnych stosunków gminnych w Galicyi. Przebiega też w krótkości te dzieje, począwszy od wieku XIII, zastanawia się nad rozpowszechnieniem prawa niemieckiego na gruncie wiejskim, nad stopniowem przeobrażeniem się tegoż w prawo rodzime, podnosi z kolei samoistność samorządu wiejskiego, któréj nie przeszkadza rozwijająca się nawet zależność włościanina od dziedzica.

W ciągu XV, XVI a nawet poczęści w XVII w. organizacya ustroju gminnego zachowuje pierwotny swój szeroki bardzo zakres.

Stopniowo pod wpływem rozszerzającéj się teoryi, iż państwo polskie to rzeczpospolita, w której obywatelem jest tylko szlachcic, ręka dziedzica zaciężyła nad włościanami i nad gminą.

Wiek XVIII to wiek, w którym samorząd wiejski coraz bardziej ku upadkowi się chyli.

Jednakże dzięki panowaniu zwyczaju, w niektórych okolicach państwa, jeszcze w epoce rozbiororowéj położenie włościan było bardzo dobre, a ustrój gminny zachowany widzimy do ostatka. Autor w tej mierze powołuje się na znaną i ogólnie cenioną monografię wsi Krainy prof. Ulanowskiego; kończąc przegląd historyczny, autor podnosi usiłowania wielkiego sejmu, który nie zdołał wszakże uchwalić nowego urządzenia stosunków włościańskich na szerokiéj podstawie swobód i wolności.

Po takiém ogólnikowém, kompilacyjném przedstawieniu stosunków gminnych w dawnéj Polsce, autor zastanawia się nad pytaniem, dla rozwiązania którego właśnie całą tę prace podjął, a mianowicie nad tém, jakie cechy mógł lud wiejski wynieść z dawnych instytucyi gminnych?

W tym celu p. Górski przypatruje się odrębnym właściwościom naszego ludu; do nich zalicza wielką poczciwość i dobroduszność, wysoki stopień inteligencyi, fantazyę i krewkość, wielką dozę dojrzałości, trzeźwości i rosądku, wreszcie tak zwany r o z u m c h ł o p s k i. Zdaniem autora, wszystkie te cechy, wyróżniające naszego chłopa, wyrobiły się dzięki szeroko rozwiniętemu samorządowi w dawnych czasach.

Jest to wpływ niezatartych wspomnień dawnéj przeszłości. W ludzie wiejskim przeważa, według p. G., dążenie do prostych i praktycznych rezultatów, posiada on poszanowanie dla władzy i poczucie potrzeby energicznego rządu. Wszystkie te zalety odróżniają nawet włościan naszych od klas wyższych, a zwiększa liczbę tych zalet nadzyczajna solidarność nazewnątrz.

Z drugiéj strony autor dopatrzył się wad u włościan galicyjskich a mianowicie braku bezinteresowności oraz wielką bierność.

Wszystkie te cechy znamienne charakteru ludu wiejskiego w Galicyi mają być wynikiem ustroju gminnego oraz stosunków włościańskich w dawnéj Polsce.

Trudno zapewne sprawdzić, o ile spostrzeżenia autora, subiektywne i indywidualne, zgodne są z rzeczywistością, brak po temu danych a zaprzeczanie panu G. miałoby téż same podstawy realne, co i twierdzenie, w przeciwnym idące kierunku. Bo też, wszelkie tego rodzaju wnioski w pracy naukowéj są nie na miejscu: wynajdywanie cech odrębnych u chłopa galicyjskiego dla wywodów autora potrzebném nie było. A trudno budować wnioski pozytywne oparte na podstawach tak kruchych, jak ogólne rozumowania. I tu pozwolimy sobie nadmienić, iż chyba zbyteczném było przedmiotu takiego dotykać, a dość było wyświetlić dzieje polskiej gminy, lecz, co prawda, należało to uczynić w obrazie pełniejszym.

Odpowié nam autor, że historya ta nie mogła mu dać materyał do wniosków o charakterze chłopa galicyjskiego. Zapewne że tak, lecz już nadmieniliśmy, że autor nie bardzo nas przekonał o łączności tych zauważonych przez siebie cech z dawnym samorządem, a powtóre, powtarzamy, iż bardziéj byłby pouczającym rozwój gminy polskiéj w XIX wieku, rozwój, któryby może więcéj nastręczył uwag przy zamierzonéj reformie gminy galicyjskiej niż nawet ustrój gminy w zachodniéj Europie.

P. Górski rozpoczyna przegląd prawodawstw zagranicznych od gminy francuskiéj.

Tu autor przebiega dzieje od czasów rewolucyi z r. 1789. Podnosi przedewstkiém, iż ustawa gminna francuska z r. 1789, była pierwszą i najsilniejszą reakcyą przeciwko centralizmowi władzy monarchicznéj. Prawodawca ówczesny zmierzał do stworzenia autonomii społecznéj: stąd téż cały zarząd spraw miejscowych oddano samorządowi gminnemu, a na jego czele postawiono mera i radę municypalną, wybieralnych przez samą gminę. Autor uznaje ustawę gminną z owéj epoki za rzecz wysoce nieudatną, upatruje główne jéj wady w rozciągnięciu mocy obowiązującéj téj saméj ustawy do miast i gmin oraz w nadaniu każdéj niemal osadzie charakteru osobnéj gminy administracyjnéj. Te dwie zasady, zdaniem p. G., zaciążyły szkodliwie nad swobodnym rozwojem autonomii lokalnej (str. 71).

P. G. notuje, jak niemożność wejścia w życie rzeczonéj ustawy wywołała jeszcze większą centralizacyę, jak konstytucye z r. 1793 i 1795 zniosły ustawę gminną z r. 1789, jak stopniowo po zamianie

gminy na prosty terytoryalny podział obszaru państwa zniesiono ją w następstwie i utworzono kanton.

Pamiętna konstytucya z d. 17 lutego 1800 r. (28 pluviose r. VIII) stanowi podwalinę organizacyi władz administracyjnych i gminnych we Francyi, która z małemi zmianami utrzymała się do obecnéj chwili.

Konstytucya ta wytworzyła zasadę, że sprawowanie władzy lokalnéj wykonywaném być winno w charakterze władzy centralnéj i w ścisłéj od niéj zależności.

P. G. słusznie zaznacza, że nawet ostatnia ustawa gminna z roku 1884 w zupełności przyjęła powyższą cechę charakterystyczną prawa z r. VIII. Zmiany w ciągu bieżącego wieku wprowadzone, dotyczyły raczéj sposobu mianowania władz komunalnych w r. 1831, a następnie w r. 1852 postanowioném zostało, że członkowie rad municypalnych są wybierani przez członków gminy, lecz mer-naczelnik gminy tak jak w r. 1800 nominowany był przez państwo a nawet jak głosi konstytucyja z r. 1852, z poza grona członków rady.

P. Górski zaznacza wślad za pisarzami francuskimi (jakimi?), że epoka cesarstwa był to okres czasu, kiedy najlepsi we Francyi urzędowali merowie i zarówno wsi jak miasta a zwłaszcza te ostatnie, nigdy przedtém, ani po tém, nie miały tak starannych, zdolnych, dbałych o rozwój i dobro gminy zarządców (str. 81).

Za obecnéj rzeczypospolitej, mianowicie w r. 1882, a następnie w r. 1884 uchwalono prawo, iż we wszystkich gminach rady municypalne wybierać mają ze swego łona merów. Autor z kolei przebiega obszerne atrybucye dzisiejszego mera oraz czynności rad municypalnych, a następnie, aby dokładnie wyświetlić stosunek gminy do władz wyższych, podaje krótki szkic organizacyi władz departamentowych, tak państwowych, jak i samorządnych.

Cały ten przegląd prowadzi autora do wniosku, że centralizacya, wprowdzona za czasów Napoleona, utrzymuje się do obecnéj chwili. Nie zachwiała jéj nowela gminna z r. 1884, pomimo wyłomu, jaki u samego spodu zrobiono, przez wprowadzenie obieralności merów. P. G. upatruje w tym centralizmie francuskim najsilniejsze filary obecnéj budowy państwa, jeno za najpoważniejszymi pisarzami, których zręsztą nie wymienia, twierdzi, że dzisiejsi merowie są o wiele gorsi niż dawniejsi, że nawet przeważają pomiedzy nimi nieudolni i niedbali.

Kończąc rozbiór systemu francuskiego, autor usiłuje wyświetlić znaczenie administracyi francuskiej, która posiada właściwość specyficzną, powstałą wyłącznie na gruncie francuskim.

Nie tu miejsce spierać się z autorem, czy istotnie wyłomy, jakie w organizacyi francuskiéj w ciągu ostatnich czasów zrobiono, wcale prawie nie podważyły centralistycznego ustroju z czasów Napoleońskich. Namby się zdawało, iż p. G. zbyt małe nadaje znaczenie owym komisyom departamentowym, istniejącym obok prefekta, iż nie właściwie może potępia wprowadzoną ostatnio wybieralność merów. „Chyba przeciwnie, tego rodzaju zmiany należy z radością powitać i tak we Francyi, jak i gdzieindziéj, w postępie samorządu widziéć zarodki lepszéj przyszłości. Z kolei autor przechodzi do rozpatrzenia urzędzeń angielskich i tu również podaje historyczny ich rozwój.

P. G. zaznacza różnorodność instytucyi angielskich, ich odmienność w różnych prowincyach, stąd téż sądzi, że nie szczegóły tych urzędzeń, lecz ogólny rys charakteru i zasad samorządu angielskiego mogą miéć znaczenie dla instytucyi autonomicznych różnych państw kontynentu.

Idąc za tak nakreślonym przez siebie programem, autor ocenia parafię oraz zgromadzenia parafian, zaznacza, jak stopniowo różne potrzeby wymagały zaspokojenia i wywołały tworzenie komisyi, podnosi doniosłość hrabstw, oraz urzędujących tam sędziów pokoju. Daléj wyszczególnia znane zresztą i przez rozmaitych pisarzów wyświetlone dodatnie strony tego ostatniego urzędu. Tu zwraca uwagę, jak sędzia pokoju, minowany przez koronę, stał się faktycznie przedstawicielem samorządu, jego wcieleniem; z kolei p. G. przechodzi do zaznaczenia środków, do jakich zaczęto się uciekać, aby podważyć władzę sędziów pokoju. Rozwój municypalności po miastach a zgromadzenia w sprawach pomocy ubóstwu w parafiach, oto wyłomy, które w dotychczasowym ustroju zrobiono.

Wzrastające potrzeby, wikłające się coraz bardziej stosunki sprawiły, że mianowanie nawet kilku sędziów pokoju w jednem mieście nie mogło być wystarczającém. Należało wytworzyć szereg samodzielnych instytucyi w miastach, a dążność ta znalazła swój wyraz w prawie dla gmin miejskich z r. 1835.

Utworzone w parafiach w r. 1818 ogólne zgromadzenia członków, opłacajacych podatek ubogich, okazały się, zdaniem p. G. bardzo niepraktycznemi. Następnie powstały przy nich rady administracyjne dla każdej parafii, złożone z 12—120 członków, które specyalnie zajmować się miały zarządem spraw lokalnych.

I ten wszakże organ nie odpowiedział oczekiwaniom: sędzia pokoju po dawnemu spełniał rozmaite zadania publiczne, a rady, nie mając żadnego kierownika, okazywały niedołęstwo oraz jałowość.

W roku 1834 wyszło prawo dozwalające na łączenie parafii w zbiorowe związki *(Unions)*, na czele których stoją reprezentacye związkowe *(board of guardians)*.

W roku 1871 utworzoném zostało biuro centralne do zarządu urzędów lokalnych *(Board of local government)*, które jest przełożoném nad wszystkiemi związkami.

Oprócz wymienionej reprezentacyi, istnieją jeszcze szeregi innych, specyalnych organów i komisyi, jako to komisye sanitarne, szkolne i t. p.

Wady, jakie nakreślony ustrój zarządu lokalnego posiadał, zniewoliły rząd angielski do przedstawienia bilu, aby całą organizacyę zjednoczyć w hrabstwie.

Bil, wniesiony w r. 1878, doczekał się przyjęcia dopiéro w r. 1888.

Hrabstwo otąd stało się podstawą administracyi a na jego czele postawiono radę, którą obdarzono bardzo rozległemi atrybucyami. Jednocześnie wszakże najrozmaitsze czynności oddano w ręce płatnych urzędników.

Pan Górski, w ślad za Gneistem, widzi w tém przeobrażeniu się samorządu angielskiego, dążność do coraz większéj centralizacyi; zbliżanie się do typu francuskiego. P. G. podnosi zalety dawnego systemu, a w nowożytnych reformach widzi upadek *selfgovernmentu*.

Rozdział IV książki obejmuje rzecz o systemie pruskim w czasach dawniejszych i nowszych. Pierwsze—to okres czasu od r. 1808 do r. 1872. Zaczyna tu p. G. od rozbioru sławnej ustawy Steina z r. 1808, który powierzył gminom wyłączny zarząd wszelkich spraw miejscowych, wzorując się w téj mierze na prawie francuskiém z r. 1789.

Pod tym jednak względem przeprowadzono tu różnicę w stosunku do Francyi, że nową ustawę zastosowano tylko do miast.

Głównym celem Steina było przeciągnięcie klas posiadających i wykształconych do służby osobistéj na rzecz państwa,

Jak wiadomo, Stein zamierzonych reform w czyn wprowadzić nie mógł. Następca jego Hardenberg, wielbiciel rewolucyi francuskiéj, oparł cały ustrój urządzeń wewnętrznch na zupełnej centralizacyi, w szczególności zaś na rewolucyjnym depotyzmie biurokracyi. (str. 168).

Po smierci Hardenberga ustrój wewnętrzny w Prussach przeobraził się w biurokratyczno-stanowy. Powoli posiadacze dóbr rycerskich wytrącili z rąk biurokracyi jéj dotychczasową wszechwładzę i sami wzięli na siebie zarząd spraw powiatowych.

P. G. jednocześnie omawia prawo gminne, obowiązujące w Księstwie Poznańskiém oraz w zachodnich prowincyach państwa prus-

skiego. Tu zaznacza, że w pierwszém rządziła stosunkami gminnemi ustawa z d. 23 Lutego 1809 r., wydana dla Księstwa Warszawskiego.

Ustawa ta, jak wiadomo, zbliżona do typu francuskiego, uczyniła pewne ustępstwa na rzecz stosunków miejscowych. Obok wójta, mianowanego przez prefekta, stali sołtysi, jako jego pomocnicy.

W r. 1823 obowiązki wójta oddano w ręce dziedzica obszaru dworskiego; w r. 1833 zaś odebrano dziedzicom władzę wójtowską, a oddano ją w ręce urzędnika, przez rząd mianowanego. Wreszcie w r. 1836 rozszerzone zostały okręgi, a wójci otrzymali nazwę komisarzy dystryktów.

Urządzenia francuskie utrzymane zostały w zachodnich prowincyach państwa pruskiego. Dopiero w r. 1841 wydano nową ustawę gminną dla Westfalii a w roku 1845 dla prowincyi nadreńskiéj.

Pierwsza powszechna ustawa dla wsi i miast wprowadzoną została w Prusach dopiéro w d. 31 stycznia 1850 r.

Ustawa ta nie uczyniła żadnéj różnicy między gminą miejską a wiejską, obu gminom nadała jednakową organizacyę i oparła ich zarząd wewnętrzny na posiadaniu kapitału. Ustawa ta nie wymagała ani zamieszkania w gminie do uzyskania gminnego obywatelstwa, ani nie ograniczała praw obywatelstwa gminnego do osób fizycznych.

Wreszcie na czele gminy stał zarząd zbiorowy, złożony z naczelnika gminy oraz asesorów czyli ławników.

W kilka lat po wprowadzeniu ustawy gminnej z r. 1850, podniosła się w Prusach reakcya. Rezultatem zmiany prądu było zastąpienie dotychczasowéj ustawy przez nową wydaną w r. 1856. Zmieniwszy ustrój gminy wiejskiéj, podporządkowała ona wszystko interesom własności ziemskiéj.

Przechodząc do rozbioru nowych urządzeń prusskich od r. 1872 p. G., najprzód wślad za Gneistem, streszcza nowe zasady organizacyi samorządu.

Tu przedewszystkiém autor, zwolenik mianowania przez państwo naczelników gminy, podnosi wprowadzony przez ustawę z r. 1872 ten sposób wyznaczenia kierowników gminy. P. G. zaznacza, jako fakt, że wyższość mianowania nad wyborem urzędników lokalnych udowodniona została w Prusach w ciągu lat 20. Zestawia w téj mierze Prusy z Francyą i dochodzi do przekonania, że ustawa z r. 1882, która wprowadziła wybory merów we Francyi, pogorszyła tamtejsze stosunki.

Na czémże, pyta autor, polega ta wyższość nominacyi nad wyborem?

Na kombinacyi dwóch czynników, opowiada, t. j. mianowania i bezpłatności urzędu. Mianowanie z jednej strony, a bezpłatność z drugiéj nadają urzędnikowi niezależność i samoistność.

Urzędnik wybrany—ogląda się na współobywateli, nie uważa siebie za powołanego do reprezentowania władzy; przeciwnie, naczelnik gminy mianowany ma to przekonanie, że stanowi cząstkę władzy państwowej, że, będąc jéj uosobieniem, winien w związku lokalnym należycie ją sprawować. Bezpłatność zaś stawia takiego urzędnika na stanowisku niezależném, nie obawia się on ani złożenia z urzędu, ani śledztwa dyscyplinarnego.

Wyrażając takie przekonie co do sposobu mianowania naczelników gmin, p. G. zastrzega się, że uznaje wyższość nominacyi nad wyborem wówczas tylko, gdy można ją z bezpłatnością urzędu połączyć.

Pomimo takiego zastrzeżenia, pozwolilibyśmy sobie uczynić znak zapytania, czy istotnie cała wypowiedziana w tej mierze przez p. G., opinia jest berwarunkowo słuszną?

Autor ma pod tym względem za sobą niezaprzeczoną powagę Gneista, lecz chyba nam sam autor nie zaprzeczy, iż ten uczony wszystkie swoje wnioski na instytucyach angielskich dawnego autoramentu opiéra, że ideałem dla niego są dawni sędziowie pokoju w Anglii, mianowani przez koronę i honorowo swe obowiązki sprawujący.

Gdyby jednak, nawet pomimo innych prądów w obecnéj Anglii, należało przyznać wyższość systematowi w téj chwili zanikającemu, to jeszcze instytucye angielskie są tak odrębne, tak przystosowane do właściwości historycznych kraju, iż budowanie na nich poglądów teoretycznych ogólnych, nie jest rzeczą zbyt bezpieczną.

W poparciu swego twierdzenia, nasz autor przytacza przykład Francyi, gdzie, jakoby, merowie wybierani gorsi są od poprzedników swoich, przez państwo mianowanych. Co prawda, to wnioski w téj mierze p. G. nie mają zbyt wielkiéj podstawy realnéj. A nadto, nie można pomijać tego niewątpliwego faktu, iż w życiu społeczno-państwowém, nie należy oceniać w sposób oderwany jednego zjawiska że każde pojedyńcze zjawisko pozostaje z konieczności w związku z całym szeregiem innych, że więc, wytłómaczyć go nie zawsze jest rzeczą łatwą. Może administracyjna zależność gminy od państwa we Francyi, może niewielki stosunkowo obręb działania pozostawiony gminie, jako takiéj, może to wszystko, powtarzamy, razem wzięte, obok innych objawów natury ogólniejszéj składa się na rezultat, dostrze-

żony przez autora we Francyi? Należało by dokładnie to wszystko zbadać, zanimby się dało stanowczo wypowiedzieć opinię, iż gmina nie powinna mieć wybranego przez siebie naczelnika, że nie ma miejsca na czele gminy dla męża, przez współobywateli powołanego. A już wcale nas nie przekonywa broniona przez p. G. zasada bezpłatności urzędu. Tam, gdzie potrzeba pracy dla ogółu, pracy, która odrywa od zajęć codziennych, która wymaga istotnego i prawdziwego poświęcenia, tam bezpłatność może być wyjątkowo tylko stosowaną. Inaczej, albo można będzie wyłącznie ludzi bogatych na stanowisko to powoływać, albo też urząd cały sprawowany będzie pomacoszemu. Jedno i drugie jest chyba niezbyt pożądane. Że urzędnicy wybieralni, ale płatni, mogą spełniać obowiązki swe, jak należy, na to mamy dowód w Królestwie Polskiém, sędziowie gminni służyć by powinni w téj mierze za przykład. A chyba urząd sędziego jest równie ważny, jeśli nie ważniejszy od naczelnika gminy.

Wypowiedziawszy się stanowczo w kierunku głoszonéj przez siebie zasady, p. G. dodaje, że całą nową organizacyę samorządu lokalnego w Prusach oparto na pełnienieniu osobistéj, przymusowej bezpłatnéj i honorowéj służby przez obywateli, przebiega téż organizacyę *Amtsbezir'ku*, powiatu, sejmiku, wydziału powiatowego, oraz obwodu z regencyą i prezesem. Wszędzie zaznacza istnienie naczelnika egzekutywy, mianowanego przez rząd i będącego zarazem kierownikiem zbiorowego ciała obradującego, wydającego orzeczenia i załatwiającego pewne czynności urzędowania.

Pan G. twierdzi, że organizacya instytucyi samorządu w Prusach stoi najwyżej ze wszystkich w całym świecie cywilizowanym, (str. 214) i że, jeśli spotykać się daje tu i owdzie narzekania na system pruski, to przyczyną tego nie są same zasady samorządu, lecz poboczne szczegóły budowy i całéj maszyneryi władz pruskich. Te tylko komplikacye są, wedle naszego autora, wadliwością instytucyj lokalnych w Prusach. Po za tém prawodawstwo pruskie rozwiązało szczęśliwie trzy najważniejsze warunki, od których wcielenie zasad samorządu w praktyce życia zależy, a mianowicie:

1) wprowadziło mianowanie naczelnika gminy przez państwo,

2) uorganizowało odpowiednio wybory reprezentacyi lokalnych,

3) połączyło w sposób właściwy urząd wykonawczy z reprezentacyą związku lokalnego (str. 220).

Na przeglądzie ustawodawstwa gminnego w Prusach kończy p. G. część pierwszą swojéj książki, część drugą stanowi austryackie prawo gminne.

Autor w téj części (mniejszéj zresztą) najprzód wypowiada uwagi ogólne, następnie zastanawia się nad urządzeniami z przed r. 1862 i wreszcie przechodzi do rozbioru ustawy gminnej z r. 1862.

W uwagach ogólnych p. G. omawia dwa ogólne okresy urządzeń gminnych w Austryi w bieżącem stuleciu, policyjny, aż do r. 1862, oraz autonomiczny, trwający od chwili ogłoszenia ostatniéj ustawy gminnéj. Zaznaczywszy, że ta nadała gminie bardzo obszerne przywileje, autor zwraca się do powszechnego, a zdaniem p. G., niewłaściwego pomieszania dwóch pojęć autonomii i samorządu.

Jak to już kilkakrotnie w ciągu rozbioru niniejszéj pracy podnieść zdołaliśmy, nasz autor lubuje się w pojęciach ogólnych. Tém tylko należy usprawiedliwić jego filipikę przeciwko identyfikowaniu dwóch powyższych terminów prawno-państwowych; być może, że jest to niezbyt właściwém, lecz chyba najtrafniéj wytłomaczyć je można względami gramatycznemi. Owóż w języku przymiotnik od wyrazu „samorząd" nie posiada jeszcze dostatecznego prawa obywatelstwa; stąd też nazywają powszechnie władze samorządu organami autonomicznemi. A choć inaczéj ujawnia się autonomiczny zarząd kraju np. całej Galicyi, inaczej zaś samorząd gminny, to bądź co bądź w gruncie rzeczy źródło będzie tu jednoż to samo; zawsze gra tu główną rolę owo przelanie na społeczeństwo władzy rządzenia.

Mówiąc o autonomii, p. G. niewłaściwie twierdzi, że Królestwo Polskie do r. 1864 posiadało autonomię wobec Cesarstwa Rosyjskiego, ściśle rzecz biorąc o autonomii mówić można tylko do r. 1830; gdy obowiązywała u nas ustawa zasadnicza z r. 1815.

Skończywszy z pojęciami ogólnemi, autor dodaje jeszcze, że instytucye gminne w Austryi rozwijały się całkiem inaczej, niż w innych państwach europejskich. Zapewne inaczej, bo ustawy austryackie posiadają pewne właściwości, nie istniejące w Europie zachodniej, lecz wbrew twierdzeniu autora, rozwijały się one także historycznie. Bo czyż ta okoliczność, że są one reakcyą przeciwko systemowi przedkonstytucyjnemu, nie dowodzi, iż tak jak gdzieindziej powstały one na gruncie miejscowym?

Czyż np. utworzenie wolnej gminy we Francyi w r. 1789 nie odbyło się w taki sam sposób jak z zorganizowanie gminy z r. 1862 w Austryi?

Zwracając się w rozdziale VI swej książki do urządzeń dawniejszych, p. G. przechodzi kolejno domninia, ich stanowisko w obec gmin, mandataryuszów, zastanawia się nad centralizacyą państwa, nad ustawą gminną z r. 1849, wreszcie nad patentem z r. 1851 i pierwszemi próbami organizacyi nowożytnéj gminy w Galicyi.

Odnośnie do dominium, słusznie podniesioną została nadmierna władza tegoż w stosunku do chłopów; zupełnie zasadnie zwrócono uwagę na to, że pominąwszy urządzenia administracyjne, oraz ingerencyę państwową równie daleko, jak na Zachodzie, władza jednocześnie utrzymała dawne średniowieczne stosunki patrymonialne. Obok najrozmaitszych funkcyi, ściąganie podatków oraz pobór rekruta należały do atrybucyi dominium, a z nich, zwłaszcza to pierwsze, przyczyniło się głównie do rozbratu między dworem a wsią.

Oczywistą jest rzeczą, iż tego rodzaju stosunki uwydatniły się w sposób najjaskrawszy w Galicyi, gdzie były wytworem, z zewnątrz narzuconym, gdzie obca biurokracya potęgowała niechęć chłopów do szlachty.

Różnorodność czynności, powierzonych dominium sprawiła, iż dziedzice utrzymywać musieli specyalnych urzędników, mandataryuszów, którzy ich w charakterze naczelników gmin zastępowali.

Mandataryusz stał się przedstawicielem władzy, a zależny materyalnie od dziedzica, jeszcze bardziéj podnosił nienawiść do dworu. Był w postępowaniu względem włościan bezwzględny, lecz natomiast dla władzy centralnéj stanowił instytucyę nader pożyteczną. Sprężystość przy wykonywaniu obowiązków, umiejętne spełnianie poleceń, były to zalety bardzo ważne; a obok tego nie należy pomijać, iż urzędnicy ci, płatni przez dwór, nic włościan nie kosztowali. Przy ocenie téj instytucyi autor nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia już kilkakrotnie w ciągu książki ogłoszonych uwag, jakie zdaniem jego powinny być właściwości władzy lokalnéj. Już z góry zamierza nas przygotować p. G. do wniosków, które zapewne w drugim tomie miejsce znajdą, a mianowicie, że teraźniejsza gmina galicyjska nie posiada odpowiednich urządzeń adminisracyjnych, zapewniających codzienne załatwianie spraw miejscowych.

Nie można, zdaniem autora, należycie zrozumiéć ówczesnych stosunków gminnych, nie oceniwszy instytucyi mandataryuszów łącznie z całym systemem administracyjnym. A ocena tego ostatniego prowadzi do rozbioru centralizacyi, biurokracyi oraz wszechwładzy ówczesnego państwa.

Jak wiadomo, do r. 1848 a właściwie do r. 1862, panowała w Austryi najściślejsza centralizacya, doprowadzona do ostateczności. Władze naczelne rządziły wszystkiém, autonomii miejscowéj nie pozostawiono nic. P. G. bardzo dokładnie tłómaczy, jak ta centralizacya, powstała na gruncie liberalnym za czasów Józefa II, w następstwie rozwinąć się musiała; zaznacza, że tak dążności konser-

watywne, jak i liberalne na zmianę systemu wpłynąć nie mogły, że biurokracya rozpostarła swe panowanie od najwyższych do najniższych szczebli, że wreszcie to odsuwanie społeczeństwa od rządu utrzymać się mogło w Austryi dłużéj niż gdzieindziéj, dlatego, że zapewniało ono wszechładzę żywiołowi niemieckiemu.

To określenie ówczesnych stosunków centralistycznych prowadzi autora znowu do wniosków ogólnych, znowu przeważną część rozdziału stanowią wywody na temat ujemnych stron centralizacyi oraz wszechwładzy państwa. Uwagi te są zapewne przeważnie słuszne; podnieść np. należy twierdzenie, że przy centralizacyi system rządzenia u dołu prześciga jeszcze system polityczny rządów u góry, oraz że różne sprawy, nie mające nic wspólnego z polityką, traktuje się wówczas ze stanowiska czysto politycznego (str. 275). Lecz znowu pytamy, czy trzeba było aż tyle miejsca (20 stron) poświęcać znanym tym zresztą uwagom? A obok tego, wszak autor miał tu pisać dzieje gminy austryackiéj, nie zaś teoretyczne wywody o centralizacyi i biurokracyi.

Z kolei autor przechodzi do rozbioru ustawy gminnéj z r. 1849. Jak wiadomo, ustawa ta w życie wprowadzona nie była. W d. 29 października 1849 zawieszono jéj wykonanie ze względu na stosunki polityczne.

P. G. podnosi téż jéj cechy charakterystyczne dla tego, że ogólnikowe hasła szerokiéj autonomii gminnéj, oraz wolnéj gminy starano się w następstwie znowu urzeczywistnić. Jako dzieło sejmu kromieryskiego, nosi ona na sobie ślady dążeń powrotu do dawnego gminowładztwa; teorya ta panowała wśród narodów słowiańskich, które dominującą grały rolę w sejmie.

Obok wygłoszenia zasady, że podwaliną wolnego państwa jest wolna gmina, ustawa podzieliła zakres działania na naturalny i poruczony. Ten sam rozdział istniał w gminie powiatowéj, t. j. w związku wszystkich gmin powiatu, oraz w gminie obwodowéj, którą składali reprezentanci gmin powiatowych. Autor słusznie zaznacza, że o ile istnieją potrzeby naturalne w gminie miejscowéj, to już o naturalnym zakresie czynności gmin powiatowych oraz obwodowych mówić jest trudno.—Zawsze to będą czynności, poruczone tym jednostkom przez państwo.

Reakcya centralistyczno-biurokratyczna panująca od r. 1851, zawiesiwszy wprowadzenie instytucyi gminnych z r. 1849, musiała oczywiście coś innego wprowadzić.

Patent z d. 31 grudnia 1851 r. nakréślił zasady urządzeń organicznych państwa (str. 294) austryackiego, a w stosunku do gmin ogło-

sił cały szereg przepisów zasadniczych. Tu należało wprowadzenie różnicy między miastem a wsią, możność wyłączenia dominium z okręgu gminy, skierowanie czynności głównie do własnego zakresu i t. p.

Patent ten wszakże wprowadzono do tych tylko krajów koronnych, które posiadały już ustawę gminną z roku 1849; stąd też w Galicyi dla niego miejsca nie było. Tu gmina nadal pozostawała w rękach mandataryuszów, z tą tylko różnicą, że ich nominacya należała do rządu oraz że płacę pobierali z kasy państwa.

Nowe urządzenie gminne w Galicyi wprowadzoném zostało w r. 1856 drogą nie prawa, lecz „prezydyalnego” rozporządzenia gubernialnego. To rozporządzenie administracyjne, wedle p. G. właściwie oparło się na edyktach Józefińskich z r. 1784. Autor twierdzi, że faktycznie do dziś dnia gmina galicyjska istnieje w myśl zasad z r. 1856 i że tylko nowa zewnętrzna budowa, ornamentacya nadaną jéj została przez obowiązującą obecnie ustawę. I wójt niepiśmienny i pisarz wszechwładny i drobna, bez środków do życia gmina, i obszar dworski, z gminy wyłączony, wszystko są to pozostałości z r. 1856.

Rozdział VII, ostatni tomu I, ma za przedmiot urządzenia obecne. Rzecz prosta, p. G. kreśli je tylko szkicowo, w zarysach, bo, jak się zdaje, tom II swojéj pracy poświęci szczegółowemu zbadaniu dzisiéjszych stosunków gminnych w Galicyi.

Autor zaczyna od zobrazowania głównych zasad ustawy ogólno-państwowéj z r. 1862, z któréj się w następstwie wyłoniły ustawy krajowe, a w ich liczbie galicyjska. Twierdzi, że ogłoszeniu powołanéj ustawy towarzyszyły następujące czynniki: 1) budząca się wśród stronnictw politycznych reakcya przeciwko dotychczasowemu biurokratyzmowi; 2) stanowisko ówczesnego rządu, z charakteru centralistycznego, który, gwoli utrzymania centralizacyi w ustroju państwowym, gotów był rozszerzyć autonomię związków lokalnych, i 3) ówczesne dążności naukowe, których celem było wyodrębnienie oraz podniesienie gminy z nadaniem jéj własnego zakresu działania.

W tém miejscu pozwolimy sobie zaznaczyć sprzeczność, jaką przy badaniu ustawy z r. 1862 u naszego autora zauważyć można.

Na str. 232 omawiając ustrój gminny w Austryi wogóle, między innemi powiada, że przy wytwarzaniu się instytucyi gminnych, nie miały wpływu dyskusye naukowe. Tymczasem obecnie, na str. 307, przyznaje teoryi znaczenie bardzo wydatne. Jeśli tę sprzeczność

podnosimy, to dla tego, aby ponownie zaznaczyć, jak ujemny wpływ na dociekania autora owe ogólne rozumowania wywarły. Mimowoli unosząc się nad niemi, naraził się słusznie zresztą, na zarzut niekonsekwencyi.

Wszystkie przytoczone czynniki, a przedewszystkiém jakaś chęć obrony społeczeństwa przed państwem, wprowadziły istniejący obecnie w Austryi dualizm.

Panujące w owéj epoce teorye naukowe doprowadziły do podziału czynności gminnych na własne, raczéj samoistne, oraz poruczone.

P. G. zaznacza jak to redaktorowie ustawy pragnęli wszystkie najważniejsze czynności administracyi lokalnéj podciągnąć pod własny zakres działania, jak daléj zawisłość i trudność redakcyi sprowadza ciągłe koalizye i t. p. Słusznie potępia p. G. ten podział w znaczeniu owego wyodrębnienia, który wprowadzić usiłowano, zupełnie zasadnie twierdzi, że w państwie konstytucyjném nie potrzeba się obawiać zamachów na autonomię gminy. Jak zresztą p. G. pojmuje tę ostatnią w życiu, o tém przekonamy się z tomu II, wstrzymujemy się na teraz, od wypowiedzenia naszego sądu w téj mierze.

Z kolei zaznacza autor, że ustawa z r. 1862 wprowadziła właściwie dwa czynniki samorządu: sejm oraz gminę i tym nadała przedewszystkiém rzeczywiste znaczenie. Wszelkie inne władze autonomiczne, wtłoczone między dwa te organy, nie mają już téj doniosłości, a nawet wydział krajowy został tylko pośrednio wskazany, jako nieustająca komisya wykonywająca orzeczenia sejmu.

Wobec oparcia autonomii na dwóch powyższych czynnikach oraz wprowadzenia dualizmu, należało wzajemnie określić stosunek władz państwowych i autonomicznych. P. G. podaje ciekawy nader przebieg dyskusyi w obu izbach, jaka wytworzenie ostatecznéj redakcyi prawa poprzedziła; daléj wytyka całą niewłaściwość istniejącego nadzoru państwa nad gminą, regestruje poszczególne stosowanie tego nadzoru do czynności samoistnych oraz poruczonych. Rzecz tę bardzo dosadnie przedstawił prof. Kasparek w rozprawie „Uwagi krytyczne o galicyjskiéj organizacyi gminnéj” r. 1881.

Zamykają tom I pracy p. G. wywody na temat głównego celu ustawy gminnéj. Autor zaznacza tu, że § 107, zezwalający na zarządzenie na koszt gminy środków zaradczych przeciwko nie-

dbalstwu gminy, daje państwu władzę ogromną. W gruncie jednak rzeczy, państwo prawie wcale się do samoistnéj działalności gminy nie miesza, nie chce nic z jéj autonomicznego charakteru uronić.

Oto treść pracy p. Górskiego.

W pojedyńczych kwestyach usiłowaliśmy wskazać niektóre wadliwości rozumowań autora. Ostateczny jednak sąd o studyum p. G. można będzie wydać dopiéro po ogłoszeniu 2-go tomu, którego z upragnieniem wyglądać będziemy.

Henryk Konic.



Krytyka impresyonistyczna.

(Hermann Bahr).

Są dwie przyczyny ogólne, obiektywne, po za osobistością autora leżące, dla których warto przyjrzéć się z blizka Hermanowi Bahr: jedna antropologiczna, druga społeczna. Zazwyczaj przypisujemy cechy umysłów i charakterów, związane z nazwą impresyonizmu, członkom rasy romańskiéj, specyalnie zaś francuskiéj. Jeszcze wszak Cezar wspomina o Gallach, jako byli weseli, lekkomyślni, w swych upodobaniach zmienni. Gdzież ciężkiemu, rozważnemu, brutalnemu i w téj brutalności systematycznemu Niemcowi do takich stanów ducha, które przeżywa Jules Lemaître i p.? Tymczasem pan Bahr jest impresyonistą i czuje się szczęśliwym, będąc nim. Jestto ciekawém, jeżeli cechy jednéj rasy znajdujemy u drugiéj. więc albo oscylacye międzyplemienne są tak silne, że się cechy zacierają, albo znowu spostrzeżenie etnopsychologiczne jest powierzchowne, albo wreszcie w grę wchodzą inne przyczyny. Gdzieżby te były, jeśli nie w dziedzinie społecznéj. Istotnie, jeżeli przyjrzymy się zbliska grupom czynników społecznych, śród których się rozwijamy, zauważymy że czasy nasze są zupełnie odpowiednie dla powstania w sztukach pięknych kierunków, noszących miano impresyonistycznych. Przyśpieszone tętno życia na wszystkich polach działalności ludzkiéj, szybka aż do błyskawiczności komunikacya, pozwalająca na powstanie aforyzmu, że „niemasz już odległości" —

to wszystko sprawia, że o wiele szybciéj reagujemy na zewnętrzne bodźce natury, że czujemy prędzéj, bardziéj nerwowo—ale porażenia te są krótkotrwałe, nie dajemy im „odleżéć się" i w polu świadomości naszéj pozostać. Jak w kalejdoskopie zmieniają się w oknie pociągu kolejowego widoki — i artysta odczuwa analogicznie to wszystko co odmalować zamierza, musi; nerwy działając ciągle, stają się być może subtelniejszemi, pozwalają odczuwać stany, których „zdrowi", zwolna, rzemiennym dyszlem podróżujący przodkowie nasi nie odczuwali — ale raz puszczone bez cugli, nie ustają w łaknieniu coraz to innych, coraz to nowych wzruszeń. Już to w tych sprawach wskutek tego trudno bardzo ustanowić granicę pomiędzy stanami zdrowia a stanami choroby. I tam gdzie artysta współczesny i jego przyjaciele mówią o subtelności obserwacyi, człek spokojny widzi już początki choroby poważnéj. Tyle tylko zamiast kilku słów wstępnych do recenzyi książki pana Bahra. Musimy zaprezentować jeszcze samego autora. Jestto człowiek bardzo jeszcze młody, pomimo wielu literackich i życiowych doświadczeń. Kiedy przed dziesięciu laty pracował w seminaryum ekonomicznem prof. Adolfa Wagnera w Berlinie, nikt nie przypuszczał, czém będzie za lat trzy, cztery. Wtedy zapowiadał się, jako pierwszorzędna siła ekonomiczna i Wagner dziś jeszcze wspomina z uwielbieniem o uczniu który tak genialnie umiał już wtedy wykazać Schäffle'mu beznadziejność jego argumentacyi i wystawić mu świadectwo wcale nie-bogactwa logicznego (Die Einsichtslosigkeit des Herrn Schäffle, 1886). Był to jednak pierwszy, a zarazem i ostatni krok w winnicy Wagnera. Już w następnym roku przedzierzga się Bahr w dramatopisarza, w krytyka literackiego, w beletrystę wreszcie za czas 1887 — 1894 wydał wraz z książką, którą mamy obecnie przed sobą czternaście tomów i tomików, o bardzo różnéj i różnie ocenianéj treści i wartości. W ostatnim wreszcie roku został redaktorem tygodnika *Die Zeit*, znakomicie redagowanego do współki z Kannerem i Singerem, który zgromadził zastępy całe współpracowników z całego inteligentnego świata —i dał się dobrze we znaki upadłemu już ministeryum koalicyjnemu. U nas pozostał dotychczas zupełnie nieznanym.

I.

Książka Bahra nosi tytuł: *Studien zur Kritik der Moderne*, pod którym widnieją dwa znamienne epigrafy, a z nich drugi jest pewnie dla autora najbardziéj charakterystycznym: „jedną tylko rzecz

przekładam nad piękno: zmienność." Jestto zdanie pana Maurycego Barrès'a, którego autor, poświęcając mu swą książkę, nazywa „*parfait magicien d'ironie morale.*" Kim jest Barrès, to wiedzą dobrze czytelnicy „Ateneum", którzy czytali piękne studyum pani Wojnarowskiéj o nim. Są to wobec tego bardzo charakterystyczne szczegóły, rzucające już z góry światło na niektóre upodobania autora naszego.

Tytuł orzeka, że pod jego etykietą płynie „modernizm"—zupełnie świeży, prawie że bulwarowy neologizm, mający oznaczać pewnie wszystko, co jest najnowsze, nie onegdajsze nawet (to zbrodnia), nie wczorajsze nawet (to *shocking*), ale dzisiejsze, dopiéro co wylęgłe, gdziekolwiekbądź, byleby nosiło jeszcze znaki fabryczne, byleby widać jeszcze było fastrygi. Autor szuka objawów tego „modernizmu" w krytyce, w literaturze, w malarstwie, w teatrze. Wszystko jest pisane bardzo lekko, niekiedy lekkomyślnie nawet. Ale są stronice bardzo dobre i ciekawe, jako symptomaty zwrotów pewnych w umyśle ludzkim, spostrzeżenia dowcipne, uwagi słuszne. Bahr czyni wogóle wrażenie skończonego *causeur'a*. W rozmowie przy czarnéj kawie musi być prawdziwie znakomitym. Szkoda jednak, że na książkę nie patrzymy, jak na poobiednią, chociażby inteligentną rozmowę. Wybierzemy oczywiście, co cenniejsze.

Bardzo dobrym np. jest zaraz wstępny szkic, zawierający *credo* krytyka. Autor zastanawia się tutaj nad ewolucyą, którą przeszła krytyka literacka, obecnie według obliczeń Bahra znajdująca się w trzeciéj fazie rozwoju. Była ona ongi dogmatyczną i było to wtedy, kiedy istniała jeszcze wiara filozoficzna w „absolut", w „wieczność", w „rozum", jako zasady bytu wszechświata. Cóż metafizyków obchodziła „rzeczywistość." Zmieniły się atoli czasy: zarzucono wreszcie konstruowania świata według wzorów z fantazyi czerpanych i bezustanne poprawianie rzeczywistości, zwrócono się raczéj do poznania tego co silniejsze, do zbadania przyczyn, dlaczego tak jest i być musi, a nie obowiązku świata, jakim być powinien. Krytyka krok za krokiem towarzyszyła tym zmianom w poglądach na świat. I jéj namiętnością stał się w téj drugiéj fazie „fakt", tak jak poprzednio była nią „idea." Odrzuciła wszelkie pochwały i wszelką naganę. Przestała sądzić, poczęła konstatować. Jak mówi Bahr: zajmowało ją tylko pytanie, czy jest kto gruszą albo jabłonią, ale nie, czy gruszka jest od jabłka smaczniejsza — na to nie miała żadnéj odpowiedzi. Zamiast kodeksów estetycznych Boileau albo Lessinga, przeszła do estetycznych dziejów naturalnych Sainte Beuve'a, Taine'a albo Brandesa. Ta sama krytyka w drugiéj fazie

stworzyła dwie grupy krytyków. Jedni brali dzieła artysty, porównywali je między sobą i wreszcie z ich rysów znamiennych wytwarzali fizyognomię autora. Szukali jego listów, jego świadectw szkolnych, wyznań jego krewnych i przyjaciół, łowili anegdoty. To była grupa biograficzno-psychologiczna, a jéj przywódcą—Sainte-Beuve. Inni nie troszczyli się tak usilnie o jednostkę, ogólna psychologia całéj epoki pobudzała ich ciekawość. Malarz i malarstwo samo przez się, literatura i literat sam dla siebie — to dla nich nic nie znaczyło: chcieli przywołać do życia całkowitą epokę: jaką była, jak czuła, czém była. Bourget nazwał tę grupę, *les histories de la vie morale* — a ich kapłanem był Taine. — Owóż Bahr sądzi, że i téj drugiéj fazy skończyło się już panowanie, że czas na trzecią. Są znamiona, mówi, że ta hegemonia realizmu wyśpiewała już swoją zwrotkę. Na nowo zaczyna po za nawałem faktyczności poruszać się człowiek. Podziw dla surowéj i nagiéj rzeczywistości rozwiewa się niby mgła w słońcu; przysłuchujemy się znowu życiu wewnętrznemu. Spływa na nas jak gdyby nowa wiosna romantyki [1]) — wszędzie budzą się na nowo pierwiastki wiary w szczęście, pierwiastki zagłuszane przez tyle lat. Ta wiara zapełnia wszystkie serca przedziwnym szmerem — a towarzysząca jéj tęsknota stwarza w atmosferze wiele światła, wiele barw czystych. Nie szukają już tego szczęścia w człowieku samym: próbowano już takich doświadczeń, ale świat nie ugiął się przed wolą człowieczą. Potém szukano go w świecie, w prawach natury, w prawach rzeczywistości, aby wedle ich nakazu zgiąć człowieka. Ale mimo chęci, pozostawał w nim zawsze jakiś osad niezadowolenia, jakieś nieokiełznane dążenie po za granice świata, co pętają człowieka, ku nierzeczywistości, która byłaby dopiero prawdą. W ten sposób chybiły oba doświadczenia, i Bahr sądzi, że pozostaje jedno jeszcze: przeciwstawić świat człowiekowi, niechaj uderzą jeden o drugi; rezultatem tego zetknięcia będzie sensacya, będzie wrażenie (*impression*). Tutaj nie było dotychczas doświadczeń. Tu pole jest otwarte. — Oto co charakteryzuje nową fazę ducha. Opuszcza on rzeczywistość; nie ma już naturalizmu. Nie cofa się atoli w głąb jaźni — nie odżyje stara romantyka w czystéj postaci. „Dąży jeno ku tym płynnym granicom, gdzie rzeczywistość, byt przechodzi w „ja", gdzie odbywa się proces przechodzenia rzeczywistości w myśl, gdzie nie jest on nazewnątrz, ale jeszcze nie jest wewnątrz jaźni." Krytyka odczuwa te powiewy i podąży za niemi.

---

[1]) Por. z tém zdaniem kilka cennych stronic przedmowy do trzeciego wydania dra Chmielowskiego „Zarysu najnowszéj literatury."

Nie zarzuci ona zdobytych w drugiéj fazie rozwoju swego właściwości, metod, aparatu. Te pozostać mogą takiemi, jakiemi są obecnie. Jak dawniéj, będzie badać artystów: zrozumié ich nerwy, ich zmysły, ich całkowitą naturę. Ale jeżeli dawniéj czyniła to ze względu na artystę, czynić to będzie obecnie dla siebie saméj. To dążenie do szczęścia, ten epikureizm i ona w granicach swego panowania postara się ziścić. Obecnie dążyć będzie tylko do własnych rozkoszy. Jules Lemaître podał za rys znamienny młodego pokolenia „poszukiwanie pedantyczne rzadkich wrażeń.” Sadizm, Exotyzm, Bibelotyzm ostatnich miesięcy literatury (francuskiéj) — oto są objawy téj manii wrażeniowości (*folie sensationniste*). „Ale ciasny świat wyczerpał się prędko i przeżuto już nieobfitą karm, którą ofiarować można było zmysłom. Dla starych nerwów i zmysłów nie znajdujemy już nowych podrażnień; czy nie sprobujemy do starych podrażnień stosować nowych nerwów i nowych zmysłów. Potrawy zmienić nie jesteśmy już w stanie, czybyśmy nie zmienili naszego smaku?”

Oto kanon wiary pana Bahra. „Zmieniać się. Codziennie przemieniać swoje nerwy, tak, iż toż samo życie odnawia się każdodziennie na innéj planecie. Dzisiaj przebywać z Poëm w zagadkach niebytu, nad przepaściami obłąkania, pośród tańców okrutnych szkieletowych—syczących demonów, a jutro zanurzyć się w rosie porannéj wiosny Liliencrona: iść z nim po świeżo zoranéj skibie. Codziennie być innym, innym z pośród mocarzy, a, że zdobyliśmy to istnienie nie w drodze łaski natury, ale dzięki sztuce i wytrwaniu, — więc być takim świadomie, w wyraźném poczuciu zmienności własnéj.”

II.

Szkice o dekadentyzmie, o symbolikach, o satanizmie, nie przedstawiają nic wartościowego. Wszystkie te literackie przysmaki znane są czytelnikom naszym z tylokrotnych na tém miejscu sprawozdań, że pominąć je możemy bez straty. Następny szereg artykułów poświęcił autor „najmłodszym” dzieciom literatury pięknéj, temu rodzajowi, który nazywamy ogólném mianem „Najmłodsze Niemcy“, „Najmłodsza Francya“ i t. d. Bardzo ładnie np. opisuje autor powstanie tych ostatnich kierunków. Pokolenie, które je stworzyło, zaczęło, jak zwykle, od przewrotów. Tylko, że Bahr nie rozumié, kogo mianowicie trzeba było detronizować, „literatury“ bowiem w Niemczech nie było. Nowe myśli nie znajdowały żadnych

wrogów. Młodzież była im oddana *comme de raison*, i śród naszego pokolenia wielu było takich, którzy już oddawna pragnęli odrodzenia w państwie sztuki.

Przypuśćmy jednak, mówi Bahr, że należało rzucić Ossę sztuki na Pelion piękna, że należało odegrać rolę nowoczesnych tytanów. Wobec tego zamiaru najnaturalniejszą rzeczą do celu wiodącą było — tworzyć: w ciszy i cierpliwie wykazać w pracy, jak to najmłodsze pokolenie na świat patrzy, jak kocha, jak nienawidzi, jakie są jego nadzieje. Tego niestety nie uczyniono. Wszędzie odzywały się głosy o potrzebie nowéj poezyi, alić nigdzie nie było poety. I rezultatem tego smutnego stanu było to tylko, że obietnice brano za gotowe już rezultaty — że w każdéj kawiarni albo przyzwoitéj chociażby piwiarni rozgrywały się te same zawsze sceny, te same żywe obrazy „wielkich przyszłych“, „zbawicieli“— którzy, po zdaniu zaledwie matury ofiarują swemu narodowi nieśmiertelne dzieła sztuki.

Był to czas, kiedy każdy, kto tylko odczuwał jakiekolwiek życzenia literackie — uważał za konieczne ogłosić (zawsze w szumnych wyrazach) szczegółowy program i nie zapominał nigdy dodać własnéj biografii, ani téż spisu dzieł, które wydać zamierza. Był to czas, kiedy co tydzień prawie rodziły się nowe czasopisma — to o mdłozielonych, to znów o szkarłatnych okładkach i każde zawsze przynosiło narodowi co najmniéj mesyaszową proklamacyę. Był to czas, kiedy każdy, kto liczył więcéj niż lat 20, był uważany za „staruszka literackiego“ i otrzymywał emeryturę od najmłodszych, którzy istotnie byli liliputami nietylko z wieku i wzrostu — ale z duszy i myśli, tylko nie z bezczelności i arogancyi. Bahr sądzi, że ten czas już minął.

III.

Pan Bahr sam próbował określić, czém jest; w szeregu „najmłodszéj Austryi“ nieważnéj zresztą i nie wiele wykazującéj talentów, umieścił i swoją charakterystykę. Ta charakterystyka wydaje nam się bardzo ładną. Pan Bahr sam nie wié dzisiaj, czy będzie z niego kiedyś artysta. „Być może, że będę z czasem znakomitym, dzisiaj wiem tylko, że jestem nieporządnym talentem. Mówią o mnie wiele, więcéj aniżeli o kim innym z pośród młodych. Rzecz dziwna atoli, jak to czynią. Nawet nieprzyjaciele mówią dużo o moich zdolnościach, ale i przyjaciele nawet nie mówią o moich dziełach. Nikt nie wątpi o mnie, ale wszyscy pytają: cóż więc można czytać z jego prac? Muszę wyznać, że sam zadaję sobie często takie pytanie. Nie

mam dotychczas książki, w któréj, jak to inni czynią, byłbym ja cały. Czém można objaśnić tę problematyczność, tę wątpliwość mojéj sztuki? Możnaby sądzić, że piszę rzeczy o wielkich i niedościgłych pragnieniach, nie mając środków po temu. Nieprawda. Nie dążę ku niebiosom. Szukam przeciwnie drobnych uczuć, niepewnych ruchów w nerwach, delikatnych nut, które się prędko zacierają. Możnaby przeciwnie zarzucić mi, że nie zajmują mię wielkie pytania czasu, że nie porywają mnie walki ludzkości. Wreszcie nieudolność techniczna nie jest moją słabą stroną.

„Albo możnaby przypuścić, że nie mam w sobie czynników artyzmu. Zdarza się, że pisarz posiada i namiętność uczuć i entuzyazmu wiele, i techniką zawładnął w zupełności. Że brak mu tylko jakiejś ostatniéj i niewypowiedzianéj reszty, która dopiero mówiąca, koronuje wielkiego artystę. Lessing jest tego przykładem. Sądzę jednak, że moje sprawy nie należą do téj dziedziny. Są innego zupełnie rodzaju. Można krytykować moje myśli, zarzucając im, że nie są głębokie. Można wątpić o uczuciach moich, które chętnie i ironicznie nie wierzą w siebie same. Ale już nie sposób odmówić im znamienia „sztuki" prawdziwéj, która jest w każdém zdaniu, w każdém porównaniu, w rzadkich odcieniach, i w szukaniu tych subtelnych odcieni. Możnaby je obwinić, że często estetyzmowi przynoszą w ofiérze moralność, że myślę tylko o sobie, o swojém szczęściu, bez względu na obyczajność, na treść, na smak.

„Możnaby wreszcie przypuścić, że nie znaczę sam przez się, ale tylko dzięki wpływom, jakie wywierają moje postaci na innych, jako agitator, jak wysłaniec nowéj sztuki, miałbym być w takim razie jednym z proroków i męczenników za jakieś nowe formy literackie, nowe prawa sztuki. Najmędrsi właśnie z pośród tych, którzy się mną zajmują, uważają mnie za agenta nowéj szkoły, za komiwojażera nowéj mody. Początkowo miał być tą nową szkołą naturalizm, a kiedy ujrzano, że ja i z puharu symbolizmu spijam wonne wino, uznano mnie za zdrajcę. Nie zrozumiano atoli, że można być Don Juanem wszystkich form estetycznych, który każdéj kosztuje— ale każdą porzuci. Omylono się jednak: ja nie agituję w obronie techniki.

„Zdaje się, że omylili się wszyscy. Nie jestem „człowiekiem po-jutrza", ani „filozofem modernizmu", ani „człowiekiem żyjącym w temperaturze dnia jutrzejszego" jak mnie nazwano. Ci wszyscy krytycy nie potrafili odróżnić istotnéj twarzy od maski. Pozy, które lubię, aby durzyć moje otoczenie „*épater les bourgeois*" jak mówią w *Quartier Latin*", które przybieram z próżności, albo z chęci rekla-

mowania siebie, przyjęli oni za wyraz istotny mojéj fizyonomii. Zapomnieli również, że nie jestem takim jak inni, że nie stawiam swéj istoty duchowéj na jednéj nucie, że w moich dziełach bynajmniéj nie staram się, jak to czynią inni, usunąć się od wszelkich wpływów, być samodzielnym i wolnym. Mnie pożera pragnienie wielu nut, różnych wrażeń, ciągłego ruchu i ciągłéj zmiany; nie chcę ich zgłębiać i zobaczyć co na dnie ich spoczywa, ale chciałbym ogarnąć je wszystkie w przestrzeni naszego czasu. Wskutek tego nie będę miał nigdy szkoły, ani zastępu oddanych czcicieli. Mogę się jednak pocieszyć przekonaniem, że pomiędzy Wołgą a Loarą, od Tamizy aż do Gwadalkwiwiru nic nie bywa dzisiaj odczuwaném, i przemyśloném, czegobym nie zrozumiał, czegobym nie potrafił zanalizować, i że dusza europejska nie ma dla mnie tajemnic.

Pan Bahr stwierdza wreszcie, że nie wielu jest takich, którzyby to o sobie powiedzićć mogli „Maurice Barrès, mój drogi mistrz, jest na ich czele". Żywią oni nadzieję, że ich coraz liczniejsza gmina stworzy powoli nową rasę, naród europejczyków, który parafianizm narodowościowy przekształci w charakter czysto ludzki. Wtedy dopiéro można będzie zobaczyć, jak wyraźne ślady téj przyszłości złożył on (pan Bahr) w swych książkach a jego zasługa „przeczucia" byłaby wielką. Jest jednak o tyle rozsądnym i przewidującym, że przypuszcza tę także ewentualność, iż to tylko garstka dziwaków kołacze się ze swemi nerwowemi marami nocnemi po nocy literatury. Wtedy znowu uznanoby go za zbyt rozczochrany umysł. Tak oto zawisł (w swém własném mniemaniu) pomiędzy nadzieją i trwogą, zupełnie zależny od powodzenia innych, tych mianowicie, z którymi skuł swe losy literackie. Cóż mu pozostać może ponad cierpliwe oczekiwanie przyszłości i jéj wyroków?

Pozostawimy go w téj, niekoniecznie wygodnéj pozycyi, nieco niepewnéj, może także nieco fantastycznéj, w któréj zresztą czuć się zdaje wcale nieźle. Wobec tego nawet do współczucia naszego nie ma on prawa. Jest tylko i jedynie ciekawym dla nas, jako objaw ruchu literackiego dnia wczorajszego i dzisiejszego, jako *specimen* entomologiczne z rodzaju tych efemerów o pstrokatych skrzydełkach, które wydać nam się mogą ładnemi, kiedy jesteśmy bardzo zdenerwowani, albo bardzo niespokojni, niezadowoleni, ale które nikomu nigdy żadnego pożytku nie przynoszą.

Kończąc tę notatkę, nie możemy sobie odmówić przyjemności prawdziwéj wypisania z omawianéj książki kilkunastu wyrazów. Cytowany przez pana Bahra, nieznany nam zresztą krytyk hiszpański

Clarin mówi: „Jesteśmy perypatetykami, jeno że bez filozofii. Arystoteles filozofował przechadzając się i my przechadzamy się, nie filozofując. Jestto jedyna różnica pomiędzy naszą Hiszpanią a Grecyą starożytną“ [1]). Zamiast „Hiszpanii“ możnaby dowolnie wstawić inną nazwę, inne imię. Nie zabrakłoby, to pewna, kandydatów ani w dzielnicy geografii, ani w atlasie antropologii.

Zen. Por.



1) „En fin, somos unos filosofos peripateticos, sin filosofia. Aristoteles meditaba paseando, nos ostros paseamos sin meditar: esa es la unica differencia entre, este España y a quella Grecia.“

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Mikołaja Reja z Nagłowic „Zwierzyniec“, 1562. Wydał Dr. Wilhelm Bruchnalski. (Biblioteka Pisarzów Polskich). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności, 1895. Str. XVII i 348.

Trzecie to z kolei dzieło Reja, wydane przez Akademię krakowską: w roku 1889 ukazał się „Żywot Józefa", w roku 1892 „Krótka rozprawa między trzema osobami", — obadwa utwory w wydaniu p. Romana Zawilińskiego. Obecnie mamy przed sobą „Zwierzyniec", wydany przez Dra Bruchnalskiego. Wydanie to należy, naszém zdaniem, do najlepszych, jakie weszły dotychczas w skład „Biblioteki pisarzów polskich." Wydawca zna i rozumié gruntownie język polski XVI wieku, przedruku więc z oryginału dokonał w sposób umiejętny i ściśle naukowy. Podstawą przedruku jest pierwsze wydanie „Zwierzyńca" z roku 1562, jako ogłoszone za życia autora; wszystkie zaś dodatki i odmiany, jakie zawiera w sobie wydanie drugie (z r. 1574), zamieścił Bruchnalski oddzielnie; tamże znajdujemy „Rejestr albo sprawę do prędkiego a rychłego znalezienia" z odsyłaczami cyfrowemi, zmienionemi odpowiednio do paginacyi nowego wydania. Różnice językowe pomiędzy edycyą pierwszą a drugą, są bardzo nieznaczne; i te wszelako z godną podziwu pilnością i dokładnością zanotował wydawca w przypiskach do tekstu. W kilku miejscach znalazł p. Bruchnalski omyłki w oryginale (str. 73, 139, 157, 220), sprostował je więc w tekście, który poza tém jest wiernym przedrukiem oryginału. Sprostowania te są trafne, z wyjątkiem jednego w epigramacie: „Kokcius" cesarz (str. 73) w oryginale czytamy:

To był tak miłosierny, żadnego nie skarał,
Lecz komu się zachować, tym sie zawżdy parał.

W przedruku wyrazy komu sie zachować, całkiem niepotrzebnie zmienione są na kto mu sie zachował. Zachować się komu, znaczy tyle, co przysłużyć się komu; myśl więc Reja jest ta, że cesarz Kokcius był tak ludzki, iż myślał zawsze o tém, aby się komu przysłużyć; tymczasem, jeżeli będziemy czytać kto mu sie zachował, myśl stanie się niejasną, nie chodzi bowiem o to, że ludzie przysługiwali się cesarzowi, lecz że cesarz—ludziom. Natomiast w epigramacie pod tytułem „Bernat Pretwic, starosta trebowelski" (str. 159), zamiast Katony („I Katony tatarskie, chociaj go nie znają, wspomniawszy zbite męże, snadź o nim śpiewają"), należy czytać *kaduny;* wyraz to turecki, oznaczający żony, kobiety, panie domu, a istniejący w języku serbskim.

Dodany przy końcu wydania słowniczek imion własnych, wyrazów i zwrotów, dziś nie używanych lub mających inne znaczenie, należy uzupełnić:

Str. 10. Dziękuje ubogi z bedł, nasz panie prywacie; dziękuję z bedł (lub za bedły) = dziękuję ci, schowaj to dla siebie; porów. Knapski, Adagia: dziękujęć za bedłek, mam doma dość rydzów (Linde).

Str. 62, 63: żadny = brzydki, szpetny (często używane).

Str. 68: żywić = darować życie.

Str. 132: wsrokoczywy — prawdopodobnie zamiast srokoczywy w pokrewieństwie z srokosz, srokacz, t. j. *koń* srokaty. Konie srokate bywają zazwyczaj krępe, lecz liche; przy takiéj interpretacyi wiersz szósty w epigramacie na Stadnickich, stanie się całkiem zrozumiałym, trzeba tylko opuścić przecinek po wyrazie lichy:

Tych przodkowie w swych cnotach by anieli byli.
Aleć i potomkowie iście nie zelżyli.
Lecz tam patrz miedzy nimi gdzieś co namniejszego,
Najdziesz wnet więtszy rozum, niż pana samego.
Ale co nam po wzroście, kiedy umysł żywy:
A pospolicie lichy bywa wsrokoczywy;
Silnać też wół bestya, a nie wielki wilczek,
A wżdy, kędy rozkaże, musi skakać byczek.

Do przedruku dołączył p. Bruchnalski obszerną przedmowę, w któréj słusznie podnosi wartość „Zwierzyńca", nazywając go „bardzo ważnym zabytkiem literatury XVI wieku." Zupełnie słusznêm jest również zdanie, że w dziele tém jest Rej najmniéj eklektykiem, że tu

najwięcéj samodzielności okazuje. W dalszym ciągu uzupełnia wydawca wykaz źródeł pierwszéj i czwartéj części „Zwierzyńca”, podanych w rozprawie niżéj podpisanego („Ateneum”, 1893. Tom III, str. 98, nast. i 288), wskazując jeszcze, jako na źródła, na „Illustrium exemplorum compendium” Waleryusza Maksyma, oraz na „Apophtegmata” Lykostenesa. Ze swéj strony dodajemy, że niektóre anegdoty historyczne Rej mógł wyczytać w rozpowszechnioném w Polsce dziełku Jana Gasta „Sermones convivales”; tak np. powiastka o „Szkanderbeku epirockim” znajduje się, jeśli nas pamięć nie zawodzi, w trzeciéj księdze Gasta.

Co do części drugiéj, przekonywająco dowodzi p. Bruchnalski (wbrew zapatrywaniu autora wyżéj wspomnianéj rozprawy), że niepodobna epigramatom na rody polskie odmówić charakteru panegirycznego, że w swych wierszykach Rej tych przedewszystkiém wychwala, od których doznał w swém życiu jakiego dobrodziejstwa, z którymi był w stosunkach bądź przyjaźni, bądź pokrewieństwa, którzy wreszcie podzielali jego przekonania i dążności religijne. Natomiast złośliwie wyraża się o ludziach z innego obozu, jak np. o Kościeleckich (str. 115: „lecz by téż stryjaszkowi pilnie godzić trzeba, by nie zbardział, bo czasem pisze się i z nieba”), którzy uchodzili w kraju za bardzo gorliwych katolików (ob. Wierzbowski, Uchański, str. 170). Do samego Reja możnaby tu zastosować słowa, które wygłasza o swych rodakach wogóle:

Lecz mali się prawda rzec, sami to kazimy,
Iż prze marne pochlebstwo prawdy nie mówimy (str. 129).

Jeden to dowód więcéj, że panegiryzm nie jest cechą wyłącznie XVII stulecia.

Na zakończenie korzystamy ze sposobności, aby sprostować swe mylne zdanie, wypowiedziane w rozprawie o „Zwierzyńcu” (str. 301), że Rej, wyliczając w części czwartéj „doczesne roskoszy ziemskie”, fałszywie powołuje się na Marcyalisa, mając raczéj Horacego na myśli. Owszem, Marcyalis w saméj rzeczy wylicza kilka tych samych „roskoszy” co Rej:

Me *focus* et nigros non indignantia fumos
Tecta iuvant et fons vivus et herba rudis.
Sit mihi verna satur, sit non doctissima *coniunx*,
Sit nox cum somno, sit sine lite dies.
(Epigr. II, 90; podobnież V, 20; X, 96).

Ob. także dziełko Otomara Lusciniusa „Seria iocique”, które mogło nie być Rejowi obce (wyszło w r. 1529), str. 114: „Laudat inter

caeteras humanae vitae felicitates *Martialis* focum perennem, qui id praestat, ut libere tuo ingenio frui possis, nec alieno ex praescripto vivere."

J. Chrzanowski.

T. Colani. „Essais de Critique historique, philosophique et littéraire." Paris, 1895. T. I, 318 str.

Nasz czytający ogół często się spotyka w pismach z imionami takich współczesnych krytyków francuskich, jak: J. Lemaître, A. France, F. Brunetière, E. Faguet i t. p.; a i dawniejsi przedstawiciele krytyki literackiéj we Francyi, — tacy wielcy jéj pionierowie i prawodawcy, jak: Villemain, D. Nisard, Sainte-Beuve, H. Taine i im podobni, — znani mu są nieźle. — Notatka niniejsza zapozna go jeszcze z jednym wybitnym umysłem krytycznym Francyi współczesnéj, — mało jednak znanym, nietylko szerszemu kołu czytelników, lecz i ludziom fachowym.

Autor powyżéj wymienionych „Szkiców" krytycznych nie żyje już oddawna; dzisiaj dopiéro jednak — po siedmiu latach — ręka przyjaciela zebrała w niewielką całość kilka prac jego, — treści ogólniejszéj, mogącéj interesować niespecyalistów. — Ze zbiorku powyższego można tylko wnosić o ogólném uzdolnieniu krytyczném Colani'ego, — cała zaś istotna wartość jego, jako krytyka, pozostanie dla oka szerszego ogółu ukrytą — objawiała się bowiem w sferze mało mu dostępnéj. Colani był z zawodu—pastorem, a z wykształcenia—teologiem; wypadło mu więc głównie talent swój krytyczny hartować w ogniu kontrowersyi teologicznych i sporów religijnych. Znawcy utrzymują, że, jako analityk dokumentów religijnych, odznaczał się niezwykłą przenikliwością i trafnym sądem.

Musiała praca Colaniego na tém polu miéć niepoślednią doniosłość, jeżeli specyaliści nazywają go: „dostarczycielem najpoważniejszych materyałów" dla Historyi początków chrześciaństwa Renan'a, a wydawane przezeń, wspólnie z innym znakomitym krytykiem E. Scherer'em, pismo: *La Revue de Théologie* zaliczają do wydawnictw tak doniosłych dla protestantyzmu, jak była Encyklopedya D'Alembert'a, Diderot'a i t. p. dla filozofii XVIII-go stulecia.

Autor przedmowy do książki Colani'ego — p. Reinach, jest zdania, że nic tak nie sprzyja rozwojowi zmysłu krytycznego, jak studya teologiczne; przytacza on przykłady takich krytyków, jak: Sainte-Beuve, Scherer a nawet Brunetière, którzy studyom tym mają zawdzię-

czać wiele ze swéj biegłości w krytyce literackiéj. Poglądu powyższego nie możemy potwierdzać, ani téż mu przeczyć; nie potrzeba jednak miéć odpowiednich kwalifikacyi, by zgodzić się ze zdaniem: że ścisła egzegeza dokumentów religijnych rozwija zdolności krytyczne; przedewszystkiém uczy ona posiłkowania się ścisłą metodą — ta zaś i w krytyce literackiéj oddaje wielkie usługi.

„Szkice" krytyczne Colani'ego odznaczają się właśnie wielką dokładnością badania przedmiotu krytykowanego i ścisłością wywodów, nadewszystko jednak jakąś dzielnością i energią w wypowiadaniu sądów, oraz wyraźnością przekonań autora. W naszych czasach niezdecydowania i połowicznych opinii, kiedy najlepsze umysły i wybitne zdolności hołdują pyrronizmowi, zalecając „zawieszanie" sądów i powstrzymywanie się od wypowiadania ich w formie skończonéj i wyraźnéj, — jest rzeczą wprost dobroczynną dla myśli zetknąć się z czémś zupełnie różném od tego dyletantyzmu, co to — podług słów francuskiego powieściopisarza — „przechodzi wciąż od jednéj formy życia do coraz to innéj, nie zatrzymując się i nie oddając się żadnéj." Krytycy francuscy przyzwyczaili nas: albo do subtelnych, wieloznacznych wywodów, prowadzących najczęściéj do Montaigne'owskiego: *que sais-je?* — albo — do ciasnych formułek doktrynerskich, pokazujących tyle świata, ile go można przez jedno okno ujrzéć.

Colani należy do innego zupełnie typu krytyków; jest to krytyk-publicysta, lubiący bronić przekonań swych przy każdéj sposobności, szukający w przedmiotach krytyki tego, co przekonaniom tym przeczy, lub je potwierdza; przytém występujący w ich obronie, zawsze z tym ogniem i zapałem, które o szczerości wyznawanych idei najchlubniéj świadczą.

W omawianych „Szkicach" broni on zasad swoich z najrozmaitszych powodów: polityka, historya, religia, tak dobrze jak literatura piękna, dostarczają mu wciąż pretekstów—i to wszędzie jednakowych: na to trzeba jedności poglądów i ukochania ich.

Chodzi nam głównie o „szkice" poświęcone sprawom literackim, więc téż na nie zwracamy odrazu uwagę czytelnika. Pierwszy—otwierający książkę — przedstawia nam twórcę filozofii eklektycznéj — V. Cousin'a, w świetle sądów wydanych o nim, przez jego współczesnych. Na téj podstawie opiéra Colani własny pogląd na myśliciela tego, który, przez długi czas sterował filozofią francuską.

Colani w zapatrywaniach swych na Cousin'a, nie różni się zasadniczo od Sainte-Beuve'a i Taine'a, którzy, na kilkanaście lat przed nim, starali się wstrząsnąć powagą kwiecistego profesora i wykazać całą jałowość jego oślepiającéj frazeologii. Tylko Colani rozprawia

się szczerzéj z tém wszystkiém, niż S. Beuve i nie zatrzymuje się wyłącznie na doktrynie filozoficznéj Cousin'a — jak Taine. — Zajrzyjmy np. do artykułu S. Beuve'a, poświęconego charakterystyce działalności Cousin'a (*Causeries de Lundi*, t. VI, str. 120); ileż tam znajdziemy słodkich słówek podnoszących zasługi, ustępującego z katedry profesora, — ile kadzideł na jego cześć, po rozwianiu się których, pozostają słowa subtelnéj i zjadliwéj ironii, odsłaniającéj za jednym zamachem, niezgłębioną nicość tego, co się poprzednio wywyższało. Po złożeniu hołdu pracy i zdolnościom Cousin'a, znakomity krytyk formułuje ostateczny sąd swój o nim, mówiąc, że kiedyś na popiersiu filozofa można będzie taki napis wyryć: „Chciał on założyć wielką szkołę filozofii i kochał panią de Longueville.” (*loc. cit.* str. 131). Trudno, zdaje się, o bardziéj nielitościwe wyszydzenie usiłowań Cousin'a i o obrócenie jego zasług w farsę? Nie zapominajmy, że sąd przytoczony zakończa pochwały i żale S.-B., z powodu usunięcia się Cousin'a z widowni szerszéj działalności. Sainte-Beuve zaczął od urzędowych, nieszczerych grzeczności i uniesień, a potém jedném ukłóciem przeszył śmiertelnie swoją ofiarę. Colani nie bawi się w żadne konwenanse, zmierza prostą drogą do celu i bez obłudy zdanie swe wypowiada.

Współcześni nazywali Cousin'a rozmaicie: „małpą zabawną” (Stapfer), Arlekinem (Quinet), sroką (Merimée) i t. p. Colani obawia się, by podobne miana nie uświęciły niesprawiedliwości, rzucając cień na tę stronę człowieka, która nie była pozbawioną wartości. Dla niego tą przyćmioną stroną Cousin'a, była jego cudowna bystrość myśli i siła, z jaką ją wyrażał, co czyniło zeń jednego z pierwszorzędnych mówców naszego wieku. Nazywa Colani Cousin'a: „potężnym improwizatorem, który zrobił z siebie robotnika mozajki.” „Wszystko w dziele jego—dodaje—jest fałszywém i śmieszném, ale nosi na sobie pieczęć jakiegoś wielkiego stylu teatralnego.” To przynajmniéj jest jasne i uczciwe: nie zwodzi nikogo udaną słodyczą i o stanowisku zajmowaném przez krytyka świadczy niedwuznacznie. Colani wszędzie jest tak sumiennym i otwartym w formułowaniu swych sądów i przekonań.

W „szkicu” o Sainte-Beuve'ie obadwa powyższe przymioty występują jeszcze wyraźniéj; tu także możemy podziwiać jeszcze jedną cnotę krytyka: odwagę w mówieniu prawdy i ganieniu tych, dla których ma się szacunek i uznanie, — jeżeli na to zasłużyli. Oto próbka téj śmiałości. Sainte-Beuve nazajutrz po napoleońskim zamachu stanu, napisał zjadliwy artykuł p. t. „Żale” (*Les Regrets*. — „Causeries du Lundi” t. VI, str. 325), wyszydzający—metodą stosowaną do Cousin'a—pretensye i utyskiwania tych, których rząd ostatniego cesarstwa usunął

od władzy. Colani, bez ogródki, powiada, że napisanie podobnego artykułu było nietylko okrucieństwem, lecz i podłością zarazem, a to z powodu stosunków, jakie łączyły S. Beuve'a z republikanami i jego własnych przekonań. Nie każdy ośmieliłby się powiedzieć coś podobnego o człowieku, któremu przyznaje wielką prawość charakteru i bezinteresowność wyznawanych przekonań.

Szkic o autorze Historyi Port-Royalu skupia dużo faktów charakteryzujących doskonale go, jako pisarza i człowieka. Ktoby się spodziewał np., że znakomity ten umysł, wspierany nieugiętą wolą, która pozwoliła mu dokonać olbrzymiego dzieła literackiego (przeszło 60 tomów krytyk) psychicznie był spokrewnionym z tém pokoleniem, które znużoną duszę swą streściło w poezyach Lamartine'a i w typach takich, jak: *Adolphe* — B. Constant'a i t. p.; że i jego protoplastą był, znudzony i uskarżający się na niemoc twórczą, Réné. — A jednak tak było! — i to nietylko w tym czasie, kiedy, jako *Joseph Delorme*, pisał pełne melancholii poezye, lub w powieści: *Volupté* wypowiadał swe żale i tęsknoty, — lecz i późniéj, a nawet poniekąd — przez całe życie. Jednakże n u d a S. Beuve'a nie była „szarym owocem” „drętwéj nieciekawości.” Owszem, obudzała ona w nim chciwość wiedzy i była nieustannym bodźcem w pracy. Colani powiada, że S.-B. zrozumiał, iż w nieustannym wysiłku spoczywa jego zbawienie.

Temu mężnemu poddaniu siebie samego surowéj pracy, zawdzięcza piśmiennictwo francuskie najwspanialszy swój pomnik krytyczny. Jednak ta nuda, ta „przedwczesna starość” — jak ją nazywał S.-B. — nie przeszła — zdaniem Colani'ego — bez zgubnych wpływów na moralność autorską S. Beuve'a. Sprawiała ona to, iż wślizgiwał się on na wszelkie pola i mniemał, że w cudzéj skórze będzie mu lepiéj, — jak się dobitnie wyraża Colani. Był on ze wszystkimi i — z nikim. Nienasycona ciekawość pchała go w rozmaitych kierunkach: ku doktrynerom konstytucyonalizmu i republikanom z *National'a;* do Saint-Simonistów i katolików światowych (*mondain*) — do jansenizmu i kalwinizmu; przystawał na rozmaite formy rządu i różne prądy umysłowe. Stąd chwiejność jego opinii i jakby obawa konkludowania.

Brakowało mu — kończy Colani — tego przymiotu, jaki nas robi szczęśliwymi, — brakowało mu radości człowieka, którego istnienie ma cel,—radości bojownika, który cierpi za jakąś sprawę i myśli o jéj tryumfie, słowem téj, co daje nam siły. — Odbiło się to na krytykach S. Beuve'a: nie mają one przekonań — podług Colani'ego — chociaż są szczere; nikogo one nie natchnęły i, co ważniejsza, niczemu nie przeszkodziły (*rien empêché*).

Jesteśmy w stanie, powyższéj opinii Colani'ego, przeciwstawić własną, — gdyż znajdujemy się jeszcze pod wrażeniem świeżo odczytanych prac Sainte-Beuve'a. W istocie świadczą one o tém, że autor ich wciąż był zajęty poszukiwaniem coraz to innych przedmiotów, by nienasyconą ciekawość umysłu swego zaspokoić, — że zwracał się w tym celu, do różnych źródeł wrażeń. Znać tam wielkie rozproszenie uwagi i rozrzucenie swéj działalności na taką olbrzymią przestrzeń, że można podejrzewać S. B. o to, iż obawiał się ujrzéć jéj kres. Ale znać tam także, wielkie umiłowanie tych przedmiotów chwilowego zaprzątnięcia się własnego i poszukiwanie ich, dla ich wartości: co usuwa przypuszczenie — obojętności względem nich. Słusznym jest zarzut chwiejności sądów i małéj wyraźności przekonań S. B.; nie jest to jednak — wystrzeganie się i obawa stanowczego zdania, lecz raczéj, wielka subtelność w ich wypowiadaniu i rozmiłowanie się w odcieniach. A jak umiał być stanowczym S. B. w wypowiadaniu swych opinii i jak jasno formułował swe przekonania, gdy trzeba było, i nie dbał o następstwa tego, — przekonać się można po przejrzeniu takich artykułów, jak: o Jouffroy i Mickiewiczu („Premiers Lundis" t. II), o Cervantes'ie i H. Taine'ie („Nouveaux Lundis" t. VIII), o Littré'm („N. L." t. V) i t. p.... Co więcéj—pomimo tę jego niestałość i przechodzenie pozorne z obozu do obozu, prace jego od najwcześniejszych do ostatnich, przeniknięte są zawsze jednakowym duchem i jednym celom wciąż służą. H. Taine trafnie zauważył (*Derniers Essais de Critique et d'Histoire*), mówiąc o tém, co Colani nazywa: wciskaniem się S. B. na obce pola, — że wszystkie jego chwiejności i przeniewierstwa są rzeczą znikomą i że poza tém stoi, to co się zostanie i przetrwa długie czasy. Wówczas zobaczą, że chociaż S. B. miał rozmaite zobowiązania, służył jednak zawsze jednemu panu, a tym był: umysł ludzki. Do tego dodać możemy jeszcze: zdrowy rozsądek i ludzkość, którym niemniéj służył wytrwale S. B. (o jego wyznaniach w téj mierze znajdujemy niemało w studyach o H. Taine'ie, o Guizot'cie, Renan'ie i t. p.). S. Beuve za wiele rzeczy naraz obejmował, dużo przedmiotów ukochał, — a to częstokroć takie sprawiało wrażenie, jakby on nie był zdolen przywiązać się do żadnego silnie i na czas dłuższy.

Szczerość Colani'ego i nieoszczędzanie nawet przyjaciół, przechodzi w zjadliwą werwę ironiczną, wszędzie tam, gdzie bywa on dotkniętym w swych najdroższych przekonaniach i wierzeniach. Gryzącém szyderstwem obrzuca on H. Taine'a za poglądy jego na wypadki z lat 1789—1800 wyrażone w „Początkach Francyi współczesnéj." Jako szczery republikanin i współpracownik Gambetty w dziele utwierdzenia rządu świeżo powstałéj po klęsce sedańskiéj Rzpltéj,—uczuł on

gorąco niesprawiedliwość i jednostronność wielu poglądów Taine'owskich na wielki przełom w życiu państwowém Francyi, jaki się na schyłku ubiegłego stulecia zdarzył. Słusznie zarzuca on Taine'owi, że przełom ów składa się dla niego z samych zbrodni i głupstw i że po za niemi, nic większego i donioślejszego nie potrafił on dojrzéć. Nazywa on Taine'a zbieraczem drobiazgów odszukanych w kilkunastu pakietach archiwalnych, historykiem — katalogującym rzetelnie i skwapliwie wszelkie wstrętne szczególiki, wszystkie, bez wyboru śmiesznostki i fakty komiczne, — które zupełnie przykryły mu wielkie sceny i widoki tragicznych walk dziejowych. (Nie zastanawiamy się dłużéj nad wywodami Colani'ego i całą ich słusznością, odsyłając czytelnika do tego, cośmy w tym samym przedmiocie sami wyrazili w artykule o H. Taine'ie, umieszczonym w tegorocznych №№ 84 i 94 „Gazety Warszawskiéj").

Czém Taine jest w historyi, tém samém jest E. Zola — podług Colani'ego — w powieści. Lepszéj krytyki techniki powieściopisarskiéj E. Zoli i wogóle jego twórczości, od téj, jakiéj dokonał Colani w jednym ze swoich szkiców,—nie znamy. Można się na nią w wielu miejscach nie zgodzić, ale dobrą będzie ona, pomimo to, dlatego, że każdy swój zarzut opiera na dowodach i ścisłém motywowaniu, — i nie jest wynikiem żadnego uprzedzenia i niechęci, względem kierunku reprezentowanego przez Zolę. Nigdzie u Colani'ego nie znajdziemy mowy o tém np., że Zola jest „nieszczęściem" swego narodu, lub coś podobnie uciesznego, — z czém często u nas spotkać się można. Z podziwu godną biegłością wykazuje Colani liczne wykroczenia Zoli przeciwko realizmowi w sztuce powieściopisarskiéj, którego rzecznikiem on się mieni. Zalicza Colani także i Zolę do tych katalogujących wciąż zbieraczy najniklejszych faktów, zestawiających je późniéj mechanicznie niemal—w przeładowane nimi—obrazy,—nieożywione tchnieniem prawdy i pozbawione barw świeżych. I Zola — jak Taine — po za masą drzew nie widzi lasu. Dużo i w tym poglądzie Colani'ego niezaprzeczonéj prawdy, ale i jemu moglibyśmy zarzucić, że i on tą samą wadą wzroku grzeszy i poza gąszczem leśnym, nie spostrzega całych krajobrazów leśnych i malowniczych całości. W powieściach Zoli, chyba nie brak obszernych uogólnień i rozległych widoków!

Z politycznych „szkiców" Colaniego, doskonałemi są te, w których charakteryzuje działalność takich postaci, jak Napoleon III, ks. Bismarck i Wilhelm I. Pięknem bardzo i pouczającém jest studyum o Biblii i artykuł p. t. „La Religion Nouvelle", w którym potępia rozmaite współczesne sposoby odradzania słabnącéj wiary, jak również niektóre dzisiejsze prądy religijności świeckiéj. Nic słuszniejszego

nad ustęp następujący, dosadnie charakteryzujący to wszystko: „Bóstwo wielbione przez tłumy pielgrzymów (należy pod tém rozumiéć wszelkich dzisiejszych nawracających się i neofitów) — nie jest tym Bogiem, który ustanowił prawo moralne, co karze i wynagradza każdego podług zasług; to także nie ten Bóg, który umarł za grzechy nasze i w miejscu nieubłaganéj sprawiedliwości, postawił łaskę. To jest Bóg-Przypadek, t. j. bóg sceptyków bezwzględnych, tak dobrze wrogów nauki, jak i dogmatów,—umysłów, które nie mają dość wiary, by zgodzić się z tém, że sprawy ludzkie poddane są tak samo, jak natura, ścisłym prawom! Dzisiejsze dekadencye mistyczne, kokietujące Boga — nie innemu bóstwu stawiają ołtarze!

Wszystkie krytyki Colani'ego natchnione są podobnym duchem: wszędzie odsłaniają nam siłę i szlachetność przekonań ich autora. Czytanie podobnych rzeczy—powtarzamy jeszcze raz na zakończenie—jest dobroczynném: wyrywa nas ono z toni chwiejnych wierzeń i sądów niekompletnych i stawia na stałym gruncie przekonań niedwuznacznych, ogrzanych silną wiarą w ich wielkość. Strzeże nadto od dźwięków syrenich, tych istot niepewnych w zdaniu i bujających, o jakich twórca „przedświtu" powiadał, iż „są sługami wszelkich kształtów, ale panem — żadnego."

J. A. Błonowski.

Histoire de l'Autriche-Hongrie, par Louis Leger. (Quatrième édition, Paris, Hachette, 1895).

Niełatwém zadaniem jest ujęcie w całokształt dziejów monarchii Austro-Węgierskiéj dziś, gdy historya kraju nie ogranicza się, jak dawniéj, do historyi panujących. Austrya nie będąc jednością plemienną jak np. Francya, ani jednością geograficzną jak Włochy, lecz zlepkiem różnych narodów, z których nie jeden miał wybitny samoistny byt w przeszłości, już przez to samo tworzy pierwszą trudność dla historyka.

Uwzględniając narodowość i indywidualność, należałoby opowiadać dzieje każdéj takiéj indywidualności narodowéj, co tę sprowadza niedogodność, że trzeba albo rozszerzyć dzieło na liczne tomy, albo je ograniczyć do suchéj nomenklatury w jednym. Rzecz w obu razach niepożądana, bo dzieło historyczne ma i pożytek na celu, to jest: poznajomienie jak największéj liczby czytelników z traktowanym przedmiotem. Nazbyt obszerny zakres straszy profana; oschły—odstręcza. Scylla i Charybda swego rodzaju.

Autor wybrał inną, najracyonalniejszą drogę.

Odrzuciwszy znane powszechnie wypadki z panowania domu Habsburskiego w Niemczech oraz innych krajach leżących po za obrębem dzisiejszego państwa, nie rozdrabiając opowiadania na poszczególne relacye z przeszłości każdego kraju i kraiku wchodzącego w skład monarchii Austro-Węgierskiéj, zajmuje się tém co jest podwaliną obecną jéj budowy; więc pod względem etnograficznym: ludy Słowiańskie, Węgierski, Niemiecki; pod względem historycznym: dawne posiadłości domu Habsburskiego (Górna i Dolna Austrya, Styrya, Karyntya, Karniola, Gorycya, Gradyszcze, Tyroli część Istryi), królestwa: Czeskie i Węgierskie. A tak na trzy części rozdzieliwszy składowy element monarchii, zaznacza właściwości każdego i bada jakie każdy z nich pozostawił po sobie ślady w urobieniu się organizmu politycznego, który się dziś Austro-Węgrami nazywa.

„Jak niszczący huragan ludy germańskie przebiegały kolejno te ziemie nie założywszy państwa, nie stworzywszy cywilizacyi; zniszczyły tylko kulturę rzymską i posunęły się na południe „tam gdzie cytryny kwitną"; zaledwo kilka okolic jak górzysty Tyrol, Salzburg i Górna Austrya zatrzymały ich. Awarowie możeby zdołali cośkolwiek stworzyć, lecz za Germanami postępowała ważna migracya Słowian, nowe życie wnosząc w nadłabiańskie i naddunajskie strony".

Ale jeśli Niemcy zajmują orężnie kraje dawniéj zdobyte przez Rzymian i narzucają im swoje panowanie, to Słowianie pokojowo osiedlają się w opuszczonych przez nich ziemiach.

Odrębném w sposobie a przeważającém w skutkach jest najście Madiarów, wyćwiczonych w wojskowéj karności, silnych, zahartowanych na chłód i na głód, walczących pieszo i konno, władajacych z jednaką zręcznością mieczem, łukiem, włócznią, którzy w liczbie 216,000 ludzi zdolnych do służby wojskowéj, wkroczyli przy schyłku dziewiątego stulecia w zajmowane przez się dziś jeszcze ziemie.

Palacky powiada bez ogródki, że najście Węgrów „jest największém nieszczęściem, jakiego doznało plemie nasze. Od Holsztynu do Peloponezu rozciągały się ludy Słowiańskie, mało z sobą złączone, różnego obyczaju ale czynne i przygotowane do przyjęcia oświaty. Za staraniem Świętopełka już się zaczynał tworzyć zawiązek, który, pod wpływem Bizantyńskim, mógł stworzyć na wschodzie państwo Słowiańskie, podobnie jak na zachodzie, pod wpływem Latynizmu, utworzyła się monarchia Franków i losy wschodniéj Europy byłyby całkiem inne. Wtargnięcie Madiarów w łono nowo powstającego organizmu zniszczyło wszystkie te nadzieje."

Co każda z trzech narodowości przyniosła do wspólnéj skarbnicy dzisiejszéj monarchii?

Słowianie „zajmowali pierwotnie małą część" Austro-Węgierskiego państwa. Urządzenia ich ówczesne były patryarchalne; rodzina skupiała się koło starszego, który radził o potrzebach gminy i składał ofiary bogom. Plemie—to jest złączenie kilku lub kilkunastu rodzin—brało imie swego założyciela. Naczelnik plemienia łączył w swéj osobie atrybucye władzy kapłańskiéj, wojskowéj i sądowniczéj. „Zdaje się że zamiłowanie wolności przemagało u Słowian nad poczuciem władzy i porządku." Urządzenia ich nosiły cechę demokratyczną, a ślady tego, co się późniéj w Polsce zwało *liberum veto*, to jest jednozgodność w radzie, odnajdują się i tu u nich. W pierwotnéj dobie kobiéty mogły sprawować rządy, i zdaje się że wówczas prawo pierworodztwa nie miało swego późniejszego znaczenia. Kobiéta używała wielkiego poszanowania a wielożeństwo, acz u pogan „było wyjątkowém." Zdaje się, że wendeta taka, jaka się dziś jeszcze praktykuje na Korsyce i w Czarnogórzu, miała w pierwotnéj Słowiańszczyznie moc prawa.

Nie zaborcy, lecz w potrzebie waleczni, przeważnie, lecz nie wyłącznie, zajmując się rolnictwem, wprowadzają żywioł spokojny, ziemiański, demokratyczny, obok wojowniczego, zaborczego, karnego, lecz porywczego i dumnego, jaki przeważa w Madiarach. Słowianin miękką swą naturą przyrastał do gleby, Madiar wojowniczego i koczowniczego usposobienia potrzebował dłuższego czasu i religii do okiełznania swéj natury i przyjęcia cywilizacyi.

Urządzenia społeczne Madiarów, bardzo elementarne w owéj dobie, były raczéj wojenne niżli polityczne. „Władza najwyższego naczelnika nie uznawała żadnego innego ograniczenia jak względną autonomię plemion." Naczelnik bywał obieralnym — obieralność tę potwierdzało zgromadzenie wszystkich zwierzchników plemion i licznie zebranych ludzi wolnych.

Wszyscy członkowie jednego plemienia uważali się za braci, wszyscy byli wolnymi i szlachtą. Jest to więc jakoby element rdzennie arystokratyczny obok demokratycznego słowiańskiego.

Czesi, do niedawna najwybitniejsi przedstawiciele Słowian w Austryi, już w początkach swego istnienia politycznego praktykowali teoryę, że „władza pochodzi od ludu." Wybierali swych książąt, a nadto przydawali im radę złożoną z naczelników rodzin, naczelników plemion i przedstawicieli miast wolnych. Za Przemyśliczów zbierały się sejmy, do których wchodzili książęta krwi i wyżsi dygnitarze kościelni. Władza tych sejmów tak wzrasta od XII wieku, że odmawiają nie-

raz swym książętom to podatków to poborów, pierwsze jednak wiarogodne dokumenty tyczące się wzajemnych stosunków panującego i sejmów są z 1310 r. — Szlachta powstawała z naczelników plemion i z urzędników mianowanych przez książąt, urabiając się pod wpływem feudalnych idei niemieckich, bo żywioł germański napływał do kraju i, jak kąkol w zbożu, przytłumiał rodzime ziarno.

Błędném jednak jest rozpowszechnione dziś mniemanie, jakoby wpływ Niemców był przeważającym w państwowych losach i kierunkach (*L'Autriche considérée comme un Etat Allemand est une véritable mystification*). Jakkolwiek liczbę ich do 8 milionów podnieść można, nie tworzą oni masy zbitéj, wyjąwszy w Górnéj i Dolnéj Austryi oraz Salzburgu, „w innych zaś prowincyach cesarstwa składają nieznaczne grupy, kolonie bez żadnych praw wyłącznych (wyjąwszy Sasów osiadłych w Siedmiogrodzie), których wpływ ogranicza się do osobistéj wartości, albo do tego, jaki jest przywiązanym do ich języka, powszechnie znanego, i do pewnych tradycyi politycznych."

W ten sposób zaznaczywszy plan i poglądy swoje, przystępuje autor do treściwéj opowieści dziejów Austro-Węgier, które doprowadza do dni naszych. Z ciekawością się czyta jeden z pierwszych rozdziałów, zatytułowany: *Les origines du groupe autrichien*, w którym całkiem niespodziewane znajdują się wiadomości o ówczesnych instytucyach; np. liberalne prawo dla Żydów, którzy w 1200 r. posiadają synagogę w Wiedniu, czyli zupełną wolność sumienia, i trudnią się biciem monety „*avec le titre de comtes de la chambre*." Niemniéj zasługuje na uwagę następujący przepis: Gdyby znaleziono u Izraelity rzecz skradzioną, a on pod przysięgą twierdził, że ją kupił, nie będzie odpowiedzialnym sądowo, tylko odda przedmiot za otrzymaniem zwrotu zapłaconéj zań sumy. Liberalne te instytucye za Babenbergów sprzyjały pomyślności krajowéj; kronikarz opowiada, że kraj posiada obfitość zboża, owoców, wina, trzód, zwierzyny, ryb i wybornego chleba, a Dunaj upiększa go i przynosi a roznosi wszystko, czego mu potrzeba.

Dzieło zamyka się sprawozdaniem o organizacyi wewnętrznéj państwa z dodatkiem statystycznych wiadomości, które autor tak tu, jak w innych swych pracach, kontrolując ze znajomością rzeczy, nie daje się uwieść pseudo-erudycyą pism tendencyjnych.

To sprawozdanie oraz omówienie najnowszéj doby, doprowadzono do 1894 r. (z dołączeniem sześciu mapek) zajmujące i konieczne zdaniem naszém w każdém dziele tego rodzaju, kończy autor bardzo posępną uwagą:

„Bezwątpienia dawna Austrya Franciszka I i Metternicha, już nie istnieje, ale głuche burze wrą jeszcze w jéj łonie; niezdolna do prowadzenia polityki niezawisłéj, pozostaje ona na łasce strasznych sąsiadów, którzy jéj narzucają swe przymierze zanim oderwą jaki szmat jéj ziemi... Ktokolwiek zostanie następcą w przyszłości, mniéj lub więcéj odległéj, po Franciszku-Józefie, będzie miał przed sobą trudne zadanie... Bez jakichś nieprzewidzianych okoliczności, sytuacya państwa niezmiernie krytyczna budzi tylko najpoważniejsze obawy w tych, którzy istnienie wielkiego mocarstwa naddunajskiego uważają za potrzebne dla równowagi Europy."

Jak było potrzebném jasne a treściwe przedstawienie dziejów monarchii austro-węgierskiéj, jak jest niezbędném omawianie na pozór elementarnych wiadomości, przekona następujący szczegół:

Niezbyt dawno (bogdaj czy nie około 1889 r.), Praga ofiarowała pewne swoje oficyalne wydawnictwa jednemu uczonemu francuskiemu kołu. Prezes owego uczonego koła w nader uprzejmym liście z podziękowaniem, ubolewał, że nie posiadając języka węgierskiego (!), nie może przeczytać otrzymanych dzieł!...

Książka prof. Leger doznała uprzejmego przyjęcia nietylko u ziomków, czego dowodem czwarta onéj edycya, ale i u obcych. Znany historyk angielski Freeman, kazał dokonać przekładu pod swym kierunkiem. Rzeczywiście, jeśli kto we Francyi mógł dziś sprostać temu zadaniu, to tylko prof. Ludwik Leger. Zwiedziwszy kraje, których dzieje opowiada, znając nadto wszystkie słowiańskie języki, mógł czerpać wiadomości z pierwszéj ręki, sprostować lub zbić błędy, rozsiewane przez złą wolę jednych, płochą nieświadomość drugich.

Litawor.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Homer*. **Odysseja**. Przekład Lucyana Siemieńskiego. Wydanie nowe. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1895, str. 524. Odysseja i u nas zaczyna się popularyzować. Dotychczas mieliśmy trzy jéj wydania w przekładzie Siemieńskiego: jedno pięknie ilustrowane, drugie w „Bibliotece najcelniejszych utworów," nakładem S. Lewentala wychodzącéj, trzecie w zbiorowym wydaniu „Dzieł" Siemieńskiego. Obecnie świeżo ukazało się czwarte wydanie miniaturowe, kieszonkowe, drobnym, ale wyraźnym drukiem, na pięknym papierze za cenę rs. 1 kop. 20. Można je wygodnie brać z sobą na przechadzkę czy wycieczkę i rozkoszować się pięknościami poezyi, liczącéj długi szereg wieków a mimo to wciąż zajmującéj, bo opartéj na najprostszych ale i najgłębszych motywach życia ludzkiego. Przekład Siemieńskiego, cokolwiek krytyka fachowa zarzucić mu może, ma tę wielką zaletę, że daje się czytać bez najmniejszego utrudzenia, że jest jasny, gładki, potoczysty i że wpadając w ton swobodnéj gawędy, oswaja czytelnika jaknajswobodniéj ze światem mitów i stosunków życia starogreckiego. Prawda, że ton ten niekiedy zanadto jest rubaszny, ale wada taka wobec licznych zalet musi być pobłażliwie wytykana; całość uznać wypada za udatną i ku upowszechnieniu epopei starohelleńskiéj najodpowiedniejszą.

— **Prosna**, *jednodniówka kaliska na korzyść miejscowego Towarzystwa Dobroczynności*. — Kalisz, 1895, str. 72 wielkiéj ćwiartki. W przedmowie do tego wydawnictwa p. Zygmunt Zaborowski określa jasno cel jego. Chodziło „o zebranie największéj liczby nazwisk ludzi

dobréj woli, nieobojętnych na cierpienia bliźnich, którzyby z poczciwéj myśli, z kilkudziesięciu wyrazów zrobili ofiarę", dla utworzenia książki „pamiątek literackich, którąby dla czytelników stanowiła przyjemną rozrywkę, a Towarzystwu Dobroczynności dostarczyła funduszu dla ubogich, pod opieką jego zostających." I cel ten, przynajmniéj co do wydania takiéj książki, można uważać za osiągnięty. Redakcya potrafiła zgromadzić króciutkie utwory prozą i wierszem 96 autorów i autorek, pomiędzy którymi znajdujemy takie nazwiska jak: Asnyka, Bałuckiego, Blizińskiego, Deotymy, Duchińskiéj, Ilnickiéj, Kaszewskiego, Konopnickiéj, Marrenowéj, Pługa, Sarneckiego, Stefana z Opatówka, Tarnowskiego, Ujejskiego i t. d. Z pomiędzy młodszych i najmłodszych pisarzów również zaznaczyło się kilkanaście nazwisk, które czy to myślą rozumną, czy uczuciem szczerém, czy formą piękną potrafiły zająć miejsce w pamięci lub sercu czytelnika. Byłoby trudną rzeczą, a może nawet do wykonania niepodobną, gdyby się w téj krótkiéj wzmiance chciało wykazywać wszystko, co z tego lub innego względu zasługuje na podniesienie; trzebaby bowiem wdać się w szczegółowy wykaz i ocenę drobnych zazwyczaj artykułów i poezyi. Nie chcąc popełnić niesprawiedliwości względem kogobądź, wolimy tę ogólną zamieścić tu uwagę, że z przejrzenia téj pamiątkowéj książki, starannie wydanéj, wynosi się miłe, sympatyczne wrażenie. Mamy nadzieję, że znajdzie ona licznych czytelników i nabywców, a tym sposobem druga część zadania, jakie sobie redakcya postawiła, t. j. zebranie funduszu dla kaliskiego Towarzystwa Dobroczynności, równie osiągniętą zostanie, jak i pierwsza. Tém życzeniem kończymy tę notatkę, pewni, że redakcya „Prosny" ze spełnienia go najbardziéj będzie zadowoloną.

— **„Biblioteki powszechnéj"**, wydawanéj w Złoczowie nakładem p. Wilhelma Zukerkandla, nadesłano nam dalsze tomiki, z których ostatni oznaczony jest numerem 154—155. Jakkolwiek daleko tu jeszcze do cyfry, jaką przedstawia podobne wydawnictwo niemieckie Reclama, widocznym jest atoli fakt, że zbiór przedruków się rozwija, uzyskawszy widać dostateczną podstawę w liczbie nabywców. Jak w dawniejszych tomikach, tak i w świeżo ogłoszonych widzimy wielką rozmaitość: przekłady i utwory oryginalne, starożytność i czasy najnowsze są tu reprezentowane. Nie same arcydzieła, lecz także i rzeczy słabsze, mogące liczyć na jaką taką poczytność, są tu objęte. Mamy więc mowę Cycerona za Sekstem Roscyuszem z Ameryi w dobrym przekładzie E. Rykaczewskiego, mogącym być pożądaną pomo-

cą domową dla uczniów, biédzących się nad łaciną a pragnących się wyrażać poprawnie w języku ojczystym. Mamy daléj mniéj dobre tłomaczenie „Dziwnych historyi" Maurycego Jokaia, który i u nas cieszy się niemałą popularnością. Jest i przekład ładnéj komedyi Edwarda Paillerona p. t. „Świat nudów", dokonany przez p. Jana Kazimierza Zielińskiego. Z oryginalnych zaś utworów znajdujemy: „Bajki" Krasickiego, „Legendy" Ignacego Hołowińskiego, „Pana Jowialskiego" Fredry, „Żydów" Korzeniowskiego, trzeci tomik szkiców, obrazków i humoresek Aurelego Urbańskiego p. t. „Z za kulis", z których po oswojeniu się ze stylem nieco wymuszonym, można zaczerpnąć niejedną pobudkę do wesołości,—a wreszcie zbiór „Nowel" Zygmunta Sarneckiego, obejmujący 8 powiastek żywo i zręcznie opowiedzianych: „Marta", „Powiem mamie", „Terenia", „Wilki", „Nastka", „Dolcio", „Pelagia", „Pojedynek". Wydawnictwo, jak widzimy z powyższego wyliczenia i pobieżnéj charakterystyki, zasługuje na poparcie, ażeby mogło rozwijając się dostarczyć dobréj lektury najszerszym nawet warstwom społecznym, jako z powodu ceny przystępne dla niezbyt zamożnych.

= **Pięcioksiąg Mojżesza**, tłomaczył i podług najlepszych źródeł objaśnił dr. *J. Cylków*. I—V. 1885.—Rozpatrując dzieje religii widzimy, że nie wszystkie z tak ważnych ksiąg świętych narodów starożytnych przeszły, w tym charakterze, do innych narodów; a również, że nie wszystkie nie utraciły do czasów obecnych pierwotnego swego znaczenia. Takich zaś, które by razem zdołały przedrzéć się za granicę właściwéj sobie przestrzeni, gdzie powstały, a przytém i za obręb właściwego sobie czasu, w którym powstały, jest tylko trzy. Jedną z tych trzech wydali Aryowie wschodni; dwie inne—Semici, dwa szczepy stanowiące rasę białą. — Lecz rzecz dziwna, płód ducha i umysłowości Aryów przeszedł głównie do ras żółtych, nie wywarłszy stosownego wpływu na współplemienne narody inne; starszy wiekiem płód ducha i umysłowości Semitów przeszedł wyłącznie do innego plemienia Aryów, Aryów zachodnich; płód młodszy—przeszedł poczęści, jak poprzedni, do Aryów, tylko wschodnich, poczęści zaś, jak płód Aryów wschodnich, do ras żółtych, nakoniec—do ras czarnych. Obecnie księgi święte starożytnych Aryów wschodnich, zwane księgami buddyjskiemi, są jeszcze świętemi co najmniéj dla 500 milionów ludzi, w których dwie trzecie są żółci. Starsza księga święta Semitów, biblia żydowska—dla jakich 400 mil., głównie Aryów zachodnich, a nadto, starszych jéj wyznawców pozostało przy niéj do 7 mil.; młodsza księga święta Semitów, Koran arabski, przysługuje 100 mil., z których zale-

dwo część dziesiątą stanowią pierwotni jéj wyznawcy; ogół składają biali Aryowie wschodni, w Indyi i Persyi; daléj—żółci głównie w Azyi zachodniéj, nakoniec—czarni w Afryce. Dwie księgi semickie zyskały razem tylu wyznawców, ilu ich posiadają księgi aryów wschodnich. Wszystkie zaś trzy razem wzięte objęły dwie trzecie ogólnéj ludności ziemi całéj.

Naturalnie, nie wszystkie części wymienionych ksiąg świętych są jednakowo ważne. W żydowskiéj—naczelne miejsce zajmuje Pięcioksiąg Mojżesza. Otóż w roku bieżącym dr. J. Cylków wydał nowy przekład owego Pięcioksięgu. — Przekład ten z oryginału hebrajskiego dokonany na język współczesny, a więc wolny od wszelkich niedających się pojąć archaizmów, które przepełniając dawniejsze przekłady téj księgi, wielu mniéj wytrwałych lub mniéj zamiłowanych w przedmiocie od saméj księgi odstręczały, pozwala poznać obecnie zawartość owéj najważniejszéj oraz treścią najstarożytniejszéj części Biblii kilkunastu milionom ludzi, nie znającym języka oryginału. Jest jeszcze przytem inny wzgląd, przemawiający doniośle za pracą dr. Cylkowa i ją, wśród wszystkich prac tego rodzaju dawniejszych, na główne wynoszący stanowisko. — Opracowywanie tekstu ksiąg świętych i jego przekłady na języki nowożytne mogą miéć cel dwojaki dzisiaj. Naukowy, jeśli opracowujący tekst i tłumacz onego, uwzględniając wszystkie odkrycia dokonywane przez krytykę, na wzór geologa, który w skorupie ziemskiéj odróżnia wszelkie jéj warstwy i na podstawie owego układania się w czasie warstw odtwarza dzieje ziemi, również jak on odszukują części składowe owego tekstu, tylko pozór jednolitéj całości posiadającego, i również jak on, przez wykrycie i wykazanie uwarstwowienia w księdze, jéj dzieje odtwarzają. Rytuałowy, jeśli opracowujący tekst i tłumacz onego, opiérając się na podaniu co do pochodzenia saméj księgi, oczyszczają tekst z błędów, które weń weszły przez tylokrotne przepisywanie i następnie przedrukowywanie, jeżeli na podstawie coraz dokładniejszéj znajomości, w skutek rozmaitych odkryć archeologicznych, życia i obyczajów społeczeństwa, wśród którego księgi powstawały, każdemu wyrazowi nadają znaczenie rzeczywiste, to jest takie, jakie podówczas posiadał, gdy księga sama powstawała. — Dr. Cylków przy wydaniu Pięcioksięgu w oryginale i tłumaczeniu miał cel rytuałowy. Lecz, opiérając się na pracach badaczy starożytności assyryjskich, egipskich, żydowskich, syryjskich i fenickich, zużytkowując przytém odkrycia lingwistyczne, uszkodzone wyrazy w tekście poprawił, a w tłumaczeniu każdemu nadał odpowiednie znaczenie i objaśnił nadto, w przypisku odnośnym, pojęcie jego rzeczywiste, które nauka współczesna starożytności odkryła. — W pracy

przeto dr. Cylkowa posiedliśmy środek zrozumienia dosłownego tekstu najważniejszéj części starszéj księgi świętéj Semitów, która jak obecnie, nie utraciła swojego pierwotnego znaczenia w oczach 400 mil. Aryów zachodnich *plus* 7 mil. dawniejszych jéj wyznawców. *Ign. R.*

= *Dr. J. Caro:* **Richard Roepell** 1895. str. 20. Jako odbitka z **Kroniki** uniwersytetu wrocławskiego za rok 1894 ukazała się pod powyższym tytułem niewielka objętością, lecz obfitą wypełniona treścią rozprawa historyka Caro, o zmarłym przed paroma laty autorze tomu pierwszego *Geschichte Polens*, Ryszardzie Roeplu. Nie jestto nekrolog, lecz ocena działalności zmarłego—na polu historycznych badań, charakterystyka stanowiska i poglądów dziejopisa na rolę społeczeństw, których przeszłością się zajmował, wpływów, jakim podlegał i ideałów, które pielęgnował w duszy, a które urzeczywistnił życiem szlachetném, wolném od skazy, a przedewszystkiém—od jednostronności i tendencyjności, właściwéj mistrzom nowszego, bezwzględnego kierunku.. Z istotném zadowoleniem i uznaniem spotykamy w rozprawce d-ra Caro poglądy czyniące nietylko zaszczyt sławionemu przezeń mężowi, lecz i temu, kto uznając ich słuszność, solidaryzuje się niejako z niemi. Podnosi autor bezstronność Roepla w ocenianiu pierwotnych dziejów Słowiańszczyzny zachodniéj, wykazuje zasługę dziejopisa, iż zabiérając się do badań, dla których w Niemczech nie mógł znaleźć dostatecznego materyału źródłowego, osiadł był na czas dłuższy w Poznaniu, by w owém gnieździe Wielkopolski, a zarazem i państwa, którego w średnich wiekach środowiskiem się stało, obeznać się bliżéj z językiem narodu i właściwościami jego tradycyi. Jako zwolennik metody Niebuhra poddał Roepell naukowéj i źródłowéj analizie legendy Długoszowe o pierwotnych dziejach Polski, a usunąwszy te, które nie wytrzymywały krytyki, śmiało docierał do prawdy dziejowéj. Wytłomaczenie tego właśnie objawu (str. 9), któremu nowsza era dziejopisarstwa polskiego nie przyznaje już, ze stanowiska wymagań ścisłości naukowéj tak górującego stanowiska, popiéra dr. Caro motywami słusznemi, dowodzącemi, że i w jego własnych poglądach na Słowiańszczyznę zachodnią zaszła ewolucya znacząca. Zasadnie również zaznacza autor zasługę Roepla w podjęciu ważnego dzieła, (przerwanego na wieku XIV), wobec historyków niemieckich, którzy, obeznaniem się z dziejami pierwotnemi Polski, rozszerzyli horyzont swoich poglądów na średniowieczną epokę i stosunki sąsiadujących ze sobą społeczeństw. *Al. K.*

— *Górzycki Kazimierz*: **Kwestya lennego zwierzchnictwa Kazimierza W-go do Pomorza**, Lwów 1895. — **Akta Procesu** *o Tarnopol z r. 1690*. Tarnopol 1895. — **Kilka słów** *o nauce historyi w szkołach średnich i o korzyściach z tejże nauki dla uczniów*. Lwów 1895. — Mamy przed sobą trzy broszurki p. K. J. Górzyckiego. Pierwszą z nich znaliśmy już poprzednio, jestto bowiem przedruk zajmującego odczytu wygłoszonego przez autora na LXIV zebraniu miesięczném Towarzystwa historycznego we Lwowie. Prelegent słusznie go drukiem ogłosił, dorzuca w nim bowiem cenną wiadomość do dziejów polskich XIV-go wieku, omawiając szczegółowo kwestyę, czy Pomorze z ziemiami chełmińską i michałowską zostały w traktacie kaliskim odstąpione zakonowi niemieckiemu, czy téż Piastowie zawarowali sobie do nich jakieś prawa, dla siebie i swoich następców. Historycy polscy, jak Naruszewicz, Helcel i Szujski twierdzą, że ustępstwa poczynione przez Kazimierza W-go na rzecz Zakonu w r. 1343 nie były bezwzględne, natomiast dr. Voigt i prof. Caro są zdania, że była to darowizna zupełna. Pan Górzycki dowodzi obecnie, że zapatrywania historyków polskich są całkiem uzasadnione, a to na podstawie procesu kanonicznego z roku 1422, zapiski rocznika świętokrzyskiego nader skrupulatnie rozebranéj, a daléj na podstawie niektórych znanych, ale nie wyzyskanych należycie dyplomów. W myśl tych wywodów, nie posiadała ówczesna Polska nad ziemiami odstąpionemi r. 1343 Krzyżakom, zwierzchnictwa lennego, ale miała — znane w średniowieczu „honorowe zwierzchnictwo" nad tą darowizną, odstąpioną w charakterze *beneficium*. Co więcéj—Zakon miał względem korony polskiéj pewne zobowiązania, przywiązane do posiadania tego *beneficium*; płacił mianowicie dań „honorową" z Pomorza i dostarczał pomocy zbrojnéj przeciw „poganom" t. j. Litwie. Obowiązki te zawarowane były osobnemi dyplomami traktatu kaliskiego, które jednak zaginęły w ósmym dziesiątku XIV wieku. Zostały one, jak się zdaje, przez Zakon nielegalną drogą zabrane z Krakowa i to najprawdopodobniéj za pośrednictwem słynnego ale i osławionego Opolczyka. Od śmierci Ludwika Andegaweńskiego przestali Krzyżacy, widząc się w posiadaniu dyplomów kaliskich, uiszczać się ze swych zobowiązań wobec korony polskiéj; dopiéro proces kanoniczny z r. 1422 poddał traktat z r. 1343 krytyce prawnéj, ba nawet dowodził, że obowiązki Zakonu względem sąsiedniéj monarchii słowiańskiéj miały charakter obowiązków lennych. — Sprawa procesowa stanowi zawartość i drugiéj broszurki p. Górzyckiego, która zawiera akta procesu o „miasto i dobra" Tarnopol, jaki toczył się w roku 1690 między królową Maryą Kazimierą Sobieską a Koniecpolskimi. Autor przepisał je z archiwum akt grodzkich i ziemskich we Lwo-

wie na wezwanie wydziału „Kółka naukowego tarnopolskiego", wydał umiejętnie i starannie, w III-cim roczniku tego kółka i w osobnéj odbitce, tudzież opatrzył samoistną przedmową. Aktów tych jest dwa, a są one cenne, bo nietylko że wyjaśniają przebieg samegoż procesu, ale nadto przedstawiają dokładny obraz ekonomicznego stanu tarnopolszczyzny w czasie najazdów tatarskich, tureckich i kozackich. Obraz to smutny, a da się zastosować *mutatis mutandis* — jak to słusznie zaznacza wydawca w przedmowie — do wszystkich ówczesnych ziem kresowych t. j. południowo-wschodnich, byłéj rzeczypospolitéj polskiéj. — Na rozdrożu między filozofią a historyą stoi trzecia pedagogiczno-dydaktyczna rozprawa p. Górzyckiego p. t. „Kilka słów o nauce historyi w szkołach średnich". Rzecz ta, drukowana w „Muzeum"—organie „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych", wyszła także w osobnéj odbitce i doczekała się już przychylnej oceny w kilku pismach codziennych. Autor w pierwszéj, głównie sprawozdawczéj części swéj pracy, rozbiéra szczegółowo zdania wybitnych pedagogów, jak d-ra Schillera, Schradera, Ackermana, Herbsta i innych—o celach i środkach nauczania historyi w szkołach średnich. Punkt widzenia autora jest psychologiczny, przyczém wyraźnie skłania się ku fizyologiczno-psychologicznym zapatrywaniom Wundta. Z tego téż powodu wysoko podnosi p. Górzycki także myśli pedagogiczne dr. Schillera, który również jest więcéj zwolennikiem Wundta, niżeli inni pedagogowie. W rezultatach téj części rozprawki schodzi się autor mniéj więcéj z wymaganiami austryackiéj instrukcyi ministeryalnéj szkolnéj, żąda jednak, aby instrukcya ta była umiejętnie w praktyce stosowaną. -- Znacznie więcéj oryginalną jest druga część omawianéj rozprawy, traktująca o korzyściach z nauki historyi dla uczniów. Odnoszą je uczniowie zarówno w kierunku ogólnej swéj oświaty, jak i rozwoju uczuć, pojęć etycznych, narodowościowych i t. p... najsilniéj jednak akcentuje autor moment społeczny wśród tych korzyści. Sądzi więc, że bez szczegółowego uwzględnienia rozwoju społecznego, historya w szkołach może chyba przyczynić się do wypaczenia społecznych pojęć uczącéj się młodzieży, choć powinna mieć zawsze na oku prostowanie tychże. Rozumié zaś autor przez to — jak widać z rozprawy— pewną teoryę socyologiczną, a mianowicie, że „ekonomiczno-techniczny rozwój życia społecznego postępuje zawsze i wszędzie w pewnym, względnie ściśle oznaczonym porządku, zależnym przeważnie od rozwoju, zakresu i rozmiarów, tudzież sposobów produkcyi; psychiczny zaś charakter tego rozwoju zależy od warunków przyrodniczych danego terytoryum" (str. 17). Teorya ta należy dzisiaj, jak wiadomo, do bardzo rozpowszechnionych wśród socyologów, oraz wkracza do hi-

storyi, a po części nawet i do szkoły. Wychodząc z takiego ogólnego założenia—twierdzi p. Górzycki, że i t. zw. historya „kraju ojczystego"—winna być traktowaną tak w nauce jak i w szkołach na szerokiéj podstawie dziejów ogólnych. Na to zgoda—czy jednak nie powinno się zaczynać każdéj nauki a więc i historyi od rzeczy najbliższych, a potém dopiéro przechodzić do rzeczy dalszych, na to nie daje nam p. Górzycki zupełnie jasnéj odpowiedzi. A szkoda—bo u nas np. najwłaściwszą metodą będzie, zdaniem naszém, uczenie dziejów słowiańskich nie tylko punktem wyjścia w nauce, ale i ogniskiem zarazem, około którego i do którego odnosiłby uczący się inne wypadki, bo w ten sposób sprawy najbliższe, jako najłatwiéj zrozumiałe, stać się mogą rodzajem terytoryum porównawczego i dla dalszych. Zalecają to wszystkie niemal instrukcye szkolne, zalecają względy dydaktyczno-pedagogiczne, moralne i praktyczne. Nie wdając się atoli w szczegółową polemikę co do tego punktu z szanownym autorem—zaznaczyć musimy, że ogółem biorąc, rozprawka jego o nauce historyi nietylko jest wielce ciekawą, ale i tém cenną, że i sama snać wynikła z głębszego rozmysłu i pobudza zarazem do myślenia na temat poruszonych kwestyi. *K. J. N.*

= *Dr. Semkowicz Aleksander.* **Opowiadania z dziejów powszechnych**. Część III-cia z 35 rycinami i 3 mapami. Lwów 1895. — Zdanie o złych podręcznikach szkolnych w Galicyi stało się już tak utarte, że każde usiłowanie, mające na celu poprawę istniejących stosunków, zasługuje na tém większe uznanie; jeżeli zaś wogóle ułożenie dobrego podręcznika szkolnego nie jest rzeczą łatwą, to już do najtrudniejszych rzeczy należy niewątpliwie napisanie odpowiadającego celowi podręcznika dziejów nowożytnych dla niższych klas szkół średnich, w których obowiązuje metoda biograficzna uczenia. W dziejach starożytnych i średniowiecznych może być w braku źródeł stosowaną t. z. historyograficzna metoda „typów", nie tylko w szkole ale nawet w nauce. Luki, które skutkiem tego w historyografii powstają, są po pierwsze konieczne, bo uwarunkowane brakiem materyałów, powtóre są one mniéj dla obiektywizmu historycznego niebezpieczne, odnoszą się bowiem do czasów odległych, w których t. z. „postaci typowe" są wyraźniejsze i nie tak ściśle złączone z bieżącą dobą dziejową, jak postaci nowożytne. Wieki nowe—humanizm, reformacya, oświecony absolutyzm i rewolucya—stworzyły podstawy tego, co dziś jeszcze jest aktualne, co więcéj prądy te mają już cechę powszechną, że charaktery, a zatém i biografia osób działających kryją się coraz skromniéj poza interesy ogółu. Liczą się z tym faktem i instrukcye szkolne, a w ich rzę-

dzie także austryacka instrukcya ministeryalna, bo polecają aby w „dziejach nowożytnych” nawet dla niższych klas szkół średnich — uwzględnić momenty pragmatyczne obok biografii. Metodę tę przyjął i w czyn wprowadził prof. Semkowicz, co jest najcenniejszym właśnie nabytkiem pedagogicznym, jaki zyskuje literatura pedagogiczno-dydaktyczna z tym trzecim z rzędu tomikiem „Opowiadań z dziejów powszechnych”. Układ zaś i dobór materyału jest tu tak zręcznie i misternie obmyślany, że choć biografie przeważają, a charakterystyki bywają często może nawet za korzystnie kreślone, to jednak młodociany czytelnik, mimo iż w nim nie zanika interes dla życiorysów i dla czynów osób historycznych—widzi przecież, że w historyi nie wszystko polega na osobistościach, ale przeciwnie wielkie ogólne prądy są podstawami działalności ludzkiéj. Dlaczego tak jest, a nie inaczéj—na to ramy książki prof. Semkowicza za szczupłe — aby w nich wyjaśniać całe szeregi motywów, kierujących t. zw. „koniecznością dziejową”, nie mniéj jednak na pewnych wskazówkach nie zbywa „Opowiadaniom”. Autor nic mówi np. o reformacyi lub o rewolucyi jako o wpływie niezadowolenia Lutra, Kalwina, Robespierre'a i t. p.—ale wykazuje, że przyczyny danych prądów są natury znacznie szerszéj, niżeli wola kilku jednostek. Nie sądzimy zresztą, żeby młodzieniaszek 14-letni mniéj więcéj, uczący się na niższym stopniu nauki z podręcznika prof. Semkowicza, mógł z niego dokładnie poznać pragmatyzm dziejowy, zwłaszcza że i autor podobnego celu sobie nie wytknął — nie ulega atoli wątpliwości, że każdy uczeń przerobiwszy książkę prof. Semkowicza, będzie już wybornie przygotowanym do nauki historyi na wyższym stopniu, t. j. w wyższém np. gimnazyum. A co najważniejsza jeszcze, „Opowiadania” niniejsze ułatwią mu znakomicie cały proces przyswajania sobie materyału naukowego, zajmą go i zachęcą do dalszéj pracy w rzadkim zaiste stopniu. Strona naukowa książki p. S. przedstawia się również nader korzystnie, a jeśli nawet tu i owdzie dałoby się dostrzedz pewne usterki faktyczne — to jest ich tak nie wiele, że nie wymieniamy ich nawet. Ogółem biorąc, zaznaczyć należy, że „Opowiadania z dziejów nowożytnych”, stoją co najmniéj na wyżynie swego zadania, równie jak i poprzednie ich tomiki, omówione już swego czasu w łamach „Ateneum”. Ostatnia to zarazem część historyi powszechnéj, którą w formie biograficznéj ułożył prof. S., czyniąc zadość ogólnie odczuwanéj potrzebie, a w ten sposób doczekaliśmy się nareszcie podręcznika szkolnego, uwzględniającego w równéj mierze dzieje ludów słowiańskich jak i zachodnich, a który wyparł nareszcie ze szkół galicyjskich i wytrącił z rąk młodzieży uczącéj się w domu, przestarzałe tłómaczenia podręczników niemieckich, ciągle przera-

biane, uzupełniane, a przecież nie odpowiadające naszym potrzebom i warunkom. Nie dziw téż, że rodzice i nauczyciele witają z radością każdy nowy tomik „Opowiadań" niniejszych, zalecających się jeszcze i tém, że są pisane językiem pięknym i potoczystym, a ubarwione poprawnie wykonanemi ilustracyami tudzież mapkami. *K. J. N.*

NEKROLOGIA.

† **Żegota (Ignacy) Pauli**, cichy a niestrudzony pracownik na polu starożytności polskich, urodził się 1 lipca 1814 roku w Nowym Sączu, z ojca Mateusza, obywatela tamtejszego i matki Zofii z Wojciechowskich. Pod wpływem szkoły całkiem zgermanizowanéj, pierwsze artykuły pisywał po niemiecku i drukował w piśmie „Mnemozyne." Ksiądz Głowacki, wielki miłośnik rzeczy ludowych, proboszcz w Nowym Sączu, zajął się młodzieńcem i zachęcił do zbierania pieśni. Pauli miał już zbiór pieśni ludowych gotowy w r. 1833, ale dopiéro w r. 1838 ogłosił go drukiem p. t. „Pieśni ludu polskiego w Galicyi" (str. 234). Już przedtém w r. 1835 wydrukował w „Rozmaitościach" lwowskich pierwszą swą pracę po polsku. W r. 1839/40 wydał „Pieśni ludu ruskiego w Galicyi." Równocześnie zajmował się gorliwie bibliografią i archeologią polską, a owocem tych jego poszukiwań było naprzód rozpoczęte w 1838 r. we Lwowie wydawnictwo „Starożytności galicyjskich" (str. 47, 20 rycin kolorowanych, 3 ryciny litograficzne), a następnie cały szereg wydań, już to z rękopismów, już to z pierwodruków dzieł rozmaitych, zarówno poetyckich jak historycznych. I tak wydał w r. 1844 „Poezye" Gawińskiego, tegoż roku Samuela Brodowskiego „Żywoty Hetmanów Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego" (str. 114; drugie wyd. 1850, str. 314), w 1846 „Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich", w 1849 „Podróż do Turcyi i Egiptu" Jana Potockiego z wiadomością o życiu i pismach autora (str. XXVI i 83); w 1850: „Sielanki krakowskie" Reklewskiego, w 1853 „Pamiętniki" o wyprawie Chocimskiéj Jana hr. z Ostroroga, Prokopa Zbigniewskiego, Stanisława Lubomirskiego i Jakóba Sobieskiego", w 1859 „Ziemianina i Policyę" Stanisława Orzechowskiego, w 1858/9 „Herby rycerstwa polskiego" B. Paprockiego; w 1861: „Psalmy pokutne, przekładu Wacława Rzewuskiego i życiorys tegoż wyjęty z Żywotów hetmanów... oraz z Kroniki podhoreckiéj" (str. 60 z portretem); od 1867 prowadził wydawnictwo tekstu łacińskiego zbiorowych dzieł Długosza. Najważniejszém, najpracowiciéj dokonaném dziełem ś. p. Paulego, jest 4-tomowy „Kodeks dyplomatyczny Uniwersytetu krakowskiego", którego pierwszy tom ukazał się w r. 1870 a czwarty w 1887. W tym roku ś. p. Maurycy Stankiewicz i Wł. Wisłocki postarali się o uczczenie 50-letniéj działalności skromnego autora, który jako prosty *amanuensis* biblioteki jagielońskiéj od wszelkiéj owacyi się usuwał. Pamiątka tego dnia została w książeczce „Ju-

bileusz Żegoty Paulego" (Kraków 1887, str. 7). Zmarł ś. p. Pauli 21 października r. b. w Krakowie.

= **Józef Oettinger** urodził się w Tarnowie r. 1818, wcześnie osierociał, a opiekę znalazł u wuja swego w Krakowie. Skończywszy szkoły, zapisał się w r. 1834 na wydział filozoficzny uniwersytetu Jagiellońskiego, lecz w 1836 przeszedł na lekarski. Stopień doktora medycyny, napisawszy rozprawę łacińską o znakomitym lekarzu XVI w. Józefie Strusiu, otrzymał r. 1843. Pracował na polu nakowém i publicystyczném. W r. 1848 pisywał artykuły do „Jutrzenki." W r. 1850 wydział lekarski uniwersytetu Jagiellońskiego powołał go na zastępcę profesora historyi medycyny publicznéj, a w dwa lata potém przedstawił go ministeryum na profesora. Nie otrzymał jednak zatwierdzenia. Dopiéro w r. 1868 objął katedrę historyi medycyny i zasiadł w radzie miejskiéj. Niebawem został członkiem nadzwyczajnym Akademii Umiejętności, późniéj zaś członkiem rzeczywistym. Należał do pierwszych założycieli „Przeglądu lekarskiego", którego przez lat 8 był redaktorem i w którym pomieścił długi szereg artykułów. Osobno wydał: „Umiejętność lekarska wobec szkół" (1863), „O przesądach lekarskich w różnych wiekach" (1867), „Cholera nagminna w Krakowie w r. 1866" (Kraków 1867), „Przyczynek do obrazu epidemiologicznego m. Krakowa w ciągu 25-lecia" (1869), „Rzut oka na najcelniejsze nabytki doświadczenia lekarskiego na tle dziejowém (1870), „Niektóre ważniejsze właściwości polszczyzny w porównaniu z mową niemiecką" (1869), „Rys dawnych dziejów wydziału lekarskiego uniwersytetu Jagiellońskiego" (1877), „Zapiski lekarskie ze stulecia XVI, ze spółczesnego rękopisu łacińskiego zebrał i przełożył" (1880). Zmarł w Krakowie 3 października r. b.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie Październikowym na str. 60 w tłomaczeniu „Prometeusza" Byrona, należy w dwu miejscach (w. 1, 15) zamiast wyrazu: *Pytanie*, czytać: *Tytanie!*



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Октября, 1895 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Sprawozdanie trzynaste** z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. d-ra med. Józefa Mianowskiego za rok 1894. Warszawa 1895. str. 102.
2. **O winie** i o przemyśle winnym w Warszawie ze stanowiska sanitarnego napisał *J. Polak*. Warsz. 1895. 8-vo str. 23.
3. *Plato v. Reussnera* Najlepsza metoda czyli **Samouczek** Polsko-Francuzki. Zesz. XIX — XXXIII. Warsz. 1895, 8-vo. str. 297—568 (cena zesz. kop. 15).
4. *Publiusza Korneliusza Tacyta.* **Żywot Juliusza Agrykoli i Roczniki** tłomaczył *Władysław Okęcki* dr. O. P. Kraków, G. Gebethner i spółka, 1895, 8-vo str. 459.
5. *Konstanty Wojciechowski.* **Młodość Stanisława Konarskiego** (1700—1725). Lwów, nakł. „Czasopisma Akademickiego". 1895, 8-vo. str. 28.
6. **W drodze do prawdy.** Studyum nad wpływem woli, skreślił *Juliusz Święcianowski*. Warsz. nakł. Noskowskiego, skład gł. w księg. Paprockiego, 1895, 8-vo, str. 41.
7. **Kobiety—poetki** przez *Antoniego Pileckiego.* Odczyty. (Przedruk z „Bluszczu"). Warsz. skł. gł. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, str. 106.
8. *Eliza Orzeszkowa.* **Australczyk**. Powieść. Petersb. nakład Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, st. 384.
9. **Kartka z dziejów oświaty w Polsce**. Władze oświecenia publ. i oświata elementarna w Księztwie Warszawskiém. Przez *Henryka Konica.* Kraków, skład gł. w księg. G. Gebethnera, 1895, 8-vo, str. 157.
10. *Paweł Guiraud.* **Opowiadania historyczne. Grecya**. II. Instytucye publiczne. Przełożył *J. L. Popławski.* Warszawa nakład księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 386.
11. *Piotr Nansen.* **Dziennik Julii**. Przełożyła z duńskiego *R. Bernsteinówna.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 229.
12. *Henryk Wernic.* **Historya powszechna** opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. I. Dzieje starożytne. Z tablicą chronologiczną. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 240.
13. **Spacery z panem Karolem**. Opowiadanie dla dzieci od lat 9 do 12 przez *Konrada Drzewieckiego* (z obrazkami). Warsz. 1895, 8 vo str. 94 (cena k. 60).
14. **Żona z jarmarku**. Powieść wiejska przez *Klemensa Junoszę.* Warsz. nakł. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 115
15. *Wincenty hr. Łoś.* **Highe-Life Doktor**. Powieść współczesna. Warsz. nakł. księg. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 291.
16. *Wiktor Doleżan.* **Wpływ moralności** na śmiertelność. Według odczytu d-ra med. Höffela. Kr: k. nakł. Aleksandra Słomskiego, 1895, 8-vo, str. 21.
17. **Prawo prywatne** austryackie. Przez *Ernesta Tilla* prof. uniw. lwow. Tom III. Wykład nauki o stosunkach obowiązkowych I. Lwów, nakł. księg. Seyfartha i Czajkowskiego, 1895, 8.vo, str. VIII + 458.
18. **Archiwum** do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Tom VIII. Kraków, nakład Akademii umiej. 1895, str. 340 z 2 tabl. litogr.
19. **Rozprawy Akademii Umiej**. Wyd. histor.-filozof. t. XXXI. Krak. nakład Akademii, 1895, str. 403.
20. **Dziennikarstwo** słowiańskie i polskie. Napisał *St. J. Czarnowski* magister prawa. Krak., skł. gł. u G. Gebethnera, 1895, str. 199.
21. *Amand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna** ilustrowana. Przełożył dr. *Karol Jurkiewicz.* Zeszyt 39. Warsz., nakł. Maurycego Orgelbranda, (cena zesz. k. 25).

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

